

Tytuł oryginału
ONCE IN EVERY LIFE

Copyright © 1992 by Kristin Hannah

Koncepcja serii
Marzena Wasilewska-Ginalska

Ilustracja na okładce
Robert Pawlicki

Opracowanie graficzne okładki
Sławomir Skryśkiewicz

Skład i łamanie
„Kolonel”

For the Polish translation
Copyright © 2001 by Wydawnictwo Da Capo

For the Polish edition
Copyright © 2001 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I

ISBN 83-7157-406-1

DRUKARNIA GS- Kraków, tel. (012) 65 65 902

Książkę tę z wyrazami miłości dedykuję mojemu mężowi Benjaminowi i jego rodzinie, państwu Hannah, którzy tak ciepło mnie przyjęli i zaakceptowali. Pisząc tę historię, myślałam o moich teściach, Fredzie i Annie. Niestety, publikowanie książki trwa długo i Anna nie może już jej przeczytać. Wierzę jednak, że w jakiś sposób wie i rozumie, jak bardzo ją kocham i że mała cząstka jej duszy - niedotknięta chorobą Alzheimera - wszystko pamięta...

Chciałabym także podziękować dwóm niezwykłym kobietom, Laurze John Turner i Charlotcie Stan, które przeczytawszy roboczą wersję mojej pierwszej książki, powiedziały bez zmruczenia oka, że jest dobra.

Prolog

Wyspa San Juan, Terytorium Waszyngtonu, rok 1873

Jackson Rafferty, leżąc twarzą do ziemi na twardym klepisku, odzyskiwał powoli przytomność. Przez chwilę czuł się jak człowiek, który budzi się z głębokiego, błogiego snu. Nagle jednak uzmysłowił sobie z przerażeniem, że znowu był zamroczony.

Przeszedł go lodowaty dreszcz. Zaczął szczękać zębami, zaciskając w pięści drżące dłonie, które spoczywały w błocie. Ogarniał go dziwny, nieokreślony strach, coraz potężniejszy z każdym uderzeniem serca. Dręczyła go potworna myśl. Lęk, który towarzyszył mu zawsze, gdy przytomniał.

Nie, myślał z rozpaczą. Tylko nie dzieci. Przecież bym ich nie skrzywdził!

Kłamca! To słowo dudniło mu w głowie. Jęknął żałośnie. Każdego ranka musiał sprawdzać, czy przypadkiem w nocy nie wyrządził nieumyślnie krzywdy swoim dzieciom. Wiedział, że to irracjonalna fobia. Dziedzictwo koszmaru z przeszłości. Podobno był już wyleczony. A jednak miewał te przerażające zaniki świadomości. I przejmował go potem paniczny strach. O, Boże...

Drżąc, próbował podźwignąć się z ziemi, ale poczuł natychmiast mdłości i zawroty głowy.

Przysiadł w kucki, czekając, aż ustąpią znajome objawy. Odzyskiwał stopniowo ostrość widzenia. Tuż za nim stała latarnia, rzucając mdłe żółte światło, w którego blasku zobaczył mgliste zarysy dwóch boksów. Poczuł kojący zapach zbutwiałego drewna, kurzu i świeżego siana.

Był w swojej stodole.

Przypomniał sobie natychmiast, jak się tam znalazł. Rzucił okiem na warsztat, gdzie leżała niedokończona kołyska. Poniżej zobaczył piłę i młotek, które upadły mu na ziemię.

Sięgał właśnie po puszkę z gwoździami, gdy rozpętała się burza. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, był ulewny deszcz, siekący dach jak kanonada.

Kanonada...

Znowu powracała przeszłość. Zacisnął mocno powieki, starając się stłumić wspomnienia i uczucia.

Jak zwykle jednak nie potrafił nad sobą zapanować. Jego wysiłki na nic się nie zdawały. Dręczyły go urojenia i popadał w tak głęboką depresję, że nie widział już drogi ucieczki. Dobry Boże, nie mógł już tak dłużej żyć...

Dysząc ciężko i drżąc na całym ciele, zmusił się, żeby wstać, i pokuśtykał w kierunku warsztatu. W mdłym świetle latarni zobaczył lśniący stalowy przedmiot. Był to rewolwer marki Remington.

Odetchnąwszy głęboko, objął spracowanymi palcami jego rękojeść. Chłodny metal dawał mu poczucie bezpieczeństwa.

- To takie proste. - Wypowiedział te słowa całkiem bezwiednie. Jednym strzałem mógł położyć kres swoim cierpieniom. I zapewnić bezpieczeństwo rodzinie.

Uniósł broń. Stawała się jakby coraz cięższa i bardziej nieporęczna. Napiął z wysiłkiem mięśnie.

Poczuł na skroni kojący dotyk zimnego metalu. Przytknął

lufę mocniej do głowy. Wiedział z doświadczenia, że strzał pozostawi na powierzchni skóry tylko niewielki okrągły otwór. Zaciśnął dłoń na rękojeści i położył palec na spuście.

Teraz albo nigdy.

Na czoło wystąpiły mu krople potu. Spłynęły do oczu i zamgliły wzrok. Spoczywający na spuście palec wyraźnie drżał.

Zrób to. Zrób to, do cholery...

Zasługiwał na śmierć. Żona powtarzała mu to tysiące razy. Bóg świadkiem, że pragnął umrzeć. Wszyscy wokół chcieli, żeby ze sobą skończył.

Bez niego byłiby szczęśliwsi. Amarylis dawała mu to jasno do zrozumienia. Savannah i Katie były jeszcze za małe, by pojąć, jaką jest kanalia, ale wkrótce...

A teraz miała przyjść na świat następna niewinna istota. Kolejne dziecko. Zasługiwało na to, by nie mieć takiego ojca jak Jack Rafferty...

- Tatusiu!

Przepełniony strachem i odrazą do samego siebie, Jack usłyszał, jak zza grobu, głos córki. Instynktownie odsunął broń od skroni i rzucił ją na ziemię. Uderzyła o ścianę i wpadła pod warsztat. Poczul natychmiast, że ma zimną i wilgotną rękę.

Może następnym razem. Wypowiadając w myślach te słowa, wiedział, że sam siebie okłamuje. Nie miał dość charakteru, by popełnić samobójstwo.

Jakim cudem? - pomyślał tępo. Od dawna już był tchórzem.

Drzwi stodoły otworzyły się na oścież i do środka wtargnął podmuch wiatru.

- Tatusiu, jesteś tam?

- Tak, Savannah. - Spojrzał na swą dwunastoletnią córeczkę. Stała w otwartych drzwiach, przyciskając nerwowo dłonie do długiej wełnianej spódnicy. Zrobiła krok w jego kierunku, ale zaraz się zatrzymała. Widział, że się waha.

KRISTIN HANNAH

Bała się go własna córka! Poczł się tak podle, że miał ochotę uderzyć w coś pięścią. Ale lata doświadczeń sprawiły, że potrafił się pohamować. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- O co chodzi, Savannah?

Dziewczynka przygryzała nerwowo dolną wargę.

- Mama prosiła, żebyś szybko przyszedł. Już się zaczęło.

- Co? Przecież to miało być dopiero... Cholera!

Pobiegł w ulewnym deszczu w kierunku domu. Było ciemno i zimno. Strugi wody zalewały mu twarz i oczy.

Chryste, przykładał sobie pistolet do głowy, gdy żona zaczynała rodzić.

Cóż z niego był za człowiek?

- Boże, wybac mi - mruknał.

Oczywiście, nie mógł mieć na to nadziei.

ROZDZIAŁ 1

Seattle, rok 1993

Tessa Gregory przechadzała się nerwowo po swoim gabinecie, zaciskając mocno splecione dłonie. Cisza, do której zdążyła już przywyknąć, wydała jej się nagłe wroga i przytłaczająca. Po raz piąty w ciągu kilku minut spojrzała na zegarek.

Była dwunasta. Westchnęła ciężko. Wyniki powinny już nadejść. Jeśli jej ostatni eksperyment się udał...

Nie. Nie dopuszczała możliwości porażki.

Znała lepiej niż ktokolwiek wartość pozytywnego myślenia. Wiedziała, że wydeptywanie wykładziny i zamartwianie się na śmierć nic nie da. Wyniki z laboratorium dotrą we właściwym czasie, a na razie musi się zrelaksować. Nie tracić wiary.

Zacisnęła mocno powieki. Już w dzieciństwie kołała w ten sposób zszargane nerwy, gdy lekarze dręczyli ją pytaniami, których nie mogła dłużej znieść. Odcinała się od zewnętrznego świata i wyobrażała sobie, że się śmieje. Natychmiast dodawało jej to otuchy i przynosiło ulgę.

Wsunęła dłonie do kieszeni laboratoryjnego fartucha. Odechnąwszy głęboko, aby się uspokoić, podniosła głowę i wyszła z gabinetu.

W pracowniczej stołówce podawano właśnie obiad. Dziesiątki

ludzi w białych fartuchach tłoczyło się przy długim prostokątnym stole. Wyłożony fornirem blat zaśmiecały sterty styropianowych kubków i tacek. Powietrze przesycił zapach potraw z mikrofalówki, zwietrzałej kawy i środków dezynfekujących.

Wszyscy żywo dyskutowali, błyskawicznie spożywając posiłek. Przypominało to stare filmy Chaplina. Brakowało w nich tylko dźwięku.

Tessa minęła rząd automatów do sprzedaży napojów i podeszła do jedynego w tym pomieszczeniu okna. Wyglądając na zewnątrz przez cienką szybę, poczuła lekki chłód.

Był typowy wiosenny dzień, szary i mokry. Taka pogoda zachęcała mieszkańców Seattle do spędzania urlopu w egzotycznych miejscach. Nad miastem wisały ciężkie burzowe chmury, przesłaniając dachy i zacinając ulice. Deszcz bębnił o cementowe chodniki, zatykając zapchane liśćmi kanały. Kałuże lśniły na jezdni jak rzucone przypadkiem srebrne monety.

Dobry dzień na cuda, stwierdziła w duchu Tessa.

Wiedziała, że nie powinna nawet o tym myśleć. Robiła sobie nadzieję, a potem doznawała rozczarowań. Bez względu na wszystko, nigdy nie była jednak skłonna słuchać głosu rozsądku.

Słowa „może dzisiaj” stały się jej życiowym mottem. Czekając co rano na rogu Trzeciej Alei i ulicy Virginia na autobus, który dowoził ją do Centrum Onkologii Freda Hutchisona, ciągle miała nadzieję. Nigdy jej nie traciła, mimo niezliczonych porażek. Prawdę mówiąc, każde niepowodzenie umacniało jej wiarę w sukces.

Przytknąwszy czoło do lodowatej szyby, zadrzała z zimna. Czuła intuicyjnie, że rozwiązanie problemu jest w zasięgu ręki. Pozostawało tylko znaleźć właściwy klucz. Jeśli ostatnie testy nie przyniosą odpowiedzi, spróbuje ponownie. A potem jeszcze raz. Aż do skutku.

To właśnie pasjonowało ją w życiu i w nauce: wszystko jest

możliwe, jeśli człowiek mocno w coś wierzy. A Tessie nigdy nie brakowało wiary.

Na ścianie nad jej głową zaczęło pulsować żółte światełko. Był to stosowany w szpitalu system przywoływania pracowników, takich jak ona, z zaburzeniami słuchu.

Uniosła głowę, czując rosnące podniecenie. Serce biło jej coraz szybciej. Promieniejąc nadzieją, wróciła pospiesznie do biura.

Doktor Weinstein już tam był. Trzymał w ręce dużą kopertę z wynikami testów.

Tessa znieruchomiała. Wpatrywała się w niego błagalnym spojrzeniem, z zapartym tchem czekając na werdykt.

Doktor Weinstein zamknął oczy i pokręcił głową.

Czując, jak uginają się pod nią kolana, Tessa usiadła niepewnie na miękkim krześle.

Doktor Weinstein uściśnął jej ramię i rzucił kopertę na biurko. Spojrzała na niego kątem oka, zmuszając się do uśmiechu.

- Może następnym razem - powiedziała cicho, wdzięczna tym razem losowi, że nie słyszy własnego głosu. Miała już dość powtarzania w kółko tych słów. Wsunęła papiery do teczki i opuściła biuro. Musiała się przejść, pobyc przez chwilę sama. Odzyskać równowagę.

Włożywszy płaszcz przeciwdeszczowy, zbiegła po schodach i wyszła z budynku. Chłodne wilgotne powietrze owionęło jej twarz. Krople wody bębniły w gruby ortalionowy kaptur. Przywodziły jej na myśl dźwięki muzyki.

Zwróciła twarz ku niebu. Zimne krople deszczu zmoczyły jej policzki, nos i zaciśnięte powieki. Podziały na nią orzeźwiająco. Poczuła znowu przypływ niezwykłej energii. Poczuła, że żyje. Dopóki żyła, istniała nadzieja. I wszystko było możliwe.

Ściskając w dłoni aktówkę, zaczęła schodzić ze wzgórza w kierunku przystanku autobusowego. Stawiała ostrożnie stopy

na mokrym chodniku. Mijały ją pędzące w strugach deszczu autobusy, samochody i taksówki. Czuła pod nogami wywoływane przez pojazdy wibracje. W jej bujnej wyobraźni pobrzmiwało echo klaksonów i syren, wspomnienie odległych czasów, gdy słyszała jeszcze odgłosy codziennego życia, zanim zapadła na zapalenie opon mózgowych.

Omam nie wdepnąwszy w kałużę, w ostatniej chwili uskoczyła w stronę krawężnika.

Od tego momentu wszystko rozegrało się błyskawicznie. Kurier rozwożący rowerem przesyłki najechał na nią od tyłu i zepchnął na jezdnię. Poślizgnąwszy się na mokrej nawierzchni, straciła równowagę. Aktówka wypadła jej z ręki i poszybowała w powietrzu. Uderzywszy o chodnik, otworzyła się. Rozsypane papiery przyłgnęły do mokrego asfaltu.

Tessa poczuła swąd spalonej gumy. Zamarła z przerażenia. Serce waliło jej jak młotem. Odwróciwszy głowę, zobaczyła pędzący ku niej autobus. Krzyk uwiązał jej w gardle. Zdołała tylko jęknąć.

Nie miała nawet czasu, żeby się pomodlić.

Tessa unosiła się łagodnie na falach ciepłej wody, owinięta kilkoma warstwami gładkiego czarnego aksamitu. Wokół panowała kojąca ciemność. Była coraz bliżej brzegu i wiedziała, że może go już dosięgnąć ręką, ale czuła się taka zmęczona...

- Tesso, obudź się, kochanie. Mam dużo zajęć! - rozległ się w ciemnościach szorstki kobiecy głos.

Wracała niechętnie do przytomności, lecz nie mogła jakoś unieść powiek.

- Chyba się ocknęła- powiedział ktoś tubalnym męskim głosem.

- Naprawdę? - To była znowu kobieta. - Tesso? Słyszysz mnie?

Słyszała! Usiadła raptownie, rozglądając się zapamiętale.

Niczego jednak nie zobaczyła. Niczego - i nikogo - z wyjątkiem bezkresnej przestrzeni rozgwieżdżonego nieba. Drobne, jaskrawe światełka lśniły i migotały jak Mleczna Droga.

Ogarnęła ją panika. Serce tłukło jej się w piersi, zamieniając każdy oddech w strumień ognia.

Spokojnie, Tesso. Weź się w garść.

Odchyliwszy się ostrożnie do tyłu, stwierdziła, że siedzi w miękkim klubowym fotelu. Odetchnęła głęboko, rozprostowując palce zaciśnięte kurczowo na jego poręczach. Zwyczajny fotel. Cóż w tym dziwnego?

Zupełnie nic, pomyślała.

Nagle zauważyła, że jej nogi dyndają w powietrzu.

Struchlała z wrażenia. Nie miała pod sobą podłogi, a wokół żadnych ścian. Siedziała w czarnym fotelu w mrocznej przestrzeni, otoczona tysiącami gwiazd. Zupełnie sama.

To musiał być sen. Śniło jej się, że siedzi w fotelu gdzieś w przestworzach, że słyszy, że...

- Tesso?

Znów dobiegał do niej z otchłani ten sam zachrypnięty, szorstki głos. Gdyby jej się przyśnił, z pewnością brzmiałby inaczej.

- Słucham? - powiedziała, bo nie przyszło jej do głowy nic lepszego.

- Jestem Carol, twoja przewodniczka. Czy masz jakieś pytania, zanim zaczniemy?

Tessa zamierzała zapytać, co mają zacząć, ale interesowała ją bardziej inna kwestia.

- Gdzie ja jestem?

Dopiero po dłuższej chwili usłyszała:

- Niczego nie pamiętasz?

- Co masz na myśli?

- Autobus.

Tessa wstrzymała oddech. Przypomniała sobie mokrą od deszczu ulicę w Seattle, swąd spalonej gumy, przerażoną twarz kierowcy za brudną szybą autobusu. Dźwięki, których nie mogła przecież słyszeć, atakowały z siłą huraganu bębniaki jej uszu: pisk hamulców, ryk klaksonu i stłumiony, przejmujący krzyk.

Potrącił ją autobus. Rozejrzała się. Może to jednak nie był sen. Może znalazła się... na drugim brzegu.

- Czy ja nie żyję?

- Właśnie - usłyszała pełne ulgi westchnienie.

- O Boże... - Tessa zadrżała i skuliła się.

- Skoro już to ustaliłyśmy, nie traćmy czasu - stwierdziła rzeczowo Carol. - Jesteśmy w teatrze powtórnych szans. Twoje życie na Ziemi... to pierwsze, było całkiem...

- Znośne - wtrąciła Tessa.

- Otóż to. Ale to nie wystarczy. Bóg, w swej nieskończonej mądrości, chce, aby każdy zaznał szczęśliwego życia, zanim trafi w zaświaty. A więc, kochanie, otrzymujesz drugą szansę.

- Nie rozumiem.

- To proste. Twoje pierwsze życie było dość przeciętne. Teraz wybierzesz sobie inne. Prześledziłam uważnie twój życiorys i chyba wiem, czego ci brakowało. Nie miałaś szczęśliwego dzieciństwa. Potrzebujesz odpowiedniego partnera i własnej rodziny. Znalazłam kilkunastu kandydatów. Każdemu z nich przydałaby się taka kobieta jak ty. Musisz tylko przycisnąć guzik, gdy któryś przypadnie ci do gustu.

Tessa uśmiechnęła się z przekąsem.

- To coś w rodzaju „Randki w ciemno” dla umarłych? Co będzie potem? Gra w kręgle o niebiańskie dolary?

- Niezły pomysł! Ale teraz już nic nie mów. Zaczyna się pokaz. Wciśnij guzik, kiedy uznasz za stosowne. Ja zajmę się resztą.

Na czarnej poręczy fotela pojawił się czerwony przycisk.

- To sen, prawda? - dopytywała się Tessa. - Operują mnie pod narkozą?

- Cii... Patrz uważnie.

Rozsypane na niebie gwiazdy skupiły się powoli w jednym miejscu, tworząc potężny prostokątny ekran, zawieszony w czarnej otchłani.

Tessa pochyliła się naprzód. Choć wiedziała, że to tylko sen, czuła ogromne napięcie. Zaciśnęła nerwowo palce na poręczach fotela.

Na środku ekranu pojawił się kolorowy punkt. Początkowo był wielkości monety. Nagle jednak przekształcił się w barwny obraz mężczyzny w szarym garniturze, zatrzymującego na ulicy taksówkę.

Był młody, atrakcyjny i niewątpliwie dobrze sytuowany.

Tessa usiadła wygodniej w fotelu. Przesunęła rękę w kierunku czerwonego guzika, ale go nie wcisnęła. Obdarzyła nieznajomego krytycznym spojrzeniem kobiety, która w ocenie rzeczywistości przywykła polegać na swoim wzroku.

Mężczyzna ścisnął w dłoni skórzaną aktówkę, jakby ukrywał w niej schemat bomby atomowej. Albo raczej projekt letniej rezydencji w Hamptons. Włosy miał starannie zaczesane, może nawet posmarowane brylantyną. Brak zmarszczek wokół oczu wskazywał, że nie lubi się śmiać. Wizerunku wyrachowanego konserwatysty nie maścił też żaden kolczyk w uchu. Nosił przepisowy krawat w niebieskie prążki i białą koszulę.

Tessa zdjęła palec z przycisku.

Teraz na ekranie ukazał się krajobraz zaśnieżonych gór. Mężczyzna w wypłowiałych džinsach i wytartej kurtce wrzucał siano do długiego drewnianego koryta. Z ust buchała mu para. Za nim widać było wiejski dom o bielonych ścianach, który musiał mieć ze sto lat.

Tessa nie zainteresowała się farmerem. Niech ktoś inny prowadzi jego gospodarstwo.

Kolejny mężczyzna grał w siatkówkę na plaży. Był muskularny i wspaniale opalony. Jasne włosy kleiły mu się do spoconej twarzy, gdy wykonywał zwycięski serw. Kilka stojących z boku kobiet nagrodziło go głośnymi owacjami, a on uśmiechnął się do nich zalotnie.

Tessa skrzywiła się. Co za dupek!

Playboya zastąpił po chwili rycerz w lśniącej zbroi. Najdosłowniej. Poruszał się sztywno po kamiennej posadzce, brzęcząc stalowym pancerzem i bełkocząc niezrozumiałe dla Tessy słowa. Przypominało jej to do złudzenia przedstawienie *Makbeta*, które oglądała kiedyś w teatrze dla głuchych w Bostonie.

Nie zbliżyła nawet palca do przycisku. Egocentryczni aktorzy nie byli w jej typie. Nie miała ochoty być wiatrem, który pozwala im szybować w przestworzach.

Obrazy kolejnych mężczyzn zaczynały jej się mieszać, tworząc hipnotyczną, barwną wizję pytań i możliwości. Tessa trzymała nadal palec nad czerwonym przyciskiem, mając rzekomo wybrać sobie nowe życie. Nie wierzyła w to, oczywiście, ale nie mogła się jakoś zdobyć, by wcisnąć guzik - nawet dla zabawy. Nie przypadł jej do gustu żaden z kandydatów. Właśnie widziała mężczyznę w skafandrze astronauty.

Gdy astronauta zniknął, ekran pociemniał i Tessa zobaczyła człowieka stojącego samotnie w cieniu. Był przygarbiony i zaciskał kurczowo dłonie na poręczy starej drewnianej kołyski, w której leżało owinięte w wełniane koce niemowlę. Oddychał ciężko. W uszach Tessy brzmiało to jak upragniona muzyka, ale jego niema rozpacz chwytła ją za gardło.

Gdy wyszedł z cienia, ujrzała przystojnego niegdyś mężczyznę o zmęczonej twarzy i zmierzwionych kruczoczarnych włosach. Przyglądał się dziecku. Uniósłszy zaciśniętą na kołysce dłoń tak powoli, jakby wiązało się to z wielkim ryzykiem, zamierzał pogłaskać niemowlę po policzku. Drżąca ręka zawisła mu jednak w powietrzu. Cofnął ją, mając w oczach łzy.

Boże, jak on kocha to dziecko, pomyślała Tessa.

Nagle nieznajomy zniknął.

Tessa wdusiła z całej siły przycisk.

- Wybierasz jego? - Głos Carol brzmiał łagodnie i zdawał się dochodzić z bliskiej odległości.

Tessa pokiwała powoli głową, zaszokowana i zdumiona intensywnością swoich uczuć. Spędziwszy samotnie niemal całe życie, skazana jedynie na obserwowanie zewnętrznego świata, niewiele wiedziała o burzy zmysłów i przejmującym bólu serca. A jednak, spojrzawszy w oczy tego człowieka, dostrzegła w nich prawdziwe cierpienie i coś więcej. Mroczną namiętność, która pozbawiała ją naturalnego optymizmu i budziła przerażenie.

Jego bezradne spojrzenie wyrażało potworną udrękę. Czuła się tak, jakby ktoś wbijał jej sztylet w serce. Nauczyła się już dawno czytać w ludzkich oczach i rozumieć innych bez słów, ale nigdy nie widziała tak umęczonej duszy.

- Na jego widok poczułam... dziwny ból - wymamrotała.

- Rozumiem, kochanie. Zawsze miałaś zadatki na samarytan-kę. Życzę szczęścia. Z tym człowiekiem będzie ci potrzebne.

Tessa ujrzała smugę różowego światła i poczuła zapach dymu, po czym wszystko zniknęło. Znowu została sama.

- I co teraz? - powiedziała do siebie, zagłębiając się w fotelu.

Tyle że fotela już nie było. Ani fotela, ani podłogi, ani ścian. Istniał tylko ogromny czarny firmament, obsypany gwiazdami tak jasnymi, że raziły oczy.

Tessa minęła księżyc i poszybowała w otchłań.

ROZDZIAŁ 2

Czułaból. Przejmujący, nieopisany ból.

Leżała w bezruchu. Próbując oddychać, stwierdziła, że nawet to powoduje cierpienie. Całe ciało miała obolałe. Nawet piersi.

Co się jej przydarzyło?

Potrącił ją autobus.

To wspomnienie było jak cios w żołądek. Wciągnąwszy gwałtownie powietrze, poczuła ogień w płucach. Nic dziwnego, że wszystko ją bolało. Miała szczęście, że żyje.

A może...

Czyżbym umarła?

Zadawała już to pytanie. Przypomniała sobie bezkresne rozgwieżdżone niebo i schrypnięty głos Carol. Taaak...

Miała rację. To był tylko sen. Albo halucynacje, wywołane lekami przeciwbólowymi. A może przeżyła doświadczenie z pogranicza śmierci.

Poruszyła się odrobinę i natychmiast tego pożałowała. Dotkliwy ból przeszył jej trzewia, wywołując tak silne mdłości, że omal nie zwymiotowała. Natychmiast przestała myśleć o życiu po śmierci.

Naprawdę czuła się jak potrącona przez autobus.

To musiał być sen. Nie dawano jej żadnej ponownej szansy. Nie będzie miała rodziny ani nie odzyska słuchu. Nikt nie stał przy kołysce z rękami wyciągniętymi do niemowlęcia.

Ku swemu zaskoczeniu, poczuła nagle głęboki żal. W istocie pragnęła tego drugiego życia. Pragnęła miłości. Teraz nikt jej nawet nie będzie opłakiwał.

Gorzko rozczarowana, zamknęła oczy i pogrzyżyła się w mroku zapomnienia.

Śniło jej się, że słyszy.

- ...straciła dużo krwi... nie wiem... nie jest dobrze...

Próbowała odzyskać przytomność. Nadal czuła w trzewiach tępy ból, ale był już teraz do zniesienia. Podziękowała Bogu za łaskę znieczulenia i otworzyła oczy.

Leżała na wielkim łóżku i widziała nad sobą... podłogę. Zastygła w bezruchu, chcąc zmusić zmęczone oczy i mózg do właściwego funkcjonowania. Zamrugawszy, spojrzała ponownie.

Nie była to podłoga, lecz sufit zrobiony z dębowych desek.

- Nie żyje? Nie wiem... być może.

Tessa oniemiała z wrażenia. Słyszała, co mówią! Usiłowała podźwignąć się na łokciach, ale spowodowało to nieopisany ból. Dyszała z wysiłku, drżąc na całym ciele. Dudniło jej w głowie. Skoncentrowała wzrok na nieruchomym czarnym kształcie.

Stopniowo przeobraził się on w cień postaci, a potem w sylwetkę starca. Na jego łysiejącej głowie widniały rzadkie siwe włosy. Haczykowany nos dawał niepewne oparcie drucianym okularom. Nieznajomy wpatrywał się w nią zaczerwienionymi oczami.

- Pani Rafferty? Dobrze się pani czuje?

Tessa rozejrzała się, by sprawdzić, do kogo on mówi.

Starzec przysunął bliżej stołek, szurając nim po podłodze. Położył jej na ramieniu kościstą, żyłastą dłoń i delikatnie je uściśnął.

- Witamy w domu.

To nie był sen. Naprawdę go słyszała!

Usiłowała się odezwać, ale miała tak obolałe gardło, jakby krzyczała przez wiele godzin. Poruszyła więc tylko wargami, chcąc zapytać: Co się ze mną dzieje?

Starzec spojrział przez ramię w kierunku stojących w kącie ludzi.

- Chyba próbuje coś powiedzieć... - Pochylił się niżej i spojrzął jej w oczy. - Jestem doktor Hayes. Poznaje mnie pani?

Tessa pokręciła głową.

Doktor zmarszczył czoło i wstał.

Mimo bólu Tessa słuchała z zachwytem odgłosu jego ociężałych kroków. Po tylu latach głuchoj ciszy zwykłe szuranie butów o posadzkę brzmiało w jej uszach jak muzyka.

Doktor zniknął w mrocznym kącie przy drzwiach.

- Nic nie rozumiem, Jack. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Byłem pewien, że nie żyje. To niezwykła historia. Przez jakiś czas może zachowywać się... dziwnie. Trudno cokolwiek powiedzieć. Chyba straciła pamięć.

- Co możemy dla niej zrobić? - rozległ się drugi męski głos, łagodny i głęboki. Jego aksamitne brzmienie przyprawiło Tessę o dreszcz.

- Nie mam pojęcia - odparł lekarz. - Ale gdyby gorączkowała albo gdyby jej stan się pogorszył, poślijcie po mnie.

Cienie poruszyły się, drzwi zaskrzypiały i zatrzasnęły się za wychodzącymi. Tessa została sama.

Była oszołomiona i dezorientowana. Rozejrzała się zmęczonym wzrokiem po szpitalnej sali. W panującym półmroku niewiele mogła zobaczyć, ale miejsce to było jakieś dziwne. Ogarnął ją niepokój. Przebywała w tylu szpitalach, że potrafiła

rozpoznać ich atmosferę nawet po ciemku. Gdzie się podział znajomy zapach środków antyseptycznych i charakterystyczne światło jarzeniówki? A w domach lekarze nie odwiedzali już pacjentów od pewnego czasu.

Upływały powoli minuty, nieodmierzone wskazówkami żadnego zegara. Tessa wpatrywała się w dziwaczny sufit, czując ciepło lampy, palącej się obok łóżka. Jej powonienie drażnił zapach płonącego knota.

Jakie to wszystko jest cholernie dziwne, pomyślała.

Zanim zdążyła się jednak nad tym zastanowić, znowu usnęła.

Próbowała otworzyć oczy, ale uniemożliwiało jej to bolesne pulsowanie w skroniach. Poruszyła się niespokojnie.

Nagle poczuła na czole chłodny dotyk. Był niewiarygodnie kojący. Z jej spierzchniętych warg dobyło się ciche westchnienie ulgi.

Po chwili zdołała otworzyć oczy. Pierwszą rzeczą, którą ujrzała, był znów dziwny sufit.

- Niech to diabli! - wymamrotała. Była pewna, że gdy się ocknie, zobaczy znajome białe kafelki i podłużne jarzeniówki.

Chłodna, wilgotna szmatka zniknęła z jej czoła. Miała teraz przed sobą zamazany obraz czyjejs twarzy. Zamrugała, by odzyskać ostrość widzenia. W końcu zobaczyła wyraźnie mężczyznę. Nie rozpoznała go, choć wyglądał znajomo.

Odgarnął z czoła zbyt długi kosmyk czarnych włosów i pochylił się nad nią. Widziała pytające spojrzenie jego zmęczonych przekrwionych oczu. Ciemny zarost uwydatniał zapadłe policzki i wyrazisty podbródek. Tessa uniosła brwi, usiłując sobie przypomnieć, skąd zna tę twarz.

Nagle doznała olśnienia. Podobnie wyglądał młody Sam Elliot... gdy miał bardzo zły dzień.

Tylko dlaczego ten mężczyzna wydawał się tak skrajnie

wyczerpany, jakby czuwał przy jej łóżku od wielu godzin? Nikt nie troszczył się o nią aż do tego stopnia.

To pewnie jakiś praktykant, uświadomiła sobie nagle. Młody lekarz, któremu kazano się nią opiekować. Widziała już kiedyś taką wychudłą, nieogoloną twarz - u adepta chirurgii po trzydniowym dyżurze.

- Amarylis?

- Nie, dziękuję, nie piję. - Zaledwie wymówiła te słowa, zorientowała się, że coś jest nie w porządku z jej głosem. Miała... południowy akcent!

- Słucham?

Dudniło jej w głowie. Zacisnęła palce na skroniach.

- Nie chcę żadnego likieru. Poproszę o końską dawkę paracetamolu i moją kartę.

- Kartę?

Tessa z trudem opanowała zniecierpliwienie.

- Niech pan powie lekarzowi, który się mną zajmuje, że odzyskałam przytomność i chciałabym wiedzieć, w jakim jestem stanie. Dobrze?

- Ni...nie ma go tutaj.

Tessa uniosła wymownie brew.

- Gra w golfa?

- Słucham?

Zacisnęła wyschnięte wargi i nie odezwała się ani słowem. Tak było najlepiej.

Mężczyzna uśmiechnął się niepewnie.

- Chcesz zobaczyć dziecko?

Tessa oniemiała. Musiała się przesyłścić.

Zamierzała mu powiedzieć, że powinien się trochę przespać, gdy nagle zaświtała jej niepokojąca myśl. A jeśli wcale nie śniła? Jeśli Carol...

Przygryzła nerwowo dolną wargę i spojrzała na nieznanego.

SZANSA

- Dziecko?

- Niczego... nie pamiętasz?

- Nie - odparła ostrożnie, krzywiąc usta. Gdy ostatnim razem usłyszała to pytanie, musiała sobie przypomnieć, że potrafił ją autobus. Nie budziło to miłych skojarzeń.

- Wczoraj urodziłaś dziecko. Naszego syna.

Tessa dostała dreszczy, przypomniawszy sobie nagle, skąd zna tego człowieka. Nie był praktykantem, lecz mężczyzną, którego wybrała w teatrze powtórnych szans.

- O Boże! - Zakryła usta ręką.

To działo się naprawdę!

Miała wypadek. Zginęła w Seattle i ożyła w ciele kobiety, która zmarła przy porodzie. Kotłowały jej się w głowie setki pytań, wątpliwości, nadziei i obaw. Co powinna robić w takiej chwili? Śmiać się, płakać, krzyczeć?

Tylko spokojnie, Tesso. Nie wszystko naraz.

Zaczerpnęła powietrza i uśmiechnęła się blado.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby zebrać myśli. Może dałbyś mi tę aspirynę? - Widząc jego zdumione spojrzenie, dodała: - Albo paracetamol. Cokolwiek masz. I szklankę zimnej wody.

- Para... co?

- Tylenol.

Pokręcił głową.

- Nie rozumiem, Amarylis, o co mnie prosisz.

Tessa chciała wezwać pielęgniarkę, ale wyciągnąwszy rękę, nie znalazła żadnego przycisku. Nie dostrzegła też metalowej poręczy ani tacy na posiłki. Leżała na staromodnym drewnianym łożu.

Czyżby ta kobieta rodziła w domu?

Przeszedł ją dreszcz. Nic dziwnego, że biedaczka umarła.

Rozejrzała się po pokoju, szukając czegokolwiek, co by złagodziło jej migrenę. Przez okienko z grubą szybą padała na drewnianą podłogę smuga światła. Obszywane ręcznie niebieskie zasłony były wypłowiałe od słońca. Parapetu nie zdobiły

żadne kwiaty. W głębi, pod ścianą, znajdowała się dębowa szafka z umywalką i przechylnym lustrem. Na wymiętej białej serwetce stał porcelanowy dzbanek.

Tessie zrobiło się gorąco. Spojrzawszy niechętnie w bok, zmarszczyła czoło. Przy łóżku miała zamiast nocnej szafki skrzynię na owoce, a lampę zastępował niewielki szklany słoć w kształcie piramidy z wystającym u góry knotem. Obok skrzyni stał różowy porcelanowy nocnik.

Ogarnął ją paniczny strach. Przypomniawszy sobie kowboja i rycerza w lśniącej zbroi, pokręciła rozpaczliwie głową.

Nie, Carol by mi tego nie zrobiła...

- O co chodzi? - zapytał z niepokojem mężczyzna. - Czy mam wezwać doktora Hayesa?

- Gdzie ja jestem?

- W domu... Na wyspie San Juan.

Tessa poczuła ulgę. Przynajmniej była nadal w stanie Waszyngton. Mogła stąd dotrzeć do domu.

Wiedziała jednak, że nie miejsce jej pobytu stanowi problem. Wzięła głęboki oddech i zacisnęła powieki. Musiała zebrać się na odwagę, by zapytać:

- Który mamy rok?

Dopiero po chwili mężczyzna odparł cicho:

- Tysiąc osiemset siedemdziesiąty trzeci.

- Nie! - Tessa zakryła usta dłonią. - O cholera!

Rok tysiąc osiemset siedemdziesiąty trzeci.

Życie bez telewizji, telefonów, elektryczności. A to jeszcze nie wszystko. Jak miała sobie poradzić bez prysznica, depilatora, tamponów?

- Nie ma mowy! - Zacisnęła dłonie w pięści i wrzasnęła na całe gardło: - Carol!!'

ROZDZIAŁ 3

Carol? - pomyślał Jack. - Kim, u diabła, jest Carol?

Przyglądał się żonie z konsternacją, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

Była jakby... odmieniona. Jej harde, przenikliwe zwykle spojrzenie wyraźnie złagodniało. Wydawała się delikatna, przestraszona i samotna.

Nie wiadomo dlaczego, zapragnął nagle odgarnąć jej włosy / twarzy i zapewnić ją, że wszystko będzie dobrze. Uśmiechnął się cierpko. Boże, ależ by się śmiała, gdyby potrafiła czytać w jego myślach.

Nigdy nie przyjęłaby od niego współczucia. Świadomość, że jeszcze teraz, po tylu latach cierpień i upokorzeń, nadal był gotów ją kochać, przyprawiała go o mdłości.

Jego szerokie ramiona opadły bezradnie. Jacksonie Rafferty, jesteś beznadziejnym głupcem.

Nienawidziła go od chwili, gdy powiedział jej prawdę o sobie. W ułamku sekundy miłość w jej oczach przeobraziła się w zimną i mroczną otchłań. W ciągu wszystkich lat ich małżeństwa ani na chwilę nie przestała patrzeć na niego

z nienawiścią. Pogardzała nim i jego tchórzostwem z zaskakującą gorliwością. I nieustannie sprawiała mu ból.

Amarylis poślubiła Jacka wyłącznie z jednego powodu: dla poczucia bezpieczeństwa. Pochodziła z rodziny, która słynęła w całej okolicy z ubóstwa i Jackson Rafferty umożliwił jej wyjście z nędzy. Kiedy sytuacja się zmieniła, kiedy on się zmienił, poczuła się zdradzona i z biegiem lat nienawidziła go coraz bardziej. Wiedział, że nigdy nie wybaczy mu jego słabości. Pozbawił ją marzeń o dobrobycie i szacunku otoczenia, skazując na zajmowanie się zrujnowaną owczarnią i życie na pustkowiu z ludzkim wrakiem.

Wiedział to wszystko i o wiele więcej. Czemu więc dostrzegał teraz w jej oczach niewiarygodną łagodność? Amarylis nie była nigdy słaba i bojaźliwa. Miał to zakodowane w pamięci, jak wiele innych rzeczy.

Przejechał drżącą dłonią włosy. Zdawał sobie aż za dobrze sprawę, jak potrafi z nim postępować, i nie miał zamiaru dopuścić, by go znowu poniżała. Jej pogarda i nienawiść nie doprowadzą go do obłądu. Musiał walczyć o dzieci, jeśli już nie o siebie.

- Posłuchaj, nie jestem twoją żoną. Amaretto, czy jak jej tam, to nie ja.

- Hmm? - Jack uniósł raptownie głowę.

- Ona umarła. Możesz ją opłakiwać. Zaszło nieporozumienie. Nie zgodziłam się na żadną zmianę epoki. Tysiąc osiemset siedemdziesiąty trzeci! - Wzdrygnęła się na samą myśl. - Jak mam funkcjonować bez mikrofalówki i komputera? I co z moją pracą?

- Mówisz o domowych obowiązkach? - Zmarszczył czoło. - Przecież ty nic nie robisz.

- Zajmować się domem w dziewiętnastym wieku? - powiedziała z przerażeniem. - Co miałabym robić? Produkować mydło z kory i skrobać podłogi? O Boże! Carol! Zjaw się tutaj! Natychmiast! - Rozglądała się rozpaczliwie po pokoju, jakby

oczekując, że ktoś, lub coś, zareaguje na jej krzyk. Przez chwilę linie Carol wibrowało echem w powietrzu, po czym zapanowała znowu niezręczna, głucha cisza.

Knot lampy palił się z suchym trzaskiem. Jack patrzył, jak chybotliwy płomyk rzuca cienie na biało-czerwoną pościel z motywem ślubnych obrączek, oświetlając klasycznie piękną twarz jego żony. Zamknęła znużone powieki. Jej kasztanowe rzęsy wyglądały jak smugi na tle bladej skóry.

Miał wrażenie, że kładąc głowę na stercie puchowych poduszek, mruknęła „cholera”, ale musiał się przesłyszeć. Amarylis Rafferty, która nawet na tym przeklętym odludziu pozostała damą z Południa, nigdy nie klęła.

Jack zastanawiał się usilnie, co powiedzieć. Od lat już nie rozmawiali ze sobą normalnie. Żona nie chciała go w ogóle słuchać.

Postanowił zadać jej banalne, niewinne pytanie, na przykład: „Czy chce ci się pić?”, gdy w korytarzu rozległy się jakies kroki. Usłyszał szept, a potem pukanie do drzwi.

Jack zeszytniał. Odeszła mu ochota na pocieszenie żony. Przypomniał sobie natychmiast, jaka jest i jaki sprawia im wszystkim ból.

Potaął skronie, czując pulsowanie w głowie. Dzieci były całym jego życiem. Nie miał niczego więcej. Musiał je chronić przed upokarzającym gniewem matki i wybuchami jej nienawiści. Był na to tylko jeden sposób. Choćby nie wiadomo jak cierpiał, powinien udawać, że jest bezduszny i obojętny. Jeśli Amarylis zorientuje się, jak bardzo on kocha dzieci, znajdzie sposób, żeby się na nich zemścić. Krzywdząc je, zraniłaby Jacka, a to było zawsze jej głównym celem. Chciała, by nie zapominał ani przez chwilę, że ją zdradził i zrujnował i że nigdy mu tego nie wybaczy.

Pamiętał, jak po raz ostatni próbował obronić dziewczynki przed wymówkami matki. Uderzyła go z całej siły w twarz

i powiedziała, że jeśli kiedykolwiek odezwie się jeszcze choć słowem, odejdzie od niego.

Zobaczysz, co się wtedy stanie z dziećmi, ty śmierdzący tchórz. Będą tak samo stuknięte jak ty. Chcesz tego?

Na wspomnienie tamtej chwili przeszedł go dreszcz.

- Dziewczynki chcą cię zobaczyć - powiedział do żony.

Spojrzała na niego przenikliwie, unosząc lekko brwi.

- Dziewczynki?

Popatrzył jej w oczy, by sprawdzić, czy znowu z niego drwi, ale nie wyglądało na to, że symuluje zanik pamięci.

- Nasze córeczki, Savannah i Mary Katherine.

- Aaa... W porządku. - Skinęła głową, ale nadal jakby nic nie rozumiała.

- Chodźcie, dzieci! - zawołał.

Otworzyły się drzwi. Pierwsza weszła Savannah, niosąc niemowlę. Stała w nogach ogromnego łóża. Katie podążała za nią, znikając jak duch w cieniu starszej siostry. Zza łokcia Savannah widać było jedynie zarys jej kruczoczarnych włosów i fragment żółtej wstążki.

Jack przyglądał się dzieciom tępym, zmęczonym wzrokiem. Krwawiło mu serce na widok ich przestraszonych twarzy. Jak zwykle czuł mdłości na myśl o ogromie swoich win. Przez niego i Amarylis dwie słodkie, pełne życia istoty stały się milczącymi, zaleknionymi zjawami.

Ich małżeństwo było od lat nieustanną wojną. A dzieci - jej niewinne ofiary - cierpiały najbardziej.

- J...jak się czujesz, mamó? - zapytała Savannah zduszonym, zatrwożonym głosem.

Tessa usiadła na łóżku. Wyczuła, że w tym domu dzieje się coś dziwnego.

- Chodźcie bliżej, dziewczynki. Chcę się wam przyjrzeć.

Wyższa dziewczynka podeszła niepewnie do przodu. Gdy znalazła się w świetle lampy, Tessę ścisnęło coś w sercu.

Dziewczynka starała się za wszelką cenę trzymać dumnie uniesioną głowę, a jej duże niebieskie oczy były beznamiętnie wpatrzone w przestrzeń, jakby na ścianie widziała coś fascynującego. Stała całkowicie nieruchomo, jeśli nie liczyć drżenia jej spękanych, poczerwieniałych od pracy dłoni.

Za nią kryła się młodsza dziewczynka, zaciskając kurczowo drobne, różowe paluszki na sięgającej do podłogi niebieskiej bawełnianej spódnicy siostry.

Która z was ma na imię Savannah?

Starsza dziewczynka wydawała się przez chwilę zaskoczona, ale zaraz odparła:

J...ja.

A za tobą chowa się pewnie Mary Katherine?

Dziewczynka skinęła głową, potrząsając długim brunatnym warkoczem.

- Ile masz lat?

- Dwanaście. A Katie siedem.

Udzielwszy krótkiej odpowiedzi, znowu zamilkła. Tessa odnosiła nieodparte wrażenie, że w tej rodzinie jest to normalny stan rzeczy. Nagle usłyszała płacz, urywane kwilenie, przypominające odgłos nienaoliwionego silnika.

Spojrzała na zawiniątko, które Savannah trzymała w rękach.

- Czy to niemowlę?

Starsza dziewczynka skinęła głową.

Tesse ścisnęło coś za gardło. Czując strach i podniecenie, uśmiechnęła się niepewnie.

- M...mogę je zobaczyć?

Savannah, wyraźnie zaskoczona, nie ruszyła się z miejsca. Zrozumiawszy nagle straszliwą prawdę, Tessa poczuła mdłości.

- Boisz się dać jej... to znaczy mnie... to dziecko?

Savannah zbladła. Przygryzając nerwowo dolną wargę,

podeszła powoli do łóżka i położyła ostrożnie niemowlę na nabrzmałym brzuchu Tessy.

- N...nie boję się - wyjąkała. - Nigdy nie chciałaś brać na ręce Katie, więc myślałam...

- W porządku, kochanie. - Tessa wyciągnęła instynktownie dłoń, by pocieszyć przestraszoną dziewczynkę.

Sawannah zeszywniała i odsunęła się. Nim Tessa zdążyła coś powiedzieć, zawinięte w becik niemowlę zaczęło się niemłosiernie wiercić.

Odsunawszy delikatnie tkany ręcznie kocyk, zobaczyła czerwoną jak burak pomarszczoną buzię wielkości spodka i ciemne oczka, spozierające na nią zza zapuchniętych powiek.

Pogładziła niepewnie jedwabną skórę niemowlęcia. Czując jej dotyk, chłopczyk przestał płakać. Skierował wzrok w jej stronę i miała nieodparte wrażenie, że bacznie się jej przygląda. Po chwili westchnął z ulgą i wtuliwszy główkę w kocyk, znowu zasnął.

Tessa wyczuwała niemal namacalnie, że ją akceptuje i darzy zaufaniem. Po raz pierwszy w życiu pojęła znaczenie słowa „olśnienie”. Serce zamarło jej w piersi, a do oczu napłynęły łzy.

Podniosła wzrok, oczekując, że ujrzy zafascynowane twarze otaczających ją ludzi. A tymczasem wszyscy przyglądali się jej z niepokojem i podejrziwością.

Sawannah natychmiast wyciągnęła ręce po dziecko.

- Daj mi go, mamoo...

Katie, wysuwająca tylko głowę zza łokcia siostry, znowu się za nią ukryła.

Tessa zmarszczyła czoło. Co się działo z tą rodziną? Zachowywali się tak, jakby oczekiwali, że rzuci niemowlęciem przez pokój. Sawannah i Jack byli czujni, patrząc na nią jak na granat z wyciągniętą zawleczką. A biedna Katie stosowała się do pierwszej zasady, obowiązującej na polu walki: „Trzymaj nisko głowę i nie wychodź z okopów”.

Tessa nie rozumiała, skąd w nich tyle obaw. Znowu czuła

potrzebę przyścia im z pomocą, ulżenia w cierpieniu. Tak jak wtedy, gdy zobaczyła Jacka pochylonego nad kołyską...

Chciała powiedzieć coś miłego, coś, co by rozchmurzyło twarze tych ludzi, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Próbowała pogłaskać Savannah, ale dziewczynka cofnęła się i ręka Tessy, ze wskazującym palcem, wyciągniętym w kierunku drzwi zawisła w powietrzu.

Widząc ten gest, Savannah zbladła jak ściana i zanim Tessa zdołała cokolwiek powiedzieć, wybiegła z pokoju. Katie pomknęła za nią. Drzwi zatrasnęły się za nimi z hałasem.

Jack zerwał się na równe nogi.

- Niech cię dable, Amarylis! Co ci szkodzi z nimi porozmawiać? Martwiły się o ciebie, na litość boską!

- Myślałam...

- Ha! - Pochylił się nad nią. Tessie dźwięczał w uszach głuchy stukot jego obcasów o drewnianą podłogę. - Dobrze wiesz, do cholery, że krzywdzisz tę dziewczynę!

- Chciałam tylko...

Wybuchnął szyderczym, gorzkim śmiechem, w którym nie było ani krzty wesołości.

- Wiem, czego chcesz, do diabła! Wszyscy to wiedzą. - Spojrzał na nią znów zimnym wzrokiem spod przymrużonych powiek, po czym odwrócił się od łóżka, jakby miał dość jej widoku. Przemierzył trzema krokami niewielką izbę, otworzył raptownie drzwi i zatrasnął je za sobą.

Tessa patrzyła za nim, zupełnie bezsensownie poczuwając się do nie swoich win.

Amarylis nie była chyba zbyt dobrą matką.

Jack trzasnął drzwiami tak mocno, że aż zatrzęsała się powała. Dziewczynki podskoczyły jak przerażone króliki i spojrzęły na ojca. Katie schowała się za spódnicą siostry.

Jack miał ochotę zostawić dzieci, uciec z tego przeklętego domu i biec przed siebie aż do utraty tchu.

- Czy mama nie jest chora? - zapytała Savannah.

Jack spojrział na starszą córkę i poczuł tak silny przypływ emocji, że omal głośno nie zaklął. Patrzyła na niego z rozdzierającą serce nadzieją, miłością i rozpaczą.

Jak to możliwe? - pomyślał z gniewem. - Jak może go jeszcze kochać po tym wszystkim, co uczynił... i czego nie uczynił?

Zaprzagnął nagle paść na kolana i wziąć dziewczynki w ramiona.

Ale, oczywiście, nie ruszył się z miejsca. Ręce miał opuszczone, a jego harde spojrzenie ani trochę nie złagodniało. Zachowując dystans, czuł się bezpieczniej. Gdyby uległ słabości - choćby tylko na krótką chwilę, by powiedzieć „kocham was” - zło czające się w jego duszy wymknęłoby się spod kontroli i zabrało mu dzieci.

Jakże bardzo jednak pragnął je do siebie przytulić.

Czując ściskanie w gardle, modlił się w duchu, by potrafił zachować kamienną twarz.

- Mamie nic nie jest - powiedział. - Doktor Hayes mówi, że przez jakiś czas będzie się dziwnie zachowywać. Może nawet zapominać różne rzeczy. Musimy jej pomóc.

Katie wychyliła głowę zza spódnicy Savannah.

- Kaleb to ładne imię.

- Kaleb, powiadasz?

- Mamie się nie spodoba - stwierdziła beznamytnie Savannah.

Ponieważ myje wymyśliliśmy, dodał w duchu Jack. Wiedział, że mała ma rację. Wszyscy troje zdawali sobie z tego sprawę. Amarylis sprawiało przyjemność odbieranie im radości. Jack miał świadomość, że powinien się w tym momencie odwrócić i odejść bez słowa, ale nie potrafił. Zanim zdążył się zastanowić, powiedział:

- Może spróbujemy teraz, póki jest trochę... oszołomiona.

Widząc promienny uśmiech Savannah, poczuł nowy wpływ rozpacz. Dziewczynki tak łatwo było uszczęśliwić. Tak niewiele potrzebowały. A on nawet tego nie potrafił im dać.

Carol! — syknęła Tessa, gdy tylko zamknęły się drzwi. —
Przyjdź tutaj! Natychmiast!!

Usiadłszy wygodniej na łóżku, powtórzyła raz jeszcze:

- Carol!

Nie było żadnej odpowiedzi.

Tessa westchnęła ciężko. Nie liczyła właściwie, że Carol się zjawi. Najwyraźniej duchy ukazują się tylko w chwili śmierci. Nowe życie to nie ich działka.

Co miała teraz począć? Być żoną pioniera? Na myśl o tym przeszedł ją dreszcz. Nie cierpiała oglądać tych kobiet nawet w filmach. Były zawsze niechlujne i przepracowane.

Spojrzała na niemowlę skulone u jej boku i poczuła falę sprzecznych uczuć: strachu, nadziei, czułości... Ale przede wszystkim przejmował ją lęk.

Nie miała pojęcia, jak być matką czy żoną. Nigdy nie miała własnej rodziny. Nie była nawet zakochana, a tutaj przyszło jej ratować rozbite małżeństwo i opiekować się trójką dzieci, w tym nowo narodzonym niemowlęciem. Nie potrafiła gotować, sprzątać ani szyć, nie miała też zdolności pedagogicznych.

Powinna była wybrać rycerza w lśniącej zbroi. Przynajmniej mogłaby go zdystansować.

- Wspaniale, Carol - powiedziała zgryźliwie. - Będę tu idealnie pasować.

Zaledwie wymówiła te słowa, otworzyły się drzwi i po kilku sekundach w pokoju zjawiła się znowu cała jej rodzina, jak oddział milczących pokonanych żołnierzy. Jack, dumny i wyniosły, szedł na czele, trzymając się ostentacyjnie z dala od

dziewczynek, a jednak na tyle blisko, że Tessa zastanawiała się, czemu nie idzie obok nich. Rozwichrzone włosy opadały mu na ramiona, a jego zielone oczy przesywały ją świdrującym spojrzeniem spod gęstych czarnych brwi.

Sawannah zbliżyła się do niej niepewnie, zaciskając dłonie na brzuchu. Ze swymi długimi kasztanowymi warkoczami i dużymi niebieskimi oczami wyglądała jak Dorota stojąca przed czarnoksiężnikiem.

Tessa odchyliła się na bok, próbując dostrzec Katie. Ale mała w tym samym momencie przesunęła się w drugą stronę i znów widać było tylko jej żółtą wstążkę i zarys czarnych włosów.

Dziwna rodzina, pomyślała po raz kolejny.

- Mamo? - odezwała się cicho Savannah.

Tessa, uświadomiwszy sobie dopiero po chwili, że jest teraz ich matką, odparła ostrożnie:

- Słucham?

- My... Chcielibyśmy dać mu na imię Kaleb.

Tessa spojrzała na niemowlę, które trzymała w ramionach. To imię do niego pasowało. Oczywiście, decyzja nie należała do niej i nie ośmieliłaby się zgłaszać sprzeciwu, ale, o dziwo, ich wybór bardzo jej odpowiadał. Skinęła głową z lekkim uśmiechem.

- Znakomity pomysł.

- Naprawdę? - Katie wychyliła głowę zza spódnicy siostry.

Tessa uśmiechnęła się do niej łagodnie.

- To ty wymyśliłaś, żeby tak go nazwać?

Katie poczerwieniała jak burak i znów się schowała.

- A kto zmieniał mu pieluszki? - zapytała Tessa.

Sawannah przygryzła dolną wargę.

- J...ja. Ale jeśli chcesz, mogę to zrobić jesz...

- Świetnie się spisałaś. Dziękuję.

Blade policzki starszej dziewczynki oblały się rumieńcem.

Muszę już iść - oznajmiła i odwróciwszy się na pięcie, wybiegła z pokoju. Siostra pospieszyła za nią.

Jack przyglądał się Tessie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie potrafiła powiedzieć, czy jest zadowolony, czy zły. Czaswłókł się w nieskończoność. Zaległo niezręczne milczenie. Chciała coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej na myśl. Incydent z ręką wyciągniętą w kierunku drzwi dowodził, że musiała postępować z tą rodziną tak, jakby stąpała po zaminiowanym polu. Jeden nierozważny krok mógł spowodować katastrofę.

Tessę dręczyła szczególnie cisza. Towarzyszyła jej przez długie lata. Nie chciała więcej tak żyć.

- Jack, ja...

- Nie przejmuj się. Już wychodzę. - Odwrócił się na pięcie i skierował do drzwi. Zatrzasnął je za sobą, zanim dokończyła:

- ...myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Patrzyła za nim przez chwilę, czując się dziwnie oszukana. Potem, westchnąwszy z rezygnacją, opadła na poduszki i zamknęła oczy. Obcy zapach starego drewna, pranej ręcznie bawełny i płonącej oliwy drażnił jej powonienie. Uśmiechnęła się, słysząc ciche odgłosy, na które większość ludzi w ogóle nie zwróciłaby uwagi: trzeszczenie krokwi, podmuchy wiatru 0 szybę, równomierny oddech Kaleba. Dla Tessy, pozbawionej słuchu od siódmego roku życia, dźwięki te brzmiały jak wspaniała symfonia. Były darem od Boga.

- W porządku, Carol - powiedziała cicho. - Pogodziłam się z tym, że tu jestem. Ale co, do cholery, mam robić?!

Nie była zaskoczona brakiem odpowiedzi. Jak zwykle mogła polegać tylko na sobie.

Pokołysała Kaleba, by zasnął, po czym odsunęła kołdrę i zaczęła wychodzić z łóżka.

Dotkliwy ból przypomniawszy jej dobitnie, że niedawno urodziła

dziecko. Powlokła się w kierunku kołyski i ostrożnie włożyła do niej śpiące niemowlę.

Wyprostowawszy się, przytknęła rękę do obolałego boku i odwróciła głowę. Miała przed sobą lustro. Podeszła do niego powoli, czując się jak Alicja w krainie czarów.

To, co ujrzała, zaparło jej dech w piersiach. Z lustra spoglądały na nią pytająco duże, ciemne oczy kobiety o urodzie Grace Kelly, której twarz okalały jasne, jedwabiste włosy.

Pokręciła ze zdumieniem głową, zafascynowana grą światła w swych złocistych lokach.

- No, no! Kiedy Bóg daje człowiekowi drugą szansę, traktuje sprawę serio - stwierdziła ze śpiewnym południowym akcentem w głosie.

Pokuśtykawszy z powrotem do łóżka, przykryła się ciężką kołdrą. Po raz pierwszy w życiu kładła się spać z przekonaniem, że jest piękna.

ROZDZIAŁ 4

Obudził ją głośny łoskot.

Oszołomiona i zdezorientowana, dźwignęła się na łokciach, próbując wstać. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, gdzie jest. I w jakiej epoce. Rzuciła okiem na kołyskę. Kaleb spał spokojnie.

Odetchnąwszy z ulgą, zamglonym wzrokiem rozejrzała się po pokoju. Nic złego się chyba nie stało - choć nie mogła być tego pewna. Przez okno wpadało do pogrążonej w ciszy i mroku sypialni blade światło księżyca.

Odsunęła kołdrę i usiadła na łóżku. Znowu poczuła przezywający ból w kroczu. Potrzebowała całej siły woli, by nie opaść z powrotem na poduszki jak śnięta ryba. Zaciśnęła powieki, starając się oddychać równomiernie, dopóki ból nie *zelał*. Dopiero wtedy opuściła nogi na podłogę. Chłodne powietrze sprawiło, że dostała gęziej skórki. Drżąc z zimna pokuśtykała w kierunku drzwi.

- Johnny! Nie!

Głośny krzyk rozbrzmiał echem w pokoju. Tessa znieruchomiała, nasłuchując, czy się nie powtórzy, ale w domu znów zaległa cisza.

Okrywszy się ciepłym flanelowym szlafrokiem, zawieszonym na poręczy łóżka, otworzyła drzwi i wyszła powoli z sypialni. Przystanęła na końcu korytarza, aby zaczerpnąć tchu. Trzymając się za obolały brzuch, zajrzała ostrożnie do salonu.

Panujący tam mrok rozpraszał jedynie pomarańczowy blask dogasającego ognia. Czerwono-żółte światło rzucało na podłogę migotliwe cienie. Z ciemności wyłaniały się tylko mgliste kontury mebli.

Tessa uniosła brwi i weszła do salonu.

Jack pojawił się przed nią jak duch. Cofnęła się przerażona i uderzyła plecami o ścianę. Jack jednym krokiem pokonał dzielący ich dystans. Czuła, jak przeszywają wzrokiem, choć nie widziała jego oczu.

- Co tu robisz, do diabła?! - Mówił cicho, ale zabrzmiało to groźniej niż najgłośniejszy krzyk. - Znasz zasady.

Tessa chciała się od niego odsunąć, ale ściana zagradzała jej drogę.

- Usłyszałam jakiś hałas - wyjąkała.

- Odejdź stąd. - Odwrócił się od niej i zaczął chodzić po pokoju. Jego ruchy były sztywne i przesadnie opanowane, jak u człowieka, który pragnie uciec, ale zmusza się do pozostania na miejscu. Po chwili zakrył sobie uszy rękami, jakby dokuczał mu potworny zgiełk.

- Jack, ja...

Odwrócił się ponownie, chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Gwałtowne szarpnięcie sprawiło jej ból.

- Nie rób mi tego, Amarylis - powiedział drżącym głosem. - Nie mam dość sił, żeby brać udział w twojej grze.

Patrzyła na niego, ciężko dysząc. Odnosiła wrażenie, że ma ochotę ją udusić. Nagle rozluźnił uścisk, jakby dopiero zdał sobie sprawę, co robi.

Jej bosa stopy dotknęły zimnej posadzki.

SZANSA

- Pamiętaj o zasadach. Bez względu na to, co usłyszysz, tte wolno ci tu przychodzić po zmroku. Pod żadnym pozorem.

Tessa oparła się o ścianę, z trudem łapiąc oddech. Zacisnęła powieki. Rytmicznemu biciu jej serca wtórował głuchy odgłos stukających o podłogę obcasów Jacka. Słyszała jego nieregularny oddech i syk dogasającego ognia. Próbowała skoncentrować się na dźwiękach, za którymi tęskniła przez całe życie, ale jakoś nie sprawiały jej radości. Czuła się w tym miejscu samotna i przerażająco wyobcowana.

Pomyślała o obietnicy Carol i nagle ogarnął ją smutek i rozgoryczenie. Została oszukana. Jack Rafferty nie był wcale niezwykłym człowiekiem.

Próbowała być silna, nie przejmować się, ale nie potrafiła ukryć rozczarowania. Z jakiegoś absurdalnego powodu miała ochotę wybuchnąć płaczem.

Zacisnęła zęby, nie nawykła do użalania się nad sobą. Nie zamierzała się poddać. Nigdy nie dawała za wygraną i teraz nie będzie inaczej. Poza tym nie była to wyłącznie wina Carol. Tessa wybrała takie życie. I tego mężczyznę.

- Niech cię diabli! - powiedziała do Jacka. - To jest również mój dom. Mam prawo chodzić, dokąd zechcę, o każdej porze. Teraz właśnie pójdę... - Musiała się chwilę zastanowić. - ...do łazienki.

Uniółszy dumnie głowę, ruszyła w kierunku korytarza.

- Co ty wyprawiasz? - warknął Jack.

Uniosła głowę jeszcze wyżej.

- To nie twoja sprawa, ale zamierzałam skorzystać z toalety.

- W pokoju dziewczynek?

Tessa znieruchomiała. Odwróciwszy się, poszła powoli z powrotem do salonu.

- Ale tu nie ma żadnego innego pomieszczenia.

- Zgadza się. W twojej sypialni stoi nocnik. Albo, jeśli jesteś dzisiaj odważniejsza niż zwykle, możesz wyjść...

Nie mów mi tylko, że toaleta jest...

- ...na zewnątrz.

- Na zewnątrz - powtórzyła za nim jak echo. - Oczywiście.

Trzymając się za obolały brzuch, pokuśtykała wzdłuż sofy do kuchni. Przy frontowych drzwiach wahała się przez chwilę. Na myśl o korzystaniu po ciemku z drewnianego wychodka poczuła skurcz w żołądku. Nie miała też jednak ochoty kucnąć w sypialni nad porcelanowym nocnikiem.

Spojrzała znowu w głąb salonu, próbując dostrzec w półmroku Jacka. Nadal stał przy oknie. Widziała zarys jego sylwetki na tle jasnych zasłon.

- Jeśli nie wrócę za dziesięć minut, zadzwoń po pomoc.

- Co?

Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Zimne nocne powietrze, przesycone zapachem morza, owionęło jej twarz i odkrytą szyję. Osłoniwszy gardło szlafrokiem, ruszyła ostrożnie przed siebie. Stare bielone deski zatrzęszczały pod jej stopami.

Pokuśtykała przez szeroki zadaszony ganek. Przystanąła przy schodkach, czekając, aż ból nieco ustąpi.

Rozejrzała się. Otaczały ją zewsząd mroczne cienie. Drewniane sztachety płotu wyglądały jak upiory. Na rozgwieżdżonym niebie wisiął ogromny opalizujący księżyc. Poniżej lśniły w jego blasku bezkresne wody cieśniny, przypominające arkusz srebrnej blachy. Za rzędem pograżonych w mroku zabudowań stała samotnie stara zrujnowana szopa.

Tessa chwyciła się kurczowo rozchwianej poręczy i zesła powoli po schodach. Kosztowało ją to wiele wysiłku. Przystanąwszy, otarła pot z czoła i ruszyła niepewnie przez porośniętą trawą podwórze.

Czuła skurcze w żołądku. Krzywiąc się z odrazą i starając się nie oddychać, otworzyła zamknięte na skobel drzwi wygodki. Rozwarły się ze skrzypieniem zawiasów i uderzyły o drewnianą ścianę. Cała konstrukcja zadrżała w posadach.

Tessa zajrzała do środka, ale zobaczyła tylko czarną dziurę. Weszła ostrożnie do wygodki. Uderzył ją natychmiast odrażający smród.

Zaciskając wargi, aby wstrzymać oddech, podciągnęła nocną koszulę i przysiadła na zimnych drewnianych deskach.

Nagle drzwi się zatrzasnęły i zapadła grobowa ciemność. Tessa wpadła w panikę. Widziała oczami wyobraźni, jak podkradają się do niej karaluchy, węże i rozmaite paskudztwa. Nocne odgłosy, którymi w innych okolicznościach byłaby zafascynowana, brzmiały złowrogo.

Zdała sobie nagle sprawę, że rok 1873 to nie czasy dla delikatnych panienek.

Sawannah leżała skulona pod grubym kocem, drżąc na całym ciele. Znowu, jak przed laty, miała ochotę ssać kciuk. Przytknęła do brzucha zaciśniętą w pięść dłoń. Nieomylnie odgłosy kłótni rodziców przenikały przez drzwi i wypełniały ciasny pokój jak obrzydliwy zapach.

- Savannah? Dlaczego tatuś zawsze krzyczy „Johnny”?

Starsza dziewczynka wzruszyła tylko ramionami w ciemnościach. Za bardzo ścisnęła ją w gardle, żeby mogła mówić. Zresztą Katie nie oczekiwała odpowiedzi. Przeżywały już podobne sceny zbyt wiele razy, by liczyć na poprawę swego losu.

- Myślisz, że tata dobrze się czuje?

- Tak - odparła Savannah znużonym głosem i bez przekonania.

- Pójdę zajrzeć - oznajmiła Katie, gramoląc się z łóżka i stawiając boscie stopy na twardej drewnianej podłodze.

Jej siostra odsunęła kołdrę, również zamierzając wstać.

- Chodź tu, Katie.

Wzięły się za ręce, podeszły ostrożnie do drzwi i uchyliły je.

Ich tata stał przed kominkiem. Dostrzegły w żółto-czerwonym blasku ognia, że drżą mu ręce, ale poza tym był nieruchomy jak głaz. Słyszały w półmroku jego przyspieszony oddech.

Mama podeszła do drzwi w głębi pokoju i powiedziała:

- Jeśli nie wrócę za dziesięć minut, zadzwoń po pomoc.

- Co?! - krzyknął tata.

Mama, nie zwracając na niego uwagi, wyszła z domu. Na chwilę zapadła grobowa cisza, a potem tata odwrócił się od kominka i zaczął chodzić po salonie. Jego chrapliwy oddech i głośne uderzenia obcasów o podłogę brzmiały złowrogo.

- Niech cię diabli! - syknął ze złością i grzmotnął pięścią w drewnianą ścianę.

Sawannah wzdrygnęła się. Katie przylgnęła do niej, kwiląc ze strachu. Starsza siostra zacisnęła rękę na brzuchu. Czuła nieodparte pragnienie, by podejść do ojca i powiedzieć mu, że go kocha. Zrobiła niepewnie krok do przodu, ale zaraz zniechęciła się. Ojciec nigdy nie chciał, by okazywać mu współczucie.

- Niech cię diabli! - zaklął ponownie.

Sawannah zbierało się na płacz. W drżącym blasku ognia dostrzegła na ścianie ślady krwi i widok ten przyprawił ją o mdłości.

Nie zrób sobie krzywdy, tatusiu - modliła się w duchu. - Ona na to nie zasługuje.

Po chwili dziewczynki wróciły w milczeniu do sypialni. Położyły się razem i przytuliły do siebie, czerpiąc siły z wzajemnej bliskości. Rozumiały się bez słów. Upłynęło wiele czasu, zanim przestały myśleć o swoim tacie i zapadły w niespokojny sen.

Następnego ranka Tessę zbudziło żałosne kwilenie. Podniósłszy znużone powieki, usiadła na łóżku.

- Już idę, Kaleb. - Odsunęła kołdrę, pokuśtykała do kołyski i ostrożnie wzięła na ręce niemowlę. - Dzień dobry, mój mały - powiedziała czule, wpatrując się w jego różową, niewiarygodnie słodką buzię.

Łypnął na nią okiem i zaczął płakać. Tessę ogarnęło przeżenie. Niemowlę nie wydawało jej się już takie urocze. Budziło w niej... lęk.

W jednej chwili uzmysłowiła sobie ogrom ciężającej na niej odpowiedzialności. Była teraz matką. Mamusią... To znaczyło coś więcej niż kupowanie śpioszków, czytanie bajek i całowanie pulchnych policzków. Odpowiadała za wszystko. Kruche życie dziecka było w jej rękach.

Wróciwszy do łóżka, czuła nieokreślony strach. Straciła nagle całą pewność siebie. Ścisnęło ją coś w gardle. Życie w samotności nie nauczyło jej, jak opiekować się dzieckiem. Na litość boską, była przecież doktorem mikrobiologii, a nie piastunką! Nie miała pojęcia, co zrobić, by niemowlę przestało płakać. A na naukę nie było czasu. Musiała zająć się Kalebem już teraz.

Żałowała, że nie ma do niego instrukcji obsługi.

Pogłaskała nieśmiało drżącą i chłodną ręką jego gładki policzek.

- Cicho, mały, cii...

Powtarzała te słowa wiele razy, jakby chciała go zahipnotyzować.

Ale na Kaleba wcale to nie działało. Darł się coraz głośniej, a jego twarz zrobiła się purpurowa.

Tessie nabrzmiały piersi. Poczuła, że ma wilgotną koszulę. Rozpięła ją i spojrzawszy na swój nagi biust krzyknęła z wrażenia.

Kaleb, zaskoczony jej reakcją, zamilkł na chwilę, łypnął na

nią okiem i zacisnąwszy zapuchnięte powieki, zaczął żałośnie kwilić. Tessie dźwięczało już od tego w uszach.

Nagle otworzyły się na oścież drzwi i do sypialni wpadł Jack.

- Co się dzieje? - zapytał zdyszczanym głosem.

Tessa - zbyt przerażona, by czuć zażenowanie - wskazała z odrazą na swoje piersi. Nie wierzyła własnym oczom. Nie przypuszczała, że mogą kiedykolwiek tak wyglądać.

Jack spojrzał na nią i zapytał:

- Z...zrobić ci okłady?

- Okłady?

- No wiesz, żeby nie wypływało mleko.

- Mleko? Ach tak, oczywiście. - Poczowała się jak idiotka, zapominając, że kobieta, która urodziła właśnie dziecko, ma w piersiach pokarm.

- Zawołam Savannah - oznajmił Jack, odwracając się do drzwi.

- Nie! Nie chcę żadnych okładów. Będę karmiła go piersią.

- Co?!

- Dowiedziono, że mleko matki zawiera niezbędne dla dziecka składniki odżywcze i przeciwciała. - Uśmiechnęła się do Kaleba. Ogarnęła ją fala ciepła i przez chwilę poczuła się naprawdę jego matką.

- Ale przecież nigdy... nie karmiłaś dzieci piersią.

Tessa wzruszyła ramionami.

- Czy to takie trudne?

Godzinę później musiała przyznać, że i owszem.

Kaleb darł się wniebogłosem, wydając przeraźliwe dźwięki, które wwierały jej się w mózg jak kakofoniczna wersja piosenki *Dzwońcie, dzwoneczki*. Jack stał pod ścianą z założonymi rękami, obserwując dramat rozgrywający się na łóżku. Najwyraźniej nie miał zamiaru Tessie pomagać.

- Chodź, Kaleb - mruzczała po raz tysięczny. - Spróbujmy jeszcze raz. - Przysunęła go do lewej piersi. Chwycił ją

drobnymi rączkami i próbował ssać, ale była zbyt twarda i nabrzmiała. - No, skarbie, nie rezygnuj! - Ułożyła niemowlę inaczej i przytknęła jego buzię do drugiej piersi. Dotykało niemal wargami sterczącego sutka.

Błagam, ssij...

Dziecko krzyknęło rozpaczliwie.

Tessa miała ochotę uczynić to samo. Łzy napłynęły jej do oczu. Widziała jak przez mgłę czerwoną twarz Kaleba i jego szeroko otwarte usta.

Strach chwycił ją za gardło. Nie mogła złapać tchu. Nie potrafiła nakarmić dziecka! Boże, jak więc zachowa je przy życiu?

O Boże...

- Dobrze się czujesz? - Usłyszawszy przytłumiony spokojny głos Jacka, rozpłakała się. Bolesne, bezgłośnie łkanie wstrząsało całym jej ciałem i paliło w gardle.

Jack stanął wyczekująco w nogach łóżka.

- Amarylis?

Nie mogła na niego patrzeć. Czuła się upokorzona i przeżona. Nic dziwnego, że w poprzednim życiu Bóg nie obdarzył jej dziećmi. Jako matka była beznadziejna.

Jack usiadł obok niej. Stare łóżko zaszkrzypiało, a materac ugiął się pod jego ciężarem. Tessa podniosła wzrok, drżąca i strwożona.

- Nie potrafię. Po prostu nie potrafię...

Dławiły ją łzy. Zamilkła, patrząc na mężczyznę bezradnie.

- Nie musisz go karmić - powiedział.

- Błagam - wyszeptała z płaczem. - Pomóż mi!

Jack otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Tessa wyczuwała instynktownie, że Amarylis od dawna już nie prosiła go o pomoc. Przez chwilę myślała, że jej odmówi, odparł jednak cicho:

- Zawołam Savannah.

Gdy próbował wstać, chwyciła go za rękaw i powiedziała:

- Dziękuję.

Zabrzmiało to żałosnie, ale nie potrafiła wydusić przez ściśnięte gardło niczego więcej.

- Nie ma za co - odparł oziębło i wyszedł z pokoju.

Tessa siedziała na łóżku z płaczącym niemowlęciem i sama nie mogła powstrzymać łez. Miała wrażenie, że trwa to wieczność. Boże, błagam - powtarzała bez końca - pozwól mi być dobrą matką. Błagam...

Wreszcie ktoś zapukał do drzwi.

- P...proszę! - Próbowwała powiedzieć to głośno, ale nie była w stanie. Z jej ust dobyło się tylko znużone westchnienie.

- Mamo? - Savannah wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

Tessa przygryzła dolną wargę i otarła z twarzy łzy. Chciała się uśmiechnąć, lecz zupełnie jej to nie wyszło.

Dziewczynka weszła do sypialni, niosąc metalowe wiadro z gorącą wodą. Przez rękę miała przewieszane grube bawełniane ręczniki. Wyglądała jak szef sali w ekskluzywnej restauracji.

Postawiła wiadro na podłodze, przysiadła na łóżku, zamoczyła jeden z ręczników w wodzie i wyżawszy go zręcznym ruchem, spojrzała na matkę.

- Tatuś mówił, że... spuchłaś.

- Można to tak określić. - Tessa wybuchnęła śmiechem, gdyby była mniej zbolała.

- Gorące okłady powinny pomóc. Robiłam to samo Bessie...

- Bessie?

- No wiesz... naszej krowie.

Tessa zdobyła się na słaby uśmiech.

- Zeszłej wiosny miała zatkanie wymiona. To podziałało. Przyłożę ci gorące ręczniki do piersi. O, właśnie tak.

Tessa od razu poczuła ulgę. Unosząca się para owionęła jej

twarz i luźne kosmyki włosów. Z piersi natychmiast wytrysnęło mleko. Bolesne napięcie zaczęło ustępować. Zamknęła oczy. Głowa opadła jej do tyłu na drewniane oparcie łóżka.

Sawannah przysunęła się bliżej.

- Już ci lepiej?

- Tak - odparła Tessa drżącym głosem. - Chyba pomaga...

Po mniej więcej dziesięciu minutach i kilkakrotnej jeszcze zmianie ręczników poczuła się jak nowo narodzona.

- Spróbujesz go teraz nakarmić?

Głos dziewczynki wyrwał Tessę z niemal hipnotycznego transu. Uśmiechnęła się sennie i przysunęła Kaleba do piersi.

- Chodź, malutki, może teraz się uda.

Tym razem niemowlę przyssało się do niej tak, jakby robiło to całe życie, z obu stron obejmując drobnymi paluszkami jej pierś. W mgnieniu oka stał się czymś więcej niż dzieckiem, które trzymała w ramionach. Stał się częścią niej samej.

Przyglądając mu się, Tessa doznawała niewiarygodnie silnych i głębokich wzruszeń. Zachwyty, duma, pokora, miłość i spokój przepełniały jej duszę, rozpalając w niej jasne, pulsujące światło. Doświadczyła przez krótką chwilę, czym może być macierzyństwo, i owładnęła nią nagle bolesna tęsknota. Czuła się teraz... potrzebna. Była kimś ważnym. Niejako naukowiec o genialnym umyśle, lecz jako człowiek. Jako osdba. Brakowało jej tego rozpaczliwie przez całe życie.

Popatrzyła nagle na Sawannah, chcąc podzielić się z kimś swoim szczęściem. Chłodne, nieufne spojrzenie dziewczynki zmąciło jej radość. Wybełkotała coś niewyraźnie i zamilkła.

Znów ogarnął Tessę niewymowny smutek. Przez całe życie szukała kogoś, z kim mogłaby dzielić radości i troski. Kogo mogłaby kochać. Teraz, mając wreszcie upragnioną rodzinę, była bardziej samotna niż kiedykolwiek.

Opuściła wzrok, by ukryć rozczarowanie.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Sawannah wstała popiesznie, oznajmiając:

- Muszę zacząć robić obiad.

Była w połowie drogi do drzwi, zanim wypowiedziała to zdanie.

Tessa patrzyła długo w ślad za nią. Stare drewniane drzwi z antycznymi zawiasami stanowiły kolejną barierę, dzielącą ją od rodziny. Przez całe życie doświadczała tego samego.

Kilka godzin później Savannah stała przy kuchni, mieszając potrawę z królika, którą przyrządziła na obiad. Przez szczeliny w drzwiczkach żelaznego piekarnika sączyła się para, rozsiewając smakowity zapach domowego chleba. W ciężkim żeliwnym garnku na blasze bulgotała wrząca woda.

Dziewczynka otarła pot z czoła i sięgnęła po szczyptę soli do stojącego obok piecyka ozdobnego pudełka z sosnowego drewna. Zamknąwszy wieczko, sygnęła białe kryształki do potrawy.

Potem wytarła ręce o pomięty biały fartuch i poszła do spiżarni. Postawiwszy świeżo zrobione masło i porcelanowy słoik dżemu truskawkowego obok srebrnych sztućców i talerzy, usiadła na chwilę.

Obiad będzie gotowy za pięć minut. Ale kogo to obchodziło?

Położyła łokieć na stole i podparła dłonią podbródek. Westchnęła ciężko, zbyt ciężko jak na dwunastoletnią dziewczynkę. Nie wiedziała jednak, że samotność nie jest czymś normalnym. Dla niej była rzeczą powszednią.

Przynajmniej do niedawna. Jej blade policzki nagle pokraśniały. Rozejrzała się szybko po kuchni, by sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje.

Tym razem była zadowolona, że jest sama.

- Jeffie Peters - wyszeptęła, zamykając oczy i pograżając się w błogich wspomnieniach. Słyszała odgłosy zamykanych

książek, śmiech dzieci, tupot nóg na twardej drewnianej podłodze. Rozbrzmiewający radośnie dzwonek zwiastował koniec kolejnego dnia nauki.

- *Sawannah?*

Odwróciła się. Obok niej stał Jeffie Peters. Gdy otarł się delikatnie łokciem o jej ramię, poczuła gwałtowne bicie serca.

- *Tak?*

- *Czy mogę odprowadzić ciebie i Katie do domu?*

Otworzyła oczy, rumieniąc się znowu ze wstydu i zażenowania na wspomnienie tamtej chwili. Zabrakło jej nawet przytomności umysłu, żeby Jeffiemu odpowiedzieć. Gapiła się tylko na niego z otwartymi ustami, jak złowiony na wędkę pstrąg. Potem chwyciła pulchną rączkę Katie i wywlokła potykającą się siostrzyczkę ze szkolnej izby.

To wszystko nie miało sensu. Jeffie Peters był od lat jej kolegą z klasy. Dlaczego więc nagle traciła mowę i głupiała, gdy wypowiadał jej imię? I czemu właściwie chciał odprowadzić ją do domu? Od lat świetnie radziła sobie sama.

Jęknęła żałośnie. Gdyby tak miała z kim porozmawiać o różnych dziwnych rzeczach, które jej się ostatnio przytrafiały. Nie tylko o Jeffiem. Dręczyły ją rozmaite problemy. Nawet jej ciało zaczynało się zmieniać. Bolały ją piersi i często dokuczał żołądek.

Katie wsunęła głowę do kuchni.

- *Czy obiad już gotowy?*

Twarz Savannah nie wyrażała żadnych emocji. Nauczyła się od ojca, że lepiej maskować uczucia uśmiechem, niż płakać.

- *Tak. Zawołaj tatę.*

- *Już jestem.*

Jak zwykle głęboki baryton ojca napełnił Savannah nieokreśloną tęsknotą. Zacisnąwszy zęby, uśmiechnęła się do niego nieporadnie, ale on wcale na nią nie patrzył. Próbowwała rozpaczliwie ukryć rozczarowanie.

Wstała wyprostowana i wytarłszy wilgotne dłonie o fartuch, podeszła zdecydowanie do kuchenki.

Musiała z tym skończyć. Traciła tylko energię, próbując zwrócić uwagę ojca.

Wszystko z powodu „tych chwil”. Tak nazywała w myślach bezcenne sekundy, gdy podniósłszy nagle wzrok, zauważała, że naniapatrzy, że ją dostrzega. Radość wypełniała jej samotną duszę jak ziarenka złotego piasku dłoń żebraka. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, jedno dotknięcie i wszystko zaczynało się od nowa. Powracała nadzieja, żarliwa modlitwa...

Ale owe chwile były tak rzadkie, tak przelotne, że zastanawiała się często, czy nie są wytworem jej wyobraźni. Zazwyczaj dochodziła do wniosku, że ma urojenia.

Usłyszawszy kroki ojca, instynktownie zeszytniała. Stał za nią i zajął przez jej ramię do żelaznego garnka z bulgocącą potrawką. Potem wyciągnął rękę.

Przez ułamek sekundy sądziła, że dotknie jej lub poklepie po ramieniu. Pochyliła się ku niemu ledwo dostrzegalnie, by móc otrzeć się o rękaw flanelowej, pachnącej dymem koszuli i poczuć ciepło jego ciała.

Ojciec sięgnął jednak tylko po czajnik, zdejmując go z ognia.

- Wygląda apetycznie - oznajmił.

Sawannah z trudem powstrzymywała się od płaczu. Dlaczego nikt jej nie kochał? Inni rodzice przytulali i całowali swoje dzieci. Za każdym razem, gdy będąc w domu swej przyjaciółki Lili, widziała, jak pan Hannah poklepuje córkę po ramieniu albo całuje ją w czubek głowy, czuła bolesny ucisk w żołądku.

To z nią musiało coś być nie w porządku. Dawno już do tego doszła. Z powodu jakiejś mrocznej tajemnicy rodzice się od niej odwrócili.

Pochyliła się znużona, otworzyła piekarnik i wyjęła ostrożnie złocisty bochen. Chwyciwszy chleb przez fartuch przełożyła go na stolnicę i zaczęła kroić w grube pajdy.

Katie zasiadła do stołu. Jej małe łokcie stuknęły o porysowany drewniany blat. Rytmiczne uderzenia stóp o twarde nogi krzesła przerwały dręczącą ciszę.

Co jest na obiad, Savannah?

Jej siostra wzięła do miski chochlę potrawki, położyła na jej krawędzi pajdy chleba i zbliżywszy się do stołu powiedziała:

- Potrawka z królika, domowy chleb i marynowane ogórki, które dała nam pani Hannah.

Katie zmarszczyła nos.

- Znowu królik?

Savannah postawiła jedzenie na stole i delikatnie potar mosiła młodszą siostrę za włosy.

- Uważaj, bo dostaniesz go również na śniadanie - oznajmiła z uśmiechem, smarując jej masłem kromkę chleba.

Ojciec wziął miskę z gorącym jedzeniem i mruknąwszy „dziękuję” poszedł na ganek, aby zjeść go w samotności.

Savannah podeszła znów do piecyka i nałożywszy sobie niewielką porcję, oparła się, jak zwykle, o zlew i czując, jak wieszak na ręczniki uwiera ją w plecy, zjadła obiad.

Nikt się nie odzywał i cały posiłek trwał niecałe dziesięć minut. Po wyjściu Katie zaniósła jej i swoją miskę do zlewu i położyła je na drewnianym blacie. Napełniwszy metalowy zlewozmywak gorącą wodą z czajnika, zabrała się do zmywania naczyń.

Kuchenne drzwi zaskrzypiały nagle. Usłyszała odgłos ciężkich kroków na drewnianych deskach.

- Savannah?

Nie odrywając oczu od brudnej wody i powtarzając sobie w duchu: „spokojnie, tylko spokojnie”, powiedziała:

- Słucham, tatusiu?

Przystanął obok niej.

- Zaniosę miskę potrawki mamie.

KRISTIN HANNAH

- W porządku.

Spodziewała się, że zaraz odejdzie, ale tego nie zrobił. Stał przy niej jeszcze przez chwilę i dziewczynce przemknęła przez głowę absurdalna myśl, że chce jej coś powiedzieć.

Czekała w napięciu.

- Sam do niej pójde, nie kłopotz się.

- Dobrze, tatusiu - odparła z westchnieniem.

ROZDZIAŁ 5 --- Jack zastukał pięścią w drzwi desek.

- Proszę!

Proszę? Stał się czujny. Coś było nie w porządku. Amarylis nigdy nie odzywała się tak przyjaznym tonem do nikogo, kto chciał wejść do jej sanktuarium. A już szczególnie do niego.

Przytrzymując jedną ręką tacę z jedzeniem, przekręcił mosiężną gałkę, pchnął drzwi i wszedł do sypialni żony.

Siedziała wyprostowana wśród szarych poduszek. Jasne jedwabiste włosy opadały jej kaskadą na ramię i biało-czerwoną pościel. Nie podniosła od razu wzroku, co było rzeczą normalną. Tym razem jednak, o dziwo, nie robiła tego, by go upokorzyć. Po prostu była zbyt zajęta dzieckiem, które trzymała w objęciach.

Wydawało mu się to niemożliwe. Na pozostałe dzieci nigdy nie zwracała uwagi. Dlaczego miałyby się nagle zmienić? Patrzył na nią podejrzliwie, zastanawiając się, co znowu knuje.

Nieczekiwanie spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Naprawdę się uśmiechnęła!

- Boże, on jest taki malutki!

Jack wpatrywał się w nią coraz bardziej zdezorientowany. Co ona, do cholery, wyprawia?!

- Chodź, zobacz swojego syna - powiedziała cichym, niemal drżącym głosem.

Poczuł ucisk w żołądku. Od lat słyszał w jej głosie wyłącznie pogardliwy ton. Wrócił na chwilę pamięcią do pierwszych lat ich małżeństwa, gdy tak bardzo się kochali. Boże, jakże ją ubóstwiał...

Odpędziwszy od siebie te myśli, przeszedł przez pokój, postawił tacę na nocnej szafce i powiedział:

- Przyniosłem ci coś do jedzenia.

- Usiądź tutaj - poprosiła, wskazując mu miejsce na łóżku.

Spojrzał na wgłębienie, które zostawiła w pościeli jej dłoń. Poczuł nagle nieodparte pragnienie, by sięść obok niej. Jego dusza wyła z tęsknoty.

Potrafił się jednak opanować. Z biegiem lat uodpornił się na jej sztuczki. Znow próbowała z niego zakpić, wykorzystać jego słabość i sentymentalizm. Była o wiele silniejsza niż on. Nie miał co do tego wątpliwości. Bawiła się jego kosztem. Mściła się na nim nieustannie za to, że rozwiął jej marzenia o dobrobycie i uczynił z niej ubogą żonę farmera.

Nie zamierzał pozwolić, by znowu go upokorzyła. Nigdy więcej. Będą toczyć walkę aż do śmierci.

- Dziękuję, postoję - odezwał się przez zaciśnięte gardło.

Tessa odwróciła wzrok, wyraźnie rozczarowana. Jack me czuł jakoś dumy, że nie dał się wciągnąć w jej podstępą grę.

- Lepiej jedz, żeby nie opaść z sił - powiedział, nie mogąc wymyślić nic mądrzejszego.

Tessa uniosła bez słowa niebieski kocyk, pokazując mu delikatną uśpioną twarz Kaleba.

Spojrzawszy na pomarszczone, poważne oblicze niemowlęcia, Jack poczuł gwałtowne wzruszenie, do którego nie miał

prawa. Zacisnął bezsilnie dłonie w pięści. Ucisk w piersiach utrudniał mu oddychanie.

Nie zasługiwał na to, by darzyć kogokolwiek ojcowską miłością.

Cofnął się na chwiejnych nogach, mówiąc:

- Pójdę już.

W tym momencie Amarylis spojrzała na niego z taką czułością, że omal nie padł na kolana.

- Czy to wszystko przez nią? - wyszeptwała. - Czy to z jej powodu taki jesteś?

Jack uznał, że nie musi odpowiadać na takie głupie, niezrozumiałe pytanie. Skinąwszy lekko głową, odwrócił się i wyszedł z sypialni.

Tessa spojrzała na słupek łoża i pomyślała, że powinna zacząć robić na nim nacięcia. Mijał dzień za dniem i wkrótce mogła stracić rachubę czasu. Na razie była w odosobnieniu od pięciu dni. Najdłuższych i najnudniejszych w jej życiu. Obecny i poprzednim.

Zerknąwszy na niemowlę, które trzymała w ramionach, poczuła znów przypływ macierzyńskiej miłości. Kontakt z Kalebem sprawiał jej w mijającym tygodniu największą radość. Zaczynała naprawdę czuć się jego matką.

Nie zmieniało to jednak faktu, że była bardzo osamotniona. Czasem, zwłaszcza gdy niemowlę spało i leżała sama na dużym łóżku w pogrążonej w ciszy sypialni, ogarniał ją bezbrzeżny smutek.

Boże, miała już tego dość.

- Co sądzisz, mały, o globalnej wojnie termojądrowej? - zagadnęła Kaleba. - Albo o efekcie cieplarnianym? Wierzysz w to?

Malec czknął i zaślinił się.

Przez ułamek sekundy myślała, że jej odpowie.

Zaczynała tracić rozum. Jej ścisły umysł powoli i nieuchronnie obumierał. Lada chwila całkiem oszaleje.

Ostatnie dni były nie do wytrzymania. Nie rozmawiała z nikim, jak Pan Bóg przykazał, od owego wieczoru, gdy Jack nawrzeszczał na nią z niezrozumiałych powodów. Z perspektywy czasu to ich małe tete-a-tete wydawało jej się całkiem interesujące.

Nie potrafiła tak żyć, chociaż próbowała. Wmawiała sobie, że wystarczy tylko robić to, czego od niej oczekują, i wszystko się ułoży.

Problem polegał na tym, że niczego od niej nie oczekiwano. Absolutnie niczego. Wszyscy chodzili wokół Amarylis, jakby była laską dynamitu - szybko i ostrożnie, nie oglądając się za siebie. Czuła się jak zjawa, niewidzialna i niepożądana.

Nie mogła tego znieść. Była zdrową, normalnie słyszącą kobietą, mówiącą ze śpiewnym południowym akcentem, a nie miała z kim porozmawiać ani czego słuchać. Podobnie jak przedtem towarzyszyła jej bolesna cisza i samotność.

Wszyscy całkowicie ją ignorowali.

Owszem, Savannah przychodziła dwa razy dziennie, przynosząc tacę z jedzeniem i stertę złożonych ręczników dla zaspokojenia jej „kobięcych potrzeb”. Witiała matkę skinieniem głowy, mruczając czasem „dzień dobry” - Tessa czuła się wtedy bardzo szczęśliwa - ale na ogół nie mówiąc nic. Stawiała tacę na nocnej szafce, zabierała wiaderko z brudnymi ręcznikami i odwróciwszy się na pięcie, natychmiast zniknęła.

Do obiadu Tessa nie widziała żywej duszy. Potem powtarzał się ten sam rytuał. Jack i Katie nie zaglądali nawet, by się przywitać.

Stanowczo nie wystarczało jej widywanie przez ponad miesiąc tylko jednej osoby, która w dodatku patrzyła na nią tak, jakby miała tyfus.

Na początku nie było tak źle. Odczuwała nawet zadowolenie, że ją obsługują. Dokuczał jej ból, a między karmieniami potrzebowała dużo snu. Ale teraz Kaleb przesyPIał już niemal całą noc i czuła się całkiem dobrze. Ból i krwawienie ustąpiły, a z karmieniem piersią radziła sobie jak mistrzyni. Nie było powodu, by spędzała całe dnie w sypialni.

Musiała pogodzić się z faktem, że tak wygląda obecnie jej życie. Nie będzie już żadnej zamiany dusz. Nie usłyszy od Carol: „To był tylko żart”.

Stało się. Nazywała się teraz Amarylis Rafferty - należało coś zrobić z tym imieniem! - i nie zamierzała, do diabła, marnować swoich szans.

Potrafiła przystosowywać się do nowych warunków. W dzieciństwie zmieniała opiekunów jak rękawiczki. Zawsze powtarzało się to samo. Trafiała do rodziny zastępczej jako nieśmiała, wychudzona, głucha dziewczynka, która czuła się obco w nowym miejscu. Przez pierwszych kilka dni siedziała zamknięta w pokoju, z trudem powstrzymując się od płaczu i pragnąc, by wszystko wyglądało inaczej. Potem uświadamiała sobie, że inaczej nie będzie, podnosiła głowę, zakasywała rękawy i próbowała się dostosować.

Teraz również musiała tak postąpić. Czekwała, by przyjęto ją do rodziny, pograżając się w rozpacz, gdy jej nadzieje zawiodły.

W końcu uznała, że już czas wziąć sprawy w swoje ręce.

Przez cały dzień wyczekiwała odpowiedniego momentu, by przystąpić do działania. Przypominało to włączanie się do ruchu na autostradzie w Los Angeles. Należało zachować ostrożność i odpowiednio wcześniej sygnalizować.

Nakarmiwszy Kaleba, wsunęła się z powrotem do łóżka, czekając na Savannah. Gdy za oknem zapadł zmrok, usłyszała odgłosy gotowania.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu dni. Wkrótce miała zrealizować swój plan.

Dziewczynka zjawiła się punktualnie z kolacją. Zapukawszy delikatnie do drzwi, wślizgnęła się bezszelestnie do pokoju, niosąc przed sobą tacę z jedzeniem. Postawiła ją wprawnym ruchem na nocnej szafce i mruknawszy „dobry wieczór, mammo” ruszyła do wyjścia.

Tessa chwyciła ją za rękaw.

- Savannah? Czy możemy porozmawiać?

Dziewczynka odwróciła się i spojrzała na nią podejrzliwie.

- O czym?

Tessa poklepała dłonią pościel.

- Usiądź tutaj.

Savannah przycupnęła na krawędzi łóżka jak przerażony ptak, wbijając wzrok w drewnianą podłogę.

- Słucham?

Tessa zwilżyła językiem wargi.

- Zastanawiałam się, jakie twoja ma... to znaczy jakie ja mam obowiązki.

Dziewczynka podniosła wzrok.

- Obowiązki?

Tessa uniosła brwi.

- Chyba muszę coś zrobić?

Savannah wzruszyła ramionami.

- Dużo haftujesz.

- Hm... To pewnie fascynujące zajęcie.

- Czytasz romanse.

- Nie robię niczego poza domem? - zapytała z nadzieją. -

Na przykład w ogrodzie?

Tym razem Savannah uniosła brwi.

- No cóż... - Najwyraźniej musiała się zastanowić. - Czasem siedzisz na ganku i popijasz lemoniadę.

Tessa westchnęła ciężko.

SZANSA

- Innymi słowy, to ty opiekujesz się naprawdę rodziną. Ja jestem tylko... damą.

- Damą z Południa - poprawiła ją skwapliwie dziewczynka. - Zawsze powtarzasz, że tak powinno być.

- Doprawdy? Cóż za wielkoduszość!

Słyszac to, Savannah zrobiła wielkie oczy i zerwała się na nogi, mówiac:

- Muszę pozmywać naczynia.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - obiecała Tessa.

- Słucham - odparła dziewczynka, nie odwracając się.

~ O której wracasz do domu ze szkoły?

- Około czwartej. Chyba że pada, wtedy idę dłużej.

- A potem gotujesz obiad, sprzątasz dom i kładziesz Katie spać? Dziękuję ci, Savannah. Za wszystko.

- Proszę bardzo. - Powiedziawszy to, Savannah wyszła z sypialni.

Tessa uśmiechnęła się. Wiedziała już, od czego zacząć. Ktoś musiał pomóc tej biednej przepracowanej dziewczynie.

Jutro - z pomocą nieba - narodzi się nowa, odmieniona, Amarylis.

Następnego ranka, skończywszy karmić Kaleba i położywszy go ostrożnie z powrotem do kołyski, Tessa odczekała chwilę, by mieć pewność, że zasnął, po czym zarzuciła na ramiona ciężki flanelowy szal i podeszła na palcach do okna. Farma pogrążona była w ciemnościach. Tylko złotawa poświata na horyzoncie zwiastowała nadchodzący świt.

Tessa uśmiechnęła się z zadowoleniem. Musiała tylko dostać się niepostrzeżenie do obory, by zrealizować swój plan.

Wymknawszy się z sypialni, przeszła bezgłośnie korytarzem, dotykając po omacku drewnianych ścian. Z każdym krokiem była coraz bardziej podekscytowana.

Dotarłszy do salonu, wysunęła ostrożnie głowę zza framugi drzwi, by dojrzeć w mroku Jacka. Zobaczyła tylko ciemne kontury jego postaci na tle nieco jaśniejszej sofy. Słyszała, jak równomiernie oddycha.

Poczuła ulgę. Jack jej nie przeszkodzi.

Pochyliła głowę i przeszedłszy pospiesznie przez pogrążony w półmroku dom, zamknęła za sobą bezgłośnie kuchenne drzwi.

Pobiegła po zroszonej trawie w kierunku obory i uchyliła wielkie drewniane wrota. Zanim znalazła latarnię, zapałki i niski stółek, przez szczeliny w zbudowanej z desek ścianie sączyło się już różowe światło poranka.

- Muuu! — W nieruchomym zimnym powietrzu rozległ się gniewny ryk Bessie.

Tessa podskoczyła z wrażenia, chwytając instynktownie cienką rączkę metalowej bańki na mleko.

- Nic się nie dzieje - powiedziała niepewnie. - Przyszłam cię wydoić.

Krowa odwróciła wielki brązowy łeb i spojrzała na nią.

Tessa podeszła do niej ostrożnie i postawiła bańkę między jej tylnymi nogami. Potem podciągnęła ciężką nocną koszulę i usiadła na twardym drewnianym stołku.

Miała teraz przed oczami nabrzmiałe wymiona Bessie.

Skrzywiwszy się, dotknęła odruchowo swoich piersi.

- No dobra. Zaczynamy.

Ścisnęła ostrożnie wymię wskazującym palcem i kciukiem. Różowa dójka tylko się zakołysała.

Najwyraźniej nie tak należało to robić.

Spróbowała ponownie, tym razem mocno obejmując wymię całą dłonią.

Bessie ryknęła głośno i odwróciła łeb, spoglądając na nią brązowymi oczami.

Tessa uśmiechnęła się blado.

SZANSA

- Nie za dobrze, co? A może tak? - Pociągnęła za dójkę trochę delikatniej.

Bessie trzepnęła ją w twarz ogonem.

- Mamo?

Tessa obróciła się na stołku i zobaczyła Savannah, stojącą w drzwiach obory.

- Jak dobrze, że przyszłaś! - zawołała. - Dojenie nie jest takie łatwe, jak sądziłam!

Dziewczynka otworzyła usta ze zdumienia.

- Mamo, ty przecież nigdy...

- Och, nigdy nie mów nigdy. - Wstała ze stołka. - Usiądź tu i pokaż mi, jak to się robi. Postanowiłam włączyć się aktywnie w życie rodzinne. A z tym się wiązapewne obowiązki.

Savannah spojrzała na nią podejrzliwie.

- Dzi...dziękuję, mamo.

Tessa pohamowała uśmiech. Gdy dziewczynka usiadła na stołku, przyklękła obok niej.

- Od czego trzeba zacząć?

Savannah oplotła palcami dójkę krowy i mocno ją pociągnęła. Strumień ciepłego płynu uderzył z głośnym brzękiem o dno pustej bańki. Powietrze wypełnił zapach świeżego mleka.

- Jak to zrobiłaś?

- Zobacz. - Savannah znów jej to zademonstrowała. - Zaciskasz palce, ciągniesz i puszczasz.

Mleko tryskało teraz z dwóch dójek Bessie, uderzając z hałasem o ścianki metalowego naczynia.

Tessa podniosła wzrok i przyjrzała się uważnie dziewczynce, która nie odrywała oczu od bańki, mocno zaciskając usta.

Tessa odgarnęła jej z twarzy pukiel włosów i powiedziała:

- Starasz się ratować jakoś rodzinę, prawda?

- Rodzinę? Też coś! - Głos Savannah zabrzmiał opryskliwie. Uświadomiwszy to sobie, zbladła nagle i dodała: - Och, nie miałam zamiaru...

- Cii, nie przejmuj się. Z tego, co widzę, trudno to nazwać rodziną.

Sawannah spuściła głowę, a w oczach zalśniły jej łzy.

Na widok niemego cierpienia dziewczynki Tessę ścisnęło coś w sercu. Wiedziała lepiej niż ktokolwiek, co to znaczy dorastać w samotności, bez matki, na której pomoc można liczyć. Od dnia, gdy została sierotą, czuła w duszy bolesną pustkę.

Miała świadomość, że bladość dziewczynki i jej smutek wynikają z podobnych powodów.

Zawsze miałaś zadatki na samarytankę, Tesso. Słowa Carol zadźwięczały jej znowu w uszach i nie mogła odmówić im słuszności. Musiała pomóc tej biednej, przerażonej dziewczynie.

Nie wiedziała, od czego zacząć. W końcu stwierdziła:

- Nie ufasz mi, bo wyglądam jak twoja matka, ale wewnątrz... bardzo się zmieniłam.

- Co masz na myśli? - spytała Savannah, nawet na nią nie patrząc.

- Wstyd mi, że traktowałam ciebie, Katie i tatę w taki sposób.

Dziewczynka znieruchomiała zupełnie, jakby przestała oddychać. Odwróciwszy głowę, spjrzała na matkę swymi ogromnymi niebieskimi oczami.

- Naprawdę?

W tym jednym, wypowiedzianym cicho słowie była iskierka nadziei, tłąca się głęboko pod zgliszczami nieufności. Tessa widziała, jak rozpaczliwie Savannah pragnie jej uwierzyć. Ale jeszcze nie potrafiła.

- Coś ci powiem. Zawrzyjmy umowę.

- Jaka?

- Naucz mnie, jak być matką... no wiesz, jak gotować, sprzątać i tak dalej, a ja pokażę tobie i Katie, jak się dobrze bawić.

Dziewczynka przyglądała się jej podejrzliwie.

SZANSA

- My potrafimy się bawić.
 - Nie sędę.
 - Poza tym jesteś już matką.
 - Niezbyt dobrą. Ale chciałabym to zmienić. Pomożesz mi?
- Sawannah obserwowała ją w milczeniu przez dłuższą chwilę.

Potem skinęła powoli głową, mówiąc:

- Dobrze, mamó.

Tessa uśmiechnęła się szeroko.

- Dziękuję, kochanie. Nie zawiodę cię.

Tessa niosła ciężką bańkę ciepłego mleka w kierunku domu. Świt wstawał właśnie nad skalistym, pełnym wertepów pastwiskiem, barwiąc szare niebo różowofioletową poświatą. Rozproszone po polach owce wyglądały jak puszyste kępki ciemnej bawełny.

Tessa przystanąła i rozejrzała się. Niewielką farmę otaczał jeszcze półmrok, widziała jednak, że jest ona zadbana. Teren był ogrodzony solidnymi płotami, a dom miał ładnie pobielone ściany. Wszystko było w doskonałym stanie. Brakowało tylko ozdób. Nie było kwiatów wzdłuż ścieżki i wokół rosnącego przed domem dębu, doniczek na ganku ani zawieszonych na okapie dzwonek, które dźwięczałyby na wietrze. Po poręczy i kolumnie werandy piął się tylko na pół uschnięty krzak dzikiej róży.

Postawiła bańkę na skalistym podłożu, ochlapując sobie ciepłym mlekiem bosc stopy. Odwróciwszy się, spojrzwała ponownie na oborę i pomyślała o swojej rozmowie z Savannah. Niezłe jej poszło. Była to tylko wymiana zdań, niewielki krok naprzód, ale zawsze coś. Dobry początek.

Przypomniała sobie własne samotne dzieciństwo. Jakże pragnęła, by ktoś choć przez chwilę okazał jej zainteresowanie. Tak bardzo potrzebowała akceptacji i uczucia, że nawet zwy-

czajny uśmiech miał dla niej ogromne znaczenie. Była dziwnie przekonana, że ta dziewczynka ma podobne problemy. Bała się jej zaufać, bo matka najwyraźniej od dawna ją ignorowała, ale w jej lęku było ziarno nadziei. Było pragnienie i modlitwa.

Tessa poczuła, że nareszcie ma przed sobą jakiś cel - po raz pierwszy od chwili, gdy ocknęła się w innym stuleciu. Powróciła jej dawna chęć do działania. Mogła pomóc tym ludziom. Ulżyć ich umęczonym duszom i postarać się, by zaczęli się śmiać. A może przy okazji także sobie sprawić trochę radości.

W chwili gdy ujrzała Jacka, zdała sobie sprawę, że ten człowiek rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Widziała ból w jego oczach. Ból i coś więcej. Wtedy nie wiedziała jeszcze co, ale teraz zrozumiała. Był w nich smutek, który doskonale znała. Bolesna samotność kogoś, kto pragnie należeć do rodziny, a nie potrafi w niej znaleźć swego miejsca.

Nic dziwnego, że przyciągał ją do siebie jak płomień świecy ćmę. Byli bratnimi duszami, ludźmi, którzy stali o krok od szczęścia, ale obawiali się po nie sięgnąć, by nie doznać rozczarowania.

Wkrótce to się zmieni. Stanowili teraz rodzinę. I potrzebowali siebie nawzajem.

Należało obmyślić plan działania. Tessa przygryzła dolną wargę i zmarszczyła czoło, próbując przeanalizować sytuację. Musiała potraktować tę rodzinę jako długofalowe zadanie. Nie rozwiąże wszystkich problemów naraz, nie opatrzy jednym bandażem jątrzących się od lat ran. Ale nie było to dla niej nic nowego. Przez dziesięć lat zajmowała się badaniami nad rakiem. Przez pierwsze cztery jej praca polegała na wyizolowaniu pojedynczej komórki. Tak, z pewnością nie brakowało jej cierpliwości.

Pomyślawszy o Jacku, uśmiechnęła się. Mając z nim do czynienia, musi być wyjątkowo cierpliwa.

Zanim dziewczynki wyszły do szkoły, Tessa zaczęła się obawiać, że była nadmierną optymistką. Rak wydawał się drobnostką w porównaniu z przypadłościami rodziny Raffertych.

Śniadanie było koszmarem. Panowała tak napięta atmosfera, że Tessa potrafiła zdobyć się jedynie na nieporadny uśmiech. A to jeszcze bardziej wszystkich rozdrażniło.

Nie jedli nawet razem. Katie siedziała samotnie przy stole, przesuwając widelcem po talerzu kęsy jedzenia i z rzadka tylko wkładając je do ust. Zgrzyt metalu o porcelanę rozbrzmiewał w głuchej ciszy jak odgłos paznokci trących o tablicę. Savannah stała przy zlewie, jedząc łąpczywie w milczeniu i nie patrząc na nikogo. A Jack...

Tessa westchnęła. Nie został nawet w kuchni. Wyszedł jeść na ganek.

Cały ten koszmar trwał mniej niż dziesięć minut. Tessa zbierała się właśnie, by coś powiedzieć - choć nie wiedziała jeszcze co - gdy Jack wrzucił talerze do zlewu i zniknął. Dziewczynki przełknęły pośpiesznie resztki jedzenia, wetknęły naczynia do wiadra z wodą i podażyły za ojcem.

Tessa została sama, oniemiała z wrażenia.

Siedziała w kuchni jeszcze przez godzinę, wsparta łokciami o twarde blaty stołu i pochylona nad filiżanką mocnej gorzkiej kawy.

Westchnęła ciężko. Czuła się taka... opuszczona. W domu panowała przytłaczająca cisza.

W rodzinach zastępczych przynajmniej z nią rozmawiano. Poranna dyskusja z Savannah uzmysłowiła jej, jak bardzo jest samotna.

Nagle do kuchni wpadł Jack. Zobaczywszy ją, znieruchomiał. Drzwi zatrzęsnęły się za jego plecami.

- Amarylis!

Tessa poczuła ulgę, że widzi kogokolwiek. Uśmiechnęła się szeroko, mówiąc:

KRISTINHANNAH

- Cześć!

Jack wyrżał niepewnie za okno. Przez chwilę myślała, że chce przez nie wyskoczyć.

- Chyba już sobie pójdę...

- Zaczekaj. - Wstała powoli od stołu. - Napij się ze mną kawy. Moglibyśmy porozmawiać.

Zrobił wielkie oczy. Wpatrywał się w nią, jakby była obłąkana.

- Chyba nie - wydusił wreszcie.

- Dobrze, więc ja będę mówiła. Ty tylko... mrucz i potakuj.

- Chryste! - wybełkotał, kręcąc głową.

- Jack, nie mogę tak siedzieć przez cały dzień. Muszę się czymś zająć. Ale... nie pamiętam, co się robi na farmie.

Jack poszedł do salonu i przyniósł jej mały zgrabny koszyczek.

- Masz!

Uniósłszy wieko, Tessa zobaczyła bawełniane szmatki i nici.

- Haftowanie. Jakież to... podniecające zajęcie.

Jack spojrział na nią.

- Jakoś nigdy nie chciałaś być podniecana.

Tessie przemknęła przez myśl zupełnie niestosowna riposta. Uśmiechnęła się szeroko.

- Co cię tak cholernie bawi? - syknął Jack.

Próbowała pohamować śmiech, ale bez większego powodzenia.

- Nie, nic takiego.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Rób, co chcesz, Amarylis, ale zejdz mi z drogi.

ROZDZIAŁ 6

Rób, co chcesz.

Tessa zaczęła się zastanawiać, co właściwie chce robić.

Chciała, by tych czworo sfrustrowanych, przerażonych ludzi stanowiło rodzinę. Brzmiało to może naiwnie i infantylnie, ale pragnęła po prostu ich szczęścia. Musiała dać dobry przykład. Jeśli będzie wzorową matką, może przyciągnie ich do siebie.

- W porządku - powiedziała, popijając kawę. - Ale jak?

Czym zajmują się matki? Niestety, odpowiedź była oczywista: gotują, sprzątają, piorą, szorują podłogi.

- Hmm... - Nic dziwnego, że nie cierpiała zawsze filmów o żonach pionierów. Gdy mężczyźni wypasali stada i jeździli konno, kobiety siedziały w domu, robiąc porządki i ubijając masło.

Odstawiła filiżankę i wstała. Wiedziała, że nieprzyjemne obowiązki stanowią część życia, i należało się z tym pogodzić. Skoro chciała skupić wokół siebie rodzinę, musiała wziąć się do roboty. Musiała się jakoś nauczyć, jak być idealną żoną pioniera.

Uznała, że na początek powinna coś na siebie włożyć. Donna Reed nigdy nie paradowała cały dzień w nocnej koszuli.

Poszła do sypialni i sprawdziwszy, czy Kaleb śpi, wyjęła z szafy wyciętą pod szyją sukienkę, ubrała się szybko, włożyła pognieciony biały fartuch, podwinęła rękawy, związała włosy i zabrała się do pracy.

Cztery godziny później sprzątała ostatni kąt w kuchni. Ciagnąc za sobą wiadro z mydlaną wodą, szorowała brudną podłogę i wycierała ją szarym już ręcznikiem. Potem, używając resztę woskowej pasty do mebli, wypolerowała deski, aż błyszcząły jak nowiutkie monety.

Przykucnąwszy na piętach, rzuciła szmatę do wody i odechnęła z satysfakcją. W domu było czysto. Chwyciwszy za oparcie krzesła, podniosła się z wysiłkiem, przykładając dłoń do obolałych pleców i przyglądając się efektom swojej pracy.

Dębowa podłoga lśniła jak lustro. Stół, którego wady ukrywał śnieżnobiały obrus, zdobiły wiosenne kwiaty. Na półkach kredensu błyszcząły jak nowe niebieskie gliniane talerze, cynowy dzbanek do kawy i porcelanowe kubki. Nawet piecyk, oczyszczony z sadzy i tłuszczu, wyglądał jak na zdjęciu w czasopiśmie „Country House”. Ogień na kominku rzucał pomarańczowo-czerwone blaski, a ciepłe powietrze przesycone było zapachem płonącego drewna.

Nagle Tessa usłyszała tupot nóg na ganku i po chwili do kuchni wpadł Jack.

Na jego twarzy pojawił się komiczny wyraz niedowierzania, gdy poślizgnąwszy się, runął jak długi na podłogę.

Tessa oniemiała z wrażenia.

- Nic ci się nie stało?

- Co, do cholery...

- Może nie powinnam była woskować podłogi - powiedziała skruszona.

Pokręcił głową.

- Jeśli próbujesz mnie zabić, znajdź jakiś mniej bolesny sposób.

Tessa uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

Ignorując ją, chwycił się krzesła i podźwignął z ziemi. Dopiero teraz rozejrzał się po kuchni. Miał jak zwykle ponurą minę.

- Pewnie jest za czysto - stwierdziła Tessa.
- Co ty wyprawiasz, do diabła? Dobrze wiesz, że...

Skrzywiła się, słysząc jego podniesiony głos.

- Na litość boską, Jack, zamknij się!
- Co? - odparł, osłupiały ze zdumienia.
- Jesteś gburem.
- Co?!

- Mam wielkie plany, dotyczące naszej rodziny. Ale nic nie zdziałam, jeżeli będziesz się na mnie cały czas wydzierał. Lepiej dojdźmy do porozumienia.

Jack się roześmiał.

- Śmieję się, ile chcesz, ale wysłuchaj mnie.

Skrzyżował ręce na piersi i wpatrywał się w nią przy-mrużonymi oczami. Ale nie wyszedł. To już było coś.

Tessa zacisnęła palce na oparciu krzesła i spojrzała na niego.

- Czy słowo „reinkarnacja” coś ci mówi?
- Nie.

Uniosła brwi.

- Niektórzy ludzie uważają, że po śmierci dusza może... istnieć dalej. Po prostu żyje w innym ciele. Ich zdaniem, pojęcie czasu jest względne. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość dzieje się teraz. Wierzysz w to?

- Nie.

Tessa uniosła brew.

- Mamy więc drobny problem.
- Dlaczego?

Puściła oparcie krzesła i podeszła do niego, zauważając, *to* obserwuje bacznie każdy jej krok. Stanąwszy tuż przed nitu, oznajmiła:

- Nie jestem twoją kochającą żoną.
- Przestań pieprzyć - prychnął pogardliwie.

Roześmiała się.

- Nie twierdzą, że nie potrafię kochać. Mówię tylko, że nie jestem twoją żoną. Ona umarła.

Jack pobladł.

- Pamiętasz to?

- Śmierci trudno nie zauważyć. Robi... wrażenie. W każdym razie twoja żona nie żyje, a ja ją zastępuję. Rozumiesz?

Jack oparł się o zlew.

- Byłbym nie lada szczęściarzem.

- To prawda! Jestem...

- Tak, a ja jestem królem Anglii.

Tessa westchnęła ciężko. Spojrzała mu w oczy, próbując znaleźć w ich zielonej głębi choć cień zrozumienia.

Był to daremny wysiłek. Wiedziała, że jej nie uwierzy. Jego poglądy wykluczały istnienie zjawiska zamiany dusz.

- W porządku, Jack. Niech będzie po twojemu. Jestem Amarylis, która zmartwychwstała. Ale powiem ci od razu, że bardzo się zmieniłam.

- To znaczy? - Znów patrzył na nią podejrzliwie.

- Oczywiście, nie umarłam naprawdę. No bo przecież żyję. Chodzi o to, że... jestem teraz zupełnie inna. Jak te ulepszone pasty do zębów, do których dodano nowy składnik.

Jack miał taki wyraz twarzy, jakby obserwował naukowy eksperyment, który całkowicie wymknął się spod kontroli.

- I co z tego wynika?

Tessa wzruszyła ramionami.

- Pewnie razem się przekonamy. Czy to nie będzie zabawne?

- Zabawne? Chyba sobie kpisz!

- Mówisz tak, jakbym kazała ci skakać z Mostu Brooklińskiego.

Jack cofnął się.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, do cholery!

- Fakt, niepotrzebnie wspomniałam o moście. - Tessa skrzywiła się. - Myślę, że...

Jack chwycił ją mocno za ramiona.

- Baw się, ile chcesz, ale mnie w to nie wciągaj, jasne?

Tessa spojrzała na niego. Tego było już za wiele. W ciągu minionego tygodnia została potrącona przez autobus, urodziła dziecko i umarła. Starła się przystosować do nowego życia, ale nie zamierzała pozwolić, by ten człowiek na nią krzyczał.

Wyrwała się z jego uścisku.

- Musimy ustalić pewne zasady, Jack.

- Hm? - mruknął, cofając się.

- Dobra riposta. Uderzysz mnie?

- Teraz? - zapytał zdziwiony.

- Albo kiedykolwiek.

- Nigdy nie uderzyłem kobiety.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Próbujesz unikać odpowiedzi?

- Nie. Dobrze wiesz, do cholery, że cię nie uderzę!

Podeszła bliżej, patrząc mu prosto w oczy.

- Więc przestań mnie straszyć. To nic nie da. Staram się, jak mogę, pomóc tej rodzinie i oczekuję od ciebie również odrobiny wysiłku. Rozumiesz?

Gapił się na nią, zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć.

- Rozumiesz? - powtórzyła.

Otworzył usta - niewątpliwie po to, by się jej odciąć - ale nie wydusił ani słowa. Zacisnął zęby, czerwony z gniewu.

~ Wychodzę - oznajmił w końcu.

Ominął ją i zatrząsknął za sobą drzwi.

Tessa westchnęła, krzyżując ręce na piersiach i patrząc za nim. Nie poradziła sobie zbyt dobrze.

Nowe życie przypominało jej bezkresną, pozbawioną wody

pustynię. Jeśli nic się nie zmieni, spędzi kolejnych kilkadziesiąt lat, walcząc z Jackiem. Taka perspektywa mogła doprowadzić do obłędu nawet spokojnego, zrównoważonego naukowca.

Powinna była wybrać kosmonautę.

Katie wpatrywała się w drewniany budynek szkoły, stojący samotnie na wzgórzu wśród zieleniejących właśnie drzew. Dzieciaki ganiały się po podwórku i chichotały głośno, grając w berka. Do otaczającego dziedziniec drewnianego płotu było przywiązanych kilka koni, należących do rodzin, które mogły sobie pozwolić, by ich dzieci jeździły do szkoły konno.

Katie zwolniła kroku, zaciskając kurczowo palce na żelaznej ręczce pudełka z drugim śniadaniem. Zimny metal wpił się w jej spoconą dłoń.

- Wszystko będzie dobrze, Katie - szepnęła Savannah. - Nie będą się z ciebie śmiali.

Obie wiedziały jednak, że to nieprawda.

Katie przygryzła mocno dolną wargę, by opanować jej drżenie. Szła obok siostry ze łzami w oczach.

Przecież to bez znaczenia, co myślą te grupie dzieciaki.

A jednak przejmowała się nimi. I to bardzo.

Chwyciwszy Savannah za rękę, podążała dzielnie naprzód, starając się być dorosła i nie okazywać lęku.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie była taka tępa. Dzieci by się z niej nie śmiały, mama by ją kochała, a nauczycielka...

- Wejdiesz do środka?

Głos Savannah wyrwał ją z zamyślenia. Podniósłszy głowę, zobaczyła, że są już przed szkołą. Przeszedł ją zimny dreszcz.

Odwróciła się do siostry, mówiąc:

- Niezbyt dobrze się czuję. Chyba powinnam wrócić do domu.

Starsza siostra przykucnęła i dotknęła jej policzka.

- Och, Katie...

Mała rzuciła jej się w ramiona. Savannah przytuliła ją mocno, gładząc jej włosy i szepcząc słowa pociechy.

Potem spojrzała jej głęboko w oczy.

Katie starała się nie płakać. Widziała wszystko jak przez mgłę, lecz ani jedna łza nie spłynęła po jej twarzy. W rodzinie Raffertych wszyscy potrafili tłumić rozpacz.

- J.-już dobrze- wyjąkała, wycierając spocone dłonie o wełnianą sukienkę i przyciskając do piersi przewiązane paskiem podręczniki.

Savannah wyprostowała się powoli. Trzymając się za ręce, weszły po trzeszczących schodach do budynku szkoły. Gdy otwierały drzwi, przeraźliwe skrzywienie zawiasów sprawiło, że kilkanaście par oczu zwróciło się w ich kierunku.

Katie cofnęła się przerażona.

Savannah położyła dłoń na jej ramieniu i mruknęła uspokajającym tonem:

- Jestem z tobą.

Katie pobiegła na swoje miejsce, stukając głośno obcasami ciężkich skórzanych butów o drewnianą podłogę. Słyszała wokół śmiechy i czuła się coraz bardziej nieswojo. Przyciskała kurczowo książki do piersi, nie odrywając wzroku od podłogi.

Odetchnęła z ulgą, usiadłszy w końcu na krześle z metalowym oparciem. Savannah zajęła miejsce obok niej. Jej obecność dodała Katie otuchy. Zdobyła się na odwagę, by położyć książki przed sobą. Rozpiąłszy drżącymi palcami pasek, wyjęła spod podręcznika do matematyki niewielki brązowy elementarz. Był prawie niewidoczny na tle porysowanego drewnianego blatu.

Katie pragnęła gorąco, by naprawdę zniknął.

Panna Ames postukała palcami o biurko i wstała, mówiąc:

- Zaczniemy od czytania na głos.

Katie zamknęła oczy i zacisnęła dłonie w pięści.

Błagam, tylko nie ja.

- Susan Jacobs, może ty zaczniesz? Na dziewiątej stronie.

Katie odetchnęła z ulgą. Otworzyła powoli oczy i spojrzała w elementarz. Wpatrywała się w tekst, próbując czytać razem z Susan.

Nie potrafiła. Czarne litery drgały, wirowały i zmieniały pozycje. Zlewały się w słowa i zdania zupełnie pozbawione sensu. Tego, co czytała Susan, nie było w jej książce.

Miała w oczach łzy. Co się z nią działo? Starła się bardziej niż ktokolwiek w klasie. Co wieczór szła zaraz po kolacji do pokoju i zmagła się z płataniną liter. I co wieczór stwierdzała z rozpaczą, że nie potrafi przeczytać ani słowa.

- Dziękuję, Susan. Bardzo dobrze. Może teraz ty, Mary Katherine? Zaczynj tam, gdzie Susan skończyła.

Katie podniosła raptownie głowę, szepcząc bezgłośnie „nie!”.

Panna Ames pochyliła się wyczekująco. Wszyscy uczniowie patrzyli na Katie.

Dziewczynka poczuła dłoń Savannah na swoim łokciu. Wiedziała, że siostra próbuje dodać jej otuchy. Ale tym razem to nie pomagało. Ciepły dotyk Savannah nie był w stanie jej rozgrzać.

Przełknęła z trudem ślinę i spuściła wzrok. Widziała jak przez mgłę pożółkłe stronice elementarza. Zamrugła, by nie łzawiły jej oczy.

Tym razem dasz sobie radę. Na pewno.

Spojrzała w napięciu na pierwsze słowo. I-A-a.

Ogarnęła ją panika. Serce waliło jej jak młotem. I-A-a a-m o-t-a-k.

Starła się wymówić pierwsze słowo, ale wiedziała od razu, że nic nie znaczy. Spróbowała jeszcze raz, koncentrując uwagę na każdej literze.

Dzieci zaczęły szeptać. Słyszając ich chichot, nie mogła się

skoncentrować. Zapewne tylko sobie wyobrażała, że z niej drwią- Savannah przekonywała ją o tym wiele razy- ale jakoś nie mogła w to uwierzyć. Ich śmiech brzmiał tak realnie.

Podniosła głowę i rozejrzała się trwożnie. Wszyscy na nią patrzyli. Sally Burman wykrzywiła wąskie usta w triumfalnym uśmiechu.

Katie podniosła się niepewnie i wyszła z ławki. Po policzkach spływały jej do ust łzy wstydu i bezsilności. Czuła, że są ciepłe i słone. Był to smak porażki.

- Katie!

Nie zwracając uwagi na krzyki siostry, wybiegła z klasy, przemknęła po skrzypiących schodach i popędziła przed siebie.

Savannah zebrała książki Katie i wstała, mówiąc:

- Pójdę po nią, panno Ames.

- Ja też!

Zanim Savannah zdążyła odpowiedzieć, Jeffie Peters stał już obok niej.

Spojrzeni na siebie. Dziewczynka poczuła, że się rumieni.

- Ch...chcesz, żebym pomógł ci nieść te książki? - wyjąkał Jeffie.

Savannah wiedziała, że wszyscy się jej przyglądają. Mruknąwszy „nie, dziękuję”, przycisnęła książki do piersi i pognała do drzwi. Zbiegła szybko po chwiejnych schodach i zatrzymała się dopiero przy płocie, zdyszana i drżąca. Książki wyslizgnęły jej się z rąk i upadły w błoto.

Usłyszała za sobą ponowne trzaśnięcie drzwi.

- Hej, Savannah, zaczekaj!

Chciała uciec i znaleźć jakieś ustronne miejsce, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

- Dokąd tak biegniesz? - zapytał Jeffie, stając obok niej.

Nie odrywała wzroku od pompy przy studni. Powstrzymywała

się całą siłą woli, by nie zaciskać nerwowo palców. Zachowała |
spokój, trzymając wysoko głowę i patrząc w przestrzeń.

- Martwię się o Katie. !

- Wiem. Czytanie nie idzie jej najlepiej.

- Niestety - przyznała chłodno.

Czekała z niepokojem, co jeszcze powie. On jednak milczał.
Nagle, czując się niezręcznie, oboje przykucnęli i sięgnęli po
leżące w błocie książki.

Ich palce się zetknęły. Savannah cofnęła gwałtownie rękę
i przyłożyła ją do brzucha.

Jeffie spojrział na nią.

Byli bliżej siebie niż kiedykolwiek. Widziała piegi na jego
czole. Wpatrywał się w nią inteligentnymi piwnymi oczami.
Pochylił się odrobinę do przodu, jakby zamierzał coś powiedzieć.

Serce waliło jej ze strachu. Starła się nie poruszać. Ale
jakoś tak się stało, że i ona nachyliła się w jego kierunku.

- Savannah, ja... - Jeffie odwrócił wzrok, a szyja i policzki
wyraźnie mu poczerwieniały. - Ja...

Obawiała się tego, co powie. Bała się swojej reakcji na jego
słowa. Przycisnęła książki do piersi i szybko wstała.

Próbując się odwrócić, zaplątała się w fałdy grubej spódnicy
i straciła równowagę. Jeffie natychmiast się podniósł i przy-
trzymał ją za łokieć.

- Dzięki. - Odsunęła się, unikając jego spojrzenia. - Muszę
już iść. Moja ma...

- Mogę odprowadzić cię do domu?

Savannah myślała przez moment z przerażeniem, że zaraz
zwymiotuje. Pokręciwszy głową, odwróciła się od niego i za-
częła zbiegać ze wzgórza najszybciej jak mogła.

Gdy dogoniła Katie, siedzącą samotnie na skraju drogi,
brakowało jej tchu i czuła kłucie w boku. Nadal ciężko dysząc,
podeszła do siostry i uklękła obok niej. Książki i metalowe
pudełko z drugim śniadaniem uderzyły głucho o twardą ziemię.

- Coś jest ze mną nie tak - stwierdziła Katie drżącym głosem. - Jestem głupia.

- To nieprawda! - odrzekła ze ściśniętym sercem Savannah, czując dławienie w gardle.

Katie oparła podbródek o zgięte kolana siostry i zacisnęła powieki. Spod jej długich czarnych rzęs pociekły łzy, spływając po pulchnych różowych policzkach.

Savannah poczuła przyływ bezsilnego gniewu. Patrząc w górę na bezmiar błękitnego nieba, zacisnęła dłonie w pięści. Chciała powiedzieć mamie o problemach siostry, ale nie miało to sensu. Zaśmiałyby się tylko i potwierdziła, że Katie jest głupia. Savannah nie uwierzyła ani przez chwilę, że mama się zmieniła.

Tatuś by pomógł. Ta myśl zaświtała jej, jak zawsze, nieoczekiwanie, przywracając nadzieję.

Ale równie szybko ogarnęło ją na powrót zwątpienie. Kiedyś omal mu się nie zwierzyła. Było to na urodzinach Katie. Śmiali się z czegoś i nagle, spojrzawszy na ojca, siedzącego po drugiej stronie stołu, zobaczyła w jego oczach jakiś magiczny blask.

Myślała, że to miłość. Serce zamarło jej z wrażenia. Wiedzioną nadzieją, wstała nieporadnie od stołu i podszedłszy do niego powiedziała cicho „tatusiu”. Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Już miała wydusić z siebie całą prawdę o Katie, o tylu innych sprawach...

Nagle jednak śmiech umilkł i zapadła tak głęboka cisza, że Savannah poczuła mdłości.

Ojciec podźwignął się z krzesła, odwrócił na pięcie i wyszedł z kuchni, znikając na dziedzińcu. Savannah czekała kilka godzin na jego powrót, aż wreszcie usnęła zmęczona na sofie.

Obudziła się we własnym łóżku. Odnosiła wrażenie, że chwilowe poczucie więzi z ojcem było tylko wytworem jej wyobraźni. Zdarzyło się to przed pięcioma miesiącami, gdy Katie zaczęła mieć problemy z czytaniem.

Od tamtej pory Savannah nie próbowała nawet z nikim na ten temat rozmawiać.

- Chodź, Katie, wracamy do domu - powiedziała zmęczonym głosem.

Siostra spojrzała na nią. Jej zapłakane oczy wydawały się jeszcze większe.

- Nie chcę wracać - wyszeptała.

Savannah uściśnęła jej drobną, zimną dłoń.

- Wiem. Ja też nie chcę.

Przesiedziały tak cały ciepły wiosenny dzień, czekając w milczeniu, aż odezwie się szkolny dzwonek, zwiastujący koniec lekcji.

- Już czas - oznajmiła wreszcie Savannah, gdy ucichł metaliczny dźwięk.

Katie skinęła głową, ocierając łzy z oczu. Chwyciwszy się za rękę, wstały z ziemi i ruszyły w kierunku domu. Porośnięta trawą polna droga, prowadząca ze szkoły do farmy, zdawała się nie mieć końca. Szły nią przed siebie, choć wcale tego nie chciały.

Po prostu nie było innego wyjścia.

Tessa stała przed piecykiem, przyglądając się jego czarnej metalowej sylwetce z mieszaniną lęku i nadziei. Próbowała przekonać samą siebie, że to jedno z wyzwań, które zawsze lubiła podejmować.

Tym razem jednak ta argumentacja jakoś nie działała.

Z całą pewnością gotowanie nie należało nigdy do jej mocnych stron. W roku 1993 nie musiała się tym przejmować. Mając pod ręką bary szybkiej obsługi, restauracje i supermarkety z mrożonkami mogła nie gotować, ale teraz, w 1873, nie miała wyboru. Pragnęła ulżyć trochę Sawannie i być dobrą matką. Musiała więc nauczyć się gotować. Miała mnóstwo czasu.

Minęło właśnie południe. Dziewczynki wrócały ze szkoły dopiero za parę godzin. Należało tylko zacząć.

Przyklękęła i zajrzała przez ciężką, zabrudzoną sadzą kratę. Ze sterty zimnego szarego popiołu sterczały cienkie popalone kawałki drewna. Gryzący swąd wygasłego paleniska podrażnił jej oczy.

Próbowała otworzyć dwoma palcami żelazne drzwiczki.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Ciężkie drzwiczki opadły na dół, uderzając ją w zgięte kolana i pozbawiając równowagi. Zerwawszy się z krzykiem, uderzyła głową o kuchenkę.

Gdy się ocknęła, leżała na kuchennej podłodze w podciągniętej do bioder niebieskiej sukience.

Spojrząwszy na siebie, Wybuchnęła śmiechem. Wystarczyło jej dziesięć sekund w kuchni, by straciła przytomność.

Masując guza wielkości gęsiego jaja, który wyskoczył jej nad lewym okiem, przyklękęła i popatrzyła na zimny popiół. Czuła ściskanie w żołądku. Nie zwracając na to uwagi, podniosła się i stanęła śmiało przed piecykiem. Usiłowała wczuć się w rolę szefa kuchni.

Przypominało to próbę wciśnięcia się w zbyt obcisłą bluzkę na oczach sprzedawcy.

- W porządku - powiedziała na głos. - Zamierzam ugotować obiad. - Zastanawiała się przez chwilę. - Najpierw powinienam rozpałcić ogień.

Od razu poczuła się lepiej. Tak, to był rozsądny plan działania dla kogoś, kto pragnął za wszelką cenę przyrzadzić posiłek. Należało rozpałcić ogień.

Obok piecyka leżała starannie ułożona sterta drewna na opał. Tessa otworzyła żelazne drzwiczki kuchenki, przytrzymała je kolanem, chwyciła kilka drew i wrzuciła je do środka. Nie znalazwszy papieru, użyła na podpałkę szmaty.

Gęsty ciemnoszary dym poszybował aż pod sufit. Rozwiąła

go, machając ręką, i zjrzała do piecyka. Najmniejszy kawałek drewna już się palił. Chyba dobrze jej szło.

Pogwizdując radośnie, zaczęła rozglądać się za książką kucharską. Szukała jej o wiele skrupulatniej niż papieru, otwierając kolejne szafki, a potem szuflady. Kiedy wyciągnęła srebrne sztucce, by sprawdzić, co jest pod nimi, uzmysłowiła sobie, że ulega panice.

W kuchni nie było żadnej książki kucharskiej.

Jak, do diabła, miała więc gotować?!

Otworzywszy drzwi do spiżarni, spojrzała na starannie ułożone na półkach zapasy. Znowu poczuła mdłości. Żywność była zapakowana w duże worki, stojące obok siebie i zawiązane sznurkiem. Zobaczyła tam też setki słoików z kolorowymi nalepkami, jak w osiemnastowiecznym laboratorium. Na każdym widniała wyraźna data, jakby była ona ważniejsza niż zawartość słoika.

Tessa poczuła niepokój. Zaciśnęła powieki, szukając pomocy opatrności. W porządku, wierzę w reinkarnację. A więc doznania pozazmysłowe także istnieją. Mamo, daj mi jakiś przepis. Albo ty, Carol. Nie bądź taka nieśmiała. Wpadnij na chwilę.

Mijały długie minuty, ale nie było odpowiedzi.

Najwyraźniej zmarli krewni i aniołowie stróże są jak policjanci: nigdy nie zjawiają się wtedy, gdy ich potrzebujemy.

Tessa otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą pękaty worek mąki.

Hm... Co robi się z mąki?

Chleb. Natychmiast odrzuciła ten pomysł. Nie umiała może, gotować, ale świetnie orientowała się w cenach. Kuchenka do wypieku chleba kosztowała dwieście dolarów, musiało to więc być bardzo pracochłonne zajęcie. Powinna zacząć od czegoś prostszego.

Bułeczki! Tak, tego mogła spróbować.

Uśmiechając się promiennie, wyjęła produkty, których potrzebowała: mąkę, sól, jajka i mleko. Złożywszy to wszystko na stole, wzięła się do pracy.

Dwie godziny później wśród sterty mąki leżało pięć starannie wyciętych krążków ciasta wielkości naleśnika. Krzywiąc się, spróbowała kawałek największego z nich. Poczowała skurcz w żołądku.

- Starczy tego! - wymamrotała. Ogarniały ją mdłości. Po sześciu próbach uzyskania odpowiedniej proporcji składników miała już w brzuchu tyle ciasta, że wystarczyłoby go do zrobienia dużej pizzy.

Nie obchodziło jej, czy bułeczki będą smakowały jak podszawa. Po prostu miała już dość.

Otarła wierzchem dłoni pot z czoła i odgarnęła biały od mąki kosmyk włosów. Wyprostowawszy się, odłożyła na bok wałek do ciasta i otrzepała ręce, po raz pierwszy od dwóch godzin podnosząc wzrok znad stołu.

Kuchnia wyglądała... katastrofalnie. Trudno to było określić innym słowem. Po podłodze walały się dziesiątki garnków i rondli, o których istnieniu zapomniała, szukając blachy do pieczenia bułeczek. Cały stół był w mące. Pokrywała ona również, jak warstwa świeżo spadłego śniegu, deski podłogi. Pod sufitem unosił się dym.

Najwyraźniej gotowanie nie jest czystym zajęciem.

No cóż, pomyślała, gdzie drwa rąbia, tam wióry lecą. Wróciwszy do rozgrzanego już piecyka, przyciągnęła do siebie wielki żelazny garnek. Zazgrzytał głośno o metalową powierzchnię.

Uniosła pokrywkę i wsypała do niego pokrojone wcześniej ziemniaki, cebulę i marchewkę. Odłożywszy pokrywkę ostrożnie na bok, napełniła garnek wodą, posoliła ją i wrzuciła do niej kawał mięsa, który znalazła w pojemniku wiszącym nad zlewem.

Obserwowała przez chwilę, jak się gotuje, po czym wsunęła ręce do kieszeni fartucha i powoli się odwróciła. Skrzywiła się, patrząc znów na potworny bałagan, jaki panował w kuchni. Poczowała się zmęczona już samym tym widokiem.

Wzdychając ciężko, podeszła do stołu i opadła na twarde drewniane krzesło. Wiedziała, że jeśli szybko nie weźmie się za porządkę, uśnie na siedząco.

Podźwignęła się z wysiłkiem, wyciągnęła spod zlewu dwa wiadra i wyszła z domu.

Było piękne popołudnie. Bujna łąka z tysiącami kolorowych polnych kwiatów porastała zbocze wzgórza, opadające łagodnie w kierunku morza. Daleko w dole lśniły stalowobłękitne wody cieśniny Haro. Promienie słońca złociły szeleszczące cicho liście starego dębu.

Tessa przymknęła oczy, nasłuchując odgłosów wiosny: szczebiotu ptaków, świstu wiatru, szelestu liści, brzęczenia pszczół. Przez tyle lat żyła w świecie ciszy, że brzmiały one w jej uszach jak symfonia. Żaden koncert w Carnegie Hali nie byłby piękniejszy.

Nucąc sobie pod nosem, podeszła powoli do beczki z wodą i otworzyła ciężką drewnianą pokrywę. Krystalicznie czysta niebieskozielona tafla zaśniła w słońcu.

Dźwiganie i podgrzewanie szesnastu wiader wody trwało całą wieczność, ale gdy napełniła w końcu znalezionej w szopie miedzianą wannę, wiedziała, że jej trud się opłacił.

Zdjąwszy sukienkę i rzuciwszy ją na najbliższe krzesło, zanurzyła się z rozkoszą w kąpieli.

Woda była zaledwie letnia, ale Tessa czuła się bosko. Wymyła włosy i całe ciało lawendowym mydłem, a potem oparła głowę o brzeg wanny i zamknęła oczy. Odpręży się przez kilka minut, zanim zacznie sprzątać kuchnię...

Sama nie wiedziała, kiedy zasnęła.

ROZDZIAŁ 7 -- Wchodząc do domu po chwiejnych schodach, Jack był potwornie zmęczony. Stał przed zamkniętymi drzwiami, przygotowując się psychicznie na spotkanie z Amarylis. Nie było to łatwe. Musiał zdobyć się na całkowitą obojętność wobec żony. Zebrawszy siły, otworzył drzwi i wkroczył do środka, wpadając wprost na miedzianą wannę. W przesyconym wilgocią pomieszczeniu rozbrzmiał echem metaliczny brzęk.

Jack spojrzał w dół i zmartwił.

Amarylis spała w wannie. Ręce zwisały jej swobodnie aż do podłogi. Z kaskady jasnych włosów kapała na deski woda. A jej skóra... Dobry Boże!

Pod powierzchnią krystalicznej wody widać było zarys jej różowych piersi. Jack poczuł nagły przypływ pożądania. Boże, pamiętał przecież jeszcze dotyk jej ciała, nie zapomniał, jaka była kiedyś czuła i uległa.

Kłamka wyslizgnęła się z jego pozbawionych czucia palców i otwarte drzwi uderzyły z hukiem o ścianę.

Tessa ocknęła się raptownie.

- Co? Co się dzieje?

W tym momencie Jack zauważył, jak wygląda kuchnia, i gniew wzięły w nim górę nad pożądaniem.

- Boże wszechmogący!

- Jack? - odezwała się sennie Tessa. - Wiem, że to ty. Wszędzie rozpoznałabym ten czarujący głos.

- Wygląda tu jak po przejściu tornada. Co robiłaś, do cholery?!

- Jack! - Tym razem wykrzyczała jego imię, jakby dopiero zdała sobie sprawę, że jest naga. Chwyliła ręcznik i zasłoniła się nim.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwił się.

Wstała powoli, przyciskając do piersi mokry ręcznik.

- Gotowałam obiad.

- Przecież nie umiesz gotować!

- Śmiało możesz to powtórzyć!

- Powiedziałem, że...

Wybuchnęła śmiechem.

- Nie bierz tego dosłownie.

- Do diabła, Amarylis! Wiesz, że nie cierpię bałaganu!

Spojrzała na niego, całkiem już rozbudzona. Starła się nie okazać, że jej pożąda, ale chyba zdążyła to zauważyć. Przestała zaciskać kurczowo w dłoniach ręcznik i podeszła do niego.

- Ty się boisz! - powiedziała cicho pełnym zdumienia głosem.

Jack znieruchomiał i próbował się cofnąć, ale stopy miał jak przytwierdzone do podłogi. Stał w miejscu, wstrzymując oddech. Jego zmysły były tak wyostrome, że słyszał każdą kroplę wody, skapującą do wanny z nagich nóg Amarylis. Jej łagodny, przyspieszony oddech budził w nim bolesną, palącą żądzę.

Unikał jej wzroku, wpatrując się tępo w piecyk. Zdołał zachować spokój, choć czuł straszliwe napięcie i rozpaczliwie pragnął uciec.

Amarylis dotknęła go tak delikatnie, że zauważył to dopiero

po chwili. Poczł się, jakby go spoliczkowała. Chwycił ją za rękę i syknął nieprzyjemnie szorstkim głosem:

- Przestań!

Rzuciła mu ogniste spojrzenie.

- Chyba wiem, jaki jesteś.

Jej miękki południowy akcent przyprawił go o dreszcz, który poczuł aż w lędźwiach. Otworzył usta, aby cokolwiek powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

- Mam na myśli twoje zamiłowanie do porządku - ciągnęła. - Jesteś typem faceta, który maluje farbą rozsypującą się ścianę i uważa, że ją odnowił.

Emanował od niej upojny zapach lawendy. Miał nieodpartą ochotę jej dotknąć, poczuć jedwab jej skóry.

- To nie w moim stylu - szeptała, patrząc mu ciągle prosto oczy. - Mogę narobić bałaganu, czasem wręcz potwornego, ale gdy kończę remont, ściana jest naprawdę nowa. Mocna i trwała.

Jack czuł się tak, jakby jakaś siła wciągała go w bezdenną przepaść. Wiedział, że lada chwila może pograżyć się w otchłani jej piwnych oczu i wtedy już nic go nie ocali. Ostatkiem sił chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie.

- Posprzątaj ten cholerny bajzel.

- W porządku.

Jej ugodowy ton zbił go z tropu. Marszcząc czoło, dodał:

- I nie buduj mi tu żadnych ścian.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Bez obawy, Jack. Wygląda na to, że najpierw muszę kilka wyburzyć.

Parę godzin później, gdy kuchnia była już wysprzątana, Tessa stała pod dębem, trzymając w objęciach Kaleba i czekając na powrót dziewczynek ze szkoły. Chłodny popołudniowy wietrzyk kołysał trawami i podwiewał jej spódnice. Rzeńskie

wiosenne powietrze przesycone było zapachem świeżo zoranej ziemi, zielonych pędów i kwitnących kwiatów.

Tym razem jednak Tessa nie zachwycła się pięknem przyrody. Myślała cały czas o Jacku.

Kołysała Kaleba w ramionach, nasłuchując świstu wiatru.

Wydarzyło się dzisiaj coś nieoczekiwanego. Kiedy do niej podszedł, poczuła... pożądanie.

Doświadczyła w życiu bardzo wiele. Nie była dziewicą, ale seks nigdy szczególnie jej nie pociągał. Może dlatego, że brakowało jej urody, a może z powodu głuchoty, która utrudniała intymne związki.

Dzisiaj Jack wywołał w niej jakąś dziwną przemianę. W chwili gdy spotkały się ich spojrzenia, poczuła się jak rażona piorunem. Powietrze falowało od zmysłowych fluidów. Wiedziała, że Amarylis była atrakcyjna. Przekonała ją o tym lustro. Ale dla Tessy było to nieistotne. Nauczyła się dawno cenić tylko wewnętrzne piękno.

Dzisiaj jednak dostrzegła w oczach Jacka dziką żądzę.

Była zdumiona, uzmysłowiwszy sobie, ile to dla niej znaczy. Jakie zrobił na niej wrażenie. Bez namysłu podniosła się z wanny, przyciskając do mokrego ciała ten idiotyczny ręcznik, jakby chciała bronić swojej cnoty.

Nie umiała oprzeć się jego hipnotyzującemu spojrzeniu. Nie powinna być zaskoczona, że Jack tak ją fizycznie pociąga, a jednak była. Sądziła dotąd, że darzy go tylko współczuciem i chce mu ulżyć w cierpieniach. Teraz dostrzegła całą prawdę: budził w niej gwałtowne pożądanie.

Po raz pierwszy nie widziała w nim zbolełego ojca ani wroga, tylko mężczyznę. A ona nie była krępa, zalękniona, pozbawiona słuchu samotniczką ani przyszywaną matką jego dzieci, lecz kobietą, która czuła do niego pociąg.

Poruszała się z gracją jak nigdy przedtem i kusiła go uwodzicielskim spojrzeniem.

Kiedy go dotknęła - a właściwie ledwie musnęła dłonią - miała wrażenie, że dotyka żywego płomienia.

Co ja, u licha, opętało? Wiedziała, że Jack nienawidzi żony. Zrozumiała to w chwili, gdy pierwszy raz na nią spojrział.

Ale teraz dowiedziała się czegoś więcej. Czegoś niebezpiecznego, zaskakującego i przerażającego.

On jej pożądał.

Jeszcze bardziej zatrważający był fakt, że ona także go pragnęła.

- Mamo!

Krzyk Savannah wyrwał Tessę z zamyślenia. Uniósłszy głowę, zobaczyła obie dziewczynki biegnące w jej kierunku.

- Co tu robisz, mamo? - spytała Savannah, ściskając w ręce stalową rączkę pudełka na kanapki.

Katie schowała się pospiesznie za spódnicą siostry i wyglądała ostrożnie zza jej łokcia.

- Jest tak pięknie, że postanowiłam zaczerpnąć przed kolacją świeżego powietrza — odparła Tessa.

Sawanna pobladła.

~ Och, zaraz przygo...

- Zupa jest już gotowa.

Dziewczynki oniemiały z wrażenia.

- Nie wiem, jak będzie smakowała - stwierdziła ze śmiechem Tessa. - Ale postanowiłam coś ugotować. Idźcie się trochę pobawić. Powiem wam, kiedy trzeba będzie pozmywać.

Dziewczynki nie ruszyły się z miejsca.

- Jak to? - wyjąkała w końcu Savannah.

Jej pytanie zbiło Tessę z tropu. Spojrzała zaskoczona na obie dziewczynki. Ich smutne przerażone spojrzenia raniły jej serce. Tak bardzo pragnęła im pomóc, ulżyć ich cierpieniom. Ale w jaki sposób? Nigdy nie miała do czynienia z dziećmi. Jeśli powie coś niestosownego, wszystko zepsuje. Niewątpliwie

lepiej było poczekać i przeanalizować dokładniej sytuację, zanim zaczniesz działać.

Nagle ją olśniło. Była przecież ich matką! Dla dziewczynek nie miało znaczenia, że nie jest przygotowana do macierzyństwa. Były samotne i przestraszone, a ich rodzice nie zwracali na to uwagi. Do tej chwili.

- Może byśmy tak nazrywały razem polnych kwiatów? - zapytała ostrożnie.

- Naprawdę? - Niebieskie oczy Savannah zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

Tessa wiedziała, że trafiła w dziesiątkę.

- Tak, naprawdę.

Dziewczynki podeszły do niej.

- Chwileczkę - powiedziała.

Obie siostry znieruchomiały, wyraźnie przerażone.

Tessa zmarszczyła czoło. Co Jack i Amarylis robili, że dziewczynki były takie bojaźliwe? Uśmiechnąwszy się lekko, oznajmiła:

- Zostawcie tutaj książki i pudełka na kanapki. To warunek dobrej zabawy. Musicie mieć wolne ręce.

Podeszły do werandy, kładąc pudełka i książki na najniższym stopniu schodów. Potem odwróciły się powoli.

Tessa uśmiechnęła się, odzyskując wiarę w siebie.

- W porządku, chodźmy.

Próbowała cały czas żartować, spacerując z dziewczynkami po łące. Białe promienie popołudniowego słońca oświetlały zielone wzgórza i dziesiątki wielobarwnych kwiatów. Delikatna bryza znad cieśniny kołysała wysokimi trawami.

- To dzika róża - wyjaśniła Tessa, wskazując na zakwitający właśnie wąty krzew. - Wykopię ją i zasadzę koło domu. Dzięki temu, siedząc wieczorami na werandzie, będziemy patrzeć, jak kwitnie.

My nigdy nie siedzimy wieczorem na werandzie - stwierdziła rzeczowo Savannah.

- No cóż, to się zmieni. O, zobaczcie!

Tessa objęła mocniej Kaleba i pospieszyła w kierunku kilku rosnących w pobliżu klonów.

- O co...

- Chodźcie tu.

Tessa przykucnęła i odszukała kilka skrzydlatych nasionek klonu. Dziewczynki przyglądały się z zaciekawieniem, jak je zbiera. Wyprostowawszy się, przełożyła sobie Kaleba na lewą rękę i rzuciła jedno z ziarenek w powietrze. Wirowało i krążyło na wietrze jak helikopter, zanim opadło powoli na ziemię.

- Teraz wy - powiedziała, podając dziewczynkom nasionka.

Savannah spojrzała na nie zdumiona.

- Mam rzucać je w powietrze? Po co?

- Dla zabawy.

- Aha. - Savannah uniosła brwi.

Tessa wzięła do ręki kolejne nasionko i pstryknęła w nie mocno. Zawirowało wokół własnej osi i uderzyło ją w policzek.

- Au! - Przyłożyła rękę do twarzy i osunęła się spektakularnie na ziemię.

Savannah i Katie natychmiast do niej podbiegły.

- Mamo! Nic ci się nie stało?

Tessa uśmiechnęła się szeroko.

- Jeszcze żyję.

Nastąpiła chwila pełnej zdumienia ciszy, po czym dziewczynki wybuchnęły śmiechem. Tessa poczuła przyływ ogromnej radości. Nigdy nie zapomniała, jak brzmi śmiech, nawet gdy ogłuchła.

Podniosła się z ziemi, mówiąc:

- W porządku. Widzicie to drzewo? Zobaczymy, kto w nie trafi.

Dziewczynki zachichotały i stanęły obok niej, rozpoczynając zawody w strzelaniu nasionkami klonu do celu.

Niedługo potem Tessa wygładziła starannie pięknie haftowany obrus i położyła ostrożnie na stole niebieskie porcelanowe talerze i srebrne sztuce. Dokładnie na środku stanął wazon z różowo-fioletowymi polnymi kwiatami, a obok niego metalowe pudełeczka z solą i pieprzem.

Wszystko wyglądało idealnie.

Pogwizdując cicho, Tessa wróciła do sypialni, otworzyła szafę i spojrzała na starannie poukładane rzeczy.

Chciała włożyć coś specjalnego. Spędziwszy z dziewczynkami cudowne popołudnie, odzyskała nagle chęć do życia. Odnalazła swoje miejsce i mogła nareszcie coś zdziałać. Tego wieczoru mieli zjeść pierwszą rodzinną kolację, pragnęła więc wyglądać jak najlepiej.

Wyciągnęła najpierw długie do kostek muślinowe spodnie, związane w pasie i szerokie w kroczu.

- Dosyć śmiałe - mruknęła, rzucając je na podłogę.

Następny był gorset z fiszbinami, mający kształt klepsydry i rozmiar odpowiedni dla lalki Barbie. Wylądował na podłodze obok spodni. Nie zamierzała ścisnąć sobie brzucha czymś takim tuż po porodzie.

Wydobywając z szafy kolejne rzeczy, Tessa zaczęła coraz wyraźniej uświadamiać sobie dwie sprawy: po pierwsze, nie wejdzie w żadną sukienkę, jeśli nie włoży gorsetu; po drugie, kobiety w 1873 roku zupełnie nie dbały o wygodę.

Zdjawszy zabrudzoną mąką sukienkę, rzuciła ją na stertę rzeczy obok szafy i włożyła szybko muślinowe spodnie, zakrywając je długą do ziemi, obrębianą koronkami muślinową spódnicą. Na koniec ubrała się w krótką, wyciętą pod szyją, białą bluzkę bez rękawów, która wyglądała jak z wiosennej kolekcji Ralph Lauren.

Wróciła do umywalki i przejrzała się w lustrze. W powiewnym białym stroju wyglądała niewiarygodnie kobieco i pięknie.

Zadowolona z siebie poszła z sypialni do kuchni. Sprawdziwszy, czy wszystko jest gotowe do kolacji, zawołała dziewczynki.

Wybiegły ze swego pokoju. Gdy tylko Savannah zobaczyła Tessę, stanęła jak wryta. Katie zachichotała głośno, wpadając na siostrę.

- O co chodzi? - spytała Tessa, unosząc brwi.

Savannah spojrzała nerwowo w kierunku drzwi, jakby bała się, że ojciec lada chwila wejdzie.

- Jesteś w samej... bieliźnie.

Tessa popatrzyła na siebie zaskoczona.

- Naprawdę? To wszystko bielizna?

Dziewczynka skinęła głową.

Tessa Wybuchnęła śmiechem.

- Ale numer! To powinno zwrócić uwagę Jacka, nie sądzicie?

Savannah zaczęła coś mówić, ale spojrzawszy na stół w kuchni, zrobiła wielkie oczy.

- Jeszcze coś nie w porządku? - zapytała Tessa.

- Ten obrus jest tylko na specjalne okazje. Śmy go nie używali, odkąd wielbny Weekes przyszedł do nas na obiad w zeszłym roku.

Tessa skrzywiła się, słysząc „śmy go” i zanotowała w pamięci, że trzeba będzie trochę popracować nad ich językiem.

- Jaki dziś dzień?

- Czwartek.

- Więc do niedzieli niedaleko. Umyjcie teraz ręce. Zaraz przyjdzie tata.

Jack podsunął do góry sfatygowany szary kapelusz i otarł pot z czoła. Mrużąc oczy w świetle zachodzącego słońca, spojrzał na ogrodzenie, które zbudował tego dnia.

Boże, jakże lubił pracować samotnie w polu, jak za dawnych czasów. Nie odczuwał tu strachu ani goryczy. Nikt niczego od niego nie żądał ani nie patrzył na niego z wyrzutem czy nienawiścią. Nie nazywał się Jackson Beauregard Rafferty III. Był po prostu starym Jackiem Raffertym, hodowcą owiec z wyspy San Juan, a nie wydziedziczonym tchórzliwym synem najbogatszego plantatora w Georgii.

Nie po raz pierwszy czuł dławiący żal. Mogli tu szczęśliwie żyć. Gdyby tylko Amarylis dała mu szansę! Stało się jednak inaczej. Dziesięć sekund po wylądowaniu w zatoce Garrison wyraziła machnięciem ręki pogardę dla wyspy i wszystkich jej mieszkańców. Stwierdziła, że tylko nędzarze mogą mieszkać w tak odludnym miejscu, a ona, Amarylis Rafferty, nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Jack widział, jak Savannah skrzywiła się, słysząc słowa matki. Dostrzegł ból w jej oczach. Ból, który narastał potem z każdym dniem. Nie pamiętał już jej beztroskiego spojrzenia.

Stał tak dłuższy czas, przyglądając się, jak wiatr targa złociste trawy i marszczy powierzchnię wody w cieśninie. Liście zaszeleściły cicho nad jego głową, a potem znieruchomiały i zaległa niemal nienaturalna cisza.

Otarłszy po raz ostatni pot z czoła, ruszył na kolację. Gdy okrążył stodołę i zobaczył dom, jego dobry nastrój prysnął. Poczł skurcz w żołądku.

Minąwszy podwórko, wszedł powoli na schody. Z każdym krokiem czuł narastające napięcie. Po incydencie z kąpielą był jak człowiek balansujący na linie nad przepaścią. Jeden fałszywy krok i lata heroicznego wysiłku mogły pójść na marne.

Wciągnąwszy głęboko powietrze, otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Cześć, Jack. Witaj w domu.

Ujrzawszy żonę, nie potrafił ukryć zdumienia.

- Jesteś w samej...

- Bieliźnie. Wiem. Savannah już mi to powiedziała. - Jej piwne oczy zalśniły figlarnie. - *C'est la vie.*

- Se la co?

- To znaczy: takie jest życie. W każdym razie moje cy... - spojrzała na dziewczynki i poprawiła się - ...moje piersi są zakryte, więc o co chodzi?

Obie siostry zasłoniły rękami usta, tłumiąc śmiech.

Jack rozejrzał się po kuchni za czymkolwiek, co odwróciłoby jego uwagę od kuszących kształtów Amarylis.

- Nakryłaś stół świątecznym obrusem - mruknął.

Idiotyczna uwaga, Jack - pomyślał natychmiast. - Ona zaraz ściągnie go ze stołu i rzuci w...

- Teraz jest czwartkowy.

- Co? - Uniósł brwi.

- Teraz to czwartkowy obrus. Jutro będzie piątkowy. A potem zrobimy sobie piknik. Jak uważacie, dziewczynki? Nie byłoby przyjemnie zjeść w sobotę obiad na trawie?

- Chyba żartujesz!

- Oczywiście, może padać, więc musimy mieć awaryjny plan, na przykład posiłek w stodole.

Jack zaczął się nagle zastanawiać, czy jego żona nie uderzyła się w głowę albo nie spadła ze schodów.

- Amarylis? Nic ci nie jest?

- Dobrze, że poruszyłeś ten temat. - Pochyliła się nad stołem, by zebrać talerze.

Jacka zaczynała boleć głowa. Czuł potworne pulsowanie w skroniach. Na pewno sobie z niego drwiła. Na pewno...

Potaął grzbiet nosa i zacisnął powieki, starając się zachować spokój. Gdy uznał, że zdoła coś powiedzieć, nie podnosząc głosu, zapytał:

- Jaki temat, Amarylis?

- Nie cierpię swojego imienia. Dlaczego jej... to znaczy moja matka wymyśliła coś takiego?

Jack patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

- Zawsze ci się podobało. Mówiłaś, że świadczy o dobrym południowym rodowodzie.

- Rodowodzie? Czy ja jestem klaczą? Chodź ze mną.

Nie czekając, podeszła do kuchenki.

Jack niechętnie podążył za nią.

Zajrzawszy do garnka, zaczęła nalewać na talerze zupę.

- Wracając do mojego imienia... Hm, wyszło trochę za rzadkie.

Jack z trudem nad sobą panował.

- Twoje imię?

Tessa Wybuchnęła szczerym, dźwięcznym śmiechem, który j przyprawił go o jeszcze silniejszy ból głowy. >

- Oczywiście, że nie. Zupa jest za rzadka. Moje imię jest po prostu brzydkie. Myślałam o tym ostatnio i postanowiłam je zmienić... przynajmniej trochę. Na coś bardziej zwyczajnego. -Zamilkła, marszcząc czoło. -Jak sieje właściwie pisze?

Jack dopiero po kilku sekundach poczuł się na siłach powiedzieć:

- A-M-A-R-Y-L-I-S.

- Hm... To trochę ogranicza moje możliwości. Wolałabym być, na przykład... Tessą, ale nie przesadzajmy. Zaczynając nowe życie wypada zmienić imię. Co powiesz na Amy?

Jack był przekonany, że to retoryczne pytanie, ale i tak nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Nie - stwierdziła wreszcie Tessa. - Brzmi za infantylnie. Imię Mary jest z kolei zbyt pospolite, a Maryl pewnie jeszcze nie wymyślono. - Zmrużyła oczy. - Już wiem! Liza! - Podniosła wysoko głowę i spojrzała mu w oczy. - Od dzisiaj będę Liza, zgoda?

Stali tak blisko siebie, że Jack czuł na ustach jej oddech. Miał ochotę się cofnąć. Widząc uśmiech żony, poczuł w łędźwiach falę gorąca. Wyciągnęła nagle rękę, próbując go dotknąć.

Tym razem odsunął się od niej raptownie, mówiąc przez zaciśnięte zęby:

- Liza brzmi dobrze.

- Świetnie! Cieszę się, że to ustaliliśmy. A teraz usiądźmy do stołu.

- Razem? - Savannah nie kryła zdumienia.

Tessa postawiła na stole talerze.

- Oczywiście, że razem. Jesteśmy przecież rodziną.

Jack spojrział na nią z niechęcią.

- No proszę. Kolację też ulepszyłaś.

Tessa wysunęła krzesło i usiadła, wskazując mu miejsce naprzeciw siebie.

- Ty chodź tutaj, Jack. Jesteś głową rodziny.

Prześlizgnął się koło niej, uważając, by nie dotknęła go nawet małym palcem.

- Savannah i Katie, usiądźcie obok taty.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, podeszła do piecyka i otworzyła go. Owionęła ją fala gorąca i zapach pieczonego ciasta. Chwyciwszy ręcznik, wyciągnęła ciężką blachę, postawiła ją na stolnicy, zatrzasnęła biodrem drzwiczki kuchenki i spojrzała z dumą na swoje dzieło.

Nagle uśmiech na jej twarzy zbladł.

Bułeczki były całkiem płaskie.

Stała nad nimi przez dłuższy czas, przyglądając się swojej klęsce i na próżno próbując dociec, gdzie popełniła błąd. Po kilku minutach Savannah odeszła od stołu i zajrzała jej przez ramię.

- Ojej, w ogóle nie wyrosły. I są chyba twarde. Pewnie zapomniałaś dodać sody.

- Och... - Tessa była przez chwilę rozczarowana, ale lata naukowych eksperymentów zdołały ją zahartować. Wpadła nagle na pewien pomysł. - To nie są bułeczki, tylko... Później ci wyjaśnię. Usiądźmy.

Cała czwórka zajęła miejsca przy stole jak prawdziwa rodzina. Patrzyli wszędzie, tylko nie na siebie. Ich rozbiegane spojrzenia przemykały we wszystkich kierunkach. Najwyraźniej nikt nie wiedział, jak się zachować.

- Weźmy się za ręce - powiedziała Tessa głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- Ale... - zaczęła Savannah.

- Bez dyskusji.

Tessa wyciągnęła ręce do obu dziewczynek. Ujęła małą, pulchną, różową dłoń Katie, ściskając czule jej drżące, zimne paluszki. Potem wzięła za rękę Savannah.

Jack wpatrywał się w stojące na stole kwiaty, trzymając dłonie na kolanach. Przez chwilę Tessa sądziła, że do nich nie dołączy. Miała właśnie się do niego odezwać, gdy wyjął ręce spod stołu i podał je dziewczynkom.

Tessa pochyliła głowę i zaczekała, aż wszyscy uczynią to samo. Potem powiedziała:

- Podziękujmy Bogu za dary, które mamy otrzymać. Amen.

- Amen - mruknęli pozostali, natychmiast cofając ręce.

Tessa westchnęła, wyjęła spod sztucców serwetkę i położyła ją sobie na kolanach. Spróbowałszy łyżkę zupy, zmarszczyła czoło.

Smakowała jak woda, która stała za długo w słońcu. Nie, była bardziej słona. Przypominała raczej morską wodę.

Sięgnęła po pieprz i doprawiła ją.

- Co zrobiłam nie tak, Savannah?

- Wszystko w porządku, mamó. Jest wyśmienita.

Tessa zaśmiała się beztrząsko.

- Jasne, jeśli ktoś lubi brudne pomyje...

Dziewczynka z trudem hamowała uśmiech.

- Warzywa i mięso są dobre. Może następnym razem powinnaś dodać trochę mąki. Zupa będzie gęściejsza.

- Na pewno znajdziesz mąkę - mruknął Jack.

SZANSA

Tessa uniosła ze zdumieniem głowę.

Uśmiechał się do niej przez ułamek sekundy, po czym znów zrobił ponurą minę.

Tessa czuła się jak ogłuszona. Obraz jego uśmiechu zapadł głęboko w jej zalęknioną, mroczną duszę jak drżący promyk światła. Jackowi nie brakowało poczucia humoru, a śmiech zawsze rodził nadzieję.

Po raz pierwszy od chwili poznania tego człowieka pomyślała, że być może naprawdę się w nim zakocha. Być może...

ROZDZIAŁ 8

Gdy skończyli kolację i pozmywali naczynia, Tessa klasnęła w dłonie, by skupić uwagę domowników.

Jack spojrzał na nią podejrzliwie.

- Co teraz? Mamy nazywać cię królową Wiktoria?

- Vicky brzmi całkiem dobrze - odparła z uśmiechem.

- Mamo, co mam zrobić z tymi... - Savannah przyglądała się płaskim, brązowym krążkom na stolnicy, jakby nie mając pewności, czy zasługują na miano bułeczek.

- Dobrze, że mi przypomniałaś - odparła Tessa, rzucając moką szmatę do mycia naczyń na krawędź zlewu. - Sprawdzę, czy Kaleb śpi, a wy czekajcie na mnie przy huśtawce pod drzewem. Zaraz tam będę.

Savannah popatrzyła na nią z przerażeniem.

- Ale...

- Co ty znowu, do cholery... - wtrącił się Jack.

Tessa puściła to mimo uszu.

- Idźcie wszyscy. Za minutę do was dołączę. - Kiedy nie ruszyli się z miejsca, spojrzała wymownie na męża. - Mogłam zrobić coś innego. Na przykład trzywarstwowy tort.

Jack wzdrygnął się.

- W porządku, dziewczynki, idziemy.

Wyszli z domu jak milczący urażeni żołnierze. Tessa zajrzała do Kaleba, po czym chwyciła blachę z bułeczkami i wybiegła na dwór.

Rzeźkie, przesycone solą powietrze wprawiło ją w radosne podniecenie. Światło księżyca oświetlało trzy postacie, stojące na niewielkim podwórku. Za nimi widać było ciemne kontury zabudowań gospodarczych i majaczącą w oddali czarną bryłę stodoły.

Tessa rozejrzała się.

- Czy my mamy psa?

Katie zaśmiała się nerwowo.

- Nie, nie mamy - odparł Jack, mrużąc oczy.

- Szkoda. - Podkasała spódnicę i opierając o biodro ciężką blachę, zesła ostrożnie po schodach. — Chodźcie tu wszyscy. Będziemy grali w latające krążki.

Zbliżyli się do niej niechętnie. Postawiła garnek na ubitej ziemi.

- Savannah, podbiegnij do kurnika. Rzucę ci jeden krążek.

Gdy dziewczynka spełniła polecenie, Tessa zdjęła z blachy okrągłą twardą bułę.

- Uwaga! ~ krzyknęła, wyrzucając ją wprawnym ruchem przed siebie.

Jasnobrazowy krążek poszybował w powietrzu.

- Złap go! - zawołała głośno.

Savannah wyciągnęła wysoko rękę, ale buła musnęła opuszki jej palców i rozbił się o ścianę kurnika. Twarde jak kamień kawałki ciasta rozprysnęły się na wszystkie strony.

- Czy ściana się nie zawaliła?! - krzyknęła Tessa.

Stojąca przy niej Katie zasłoniła usta ręką, tłumiąc śmiech.

Tessa dotknęła jej ramienia, mówiąc cicho:

- A więc potrafisz się śmiać.

Dziewczynka spojrzała na nią. W skąpym świetle jej piwne

oczy wydawały się ogromne na tle drobnej i bladej owalnej twarzy.

- Mogę spróbować? - zapytała tak drżącym głosem, że Tessę ścisnęło coś w sercu.

- Oczywiście. Stań przy kurniku, a ja rzucę ci krążek.

Katie podbiegła do siostry i odwróciwszy się, wyciągnęła rękę.

Rzucona lekko buła poszybowała w powietrzu i wylądowała w jej małych dłoniach.

- Złapałam, Savannah! Złapałam!

Tessa była tak zajęta obserwowaniem dziewczynek, że nie zauważyła, kiedy podszedł do niej Jack.

- Co ty robisz?

Drgnęła zaskoczona i odwróciwszy się, niemal wpadła mu w objęcia. Przez ułamek sekundy widziała w jego oczach błysk, po chwili jednak przesywał ją już chłodnym spojrzeniem.

- Odpowiedz, do cholery!

Jego obecność wprawiała ją w dziwne wibracje. Czuła ściskanie w gardle. Przez chwilę nie mogła oddychać.

Przenikające przez gałęzie światło księżyca oświetliło ich twarze. Stali w bezruchu bardzo blisko siebie, starannie unikając jednak fizycznego kontaktu.

Tessa podniosła wzrok i dostrzegła jego niespokojne spojrzenie.

On się boi! - uzmysłowiła sobie nagle z całą wyrazistością. Od dawna już ufała swemu instynktowi przy ocenianiu ludzi. Rzadko się myliła. Jack z jakiegoś powodu bał się żony, a jego sarkastyczne zachowanie stanowiło jedynie kamuflaż, sposób na utrzymanie bezpiecznego dystansu. Założyłaby się o każdą sumę, że tak właśnie było.

- Jack... - wyszeptła zamyślona jego imię.

Nie ruszył się z miejsca, mrużąc oczy i mierząc ją nieprzeniknionym spojrzeniem. Ich twarze były oddalone od

siebie o kilka centymetrów. Czuła męski zapach przesiąkniętej dymem wełnianej i skórzanej odzieży.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał cicho.

Przełknęła z trudem ślinę. Po latach głuchoty potrafiła uważnie słuchać. Ton głosu Jacka zdradzał uczucia, których normalnie słyszająca osoba nigdy by z niego nie wyczytała: strach, zmęczenie, rozpacz. I coś jeszcze, co szczególnie raniło jej serce.

Samotność.

W tym momencie wiedziała już, że może stać się częścią tej rodziny. Gdy wieczorem zrywała z dziewczynkami kwiaty i trzymała je za ręce podczas modlitwy przed posiłkiem, czuła się z nimi... związana.

To była ta powtórna szansa, którą dała jej Carol. Nie chodziło tak naprawdę o wcielenie się w postać innej kobiety w odległej epoce, lecz o przeżycie czegoś, o czym kiedyś mogła tylko marzyć, odkrycie tej strony własnej osobowości, o której istnieniu nie miała pojęcia.

Liczyło się też coś więcej. Wszyscy czworo uzyskali szansę, by sobie wzajemnie pomóc, uleczyć swoje rany.

Świadomość tego uskrzydlała ją, dawała nieznane dotąd poczucie odwagi i słuszności własnych poczynań. Mogła wziąć na swe barki cały świat - albo zaopiekować się przerażonym, bardzo samotnym człowiekiem.

Spojrzała Jackowi w oczy, wiedząc, że dostrzeże w jej spojrzeniu wszystkie nadzieje i marzenia kobiety, która zbyt długo była sama. Zdawała sobie sprawę, że śmiertelnie go wystraszy, ale nie potrafiła temu zaradzić. Nigdy nie umiała ukrywać uczuć.

Odsunął się od niej raptownie, unosząc ręce i kręcąc powoli głową.

- Nie pozwolę ci krzywdzić więcej naszych dzieci.

- Jack... - Wyciągnęła do niego dłoń.

Cofnął się, by nie mogła go dotknąć.

- Mówię serio - powiedział cicho. - Nie waż się ich skrzywdzić.

Tessa przyglądała się, jak odchodzi, i czuła w duszy coraz większy smutek.

Zdała sobie w tym momencie sprawę z ryzyka, jakie ponosi. Jeśli pokocha te dzieci i Jacka, w jej życiu wszystko się zmieni. Lecz jeżeli on ją odrzuci, będzie cierpiała jak nigdy dotąd.

Jack stał przy oknie, przyciskając czoło do zimnej szyby i przyglądając się, jak żona rzuca bułkami zakalcami do chichoczących córek.

Zacisnął mocno powieki, starając się nie myśleć, co się z nim dzieje. W jaki ona wprawia go stan swymi nieoczekiwanymi uśmiechami i przypadkowymi dotknięciami.

Wiedział, że musi zachować obojętność. Przed laty, gdy żona zaczęła go nienawidzić, nauczył się ukrywać ból i pożądanie pod maską lodowatego spokoju. Gdy Amarylis z niego drwiła, odwracał się od niej. Kiedy go policzkowała, nadstawiał drugi policzek.

To zawsze działało. Chodził po domu milczący i samotny, jak człowiek półżywy w świecie prawie umarłych. Po jakimś czasie przestała mu dokuczać. Wszyscy czworo żyli jak obcy sobie ludzie, nieznajdujący wspólnego języka.

Nie cierpiał tego, oczywiście, ale był to jedyny sposób, by zapewnić bezpieczeństwo jego ukochanym dzieciom. W tej kwestii byli z Amarylis zgodni: stanowił dla nich zagrożenie. Pamiętali oboje o jego dawnym obłędzie. Jeszcze teraz, wiele lat po psychicznym załamaniu, które przeżył, kładł się co noc spać ze strachem i budził się rano złany zimnym potem. Ciągłe się bał, że po zapadnięciu zmroku straci nad sobą kontrolę i kogoś skrzywdzi. Może nawet własne dzieci...

Godził się na wyobcowanie i brak kontaktu z tymi, których kochał, widząc w tym konsekwencję swego tchórzostwa i psychicznego upośledzenia.

Ale nagle coś zaczęło się zmieniać. Od dawna już, przez długi czas przed przyjściem na świat Kaleba, żaden z okrutnych pomysłów Amaryllis nie zdołał wyprowadzić go z równowagi. Obserwował jej manipulacje z dystansu, przewidując zawsze, co knuje. To dawało mu nad nią przewagę.

Teraz jednak tracił kontrolę nad sytuacją. Zaskakiwała go swoim zachowaniem. Za każdym razem, gdy robiła coś nieoczekiwanego, czuł się tak, jakby dostał cios w żołądek. Targały nim na przemian ból, wstyd i strach. Ale najsilniejszym z uczuć - tym, które doprowadzało go do szału - było pożądanie. Sądził, że zabiła je dawno swą nienawiścią, a jednak ciągle go pociągała. Drażniła jego zmysły i przepełniała duszę lękiem. Boże, gdy się uśmiechała, ogarniała go dzika żądza. Zdażył już prawie zapomnieć, jak wygląda jej uśmiech. Prawie...

Nie zwracaj na nią uwagi - powiedział sobie w duchu. Nie zważaj na jej nowe pomysły, uśmiechy, dotknięcia. Pamiętaj, kim jest i dlaczego cię nienawidzi.

Zza uchylonych drzwi dolatywał beztroski śmiech Savannah, wypełniając małą, ciemną kuchnię.

Jack jęknął i odsunął się od okna. Odwróciwszy się, zaczął chodzić wokół stołu, próbując nie zwracać uwagi na obrus i kwiaty.

Zmiany. Przeklęte zmiany...

Nie zwracaj na to uwagi.

Znowu rozległy się radosne okrzyki. Tym razem w chłodnym wieczornym powietrzu zadźwięczał śmiech jego żony.

Wiedziony bezbrzeżną tęsknotą, omal nie ruszył do drzwi, zdołał się jednak opanować.

- Błagam, Boże - wyszeptał. - Nigdy cię o wiele nie

prosiłem i wiem, że nie zasługuję na pomoc, ale potrzebuję twojego wsparcia. Nie pozwól, bym znowu jej zaufał. Błagam...

Tessa obudziła się w środku nocy, by nakarmić Kaleba. Na poły śpiąc, dała mu jeść, przewinęła go i położyła z powrotem do kołyski. Była już prawie w łóżku, gdy usłyszała dziwne odgłosy, dochodzące z salonu.

Znasz zasady.

Zabrzmiały jej w uszach słowa Jacka, przypominając, że nie powinna wychodzić z sypialni.

Spojrzała na drzwi. Dawna Tessa, wychowana w rodzinach zastępczych, nie kwestionowałaby jego poleceń. Zasad należy przestrzegać. Nie idzie się tam, gdzie nas nie chcą.

Ale tym razem podobne argumenty jej nie przekonywały. Zaszła w niej jakaś przemiana. Stojąc tego wieczoru obok Jacka w świetle księżycy i czując na ustach jego oddech, uświadomiła sobie, jak bardzo pragnie poznać tego człowieka, który był jej mężem. A mogła to osiągnąć tylko w jeden sposób: łamiąc zasady.

Włożywszy szlafrok, podeszła do drzwi i otworzyła je. Z salonu sączyło się do sieni blade światło.

Przeszła ostrożnie mrocznym korytarzem i wyjrzała zza framugi.

Jack siedział na kamiennym palenisku w czerwono-złotym blasku ognia. Między nogami trzymał duży kawałek drewna, powoli i równomiernie ociosując go nożem.

Tessa zmrużyła oczy, próbując dostrzec, co robi.

Był to koń na biegunach. Rozpoznała jego spiczaste uszy i trójkątną głowę.

Poczuła ból w sercu. Jack pracował samotnie w środku nocy, aby sprawić radość dzieciom, które tak bardzo kochał. Dzieciom,

z którymi nigdy nie rozmawiał i na które rzadko patrzył, przez cały czas dbając jednak o ich bezpieczeństwo.

Co się z tobą stało, Jacku Rafferty? Pytanie to nie dawało jej spokoju. Dlaczego tak bardzo się bał okazać jej miłość?

Próbowała stać w bezruchu i zachować milczenie, aby mu nie przeszkadzać, ale nie potrafiła się opanować. Podeszła do niego bez namysłu, wyciągając rękę w czułym geście.

- Jack?

Uniósł raptownie głowę.

- Amarylis? Co ty...

- Liza - poprawiła go cicho. - Nie mogłam zasnąć. - Usiadła na podnischzonej krawędzi sofy. - Co robisz?

- Proszę - powiedział zmęczonym, łamiącym się głosem. - Nie wciągaj mnie w swoją grę.

- Jaką grę?

- Tę, którą prowadzisz. Zostaw mnie i dzieci w spokoju.

- Nie lubisz się bawić? - zapytała tak cicho, że musiał się nachylić, by ją usłyszeć. - Może przydałoby ci się w życiu trochę rozrywki?

Dostrzegła rozpacz w jego oczach. Przeczesał drżącą dłonią włosy i odwrócił wzrok.

- Staram się, jak mogę - odparł niemal bezgłośnie. - Nie przyciskaj mnie do muru.

Te pełne bólu słowa ugodziły Tessę w serce. Czuła dławienie w gardle, widząc niemą udrękę w spojrzeniu Jacka.

Zrobiła krok w jego kierunku, ale natychmiast się zatrzymała. Musiała postępować z nim ostrożnie. Ten wieczór miał stanowić przełom w ich stosunkach i nie mogła popełnić błędu. Gdyby tylko wiedziała, jak do niego podejść...

Nagle Jack dzwignął się z miejsca i poszedł do kuchni. Koń na biegunach upadł z hałasem na twardą podłogę.

- Jack... - Wymówiła jego imię, nie zastanawiając się, co chce powiedzieć.

Nawet się nie obejrzał. Wyszedł pospiesznie z domu, zatraskując za sobą drzwi.

Tessa przez długi czas patrzyła w ślad za nim. Potem podniosła z podłogi niedokończony konia na biegunach. Dotykając palcami szorstkiego drewna, poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

Była pewna, że Jack przed czymś ucieka. Przed czymś mrocznym i groźnym, co budziło w nim śmiertelny lęk.

Był osamotniony w swych zmaganiach. Straszliwie osamotniony.

Musiała jakoś ulżyć jego cierpieniom, uświadomić mu, że nie zamierza go skrzywdzić. Gdyby stał się częścią rodziny i dzielił z nimi swe problemy, jego rany szybko by się zabiłżniły. Musiała znaleźć sposób, by zderzyć mu z twarzy maskę gniewu i odkryć jego prawdziwe oblicze.

Sprzątając następnego ranka spiżarnię, doznała nagle olśnienia.

Obmyśliła plan działania.

Pierwszy etap był pozornie prosty: zmusić Jacka do reakcji.

Wiedziała już teraz, że stara się bardzo usilnie trzymać na dystans żonę i dzieci. Bardzo je kochał, lecz bał się okazać uczucia.

Nie miała pojęcia, dlaczego jest taki agresywny, ale była niemal pewna, że to tylko poza. Sposób na to, by dzieci nie darzyły go miłością.

Musiała powoli, ostrożnie, zdjąć z niego ochronny pancerz. Zmusić go do udziału w życiu rodzinnym. Gdyby to osiągnęła, może by się trochę rozluźnił. Może spróbowałby nawet być wzorowym ojcem.

Wiedziała, jak on się czuje. Sama doświadczyła, co znaczy być poza nawiasem we własnej rodzinie. Wiedziała również,

jak czują się dziewczynki za każdym razem, gdy odwraca się do nich plecami lub unika ich spojrzeń. Jego obojętność raniła je jak skalpel. Będąc sierotą, obcą osobą w przybranej rodzinie, lessa przekonała się, czego potrzebują dzieci i jak cierpią, gdy brakuje im miłości, śmiechu i miejsca, w którym mogą czuć się bezpieczne. Savannah i Katie były tego wszystkiego pozbawione.

Przynajmniej dotychczas. Tessa postanowiła to zmienić. Znajdzie sposób, by w tym domu zagościła miłość i radość.

Radość. To był klucz do sukcesu. Musiała sprawić, by Jack zaczął się śmiać. Wydawało się to banalną sprawą, zbyt banalną, ale była pewna, że od tego wszystko zależy. Gdyby powściągnął swój gniew na dość długo, by się zaśmiać albo chociaż uśmiechnąć, może prawdziwy Jack wyszedłby wreszcie z ukrycia.

Tylko jak go skłonić do uśmiechu? To pytanie dręczyło ją przez pół nocy. Ale przed dziesięcioma sekundami, wycierając z kurzu słoik z marynatą, doznała nagle olśnienia.

Musiała zrobić coś nieoczekiwanego. Zaskoczyć go i zbić z tropu. Już raz jej się to udało, gdy zastał ją w kąpieli. Zobaczywszy ją naga, był tak wstrząśnięty, że zapomniał na chwilę o złości.

Teraz musiała doprowadzić go do podobnego stanu, będąc w ubraniu.

Była pewna, że sobie poradzi.

Należało tylko ustalić, czego Jack się po niej spodziewa. I postąpić odwrotnie.

Tessa czekała na ganku na powrót dziewczynek ze szkoły.
- Cześć! - zawołała radośnie, machając im ręką na powitanie.

Savannah uśmiechnęła się zdawkowo i odwzajemniła jej gest.

- Cześć, mammo.

Tessa podkasała ciężką spódnicę i zeszła pospiesznie schodach na porośniętą trawą podwórko.

- Czekałam na was. Mam wspaniały pomysł.

Katie zadarła głowę.

- Naprawdę? Jaki?

Tessa wzięła dziewczynki pod ramię i poszły razem w kierunku domu.

- Zobaczycie, ale najpierw chcę wam zadać kilka pytań.

Natychmiast okazały zaniepokojenie, zwolniły kroku i po chwili przystanąły.

Tessa uklękła w trawie i przygarnęła je do siebie.

- Nie martwcie się. To nic poważnego. Zastanawiałam się po prostu, jakie u nas w domu panują zwyczaje.

Patrzyły na nią, nic nie rozumiejąc.

Spróbowała zadać bardziej konkretne pytanie.

- Chodzi mi o to, czego oczekuje zwykle wasz tata.

Sawannah zmarszczyła czoło.

- Na przykład, żeby kolacja była na czas?

Tessa uśmiechnęła się szeroko.

- Właśnie! Chce, żeby podawać punktualnie posiłki. Co jeszcze?

- Lubi spokój.

- Uhu. A poza tym?

Starsza dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie lubi bałaganu.

- Masz rację - stwierdziła z namysłem Tessa, po czym zwróciła się do Katie: - Przychodzi ci jeszcze coś do głowy, kochanie?

Mała zrobiła wielkie oczy, jakby nie wierząc, że matka pyta ją o zdanie. Potem wykrzywiła buzię, mówiąc z powagą:

- Nikomu nie wolno ruszać narzędzi i rzeczy taty w stodole.

- Świetnie, Katie! Jesteś wspaniała!

SZANSA

- Naprawdę? - odparła zdumiona.

Tessa skinęła głową.

- Odpowiedziałś najlepiej. A teraz najtrudniejsze pytanie. Czego tata spodziewa się po mnie?

- Krzyku! - Dziewczynki powiedziały to niemal równocześnie.

Tessa zaśmiała się radośnie.

- Nie ma problemu. Prawie nigdy nie krzyczę. A teraz bierzmy się do zabawy.

Jesteś tego pewna? - spytała Savannah, patrząc z niepokojem na matkę. - Tata nie lubi takich zabaw.

Tessa rzuciła jej niewinne spojrzenie.

- Ależ wszyscy lubią bawić się w chowanego.

- Ja na pewno - zapisała Katie, trzymając mocno w pulchnych różowych paluszkach pęk łyżek, które dostała od mamy.

- Widzisz? - powiedziała Tessa do Savannah. - To zabawa dla każdego. Katie, schowaj resztę sztuców, a twoja siostra pokaże mi jeszcze raz, jak polać tłuszczem tego cholernego kurczaka, żeby się nie sparzyć. Potem umyć ręce i zawołajcie tatusia.

Jack oczyścił widły z ziemi i powiesił je ostrożnie na ścianie stodoły. Ułożone starannie widły, motyki, grabie i inne narzędzia rolnicze lśniły w popołudniowym słońcu. Odwróciwszy się, odpiął od pasa młotek i zawiesił go na haku nad warszatem, tuż obok kielni.

- Tatusiu, obiad gotowy!

- Obiad? - Jack spojrzął na Savannah, stojącą w drzwiach stodoły. Delikatny podmuch wiatru szeleścił jej spódnica

i rozwiewał kręcone długie włosy. Policzki miała zaróżowione, a jej oczy płonęły blaskiem, którego nie widział w nich od dawna.

Zaniemówił na chwilę, zupełnie zbity z tropu. Wydawała się... szczęśliwa.

- Chodź, tato. Wszystko już gotowe.

Wydobył z kieszeni spodni zegarek i otworzywszy kopertę, uniósł brwi.

- Przecież jest czwarta. Jadamy zwykle dopiero o piątej.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Mama powiedziała tylko, żebym zawołała cię na obiad. -

Spojrzała przez ramię w kierunku domu. - Muszę już iść. Bawimy się z mamą.

Zanim Jack zdążył cokolwiek powiedzieć, pobiegła po trawie do domu.

- Bawicie się? - Spojrzał na uporządkowane narzędzia i poczuł falę strachu. - Co ty znowu knujesz, Amarylis?

Wyszedłszy niechętnie ze stodoły, ruszył w kierunku domu. Mijając stary dąb, usłyszał przez otwarte okno w kuchni radosny chichot.

Przystanął, mrużąc oczy.

Śmieją się?

Potem dobiegł go głos starszej córki:

- Tutaj, mamó! Pod pojemnikiem na ciasto!

I znów rozległ się chichot.

Jack poczuł skurcz w żołądku. Wszedł powoli na schody. Skrzywił się, kiedy stare drewno zaskrzypiało mu pod nogami. Gałka przy drzwiach wydała mu się zimna i dziwnie obca.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła jego uwagę, gdy znalazł się w kuchni, był smakowity zapach pieczonego kurczaka. Zaraz potem spostrzegł, że panuje tam ogromne zamieszanie.

Amarylis, Katie i Savannah biegały po kuchni i salonie, chichocząc, wpełzując pod meble, podnosząc lampy.

- Tu jest łyżka do zupy! - krzyknęła ze śmiechem Katie, wyciągając ją spod poduszki na sofie.

Jack zmarszczył czoło i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Wszedłszy do środka zauważył stół.

- Co, do cholery...

Na stole były kwiaty, talerze, filiżanki, sztuce, nawet sól i pieprz. Tyle że wszystko to zostało wymalowane na obrusie w jaskrawoczerwonym kolorze.

Wpatrywał się w to dziwne dzieło sztuki, próbując zgadnąć, o co, u diabła, chodzi.

- Cześć, Jack. Witaj w domu!

Skulił się, słysząc łagodny głos żony. Wsunąwszy ręce głęboko do kieszeni, spojrzał na nią z niechęcią. Stała przed kuchenką ze splecionymi dłońmi, jak dobrze wychowana dama z Południa, za którą się zawsze uważała.

A jednak wydała mu się... dziwnie odmieniona. Była rozemocjonowana. Miała rozpalone policzki, a iskierki w jej oczach budziły w nim bolesną tęsknotę. Kiedyś, dawno temu, zawsze tak wyglądała, gdy byli razem.

Patrzyła, jak ją obserwuje, nie zamierzając się odwrócić. Na jej namiętnych ustach pojawił się zmysłowy uśmiech. Miał szaleńcze wrażenie, że jest *przeznaczony* wyłącznie dla niego.

Zacisnął zęby i odwrócił wzrok.

Drzwi piecyka otworzyły się z piskiem i głośno zatrzasnęły. Niewielkie pomieszczenie wypełnił zapach pieczonego kurczaka i ziemniaków.

Jack próbował coś powiedzieć, by zwalczyć ogarniające go idiotyczne uczucie błogości.

- Dlaczego obiad jest tak cholernie wcześniej?

Wpatrując się w wyglądający dziwnie obrus, czekał z założonymi rękami na odpowiedź. Na próżno.

- Amarylis?

Jego żona nadal milczała.

Przemierzył w paru krokach kuchnię i stanął przy niej.

- Cholera, mówię do ciebie!

Rzuciła mu niewinne spojrzenie.

- Naprawdę?

- Dobrze wiesz!

- Niby skąd? Normalnie człowiek patrzy na tego, do kogo mówi. Myślałam, że przemawiasz do namalowanych kwiatów.

- Do diabła, Amarylis...

- To kolejny problem.

Jack był tak zdezorientowany, że nie wiedział, co robić. Zacisnął ręce w pięści, pytając:

- Co znowu?

- Powiedziałaś do mnie Amarylis.

- Tak.

- Dlatego sądziłam, że mówisz do kwiatów. Jestem Liza. Nie będę od dzisiaj reagowała na żadne inne imię. - Uśmiechnęła się szeroko. - Chyba że zechcesz mnie nazywać słoneczkiem albo perełką.

Jack popatrzył na nią z niedowierzaniem, po czym odwrócił się napięciem, podszedł do kredensu i chwycił talerz. Wsunąwszy go pod ramię otworzył energicznie dolną szufladę.

Była pusta.

Odwrócił się znowu do żony.

- Gdzie są sztućce?

- Nie wiem.

Liza przeniosła kurczaka na półmisek, starannie ułożyła wokół niego ziemniaki i postawiła gotowe danie na stole.

Jack opadł ciężko na krzesło.

- Nie wiesz, gdzie są sztućce? Od lat leżały w tym samym miejscu.

Liza usiadła naprzeciw niego, złączyła dłonie czubkami palców i wsparła na nich podbródek. W jej oczach pojawił się figlarny, wyzywający błysk.

SZANSA

- Zgadza się - stwierdziła z uśmiechem.

- Przyniosę ci je, tato - powiedziała pospiesznie Savannah. — Są w...

- Tatuś sam je znajdzie - oznajmiła Liza rzeczowym, nieznośnym sprzeciwu tonem.

Jack rzucił okiem w kierunku salonu. Dziewczynki wpatrywały się w niego, stojąc przy sofie, jakby w każdej chwili gotowe pod nią zanurkować.

Westchnął ciężko, wyczerpany nagle tym carym zamieszaniem.

- W porządku, Lizo. Co się tu dzieje?

- Bawiłam się z dziewczynkami w chowanego. Byłyśmy pewne, że do nas dołączysz.

Prychnął pogardliwie, słysząc tak wierutne kłamstwo.

- Nie mam ochoty. Skoro zabawa już skończona, bierzmy się do jedzenia.

- Dlaczego tak uważasz?

Jack zmarszczył czoło. Zaczynała go boleć głowa.

- Co uważam?

- Że zabawa już skończona.

Spojrzał ponownie na dziewczynki, a potem na żonę.

- Więc kto się teraz chowa... Kaleb?

Liza uśmiechnęła się.

- Nie ukrywaliśmy ludzi, tylko przedmioty.

- Jakie przedmioty? - Wiedział, że nie powinien o to pytać.

- Sztućce. - Liza uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Jack myślał, że eksploduje. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował po dniu ciężkiej pracy, była zabawa w chowanie sztućców.

Zacisnął powieki i potarł obolałe skronie, próbując zachować spokój. Postanowił, że nie daje się wyprowadzić z równowagi.

- Jack? - odezwała się drwiącym, śpiewnym głosem. - Dobrze się czujesz?

Otworzył oczy i przeszył ją piorunującym spojrzeniem.

- Tak - odparł oschle. - Nic mi nie jest.

- To dobrze. Chodźmy więc wszyscy do salonu i poszukajmy...

- Nie - przerwał jej brutalnie.

Spojrzała na niego, wyraźnie zaskoczona odmową. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Jack trochę ciężko oddychał, ale poza tym był zaskakująco opanowany jak na człowieka, któremu ziemia usuwała się spod nóg.

- Schowałyśmy wszystkie sztuce — oznajmiła beztrósco Liza.

Tym razem szeroko się uśmiechnął, wyciągając rękę po soczyste, gorące jeszcze udko.

- Dobrze się składa, że upiekłaś kurczaka.

Liza spojrzała na niego zaskoczona. Przyglądała mu się jeszcze przez moment i gotów był przysiąc, że dostrzega w jej wzroku cień szacunku. Potem uśmiechnęła się lekko i odwróciła.

Jack triumfował. Po raz pierwszy od lat wygrał pojedynek z Amarylis i sprawiło mu to cholerną satysfakcję.

Czułby się jeszcze lepiej, gdyby się nie uśmiechała.

ROZDZIAŁ 9---Jack leżał na sofie, drżąc jak w febrze. Przewracał się z boku na bok i szczękał zębami, walcząc z przerażającym koszmarem. Jęknąwszy cicho, otulił się mocniej lichym wełnianym kocem.

Śniła mu się czerwona łuna nad krwawymi grząskimi bagnami. Słyszał krzyki zmarłych i umierających. Wokół niego eksplodowały pociski.

Nagle się obudził.

Nadchodziła ciemność. O Boże! Czuł, że osacza go jak wygłodniałe wilki, czyhające na łup. Strach ścisnął go za gardło. Dyszał ciężko, strwożony i rozgorączkowany. Leżał skulony jak dziecko, modląc się, by tym razem nie dopadło go szaleństwo. By potrafił zapomnieć...

Monotonne bębnienie deszczu o szyby i o dach domu drażyło jego duszę. Skulił ramiona, próbując rozpaczliwie wziąć się w garść, dopóki burza nie ucichnie. Ale to nic nie pomogło. Czuł na karku lodowate tchnienie ciemności, dotyk jej macek. Zbliżała się nieuchronnie.

Grzmot rozległ się echem w pograżonym w ciszy domu jak wystrzał z działa.

Jack krzyknął przeraźliwie. Musiał chronić swoją rodzinę.

Zerwał się w panice na nogi, nie próbując nawet szukać butów. Nie całkiem jeszcze obudzony, ruszył chwiejnym krokiem do kuchni i chwyciwszy kozuch z owczej skóry, szybko go włożył.

Wiedziony rozpaczą otworzył energicznie drzwi i wybiegł na ganek. Srebrne strugi deszczu bębniły w okap nad jego głową i smagały drewnianą podłogę. W mroku słychać było świst i wycie wiatru.

- O Boże! - jęknął, czując, jak ciemność osacza go coraz bardziej.

Zamknął oczy, pogrążony w beznadziejnej modlitwie, po czym zbiegł po śliskich schodach i popędził przed siebie.

Nie miał pojęcia dokąd.

Tessa obudziła się nagle. Działo się coś złego.

Podźwignęła się na łokciach i rozejrzała po pokoju pół-przytomnym wzrokiem. Przez szybę przenikało pierwsze światło poranka, ale w sypialni było mroczno i cicho. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Odsunęła kołdrę i sięgnęła po szlafrok. Otuliwszy się ciepłą flanelą, podeszła do kołyski i zagłębła do Kaleba. Niemowlę mocno spało, ssąc zaciśniętą rączkę.

Wyszła pospiesznie na korytarz, by zajrzeć do sypialni dziewczynek. Stwierdziwszy z ulgą, że obie śpią, skierowała się do salonu.

Na oparciu pustej sofy leżał rzucony niedbale brązowy wełniany koc. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, poszła do kuchni i wyjrzała przez okno. Wstawał właśnie świt. Drzewa były soczyście zielone po nocnej burzy.

Panowała taka cisza, że Tessa słyszała krople deszczu, kapiące z liści na mokrajeszcze trawę.

Przeszedł ją dreszcz, nie tylko z powodu zimna, które przenikało przez cienką szybę.

Działo się coś złego.

- Nie - powiedziała na głos, próbując rozproszyć swoje obawy. Wszystko było w porządku. Jack wyszedł po prostu przed świtem pracować w polu.

A jednak nie była o tym do końca przekonana.

Wpatrywała się w pagórkowate, porośnięte trawą pastwiska, starając się dostrzec gdzieś samotną postać.

- Gdzie jesteś, Jack? - wyszeptała. - Co się dzieje?

Jack uniósł powieki i myślał przez chwilę, że oślepl. Miał przed oczami czarne, granatowe i fioletowe plamy, niewyraźne kształty i cienie.

Paraliżował go przejmujący strach. Czuł bolesne napięcie. Przewrócił się na brzuch i dysząc ciężko, próbował rozpaczliwie przypomnieć sobie, co się stało.

Ogarniały go mdłości. Przełknął z trudem ślinę, modląc się, by nie wymiotować, i podźwignął się niepewnie na kolana. Zwiesiwszy nisko głowę starał się głęboko, równomiernie oddychać.

Powoli dotarł do jego świadomości zapach zielonej trawy i polnych kwiatów.

Przykucnął na piętach, wodząc wokół zmęczonym spojrzeniem. Dokuczał mu już nieznośny ból głowy, a oczy zachodziły mgłą.

Pastwisko.

Był na swoim polu.

- Dzięki Bogu... - wyszeptał ochryplym, osłabionym z powodu krzyku głosem.

Próbując się podnieść, trafił kolanem na jakiś twardy przedmiot. Odwrócił się, by po niego sięgnąć. Był podłużny, wąski i lodowato zimny.

Nóż!

Jack zacisnął powieki, czując tak obezwładniający strach, iż przez chwilę sądził, że jednak zwymiotuje.

Zaczęły mu drżeć ręce. Gdy po omacku podnosił nóż z ziemi, wydawał mu się z każdą chwilą coraz cięższy i zimniejszy. Czoło miał zroszone potem. Paraliżującemu strachowi towarzyszyło bolesne pulsowanie w skroniach.

Co ja zrobiłem? To dobrze znane pytanie drażyło mu mózg. Nie, myślał z desperacją, nie skrzywdziłbym przecież swoich dzieci. Błagam, Boże, tylko nie dzieci...

Drżąc z lęku, wstydu i rozpacz, otworzył oczy i spojrzał na przedmiot, który trzymał w ręce.

Był to kawałek metalu. Tylko cholerny kawałek metalu, a nie żaden nóż.

Podniósł się z ziemi i ruszył w długą drogę do domu. Z każdym krokiem, każdym oddechem jego strach narastał. Gdy zobaczył w oddali zarysy domu, miał nerwy napięte jak struny.

- Błagam, Boże - mamrotał bez przerwy, z całej siły zaciskając w pięści drżące dłonie. - Byle tylko nie moje dzieci. Proszę...

Tessa przemknęła przez zacienione podwórko i wślizgnęła się do kurnika, zamykając za sobą furtkę. Westchnąwszy ze zmęczenia, wsunęła rękę do konopnego worka i zaczerpnęła garść zboża.

- Cip, cip, cip! - zawołała, sypiąc na ziemię złote ziarna. Dziesiątki kurczaków, tłocząc się i wpadając na siebie, rzuciły się do dziobania.

Patrzyła na nie błędnym wzrokiem. Myślami była bardzo daleko. Jack, gdzie jesteś? Zadawała sobie to pytanie już po raz setny.

Była tak zamyślona, że dopiero po chwili dotarł do jej świadomości jakiś odgłos. Znieruchomiała, nasłuchując.

Słyszała czyjeś kroki.

Jack!

Odwróciła się gwałtownie, upuszczając worek ze zbożem. Ziarna rozsypały się u jej stóp. Kurczaki obiegły ją, dziobiąc zawzięcie.

Tessa natychmiast przyklęknęła i zaczęła zgarniać ziarno / powrotem do worka.

- Co ty robisz?

Usłyszawszy ochrypły, zagniewany głos Jacka, pomyślała, że to najpiękniejszy dźwięk, jaki dotarł kiedykolwiek do jej uszu. Tak bardzo się o niego martwiła...

Uśmiechnęła się, podnosząc wzrok.

Stał trzy metry od niej, na rozstawionych nogach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Widziała w bladym świetle księżyca kontur jego przygarbionej postaci. Twarz przesłaniał mu ciemny kapelusz.

Tessa otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale poczuła ściskanie w gardle.

- Cześć, Jack - wydusiła z trudem. - Tęskniliśmy za tobą.

- Jak... jak długo mnie nie było?

Zaskoczyła ją tym pytaniem. Zmrużyła oczy, próbując dostrzec jego twarz.

Jack westchnął. Nigdy nie słyszała równie ciężkiego westchnienia.

- W porządku, nie musisz odpowiadać - stwierdził. - Gównu mnie to obchodzi.

W tym momencie Tessa zrozumiała, że nie drwi z niej ani nie ironizuje, tylko naprawdę zadaje pytanie. Nie wiedział, jak długo był poza domem. Był przerażony.

- Chyba wyszedłeś dzisiaj tuż przed świtem.

Ramiona opadły mu bezwładnie. Znowu ciężko westchnął.

- Dzięki. Co tu robisz po nocy?

- Karmię kurczaki.

KRISTINHANNAH

- O tej porze?
- Nie mogłam zasnąć.
- Dlaczego? - Poruszył się lekko w półmroku.

Tessa podkasała spódnice i podniosła się niezdarnie z ziemi. Chciała do niego podejść, dotknąć go i upewnić się, że naprawdę wrócił. Ale zdołała nad sobą zapanować.

- Nie było cię w domu.

- I co z tego?

- Martwiłam się.

- Ha! - Wybuchnął śmiechem, przepełniając Tessę tak dotkliwym bólem, że poczuła mdłości. Odwrócił się na pięcie, zgrzytając obcasami o żwir, i odszedł w kierunku stodoły.

Cholera!

Skrzywiła się. Powinna go zawołać, znaleźć bylejaki pretekst, żeby tam nie wchodził. Ale i tak by jej nie posłuchał.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Nie spodoba mu się to, co tam zobaczy.

Jack zniknął za drzwiami stodoły. Tessa czekała w napięciu.

Po dwóch minutach kojącej ciszy rozległ się nagle przeraźliwy wrzask.

- Chodź tu, Lizo! Natychmiast!

Tessa zastanawiała się przez chwilę, czy nie uciec do domu, ale byłoby to bezcelowe. I tak by ją znalazł.

- Lizo!!!

Przycisnęła do brzucha worek z ziarnem jak ochronną tarczę i z podniesioną głową ruszyła do stodoły. Realizowała plan, który miał pomóc Jackowi. Musiała zmylić jego czujność, zmusić go do reakcji.

To, co zrobiła w stodole, z pewnością go poruszyło.

Wślizgnęła się do środka przez duże drewniane wrota. Jack stał odwrócony do niej plecami. Sztynny jak słup, wpatrywał się w ogromny żółty kwiat, który wymalowała na jego warsztacie. W beczce obok znajdowały się wszystkie narzędzia ogrodnicze.

- Coś ty, do cholery, zrobiła?!

Podskoczyła ze strachu.

Jack odwrócił się gwałtownie.

- Gadaj!

Tessa przygryzła dolną wargę, aby opanować jej drżenie. Uzmysłowała sobie nagle, że popełniła błąd. Nie знаła tego człowieka, nie wiedziała, do czego jest zdolny. Mysz rozdrażniła nieopatrnie lwa...

- Mów!

- Pomalowałam twój warsztat i poukładałam narzędzia.

- Widzę - stwierdził niepokojąco opanowanym głosem.

Tessę przeszył znowu zimny dreszcz.

- Co to za kwiat, żonkil?

- Tulipan - odparła przez zaciśnięte gardło.

Chwytał ją za ramiona i przyciągnął gwałtownie do siebie. Jęknęła cicho, uderzając piersiami o jego tors.

Spojrzał na nią, dysząc ciężko. Popatrzyła mu w oczy. Białe światło latarni rzucało blask na jego zaciętą, bezlitosną twarz.

- To miejsce należy do mnie. Pamiętaj o tym, do cholery!

Zamierzała coś powiedzieć - nie wiedziała jeszcze co - gdy pod maską wściekłości i niedowierzania dostrzegła głęboko w jego oczach przejmujący ból.

Zapomniała natychmiast o strachu. Jack cierpiał. Cierpiał tak bardzo, że nie potrafił tego ukryć. Jego ból poruszył całą strunę w jej duszy. Potrzebowali siebie nawzajem. Może razem potrafią pokonać dręczące ich lęki i uciec od samotności. Gdy dotknęła delikatnie jego zarośniętego zapadniętego policzka, przeszedł ją dreszcz. Spojrzała na niego czule, ze łzami w oczach.

- Co się dzieje?

Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Oddychała coraz szybciej, przywierając piersiami do jego twardego torsu.

- Jack...

Poczuła, że on się wzdryga.

- Błagam - powiedział ochrypłym głosem. - Oszczędź mi tego, Lizo.

- Co ona ci zrobiła?

Jack odskoczył od niej jak oparzony.

- Zostaw mnie w spokoju, do cholery!

Minął ją i pobiegł do drzwi.

Popatrzyła w ślad za nim.

- To niemożliwe, Jack.

Zwolnił nieco i sądziła przez moment, że się odwróci.

Czekała w napięciu, ale nie przystanął.

Zniknął w ciemnościach za stodołą, nie oglądając się za siebie.

Bądź obojętny. Bądź obojętny. Słowa te krążyły mu po głowie, nabierając coraz większej mocy.

Wiedział, że tylko w ten sposób obroni się przed nowymi fortelami żony. Był tego absolutnie pewien.

Chodził tam i z powrotem za stodołą. Światło księżyca prześwitywało przez kłęby szarych chmur, zasnuwając pastwisko mglistą błękitną poświatą. Noc była tak cicha, że słyszał szum wiatru w wysokiej trawie. Brzmiał jak oddech kobiety.

Jak jej oddech. Podeszedł do rogu stodoły i spojrzał w kierunku domu.

Była tam. Zaledwie kilka kroków dalej. Może nawet na niego czekała...

Jęknąwszy, zamknął oczy i oparł się o chropowatą drewnianą ścianę. Ale zaciśnięcie powiek nic nie pomogło. Nadal widział jej twarz i choć znał ją od dzieciństwa, teraz wyglądała inaczej. To właśnie go zabijało. Boleśnie powoli.

Uśmiechała się. Było to jak cudowne wspomnienie, jak piękny sen. Odwróciła się, powiewając jasnymi włosami, i spojrzała na Katie. Jej piwne oczy promieniowały, jak nigdy dotąd, dumą

i miłością, przepełniając go bezbrzezną tęsknotą. Jeszcze nie tak dawno patrzyła na niego w ten sposób.

Ale przecież nie mogła naprawdę się zmienić. Bez względu na to, co widział w jej oczach - albo co mu się wydawało - zmierzała tylko do tego, by go zranić.

Musiał pamiętać, że cały czas prowadzi z nim grę. Nie mógł polegać na rojeniach swego chorego umysłu.

Bądź obojętny. Bądź obojętny.

Z determinacją skoncentrował całą uwagę na tych słowach. Wiedział, że potrafi oprzeć się pokusie.

Robił to od lat.

Jack patrzył na zamknięte drzwi, wiedząc, że nie powinien wchodzić do środka. Nie miał dość siły, by znowu z nią walczyć. Powinien się odwrócić i uciec do stodoły. Ale był już zbyt zmęczony. Przez ostatnie dwie godziny włączył się w ciemnościach, opierając się czyhającej na niego pokusie. Teraz był tak cholernie wyczerpany, że z trudem trzymał się na nogach.

Otworzył ostrożnie drzwi.

Amarylis czekała na niego przy palenisku.

- Cześć, Jack.

Słyszał ulgę w jej głosie, a przecież musiało to być tylko złudzenie.

Wyglądała olśniewająco pięknie. Rozpuszczone włosy okalały jej bladą, jaśniejącą niewiarygodnie twarz. Policzki miała zaróżowione od żaru, bijącego z pieca. Słodka woń cynamonu i brzoskwiń otaczała ją jak zapach kosztownych perfum.

Pachniała... domem. Wbrew rozsądkowi zaczął przypominać sobie ciepłe wieczory, gdy siadywali przytuleni przy kominku, i poranki spędzane na czułych rozmowach.

- Wiedziałam, że w końcu wrócisz.

Nie potrafił wydusić z siebie ani słowa. Stał jak słup soli,

patrzając w jej jasne, piwne oczy i modląc się żarliwie: Boże,]
nie pozwól, by mnie teraz dotknęła.

Podeszła do niego, omiatając mu rąbkami spódnicy kostkę. |
Było to jak pieszczota. Cofnął się bojaźliwie, gdy wyciągnęła
rękę. Jej dłoń zastygła w powietrzu. Marszcząc czoło, powie-
działa:

- Przygotowałam ci kąpiel. Savannah i Katie śpią. Jesteśmy
sami.

Sami. To słowo było jak cios sztyletu w serce. Pokręcił głową.

- Nie...

Zmierzyła go wzrokiem. Uświadomił sobie nagle, jak musi
wyglądać. Jego podarte czerwone *long johns* - kalesony
połączone z podkoszulkiem - były powalane błotem, włosy
miał zmierzwiłone, a stopy oblepione ziemią.

Spojrzała na jego zabrudzoną twarz, próbując się nie uśmiechać.

- Nie chcesz się wykapać?

- Nie - wycedził.

Ich spojrzenia zetknęły się nagle. Przez chwilę sądził, że
będzie z niego drwiła, ale się mylił. Stała nieruchomo, przy-
glądając mu się uważnie. Czuł, że dostrzega więcej - o wiele
więcej - niż powinna.

- Masz brudną odzież. Może wejdiesz do wanny tak, jak
jesteś?

Starła się go zrelaksować. Uświadomiwszy to sobie, otworzył
usta ze zdumienia. Amarylis robiła wszystko, żeby się odprężyć!

Podeszła bliżej, wyciągając do niego rękę.

- Chodź!

Próbował odpowiedzieć - nie wiedząc jeszcze co - ale słowa
uwieźły mu w gardle, gdy musnęła go palcami. Poczł ciepło
jej dotyku i coś ukrytego głęboko w jego wnętrzu roztopiło
się jak wosk.

- Amarylis, ja...

- Jutro znowu możesz mnie nienawidzić.

- Ciebie? - Wydarł to słowo z ostatniego ocalałego skrawka swojej duszy. - To byłoby zbyt proste.

Dotknęła jego policzka.

- Wiem, że jesteś zmęczony.

Przeszedł go dreszcz. Zacisnął mocno powieki. To prawda, był potwornie zmęczony...

Wzięła go za rękę i łagodnie, ale stanowczo - choć i tak nie miał już siły się opierać - zaprowadziła w kierunku wypełnionej do połowy wodą miedzianej wanny.

- Wejź do środka - rzekła głosem nieznoszącym sprzeciwu. — Przyniosę jeszcze wody.

Nie miał wątpliwości, że nie powinien jej słuchać. Wiedział też jednak, i to przyprawiało go o mdłości, że zrobi, co mu każe. Był zbyt wyczerpany, by z nią walczyć. Wzdychając ciężko i modląc się w duchu, wgramolił się do wanny.

Zanurzył się z przyjemnością w ciepłej wodzie. Zamknawszy oczy, odchylił do tyłu głowę i rozłożył na boki ręce.

Żona podeszła do niego cicho i przystanęła obok wanny. Czekał w napięciu, co powie — lub zrobi.

Dolała mu wody do kąpieli. Poczłł nagle między nogami potężną falę ciepła. Otworzył oczy, ale Amarylis już nie było. Odwróciwszy się, zobaczył, że stoi przy piecu.

Oparł głowę o metalową krawędź wanny i ponownie zacisnął powieki.

- Jack?

Słyszał, jak wymawia jego imię, lecz jej głos zdawał się dochodzić z końca długiego mrocznego tunelu.

- Jack, obudź się.

Ocknął się i usiadł wyprostowany. Woda uderzyła o jego pierś, rozpryskując się na boki. Spojrzawszy na żonę, poczuł się jak idiota. Stała obok wanny z wiadrem wody i kostką mydła.

- Tak? - rzekł ostrożnie.

- Umyję ci włosy.

Pokręcił głową.

- Nie, dziękuję.

- Zauważ, że to nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Powiedziałam, że umyję ci włosy.

Podeszła do niego od tyłu. Usłyszał, jak stawia na podłodze metalowe wiadro i przykłęka na drewnianej podłodze.

Gdy dotknęła palcami jego głowy, jęknął z rozkoszy. Próbował rozpaczliwie ukryć swoje odczucia, ale było to bezskuteczne. Czuł dreszcze, kiedy masowała mu delikatnie włosy. Ogarnęło go dzikie pożądanie.

- Odpręż się - powiedziała łagodnym, kojącym głosem, jakiego nie słyszał u niej nigdy dotąd. - Odpręż się. Odpręż... - Powtarzała to na okrągło.

Jej głos wprawiał go w trans. Czuł, jak znika gdzieś strach i niepokój. Wspomnienia upiornej nocy uleciały w niepamięć.

Gdy skończyła, Jack był zrelaksowany jak nigdy w życiu.

- Chodź - powiedziała cicho, pomagając mu wstać.

Jak lunatyk pozwolił jej się zaprowadzić do sypialni. Podała mu czyste *long jons* i ciepły ręcznik. Owinawszy się nim, ściągnął moką bieliznę i włożył nową.

Kiedy był gotowy, znowu wzięła go za rękę i poprowadziła do łóżka. Do swojego łóżka.

Jack natychmiast stracił poczucie bezpieczeństwa. Wyrwał rękę z jej dłoni, mówiąc z napięciem w głosie:

- To ty tutaj śpisz.

- Nie dzisiaj - odparła, odsuwając wymownie kołdrę. - Położę się na sofie.

Pokręcił głową, próbując się cofnąć.

- Nie sądzę, żeby...

- W porządku. Kładź się.

Patrzyli na siebie przez dłuższy czas. Jack zastanawiał się później, co dostrzegł w jej oczach i czy było to tylko odbicie jego własnej słabości. Ale w tym momencie widział kobietę,

jakiej dotąd nie znał. Troskliwą, subtelną istotę, która nie próbowała go zniszczyć ani zranić. Chciała mu po prostu pomóc.

- Proszę - szepnęła. - Jesteś zmęczony.

Miała rację. Był zbyt zmęczony, by teraz z nią walczyć. Jutro będzie mógł ją nawet pokonać. Ale tej nocy potrzebował snu.

Wgramolił się do łóżka i przykrył kołdrą aż pod brodę. Amarylis przykłęknęła obok i zaczęła gładzić go po nieogolonym policzku. Czuł na wargach jej równomierny oddech.

- Dlaczego to robisz? - mruknął.

- Bo tego potrzebujesz.

Z pewnością nie oczekiwał takiej odpowiedzi. Szukał w jej przepastnych piwnych oczach oznak okrucieństwa, ironii lub fałszu, ale dostrzegł tylko współczucie. Zaniemówił z wrażenia.

- Gdzie byłeś w nocy? - zapytała, nadal gładząc go po policzku.

Skrzywił się, słysząc jej słowa. Boże, nie wiem. Naprawdę nie wiem! Omal nie wyjawiał jej prawdy. Chciał powiedzieć wszystko tej kobiecie, która była, a zarazem nie była, jego żoną, która dotykała go tak delikatnie, jak zawsze tego pragnął. Kosztowało go wiele wysiłku, by powiedzieć tylko:

- Na spacerze.

Wyczuwała chyba jego niepokój.

- W porządku, Jack. Śpij już. Szs...

Zamknął oczy. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, był aksamitny dotyk jej dłoni na policzku.

Ranek był słoneczny i ciepły. Tessa podciągnęła spódnice i siadła okrakiem na krześle przy stole. Miała przed sobą mnóstwo słoików i książkę, otwartą na stronie z napisem: Jak robić przetwory z owoców i warzyw.

Dzisiaj zamierzała się tego nauczyć. Zaczęła od rozdziału na temat konfitur. Była tak pochłonięta lekturą, że dopiero po

pewnym czasie dotarło do jej świadomości, iż na dziedziniec zajechał powóz.

Goście!

Podbiegła do okna i rozsunęła liche zasłony. Powóz zatrzymał się, wzbijając tuman kurzu. Woźnica rzucił lejce Jackowi, który przywiązał konia do ogrodzenia przy wybiegu dla kurcząt.

Jack podsunął do góry kapelusz i uśmiechnął się do siedzącego samotnie w powozie niskiego, przygarbionego mężczyzny. Ten zdjął nakrycie głowy, odsłaniając lśniąca w promieniach wiosennego słońca łysinę.

Zamienili parę zdań, po czym spojrzeli niepewnie w kierunku domu.

Tessa pomachała im ręką.

Jack uśmiechnął się do niej powściągliwie.

Starszy mężczyzna uniósł na chwilę brwi, zanim ostrożnie odwzajemnił jej gest.

Tessa próbowała odczytać z ust Jacka, co do niego mówi.

- Niech pan wejdzie i zbada ją, doktorze. Jest... dziwna.

- Doktor Hayes - powiedziała Tessa do siebie. - Oczywiście. — Opuściła zasłonę i otworzywszy drzwi wyszła na ganek. — Dzień dobry, doktorze! - zawołała, znów do niego machając i osłaniając oczy przed promieniami słońca. - Napije się pan... - Zawahała się na moment. Co proponowano gościom w 1873 roku? Na pewno nie chardonnay. - Wody?

- Z przyjemnością- odparł, korzystając z pomocy Jacka przy wysiadaniu z powozu.

Obaj mężczyźni weszli do domu i podążyli za Tessą do kuchni.

- Co to jest? - zapytał doktor, widząc słoiki na stole.

Tessa podsunęła mu krzesło.

- Uczę się robić dzemy.

Jack i doktor wydawali się zaniepokojeni jej odpowiedzią.

- Proszę usiąść, pani Rafferty.

- Miałam dać panu wodę...

~ Niech pani usiądzie.

- W porządku. - Tessa wzruszyła beztrąsko ramionami i zajęła miejsce naprzeciw niego.

- Jak się pani czuje?

- Doskonale.

- Naprawdę? - Doktor zmarszczył czoło.

- Tak. Wszystko świetnie się układa.

- A jak dziecko?

- Kaleb znakomicie się chowa - odparła z lekkim uśmiechem. - Bardzo urósł. Miałam początkowo trochę problemów z karmieniem piersią, ale teraz jest już dobrze.

Doktor spojrzął z ukosa na Jacka.

- Przepraszam, ale muszę zadać to pytanie.

Jack nerwowo skinął głową.

Doktor zwrócił się znowu do Tessy:

- Czy pamięta pani, o czym rozmawialiśmy, kiedy po raz pierwszy zaszła pani w ciążę?

- Nie.

Doktor zamilkł na chwilę, jakby starannie dobierając słowa.

- Chciała pani... - Zaczerwienił się lekko. Jego głos stał się bardziej głęboki. - Cóż, nie pragnęła pani tego dziecka.

Tessa zasłoniła usta dłonią, oniemiała z przerażenia.

- O Boże! To znaczy, że chciałam przerwać ciążę?

- Właśnie.

Tessa chwyciła go bezwiednie za rękę, mocno je ściskając.

- Dzięki Bogu, że pan do tego nie dopuścił - stwierdziła ze łzami w oczach.

Doktor przyglądał się jej uważnie zmęczonymi oczami zza owalnych szkielec.

- Jak ma na imię pani mąż?

- Jack.

- A na nazwisko?

- Rafferty.

Spojrzał na Jacka, który pokręcił głową, mówiąc cicho:

- Jackson Beauregard Rafferty III.

Tessa otworzyła szeroko oczy.

- Żartujesz. To wspaniałe nazwisko!

Doktor uściśnął jej dłonie na pożegnanie i wstał powoli z krzesła.

- Miło było znowu panią zobaczyć, pani Rafferty. Jack, odprowadź mnie do powozu.

Obaj mężczyźni wyszli z kuchni i ruszyli wolno przez podwórko. Gdy znaleźli się pod rozłożystym dębem, doktor dotknął ramienia Jacka i przystanął.

Tessa odsunęła nieco zasłonę i patrzyła, jak rozmawiają, czytając słowa z ruchu ich warg.

- Co się z nią dzieje, doktorze?

- Przypuszczam, że to amnezja.

- Jak długo to potrwa?

- Kto wie? Może masz nową żonę, a może ta poprzednia powróci lada dzień.

- To znaczy, że ona... naprawdę się zmieniła?

- Mózg to dziwna rzecz, Jack. Nikt się na nim nie zna. A już na pewno nie taki wiejski lekarz jak ja.

- Co ja mam robić, do diabła?! Ta sytuacja doprowadza mnie do szaleństwa. Ona jest taka... odmieniona.

Doktor poklepał go po ramieniu.

- Nie chciałem cię wystraszyć, synu. Po prostu bądź cierpliwy. Jestem pewien, że ona wkrótce wróci do normalnego stanu.

Jack zeszywniał.

- Tak. Tego się właśnie obawiam.

Tessa opuściła zasłonę i powoli się uśmiechnęła. Jack czuł przed nią respekt. Nie reagował gniewem.

Jej plan miał szansę powodzenia.

ROZDZIAŁ 10--Sawannahusiadłapotareckui położyłanakolanach pudełko z drugim śniadaniem. Jej brązowa muślinowa spódnica lśniła w promieniach słońca, prześwitujących z góry przez sosnowe igliwie.

Katie siedziała w milczeniu obok niej, szperając w swoim pudełku z jedzeniem.

Starsza dziewczynka przysiadła na piętach, wpatrzona w porośnięte trawą zbocze wzgórza. Była tak pogrążona w myślach, że nie usłyszała odgłosu kroków.

- Savannah?

Zaskoczona, podniosła wzrok i zobaczyła, że stoi przy niej Jeffie Peters. Spoglądał na nią z góry, przyciskając zbielełymi palcami do piersi pudełko ze śniadaniem. Twarz miał bledszą niż zwykle.

- Mogę usiąść koło ciebie?

Sawannah ścisnęło coś w gardle. Poczwała się niezręcznie, słysząc, że bulgocze jej w żołądku. Otworzyła usta, by powiedzieć „nie”.

- Pewnie, Jeffie - uprzedziła ją Katie, odgryzając kawałek marynowanego ogórka.

Jeffie oblał się rumieńcem.

- Dzięki!

Przyklęknął obok Savannah i zaczął z zapałem grzebać w pudełku.

Savannah zacisnęła zęby i przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek.

Miała wrażenie, że jest... zdenerwowany. Ruchy jego rąk były gorączkowe i niezdarne, gdy obierał z cienkiej skórki plasterka sera. Nagle spojrzał w bok i zauważył, że go obserwuje.

Savannah poczerwieniała. Odwróciwszy wzrok, zaczęła wpatrywać się w wysoką trawę.

- Savannah?

- Słucham? - Popatrzyła na niego niechętnie.

Znowu się zarumienił.

- Tak sobie myślałem... Niedługo będą tańce po strzyżeniu owiec i...

- Dopiero za kilka tygodni - zauważyła Katie.

Jeffie spojrzał na nią z wyrzutem i przełknął głośno ślinę. Grdyka drgała mu nerwowo na chudej szyi.

- Nie zostało już wcale tak dużo czasu, więc... zastanawiałem się, czy nie poszłabyś ze mną.

Patrzył na nią wielkimi, pełnymi nadziei oczami.

Ogarnęła ją fala sprzecznych uczuć. Nie wiadomo, dlaczego miała ochotę się rozpłakać.

- Nie mogę.

- Ale...

Wargi jej zadrżały. Wygięła usta w podkówkę.

- Znasz moją mamę. Nie mogłabym, nawet gdybym...

- Gdybyś co?

- Nawet gdybym chciała - odparła przez zaciśnięte gardło.

- Ach, tak. - Jeffie spakował starannie resztki pokruszonej kanapki i wrzucił ją z powrotem do pudełka. Wstał powoli z ziemi i powiedziawszy cześć, odwrócił się i odszedł.

Sawannah wpatrywała się w ziemię załzawionymi oczami.

- Może powinnaś porozmawiać z mamą - zasugerowała Katie. - Ostatnio miała... dobry humor.

- Co mam jej powiedzieć? - spytała jej siostra z wyrzutem w głosie. - Nie zrozumie, co mi jest.

- Nic ci nie jest - odparła pojednawczo Katie. - Jesteś doskonała.

Sawannah uśmiechnęła się do niej słabo.

- Dzięki. Zjedz teraz kanapki.

Obie zamilkły. Starsza dziewczynka usiłowała skupić się wyłącznie na jedzeniu, ale słowa Katie dzwoniły jej w uszach.

Porozmawiaj z mamą.

Gdybym tylko mogła, pomyślała.

Ugryzła kęs chleba i przeżuwała go powoli. Oczywiście, że nie mogła porozmawiać z mamą. Nie miała co do tego wątpliwości. Od lat już nawet nie próbowała. Mama powiedziała by jej znowu, że Jeffie Peters ją omamił. Nie miała jednak nadziei usłyszeć odpowiedzi na dręczące ją pytanie: dlaczego tak się dzieje?

Trrach! Ostrze siekiery rozszczepiło na pół gruby pniak. Jack otarł wierzchem dłoni pot z czoła i ustawił na sztorc połówkę kloca.

Gdy uniósł ponownie siekiere, usłyszał coś dziwnego. Znieruchomiał, czujnie nasłuchując.

Słodkie dźwięki, niesione łagodnym powiewem wiosennego wiatru, współbrzmiały z radosnym szczebiotem szybujących w powietrzu jaskółek i zieb. Piosenka wydawała mu się zarazem znajoma i nieznana. Jej słowa dziwnie się rwały, jakby zostały kiedyś zapamiętane i nigdy dotąd niezaśpiewane. Ale głos - ach, ten głos był niezapomniany.

Odwrócił się powoli, wiedząc, że popełnia błąd.

Amaryllis siedziała na huśtawce na ganku, nucąc Kalebowi

najdziwniejszą wersję kołysanki *Śpij, dziecko*, jaką kiedykolwiek słyszał. Tęskna melodia sprawiła, że gorzko się uśmiechnął. Nic dziwnego, że śpiew brzmiał dziwnie. Nigdy przedtem nie nuciła dzieciom kołysanek.

Gdyby tak... Ta myśl zaświtała mu w głowie, zanim zdążył ją powstrzymać. Gdyby była naprawdę kochającą, łagodną istotą, którą się w tej chwili wydawała. Przypomniał sobie kąpiel i kojące odurzenie, w jakie wprawiła go masowaniem głowy przy myciu włosów. Przez chwilę czuł się jak za dawnych czasów, kiedy ufał jej bezgranicznie i z radością szedł z nią do łóżka. Gdy jeszcze się jej nie bał.

Podniosła nagle wzrok i zauważyła go. Ich spojrzenia się spotkały. Jego oczy były przymrużone i pełne tęsknoty, które nie mógł się pozbyć, jej szeroko otwarte i przepełnione radością. Uśmiechnęła się promiennie i pomachała do niego ręką.

Wiedział, że nie wolno mu do niej podchodzić. Powinien się odwrócić i rąbać dalej drewno. Ale tym razem chciał postąpić inaczej. Siekiera wyślizgnęła mu się z ręki i upadła na ziemię. Podsunawszy do góry kapelusz, minął stertę porąbanych kłoców i ruszył w kierunku ganku.

Gdy tam dotarł, Amarylis nadał się uśmiechała.

- Cześć - powiedziała cicho, wskazując mu wzrokiem miejsce obok siebie.

Wyglądało cholernie kusząco...

- Usiądź - zaproponowała, gdy patrzył wyczekująco.

Przełknął z trudem ślinę, z obawą patrząc jej w oczy.

- Nie powinienem...

- Nie gryzę - przerwała mu z uśmiechem.

Jej spojrzenie przyciągało go jak magnes, pozbawiało woli. Zanim zdążył się zastanowić, wszedł na ganek i usiadł obok niej. Huśtawka zatrzeszczała pod jego ciężarem.

Splótłszy dłonie na brzuchu, wpatrywał się w pagórkowate, pełne owiec pastwiska.

Zaległa cisza. Z powodu upału koszula Jacka zaczynała być mokra od potu. Spodziewał się, że Amarylis rzuci zaraz jakąś uszczypliwą uwagę. Ona oczekiwała po nim tego samego. Nagle powiedzieli równocześnie:

- Ale gorąco...

- Ładny dzień...

Amarylis Wybuchnęła śmiechem. Zabrzmiało to tak zmysłowo i uwodzicielsko, że Jacka przeszedł dreszcz.

- Więc zgadzamy się przynajmniej co do pogody - stwierdziła.

Z trudem powstrzymał się od śmiechu. Uzmysłowiwszy sobie nagle, że w ogóle miał ochotę się śmiać, poczuł wściekłość. Znów, do cholery, okazał się głupcem i pozwolił jej sobą manipulować. Zsunął kapelusz na czoło i wstał.

- Muszę... rąbać drewno na opał.

Spojrzała na niego. Miała w oczach smutek, jak nigdy dotąd, i Jack odniósł absurdalne wrażenie, że zranił jej uczucia.

- Miło było z tobą porozmawiać.

Obrócił się na pięcie i szedł szybko po schodach. Musiał się hamować, by nie biec.

Tego wieczoru Tessa siedziała przy kuchennym stole z Savannah. Za ich plecami Katie szperała w szufladzie pełnej sztuców.

Tessa podniosła od niechcienia łyżkę i spojrzała na nią. Starła się nie myśleć w tym momencie o Jacku, ale nie potrafiła. Od poprzedniej nocy, od owej kąpieli, był nieustannie obecny w jej myślach. Nie przestawała o nim marzyć. Czuła się jak zakochana szesnastolatka. Było to idiotyczne.

Uśmiechnęła się lekko. Było to również ekscytujące i pobudzające. Nabrała całkowitej pewności, że między nią i Jackiem istnieje jakaś szczególna więź. Wiedziała już, dlaczego

go wybrała. Chodziło o coś więcej niż ból i strach, który dostrzegła w jego oczach, gdy wyciągał rękę do niemowlęcia. Chodziło o jego zdolność do miłości. Widząc, jak stoi przy kołysce, zdawała sobie sprawę, że boi się tam być, boi się przywiązywać do swojego dziecka, a jednak przy nim pozostał. Większość ludzi ucieka od życia i rezygnuje z miłości. Tessa sama tak postąpiła. Ale Jack był inny. Ukrył się za maską gniewu i starał się zapomnieć, nigdy nie uciekł. A to znaczyło, że się nie poddał.

Zeszłej nocy, zanim zasnął, dostrzegła po raz pierwszy jego prawdziwe oblicze. Był przerażonym człowiekiem, którego dręczy samotność. Zupełnie jak ją...

Wspominając te chwile, gdy się uśmiechał, patrzył z miłością na dzieci lub strugał w środku nocy konia na biegunach, czuła przyspieszone bicie serca i wewnętrzną radość. Coś drgnęło w najgłębszym zakątku jej duszy, do którego złożyła kiedyś marzenia o miłości i rodzinie. Coś, co od bardzo dawna trwało w uśpieniu.

Nagle poczuła na sobie przenikliwe spojrzenie Savannah. Podniosła wzrok i zapytała cicho:

- O co chodzi, córeczko?

Dziewczynka pokręciła powoli głową, uśmiechając się smętnie.

- Nie, nic.

Tessa uścisnęła jej dłoń. Ich spojrzenia się spotkały.

- Pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na moją pomoc - wyszeptała Tessa. - W każdej sprawie.

Savannah przełknęła z trudem ślinę.

- Dzi...dziękuję, mamo.

Katie położyła łokcie na stole.

- Mamo, obiecałaś mi pokazać, jak się robi tę sztuczkę z łyżką.

Tessa uśmiechnęła się i cofnęła powoli rękę, którą dotykała dłoni Savannah.

- W porządku - powiedziała. - Zobacz. Najpierw musisz chuchnąć na łyżkę, aż zajdzie parą. Widzisz? Teraz przytykasz ją do nosa.

- To działa! - zawołała Katie, klaszcząc w dłonie.

- Oczywiście. Mama nigdy nie kłamie.

Po chwili łyżka się odkleiła i z brzękiem spadła na stół.

- Naprawdę tak jest? - spytała Savannah, mrużąc oczy.

Uśmiech Tessy zniknął. Przez długą chwilę mierzyła się z nią wzrokiem. Miała nieodparte wrażenie, że jest poddawana próbie.

- Naprawdę - odparła w końcu.

- Mogę spróbować? - poprosiła Katie.

Tessa i Savannah patrzyły jeszcze na siebie przez parę sekund, po czym Tessa zwróciła się do młodszej dziewczynki:

- Oczywiście, że możesz, kochanie.

Katie zmarszczyła w skupieniu czoło i chuchnęła ostrożnie na łyżkę. Gdy metal przybrał matowy, mleczny odcień, przycisnęła ją do nosa. łyżka mocno do niego przylgnęła.

Mała otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i radośnie zachichotała. W tym momencie łyżka spadła z brzękiem na jej pusty talerz.

- W porządku - stwierdziła Tessa. - Teraz wszystkie razem.

Jack patrzył na dom. Zapadający zmierzch nadawał jego bielonym ścianom szarą, metaliczną barwę. Balustrada ganku rzucała długie cienie na jasną drewnianą podłogę. Wiatr szeleścił w liściach starego dębu. Zawieszona na nim sznurowa huśtawka objęła się rytmicznie o jego lewą nogę.

Zmierzył wzrokiem ganek i pogrążony w półmroku budynek. Z ceglanego komina unosiły się w niebo cienkie smużki szarego dymu. Kuchenne okno jaśniało bursztynowym światłem,

jakby wysyłało w mrok zimnej nocy uwięzione za szybą promienie słońca.

Zasłony były rozsunięte, jak gdyby nie mieszkali tam już obrońcy oblężonej twierdzy, lecz zwyczajna wiejska rodzina, czekająca, aż jeden z domowników powróci z pola. Dom, który zbudował przed tyłu laty, po raz pierwszy w życiu wydał mu się przytulny.

Odsunął na bok huśtawkę i odwrócił się, spoglądając na lśniącą daleko w dole cieśninę Haro. Starał się nie myśleć o oknie, które wyglądało tak kusząco.

To tylko złudzenie, Jackson, przekłete złudzenie.

Tym razem jednak miał co do tego wątpliwości. Zmiany w zachowaniu Amarylis były bardziej konkretne i namacalne niż kiedykolwiek.

Bardziej niebezpieczne...

Przypomniał sobie słowa doktora, który twierdził, że jego żona mogła naprawdę się zmienić. Na zawsze.

Może to prawda.

- Cholera! - Odgarnął do tyłu włosy zziębniętą dłonią i westchnął głośno.

Nie powinien jej ufać. Już kiedyś, dawno temu, popełnił ten błąd i kosztowało to jego i dzieci wiele cierpienia.

Ale jeśli teraz naprawdę się zmieniła?

To pytanie napawało go strachem i sprawiało, że czuł ściskanie w żołądku. Przez lata budował w duszy gruby mur, aby ukryć za nim swą nieodwzajemnioną miłość. Gdyby teraz runął, nie zdołałby chyba postawić go na nowo.

I co by się wtedy z nim stało?

Cholernie dobrze wiesz, co by się stało. Byłoby tak jak kiedyś.

Na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz. Podniósł do góry kołnierz.

Jak kiedyś.

Minęło wiele czasu, zanim odzyskał równowagę psychiczną -

O ile w ogóle mu się to udało. Były to lata włóczęgi, samotności, głodu i wyobcowania. Lata żarliwej modlitwy o znalezienie własnego miejsca w życiu, przeżywane w poczuciu niewyobrażalnej pustki.

Musiał pamiętać, jaka jest Amarylis, jak wykorzystuje ludzi i jak dobrze potrafi udawać. Tylko nienawiść, jaką do niego żywiła, nie była fałszywa.

Przypomnij sobie tę noc, gdy spłodziłeś Kaleba.

Wystarczyło, że się uśmiechnęła i dotknęła jego policzka, by pobiegł do jej łóżka jak żółtodziób i dał jej do ręki kolejną broń w ich małżeńskiej wojnie.

„Przemiana” Amarylis trwała wtedy niecałą godzinę, a potem wszystko zaczęło się od nowa. Nienawidziła go z całej duszy. Obserwował dzień po dniu, jak rośnie jej brzuch, zmagając się ustawicznie ze swym wstydem i poniżeniem. Szydziła z niego codziennie, wytykając mu, jak pozwala sobą manipulować.

Wystarczy, żebym się uśmiechnęła, a już do mnie pędzisz. Jesteś żałosny.

Jack skrzywił się na to wspomnienie. Niestety, miała rację. Zawsze pragnął, żeby go kochała.

Widział ciągle jej tajemniczy, złowróźbny uśmiech i każdej nocy, leżąc samotnie w łóżku, myślał z przerażeniem o chwili, gdy urodzi się dziecko. Wiedział, że skazuje tę niewinną istotę na prawdziwe piekło, na życie pozbawione uczuć i rodzinnego ciepła. Nic dziwnego, że owego ranka ocknął się w stodole, nie pamiętając, gdzie jest i co się wydarzyło. Żył w potwornym napięciu.

Nie pozwoli, by znów nim manipulowała. Nigdy więcej. Tym razem już jej nie zaufa.

Pamiętaj, powtarzał sobie w duchu. Pamiętaj!

Przemierzył ciężkim krokiem, jak skazaniec idący na szubienicę, zacienione podwórko, wszedł po schodach na ganek i otworzył drzwi do kuchni. To, co zobaczył, całkowicie go zaskoczyło.

Liza, Katie i Savannah siedziały nieruchomo przy stole, nie odwracając się w jego kierunku.

I nic dziwnego, gdyż wszystkie miały przyklejone do nosów łyżki.

- Jack! - Liza obróciła nagle głowę i łyżka spadła jej z brzękiem na podłogę.

Dziewczynki natychmiast się poruszyły, podnosząc wzrok. Ich łyżki uderzyły z hałasem o stół.

Liza wstała i podsunęła Jackowi krzesło.

- Usiądź, proszę. Jedzenie jest już gotowe.

Jack przyglądał się podejrzliwie jej i dziewczynkom. Widział radość w ich oczach. Najwyraźniej dobrze się bawiły. Czuł to w powietrzu. Ogarnęła go bezbrzeżna tęsknota. Pragnął rozpaczliwie do nich dołączyć. Próbując nie patrzeć na ich uśmiechnięte twarze, podszedł na sztywnych nogach do stołu i usiadł.

Liza pospieszyła do kuchenki, nałożyła na talerze jedzenie i postawiła je na stole.

Jack spojrzał z konsternacją na swoją porcję. Miał na talerzu trzy smażone jajka i trzy chrupiące, przypalone bułeczki. Jedzenie pachniało dymem.

- To ma być kolacja?

Liza uśmiechnęła się promiennie i usiadła naprzeciw niego.

- *Bon appetit.*

Dziewczynki, siedzące po jego bokach, starały się zachować powagę, ale nie bardzo im to wychodziło.

- To jest śniadanie - stwierdził, unosząc brwi.

Liza spojrzała na swój talerz.

- Czyżby?

Jack uderzył pięścią w stół tak mocno, że pojemniki na sól i pieprz podskoczyły w górę.

- Do diabła, Lizo, dobrze o tym wiesz! Podajesz śniadanie na kolację.

Zamrugła niewinnie.

- Chyba dopiero wstałam. - Spojrzała na dziewczynki. -
Czyżbym się myliła?

Jack zerwał się na nogi.

- Nie zniosę tego dłużej. - Zamierzał wyjść, ale w tym momencie zaburczało mu głośnie w żołądku.

- Zostań, Jack - powiedziała cicho Liza. - Jesteś głodny.

Odwrócił się powoli. Uśmiechała się do niego, ale bez cienia drwiny. Był to zwyczajny uśmiech. Dostrzegł w jej oczach niemą zachętę, która uspiła jego czujność i zachęciła go do pozostania.

Poza tym był naprawdę głodny.

Zanim zdążył podjąć świadomą decyzję, siadał już ponownie na krześle. Przynął się do stołu i starając się nie patrzeć w niebezpieczne oczy Lizy, skoncentrował wzrok na talerzu.

- Wiem, co sobie myślisz - powiedziała.

- Tak? - prychnął, spoglądając na nią niechętnie. - Co takiego?

- Uważasz, że trzeba być bardzo głodnym, żeby jeść to, co ci dałam.

Jack uśmiechnął się bezwiednie.

- A widzisz? - powiedziała tak cicho, że tylko on ją usłyszał. - To nie boli.

Jack zbłądł. Lekki uśmiech zniknął z jego twarzy. Spojrzawszy w jej pełne ciepła piwne oczy, poczuł w sercu kłującą tęsknotę.

- Mylisz się. To boli jak cholera. Zjedzmy to... śniadanie, zanim wystygnie.

Liza spojrzała z uśmiechem na gorące jajka na talerzu.

- Myślę, że mamy mnóstwo czasu.

Gdy posprzątały już po kolacji, Tessa wyszła z domu i usiadła na huśtawce na ganku. Trzymając w ramionach Kaleba, kołysała się powoli, wpatrzona w pogrążone w półmroku pola i matową tafelę wody, widoczną w oddali w świetle księżyca.

Kaleb gruchał radośnie, ściskając w czerwonej piątce jej palec.

Tessa zaśmiała się cicho, patrząc na niego z miłością.

- Hej, mały, ale jesteś silny!

W odpowiedzi wyszczerzył do niej bezzębne dziąsła.

Nagle usłyszała za plecami skrzypienie drzwi.

- Mamo?

- Słucham, Savannah.

- Czy mogę... z tobą porozmawiać?

- Oczywiście. Usiądź tutaj. - Tessa przesunęła się na bok, robiąc jej miejsce.

Dziewczynka przysiadła ostrożnie obok niej. Była sztywna i wyprostowana. Splotła nerwowo palce na brzuchu i patrzyła w przestrzeń, nie odzywając się ani słowem.

Tessa czekała w milczeniu.

Po mniej więcej trzech minutach dręczącej ciszy Savannah odchrząknęła i wydusiła z siebie:

- Zastanawiałam się, czy... Nie, to głupie. Nie ma o czym mówić. - Zerwała się na nogi.

Tessa chwyciła ją za rękę. Dziewczynka odwróciła się i spojrzała na nią.

- Czy chodzi o chłopaka?

Savannah zrobiła wielkie oczy.

- Skąd wiesz?

Tessa uśmiechnęła się.

- Też miałam kiedyś dwanaście lat.

Savannah usiadła powoli z powrotem na huśtawce.

- Chodzi o Jeffiego Petersa. - Spojrzała matce prosto

w oczy. - Kiedy coś do mnie mówi, mam wrażenie... że zaraz zwymiotuję.

Tessa pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Lubisz go?

Dziewczynka przytaknęła poważnie.

- Nie ma w tym nic złego. Absolutnie. To zupełnie normalne.

- Więc dlaczego tak się boję i głupio się czuję, kiedy ze mną rozmawia?

Tessa odgarnęła jej z policzka kosmyk włosów i zaczesła go za ucho.

- Po prostu dorastasz. Nie ma się czego bać. Wiesz, co ci powiem?

- Co?

Tessa nachyliła się.

- Jestem pewna, że on odczuwa to samo, gdy na ciebie patrzy.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdziła z uśmiechem.

Sawannah objęła mocno matkę i Kaleba. Tessa odwzajemniła jej uścisk. W końcu dziewczynka odsunęła się i spojrzała na nią wielkimi jaśniejącym oczami.

- Dziękuję, mamo... - wyszeptała przez zaciśnięte gardło. - Bardzo cię kocham.

Tessie zabrakło z wrażenia tchu. Miała ochotę się rozpłakać.

- Ja... też cię kocham, malutka.

Dziewczynka uśmiechnęła się i otarła ukradkiem łzy. Potem zeskoczyła z huśtawki i wróciła do domu.

Tessa była zbyt zdumiona, by ruszyć się z miejsca.

Kocham cię, mamo. Te zwykłe słowa rozbrzmiewały echem w jej uszach, wprawiając ją w taką euforię, że traciła oddech. Czekała przez całe życie, aby je usłyszeć. Pragnęła tego gorąco. Teraz zrozumiała dlaczego. Wypełniły jej duszę niewyobrażalną wprost radością.

Następny dzień był piękny i słoneczny. Idealny wręcz do realizacji jej planu.

- Po co kazałaś Savannah przygotować tyle jedzenia? - spytała Katie, przyglądając się, jak mama pakuje do dużego kosza słoiki z ogórkami.

- Bo tego, co ja bym ugotowała, nikt by nie ruszył - odparła beztrąsko Tessa. - Savannah, kochanie! - rzuciła przez ramię. - Wyciągnij tatusia ze stodoły. Powiedz mu, żeby do nas dołączył.

- Po co?

- Organizujemy piknik.

Dziewczynki otworzyły usta ze zdumienia.

- Tata nie zechce jechać z nami na żadnego piknika - stwierdziła Savannah.

- Na żaden piknik - poprawiła ją matka.

- Właśnie to powiedziałam.

Tessa odwróciła się, wycierając zakurzone ręce o fartuch.

- Pojedzie.

- Ależ, mamo, tatuś nie...

Drzwi otworzyły się raptownie.

- Dokąd to nie pojedę?

Savannah podskoczyła ze strachu, splatając mocno dłonie.

Katie znieruchomiała na środku kuchni.

- Cześć, Jack - powiedziała beztrąsko Tessa. - Przyszedłeś w samą porę, żeby zaprzęgnąć konia do wozu. Jedziemy na piknik.

Jack zaśmiał się grubiańsko.

- Nic z tego.

Tessa podeszła do niego z szerokim uśmiechem na ustach.

- Chyba nie dosłyszałaś. Skończył się tydzień pracy i organizujemy rodzinny piknik.

Skrzyżował ręce na piersiach.

- To będzie długi spacer.

- Wcale nie. Pojedziemy na wozie.

SZANSA

- Czyżby? - Spojrzał na nią drwiąco. - Potrafisz zaprzęgać?
- Nie muszę. Ty to zrobisz, bo inaczej... - Stała tuż przy nim.

- Inaczej co? - Zaśmiał się znowu.

- Słyszałeś kiedyś o strajku?

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Masz zamiar mnie uderzyć?

- Oczywiście, że nie. - Próbowала sobie przypomnieć, kiedy wymyślono strajki. Najwyraźniej po roku 1873. - Strajk - poinformowała go - to odmowa pracy do czasu spełnienia żądań przez pracodawcę.

- I co w praktyce oznaczają te fascynujące bzdury?

- Dziewczynki i ja nie będziemy pracowały w tym tygodniu, o ile nie zabierzesz nas dzisiaj na piknik.

Sawannah i Katie słuchały tego z zapartym tchem.

Jack zmierzył je wzrokiem.

- Wy też bierzecie w tym udział?

Zapadła niezręczna cisza.

Tessa zacisnęła palce. No, dziewczyny...

- Tak czy nie? - wrzasnął Jack.

- T... - Sawannah nie mogła wydobyć z siebie głosu. Dopiero odchrząknąwszy, powiedziała cicho: - Tak.

Jack patrzył na Tessę. Napięcie emanowało od niego jak fale gorąca. Starał się nad sobą zapanować. Albo przynajmniej sprawiać wrażenie, że kontroluje swoje emocje.

- Nie rób tego.

Tessa zamruła niewinnie.

- Czego?

- Nie próbuj na siłę robić z nas rodziny.

Mało nie pękło jej serce, gdy usłyszała to rozpaczliwe błaganie. Czuła ściskanie w żołądku, widząc bezbrzeżny smutek w jego oczach. Wydawał się taki zagubiony i samotny. I bardzo przerażony.

- Przecież jesteśmy rodziną.

Jack zbladł jak ściana.

- To niebezpieczne.

- Nieprawda.

Gniew zastąpił znowu pustkę i strach w jego oczach.

- W porządku. Zrobię to dla dzieci. Ale nie groź mi więcej żadnym... strajkiem. Moja cierpliwość ma granice.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł energicznym krokiem. Był już na ostatnim stopniu schodów, gdy Tessa zawołała:

- Jack?!

Przystanął i odwrócił niechętnie głowę.

- Co?

- Mówiąc między nami, zupełnie brak ci cierpliwości. Ale nie martw się. Ja mam jej całe mnóstwo.

Przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu, po czym odwrócił się i odszedł.

Posłała dziewczynkom triumfalny uśmiech, unosząc kciuk.

- Jesteśmy górą.

Pięć minut później Katie nadal przyglądała się matce, która leżała na podłodze, łaskocząc Kaleba w stopy i śmiejąc się radośnie.

- W ciele mamy jest jakaś obca kobieta - stwierdziła z powagą, zwracając się do siostry.

Sawannah skinęła głową. Ona też obserwowała matkę.

- Mam nadzieję, że już tak zostanie - powiedziała z tęsknotą w oczach.

- Ja też - odparła młodsza siostra, ściskając mocno jej dłoń.

Dwie godziny później Tessa postawiła ostatni koszyk z tyłu wozu. Otrzepawszy ręce z kurzu, spojrzała krytycznie na swoje

dzieło. Kosze i pudła stały rzędem na podłodze wozu, wypełnione po brzegi pieczonymi kurczakami, sałatką z ziemniaków, jajkami na twardo, świeżym chlebem oraz domowej roboty dżemem, marynatami i brzoskwiniami. Butelka jabłecznika wystawała znad sterty talerzy i kubków, a jej metalowa zakrętka lśniła srebrzyście w porannym słońcu.

Dziewczynki krążyły wokół załadowanego wozu jak rozochoczone pszczoły. Co chwilę któraś z nich wybuchała śmiechem. Ich radosny chichot przekonał Tessę, że postępuje słusznie. Tej rodzinie rozpaczliwie brakowało rozrywek.

- Wsiadajcie! - rozkazał Jack opryskliwym głosem.

Śmiech dziewczynek natychmiast umilkł. Katie zbladła. Spuściwszy oczy, podeszła bez słowa do wozu i wdrapała się na górę.

Tessa chwyciła Jacka za rękaw i odwróciła go twarzą do siebie.

- Pamiętasz, jak pytałeś, czy zamierzam cię uderzyć? - syknęła.

Skinął głową, przyglądając się jej uważnie.

- Spróbuj jeszcze raz odezwać się tym tonem do dzieci, a rąbnę cię kolaniem między nogi tak mocno, że upadniesz na ziemię. Rozumiemy się?

Spojrzał na nią z totalnym niedowierzaniem.

- Liza?

Obdarzyła go promiennym uśmiechem i puściła jego rękę.

- Oczywiście, że to ja. A któżby inny?

Uniósł brwi i pokręcił głową.

- Dobrze. W porządku. - Odwróciwszy się do niej plecami, chwycił lejce i skoncentrował na nich całą uwagę.

Tessa sięgnęła po stojący na ziemi, podłużny koszyk, w którym leżał Kaleb, przykryty jasnobrazowym kocykiem. Wiercił się, patrząc na nią błękitnymi oczkami.

- Cześć, kochanie - powiedziała, podnosząc koszyk i kładąc go ostrożnie na wozie. Dziewczynki podeszły natychmiast i zaczęły zabawiać niemowlę.

KRISTIN HANNAH

Tessa czekała cierpliwie, aż Jack pomoże jej wsiąść. Nie kwapił się do tego. W końcu postukała czubkiem buta w ziemię i oznajmiła, stojąc z założonymi rękami:

- Jack, już czas.

Rzucił jej z ukosa gniewne spojrzenie.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła ku niemu dłoń w rękawiczce. Rzucił z niechęcią lejce i pomógł jej zająć miejsce obok siebie.

- Dzięki - powiedziała, poprawiając fałdy żółtej muślinowej spódnicy.

- Nie ma za co - odparł. - Cholernie mi przyjemnie.

- Nie powinienesz kłać w obecności dzieci - zauważyła.

Jack spojrział na nią wzrokiem, który mógł zabić, i ujął lejce. Koń opuścił łeb i ruszył powoli do przodu.

Tessa wprowadzała w życie swój plan. Zaczynała się pierwsza przygoda rodziny Raffertych.

ROZDZIAŁ 11

Zobaczywszy idealne miejsce na piknik, Tessa wychyliła się na bok tak bardzo, że omal nie spadła z wozu.

- Tam! - krzyknęła, wskazując na rozłożyste drzewo.

Jack nie pofatygował się nawet, by odwrócić głowę.

- Sądząc z twojego wrzasku, zdecydowałam już, gdzie się zatrzymamy.

- Zgadłeś, Jack-odparła entuzjastycznie. -A już myślałam, że się nie rozumiemy.

Wybełkotał coś w odpowiedzi. Nie dosłyszała słów, ale wyraźnie dawał jej do zrozumienia, by się od niego odczepiła.

Postanowiła trochę nim wstrząsnąć.

- Przykro mi, Jack, ale nie mogę tego zrobić.

- Co powiedziałaś? - spytał z napięciem w głosie.

Rzuciła mu wyzywający uśmiech. Udał, że tego nie zauważył.

- Powiedziałam, że jest mi przykro, ale nie mogę się od ciebie odczepić. Mam inne plany.

Drgnęła mu nerwowo powieka, lecz nadal milczał, spoglądając przed siebie.

Tessa obserwowała go z boku, spostrzegając, jak mruży oczy, zaciska usta i dzierży kurczowo w dłoniach lejce.

Zdawała sobie sprawę, że jej plan nie zawiódł. Zmusiła Jacka do reakcji. Starał się być zimny i opanowany, ale z trudem hamował narastający gniew. Musiała go od niego uwolnić. Uświadomić mu, że drzemia w nim -jak w każdym człowieku - takie inne uczucia. Była pewna, że gdzieś w mrokach jego przerażonej duszy kryje się pragnienie szczęścia.

Należało tylko je odnaleźć.

Ściagnął lejce i zatrzymał konia.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił przez zaciśnięte zęby i zeskoczył z wozu.

Tessa spojrzała na niego z góry. Jack popatrzył na nią, mrużąc jeszcze bardziej oczy.

- No, no... - mruknęła. - Nie sądziłam, że nadejdzie taki dzień.

- Posłuchaj, Amary...

- Lizo - wtrąciła, wygładzając spódnice.

- Posłuchaj, Lizo - powtórzył, zniżając głos. - Baw się, ile chcesz, ale mnie do tego nie wciągaj. - Pochylił się naprzód, opierając dłoń w rękawicze o wóz. - Zrozumiałaś?

Tessa przesunęła się na drewnianym koźle, by być bliżej Jacka, i musnęła kolaniem jego rękę. Dostrzegła drobne żółte cętki, które rozjaśniały jego zielone oczy.

- Ciągłe mówimy o tym samym. Nie, Jack, niczego nie rozumiałam. I ty także. To rodzinny piknik. Należysz do tej rodziny. Więc będziesz nam towarzyszył.

- Co to znaczy, do cholery?!

Uśmiechnęła się do dziewczynek, które siedziały skulone z tyłu wozu, czekając najwyraźniej, kto wygra tę potyczkę.

- To znaczy, że będziemy jedli na powietrzu, cieszyli się słońcem i... - spojrzała na niego ponownie, mrużąc oczy tak jak on - dobrze się bawili.

Przez dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym westchnął ciężko i wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz, do cholery.

Tak, Jack - pomyślała Tessa. - Strać ochotę do walki. Poddaj się.

- Dziękuję - powiedziała słodko. - Chodźcie, dziewczynki. Rozpakujmy jedzenie i rozłóżmy pod drzewem koc.

Chwyliła koszyk, w którym leżał Kaleb, przycisnęła go mocno do piersi i usiadłszy na krawędzi kozła czekała.

Powoli traciła jednak cierpliwość.

Słyszała za sobą radosny chichot dziewczynek, rozkładających na ziemi duży koc. Jack stał obok konia, majstrując przy uprzęży. Tessa była pewna, że robi to umyślnie. Uprząż była czysta i dobrze założona.

Musiała więc zwrócić jego uwagę.

- Jack! - zawołała tonem strapionej damy z Południa. - Mógłbyś mi pomóc.

- Jestem zajęty - mruknął, nie podnosząc wzroku.

Odchrząknęła znacząco.

- Im później zejdziesz z wozu, tym dłużej tu zostaniemy.

- Jasne.

Jęknął. Tessa była pewna, że zaklął pod nosem. Uśmiechnęła się.

Jack owinał lejce wokół niewielkiego cedru i fachowo zawiązał je na węzeł. Potem, zsunawszy na czoło kapelusz, podszedł do wozu przez wysoką do kolan trawę i wyciągnął do niej rękę.

- Musisz mi podać obie ręce - oznajmiła.

Przyglądając się jej podejrzliwie, wyciągnął także drugą dłoń.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, podała mu koszyk z Kalebem. Spojrzał na niemowlę, a potem na nią. Zbladł nagle i otworzył szeroko usta.

- To twój syn - rzekła cicho Tessa.

Miał w oczach strach. Zaczęła nagle współczuć temu człowiekowi, który tak rozpaczliwie starał się udawać obojętność. Pragnęła gorąco dotknąć jego policzka.

- Po...połóż go pod drzewem. Zaraz tam przyjdę.
- Jack przełknął z trudem ślinę.
- A jak go upuszczę?
- Nie ma obawy.
- Nie rób mi tego, Amarylis. Błagam...
- Lizo - przypomniała mu delikatnie.

Spoglądali na siebie bez słowa, słysząc odległy, a zarazem krzepiąco bliski chichot dziewczynek. Ich beztroski śmiech harmonizował z cichym szelestem liści na drzewach.

Patrzył na nią oczami pełnymi przejmującego bólu i rozpacz, oczami człowieka, który nie potrafił uwierzyć w siebie. Jego nieme cierpienie przesywało jej serce jak sztylet.

Pochylała się ku niemu coraz bardziej, przyciągana jakąś magiczną siłą. On także odrobinę się do niej zbliżył. Zwilżyła językiem dolną wargę i nagle zdała sobie sprawę, gdzie jest i co robi. Chciała go pocałować. Pragnęła, by wziął ją w ramiona.

O Boże...

Serce zaczęło jej walić jak młotem. Czuła pulsowanie w skroniach.

- Jack, ja...

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc jej słowa uleciały z wiatrem.

Jack cofnął się niepewnie.

- P...potrafisz sama zejść?

Tessa usłyszała, jak rwie mu się głos, i wiedziała, że jest równie poruszony jak ona.

- Tak, dam sobie radę.

Przycisnął do piersi koszyk z niemowlęciem i odszedł, wydeptując ścieżkę w wysokiej trawie.

Tessa patrzyła w ślad za nim, uspokajając się powoli. Uświadomiła sobie, że drżą jej ręce. Udało jej się prawie zapanować nad strachem i osiągnąć to, czego pragnęła.

Prawie, ale jeszcze nie do końca.

Jack przyklęknął ostrożnie i postawił koszyk na kocu. Starął się odwrócić wzrok - naprawdę się starał - ale nie potrafił. Wbrew swojej woli przyglądał się leżącemu w koszyku niemowlęciu. Swojemu synowi.

Kaleb zamrugał do niego. Widoczna spod brązowego kocyka ramiana twarzyczka wydawała się nieprawdopodobnie mała i bezbronna.

- Cześć, mały. - Słowa Jacka zabrzmiały oschle i zdawkowo, ale nie był w stanie wydusić nic więcej przez zaciśnięte gardło. Miał zamiar dotknąć drobnego policzka, lecz się powstrzymał. Nie powinien zanadto się angażować, nie powinien...

Amarylis uklęknęła obok niego.

- Czyż on nie jest śliczny? - powiedziała cicho.

Jack poczuł jeszcze silniejsze dławienie w gardle. Skinął głową i skoncentrował wzrok na grubym pniu drzewa. Widział go jak przez mgłę.

Chryste! Wstał z wysiłkiem i cofnął się o krok, chcąc utrzymać bezpieczny dystans od zachowującej się coraz dziwniej żony.

- Przyniosę jedzenie - oznajmił i odwróciwszy się na pięcie, pobiegł w kierunku wozu.

Gdy tam dotarł, nie mógł złapać tchu, a serce waliło mu w piersi jak oszalałe. I to wcale nie ze zmęczenia. Wykańczały go te cholerne zmiany.

Ona go wykańczała. Kobieta, którą kochał przez ponad połowę życia, znalazła w końcu sposób, by go zniszczyć.

Poczuł się nagle znużony, stary i niewiarygodnie samotny. Odwróciwszy głowę zobaczył, że Liza, Savannah i Katie trzymają się za ręce i bawią się w koło. Ich radosne głosy dzwięczały w powietrzu.

- *Kółko graniaste, czworokanciaste, kółko nam siępołamało, a my wszyscy bęc!*

Upadły na ziemię, śmiejąc się wesoło i furkocząc spódnicami.

Jackowi niezdolnie dokuczała samotność. Oparł się ciężko o wóz i spuścił głowę, wpatrując się w żółtozieloną trawę. Smutek, tęsknota i żal ścisnęły go tak, że nie mógł oddychać.

- ...a my wszyscy bęc!

Nie umiając oprzeć się pokusie, podniósł niechętnie głowę i spojrzał tam, skąd dobiegały głosy.

Liza pierwsza upadła na ziemię, a dziewczynki zwały się na nią. Ścisnęły się nawzajem i staczały po zboczach z rozwianymi włosami. Ich radosny śmiech ranił mu serce.

- Boże! - westchnął. Jak bardzo pragnął do nich dołączyć! Być razem z nimi. Czuł ogień w piersiach. Zaciśnął w pięści drżące dłonie.

Nagle Liza spojrzała w jego kierunku.

Poczuł ścisnięcie w gardle. Leżała w wysokiej trawie z włosami rozrzuconymi na boki i zadartą spódnicą, spod której widać było jej białe zgrabne nogi.

Dźwignęła się powoli z ziemi, nie spuszczać z niego wzroku, i nagle skinęła głową, szepcząc bezgłośnie:

- Chodź do nas...

Jack chwycił się kurczowo wozu. Czuł się tak, jakby jakaś siła spychała go powoli na skraj przepaści. Gdyby w nią spadł, jego dusza roztrzaskałaby się na drobne kawałki.

Zwilżył nerwowo wargi. Nie idź tam, Jackson.

Ale już zmierzał w jej kierunku, wiedziony tęsknotą, którą odczuwał od lat, i miłością, której nie potrafił się wyprzeć.

Dopiero po przejściu około pięciu metrów zdał sobie sprawę, co robi. Zmierzał na oślep w zastawioną przez nią pułapkę. Zatrzymawszy się, spojrzał na rozłożyste drzewo i wymamrotał:

- Usiądę tam.

Zdawało mu się, że Liza westchnęła.

- W porządku, Jack.

Zerknął na nią, zdziwiony smutnym brzmieniem jej głosu.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Uśmiechnęła się blado.

- Nic mi nie jest. Pokażę dziewczynom, jak pleść wianki ze stokrotek. Chcesz się tego nauczyć?

Pokręcił głową, bojąc się cokolwiek mówić.

- Dobrze, więc tylko popatrzysz.

Podszedł do koca i usiadł na jego połażowanej powierzchni. Podkurczywszy nogi, spojrzął na śpiącego Kaleba, a potem ponownie na żonę i dziewczynki.

Liza pokazywała im, jak robić wianek z kwiatów. Katie i Savannah przyglądały się temu w zachwycie.

Jack uświadomił sobie w tym momencie, że zaczął nazywać żonę w myślach Lizą, a nie Amarylis.

Zmiany, stwierdził w duchu, zaciskając usta. Ciągłe zmiany.

Do diabła, nie zwracaj na nią uwagi.

Powtarzał to sobie bez przerwy, ale bezskutecznie.

Jej widok hipnotyzował go, przywodził na myśl odległe wspomnienia. Patrzył na nią z niemym uwielbieniem, pragnąc, by się nie poruszała.

Kłęczała w wysokiej trawie, podkasawszy spódnice. Złociste włosy opadały jej na ramiona. Wianek z jasnożółtych mleczy, który miała na głowie, wyglądał jak najpiękniejsza korona. Jej promienny uśmiech zapierał Jackowi dech w piersiach.

Biały parasol, który powinien chronić ją od południowego słońca, został wbity w ziemię i osłaniał nagie niemowlę.

Dziewczynki szczebiotały radośnie i Jack słyszał chwilami strzępki ich rozmów, ale przez większość czasu siedział pograżony w myślach, snując wspomnienia.

Amarylis wydawała się zupełnie odmieniona, a zarazem była taka jak dawniej. Miał wrażenie, że odbył wędrówkę w czasie do ich wspólnej przeszłości.

Wyglądała... inaczej. Młodziej. Niemal jak ta troskliwa, pogodna dziewczyna, którą adorował, gdy byli oboje młodszy i wierzyli jeszcze w Boga, miłość i w siebie nawzajem.

Ale jednak dostrzegając w jej zachowaniu coś nowego. Była zniewalająco czuła, gdy uśmiechała się do Katie, dodawała otuchy Savannah lub bezwiednie głaskała Kaleba po plecach. Właśnie to sprawiało, że zaczynał mieć wątpliwości. Zaczynał jej wierzyć.

Podniosła nagle wzrok, jakby sprowokowana jego rozmyślaniami. Ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

Bez namysłu odwzajemnił jej uśmiech. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Jej delikatne policzki oblały się rumieńcem. Jack poczuł się jak idiota i odwrócił wzrok.

- Nie... - szepnęła, kręcąc lekko głową.
- Co nie? - Spojrzał na nią niechętnie.
- Nie bądź taki ponury. Lubię, jak się uśmiechasz...

Znowu miał wrażenie, że spada w przepaść. Sięgnął po kubek z wodą i wcale nie był zaskoczony, że drży mu ręka. Zaciśnął palce na nagrzanym od słońca metalu, jak tonący, który chwyta się idącego na dno wiosła.

Nagie przypomniał sobie słowa doktora Hayesa: Może masz nową żonę.

Poczuł w tym momencie coś, czego nie doświadczał już od bardzo dawna, czego poprzysiągł sobie już nigdy nie zaznać.

Zabłysła mu iskierka nadziei i - oby Bóg nad nim czuwał - nie potrafił zwalczyć tego uczucia.

Tessa oparła się o pokryty splekaną korą pień drzewa.

- Mamo! Zobacz! Wirujące nasionko! - Katie podbiegła do niej i upadła na kolana, ślizgając się po trawie. - Sama je znalazłam!

- Świetnie, kochanie. Pokaż tatusiowi, jak potrafi fruwać.

Dziewczynka wstała i rzuciła zręcznie nasionko klonu w powietrze. Poszybowało daleko i wylądowało w trawie. Katie podskoczyła z radości i pobiegła opowiedzieć o tym siostrze.

Tessa spojrzała na Jacka. Patrzył na Katie głęboko zamyślony.

- Wspaniałe dziecko - stwierdziła cicho Tessa.

- Tak - odparł z uśmiechem.

Ich spojrzenia znowu się spotkały i w tym momencie nastąpiło coś szczególnego. Tessa poczuła się nagle piękna i podziwiana. Przez krótką olśniewającą chwilę widziała w oczach Jacka miłość.

Trwało to ułamek sekundy. Odwrócił wzrok i czar prysnął. Westchnęła ciężko. Miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Poczowała się znowu jak mała głucha dziewczynka, która czeka ciągle, by ktoś zaprosił ją do przytulnego domu.

Na myśl o tym ogarnął ją gniew. Zawsze musiała czekać.

I to, cholera, z własnej winy. Zmarnowała życie, za bardzo bojąc się miłości. Lękała się ciągle, że zostanie odrzucona, że nie okaże się dostatecznie ładna, utalentowana czy wrażliwa. Po tylu nieudanych adopcjach, tylu bezskutecznych próbach znalezienia przybranych rodziców, dała za wygraną. Wybrała bezpieczną samotność, by nie mieć nigdy więcej złamanego serca.

Ale teraz chciała to zmienić. Dano jej szansę, by zaczęła życie od nowa, by zaznała miłości i, na Boga, tym razem nie zamierzała rezygnować z walki ze strachu przed rozczarowaniem. Pragnęła, by Jack ją kochał, i chciała odwzajemnić jego uczucia.

Miała tylko dwie możliwości. Musiała czekać cierpliwie, aż sam do niej przyjdzie, albo wyciągnąć rękę i sięgnąć do gwiazd.

Był to ograniczony wybór.



Próbując przyrządzić śniadanie, Tessa poniosła kolejną porażkę.

- Moglibyśmy mocować tą owsianką dywany do podłogi — stwierdziła wesoło, popijając ją mlekiem.

- Albo przyklejać do ściany tapety - dodała z uśmiechem Savannah.

- Łapałabym na nią króliki. - Katie zachichotała. - Wystarczy rzucić jej trochę na ziemię. - Uderzyła piąstką w stół, by zademonstrować, co ma na myśli. - Hop, hop, i królik się przykleja!

Wszystkie trzy wybuchnęły beztróskim śmiechem. Jackowi ścisnęło się serce. Przyglądał się im po kolei. Savannah wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Miała zaróżowione policzki, a jej błękitne oczy jaśniały szczęściem.

Przeniósł wzrok na Katie, swoje ukochane małeństwo. Jej duże piwne oczy promieniały radością. Poczuł piekący żal, że nigdy nie okazał jej uczuć, że zmarnował tyle czasu, tyle okazji.

Może jeszcze nie wszystko stracone. Może...

Gdy spojrział przez stół, zaparło mu dech w piersiach. Żona patrzyła mu prosto w oczy, najwyraźniej znów zbyt wiele dostrzegając.

Pomyślał ponownie: być może... Po wczorajszym pikniku ziarno nadziei, zakopane głęboko w jego sercu, zaczęło kiełkować. Delikatne korzonki rozrastały się coraz bardziej.

Na ustach Lizy pojawił się subtelny, uwodzicielski uśmiech. Wiedział, że jest przeznaczony specjalnie dla niego. Niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

Serce zabiło mu szybciej. Czuł przyspieszony puls.

To nie złudzenie - pomyślał nagle. - Ona naprawdę się zmieniła.

Po raz pierwszy od lat był skłonny w to uwierzyć. Może istniała jeszcze nadzieja. Dla niego, dla Lizy, dla nich wszystkich.

Szkolny dzwonek rozbrzmiał głośno i dźwięcznie, zwiastując koniec zajęć.

Katie odetchnęła z ulgą, rozluźniając zaciśnięte między udami dłonie. Przetrwiała jakoś ten dzień i nikt się z niej dzisiaj nie naśmiewał.

Siedząca obok niej Savannah zbierała pospiesznie i związywała paskiem książki. Katie odsunęła krzesło i wstała. Przyglądając się rozrzuconym na ławce podręcznikom, sięgnęła drżącą ręką po krótki skórzany pasek.

Skup się - powiedziała do siebie w duchu. - To nie takie trudne. Wszyscy to potrafią.

Oczywiście, ale wszyscy robili też wiele innych rzeczy, które jej przychodziły z trudem.

Z przesadną starannością zaczęła układać książki na kupkę, podłożywszy pod spód pasek.

- Savannah? Katie?

Zamarła, słysząc głos panny Ames.

- Tak, proszę pani? - odparła starsza siostra.

Katie odruchowo przełknęła ślinę i podniosła głowę. Panna Ames przesywała ją wzrokiem. Na widok jej surowego spojrzenia dziewczynka poczuła dreszcze.

Nauczycielka podeszła do nich rączym krokiem. Stukot jej obcasów o drewnianą podłogę brzmiał w uszach Katie jak uderzenia w policzek. Zaciśnęła nerwowo dłonie na wełnianej spódnicy.

Panna Ames trzymała w ręce świstek papieru.

- Savannah, oddaj to mamie. Chcę, żeby w najbliższym czasie przyszła ze mną porozmawiać na temat... - spojrzała z wyrzutem na Katie - ...karygodnego lenistwa twojej siostry.

Katie jęknęła cicho i utkwiała wzrok w porysowanym blacie ławki.

- Ona nie jest leniwa, panno Ames. Naprawdę się stara.

- Nie praw mi kazań. - Panna Ames obdarzyła ją karcącym spojrzeniem. - Zaczęłam uczyć, zanim przyszedł na świat, i wierz mi, że dziecko, które w wieku siedmiu lat nie potrafi czytać, jest po prostu leniwe. Albo beznadziejnie głupie.

Savannah ujęła drżącą dłoń Katie, by dodać jej otuchy.

Młodsza siostra chwyciła ją mocno za rękę. Miała ochotę płakać ze wstydu i upokorzenia. Widziała jak przez mgłę wiszącą na ścianie czarną tablicę.

- Biegnijcie teraz do domu - powiedziała panna Ames i odwróciwszy się na pięcie, pomaszerowała z powrotem do swojego biurka.

Savannah zebrała książki Katie i związała je paskiem tak zrećnie, że jej siostra poczuła się jeszcze bardziej nieporadna.

- Chodźmy, Katie. - Przycisnęła podręcznik do piersi i wyprowadziła siostrę z klasy.

Katie szła ze spuszczoną głową, starając się rozpaczliwie pohamować łzy. Patrzyła pod nogi, żeby się nie potknąć. Zeszły po zbutwiałych drewnianych schodach na młodą zieloną trawę.

- Możesz już podnieść głowę - powiedziała cicho Savannah. - Wszyscy sobie poszli.

Katie uniosła drżący podbródek, patrząc przez załamane oczy na ogrodzone płotem i okolone drzewami szkolne podwórko.

- Panna Ames się myli. Wcale nie jesteś leniwa, tylko po prostu...

- Głupia - wyrzuciła z siebie Katie.

- Nie! - Savannah wypadły z rąk książki, wzniesając na ziemi chmurę kurzu. Przyklęknęła i chwyciła siostrę za ramiona. - Nie jesteś głupia. Nie wierz w to ani przez chwilę.

Wielkie łzy spłynęły Katie po policzkach.

- Tak bardzo się staram.

- Wiem - odparła Savannah zduszonym głosem, mając też ochotę się rozpłakać.

Widząc to, Katie poczuła się jeszcze gorzej.

- Wracajmy do domu - powiedziała obojętnie.

Starsza siostra objęła ją mocno.

- Pomogę ci - szepnęła, dotykając ustami jej szyi. - Przysięgam. Nie wiem tylko jeszcze, w jaki sposób.

Tessa patrzyła zaszokowana na kartkę od nauczycielki. Zaciśnęła zęby, mając ochotę siarczyście zakląć.

Potem spojrzała na dziewczynki. Savannah, blada jak ściana, wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. Katie, jak dawniej, ukryła się za spódnicą siostry. Obie były śmiertelnie przerażone.

Tessa starała się zachować spokój. Była zbyt wściekła na tę wiedźmę ze szkoły, żeby porozmawiać teraz rzeczowo z dziewczynkami, ale zamierzała to zrobić. Potem już nigdy nie będą się jej bały.

- Nie martwcie się - oznajmiła łagodnie. - Ja to załatwię.

Jack skrzywił się, usłyszawszy za drzwiami stodoły odgłos zdecydowanych kroków. Znał go aż za dobrze. Nie zapowiadał wizyty jego odmienionej żony, tylko dawnej Amayilis. I zwiastował kłopoty.

Wzdrygnął się, słysząc stukot jej obcasów o ziemię.

- Jack?

Zebrał siły i się odwrócił.

- Tak?

Stanął pół metra przed nim, wyciągając rękę z wymiętym świstkiem papieru.

- Zobacz.

- Co to jest? - zapytał, unosząc brwi.

- Przeczytaj.

- Powiedz mi, o co chodzi.

Cofnęła rękę i spojrzała na białą kartkę.

- *Droga Pani Rafferty. Muszą z Panią pomówić na temat karierygodnegolenistwainiesubordynacji Mary Katherine. Jestem do dyspozycjicodzienniepopołudniu. Zpoważaniem, Rebeka Ames.*

Jack, wściekły i zaszokowany, zacisnął do bólu palce na rękojeści młotka. Przypomniawsobienatychmiast, jak zareagowała jego żona, gdy panna Ames przysłała jej już kiedyś podobną notatkę.

Była równie lakoniczna i uprzejma.

Droga Pani Rafferty. Powinna Pani wiedzieć, że Mary Katherine ma duże trudności w opanowaniu podstaw czytania. Gdyby zechciała Pani porozmawiać ze mną na temat jej niechęci do nauki, chętnie poświęcę na to trochę czasu. Zpoważaniem, Rebeka Ames.

Boże, jakże Amarylis się wtedy śmiała! Jeszcze teraz brzmiał mu w uszach jej drażniący, histeryczny niemal śmiech. Podarła karteczkę i wrzuciła ją w ogień.

O czym tu rozmawiać, Jackson? O głupocie naszej córki? - Poślała mu spojrzenie, które przepaliłoby stalowy pancerz. - Przecież to dziedziczne...

- Powiedz coś, do diabła! - krzyknęła Liza.

Popatrzył na nią podejrzliwie, zastanawiając się, czego, do cholery, tym razem od niego oczekuje.

- Co na przykład?

- Co? Ta stara flądra uważa, że twoja córka jest głupia!

Jack był zupełnie zbity z tropu. Liza wydawała się... wściekła. Nie mógł w to uwierzyć. Przecież Katie nic jej nie obchodziła.

Zmrużyła oczy z odrazą.

- Ależ z ciebie zakała, Jacku Rafferty. Idziemy.

- Dokąd? Chyba nie chcesz...

Zgniotła w dłoni papier i dźgnęła go w pierś wskazującym palcem.

- Idziemy pogadać z nauczycielką.

Jacka przeszedł zimny dreszcz. Cofnął się, kręcąc głową. Tylko nie to.

- Zaprzęgnij konia. Nakarmię Kaleba i ruszamy w drogę.

Jack starał się zachować zimną krew, ale ogarniała go panika. Nie mógł z nią jechać. Nie potrafiłby nad sobą zaprowadzić. Jeśli ta suka powie, że Katie jest głupia, uderzy ją.

Amarylis odkryje jego słabość, jego miłość do Katie, i wykorzysta to, by zemścić się na nich wszystkich.

- Nie pojedę.

- Nie? - Uśmiechnęła się z przekąsem. Znał aż za dobrze ten grymas. - Masz pół godziny, Jack - oświadczyła z chłodną determinacją, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła ze stodoły.

- Do diabła, Amarylis. Nie mogę!

Nawet się nie odwróciła.

Tessa wciągnęła powietrze i drżącymi palcami zawiązała mocno gorset.

Gdy próbowała odetchnąć, z jej ust dobył się cichy świst.

Tracąc równowagę, uchwyciła się drewnianego słupka łoża, by ustać na nogach. Miała tak ściśniętą klatkę piersiową, że kręciło jej się w głowie i nie mogła złapać tchu.

Upadła na łóżko i leżała nieruchomo, zastanawiając się, ile człowiek może wytrzymać bez powietrza.

He, he, he. W ciszy sypialni każdy jej oddech brzmiał jak zduszony śmiech.

Stopniowo przestały latać jej przed oczami białe płaty i ból w płucach ustąpił. Przewróciła się ostrożnie na bok, a potem, bardzo powoli, usiadła na łóżku.

He, he, he.

Nie odrywając niemal stóp od podłogi, podeszła do szafy i ubrała się. Zwiewna zielona sukienka, którą wcześniej wybrała, spływała jej z ramion do ziemi.

Oddychając trochę swobodniej, stanęła przed lustrem. To, co ujrzała, zaparłoby jej dech w piersiach, gdyby nie była tak ściśnięta. Wyglądała... olśniewająco.

Uśmiechnawszy się mimo niewygodnego stroju, odwróciła się energicznie i natychmiast zdała sobie sprawę, że ruch ten był zbyt gwałtowny. Znów pokazały jej się gwiazdy i musiała chwycić się umywalki, by nie upaść.

He, he, he.

- Postoję tu... tylko chwilę.

Tak czy inaczej potrzebny jej był plan działania. Nie mogła po prostu pomaszerować - a raczej pokuśtykać - do stodoły i wyciągnąć Jacka za rękę. Musiała go jakoś podejść, by jej pomógł. Postanowiła nie dać za wygraną. Tym razem miał się poczuć członkiem rodziny, czy tego chciał, czy nie.

- W porządku - powiedziała do imponująco pięknej kobiety w lustrze. - Jak to załatwimy? Nie będzie łatwo. On nie zechce jechać.

Nagle zdała sobie sprawę, że niezupełnie ma rację. Nie chodziło o to, że Jack nie chciał jechać. Po prostu się bał. Jego burzliwe małżeństwo z Amarylis sprawiało, że nie był takim ojcem, jakim pragnął być.

Obawiał się okazać, że interesuje się dziećmi.

Ale ta stara wiedźma ze szkoły zarzuciła Katie lenistwo i Tessa nie mogła tego przemilczeć. Takie pomówienia pozostawiały blizny na całe życie. Dobrze o tym wiedziała.

Jak więc miała zapewnić sobie pomoc Jacka, nie wszczynając burdy?

Uznała, że należy unikać konfrontacji. Musieli oboje trzymać nerwy na wodzy. Nie mogła sobie więcej pozwolić na wybuchy gniewu. Jack spodziewał się po żonie takich właśnie reakcji, a powinna przecież zaskoczyć go swoim zachowaniem. Ich rozmowa będzie miała spokojny przebieg. Nie okaże złości ani zdenerwowania. Musi być opanowana.

Tak, to najlepsze rozwiązanie. Bez względu na to, co Jack zrobi lub powie, będzie się uśmiechała. W ciągu ostatnich dni przekonała się, że nic nie zbija go z tropu równie skutecznie, jak jej uśmiech.

Potrzebowała około dwudziestu minut, by dotrzeć do stodoły, ale i tak uznała to za ogromny sukces. Udało jej się nie zemdleć po drodze.

- Jack?

- Tak? - Usłyszała w mroku jego głos.

Położyła rękę na drewnianym warsztacie i odwróciła się powoli. Mrużąc oczy, wpatrywała się w ciemny, zasnuty pajęczynami kąt.

- Jack?

- Jestem tutaj. Czego chcesz?

- Czekam, aż zaprzęgniesz konia.

Wyłonił się z cienia. Trzask gałązki pod jego nogą rozległ się echem w całej stodole.

- Długo będziesz czekała.

- Chcesz powiedzieć, że nie zawiesz mnie do szkoły?

- Powiedziałem, że długo będziesz czekała, aż zaprzęgnę konia.

Tessa starała się nie tracić cierpliwości. Bądź opanowana.

- Tak, wiem, jak to ująłeś. Ale pytam, co miałeś na myśli. Jack w jednej chwili znalazł się przy niej.

- Skoro chcesz jechać do szkoły, proszę bardzo. Możesz dosiąść Reda.

Tessa poczuła skurcz w żołądku.

- Słucham?

Uśmiechnął się i wskazał kciukiem najbliższy boks. Wielki gniady ogier prychnął w odpowiedzi.

Tessa przełknęła z trudem ślinę.

- Czy ja jeżdżę konno?

- Tylko na rasowych rumakach.

- Wcale mnie to nie dziwi. No dobrze, osiodłaj je.

Uśmiech Jacka zniknął.

- Jak to?

- Nie pojedę sama.

- Nie zamierzam ci towarzyszyć.

- Owszem. Jak inaczej trafię do szkoły?

Jack wpatrywał się w nią jak w coś, co przyłgnęło mu do podeszwy.

- Nie pamiętasz, gdzie jest szkoła?

Jej plan zawodził. Może powinna się trochę z nim podroczyć? Zamrugała do niego długimi kasztanowymi rzęsami.

- Czy kiedykolwiek tam byłam?

- Jest przy drodze, jakieś...

Tessa chrząknęła znacząco. Jack przerwał w pół zdania i spojrzał na nią.

- O jakiej drodze mówisz? - zapytała.

- Lizo, klnę się...

Pokręciła głową.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił.

Jack zacisnął mocno powieki. Miała nieodparte wrażenie, że chce ją udusić. Gdy znowu się odezwał, ton jego głosu dowodził niezbicie, że z trudem nad sobą panuje.

- Ta droga, Lizo...

- Dawno tak do mnie nie mówiłeś.

Zamrugał.

- E?

Tym razem Tessa uśmiechnęła się promiennie.

- Dawno nie mówiłeś „droga Lizo”.

Spojrzał na nią tak, że przez ułamek sekundy miała obawy, czy nie posunęła się za daleko.

- Dobrze. - Wyrzucił to słowo z ust jak zatrutą strzałę. - Skoro tego chcesz, pojedziemy do szkoły. Ale nie oczekuj, że będę tam z kimkolwiek rozmawiał.

Tessa miała ochotę rzucić mu się na szyję. Zacisnęła dłonie w poczuciu triumfu. Jack z nią pojedzie! Jej plan się powiódł. Zmusiła go, by poczuł się ojcem, chociaż przez chwilę.

Uśmiechnęła się. To był dobry początek.

Kilka minut później spojrzała z niechęcią na damskie siodło, zastanawiając się, czy jej plan nie okaże się gorszy, niż sądziła.

- Mam siedzieć... na czymś takim?

Jack skinął głową, nie kryjąc uśmiechu.

Tessa zacisnęła zęby.

- Pomóż mi.

- Może wolałabyś jednak...

- Wolałabym się za kierownicą mojego dżipa, ale ponieważ to mało prawdopodobne, pomóż mi wejść na konia.

Podał jej wodze. Wsadziła je między zęby, chwyciła ręką za siodło i oparłszy jedną nogę o splecione dłonie Jacka, przrzuciła drugą przez grzbiet ogiera.

Jack odchrząknął wymownie. Krzywiąc się z niesmakiem, Tessa wyjęła zakurzone wodze z ust i spojrzała w dół.

Podsunał do góry sfatygowany czarny kapelusz i powiedział:

- Chyba nie zamierzasz jechać na koniu w ten sposób?

- Tak jest wygodniej - skłamała. Nigdy w życiu nie czuła większego dyskomfortu.

Jack pokręcił głową. W jego zielonych oczach czaił się uśmiech.

- Pewnie damy tak nie jeżdżą - stwierdziła niepewnie.
- Właśnie.

Pochyliwszy się nieco, spojrzała na dwie skórzane pętle, sterczące z boku siodła jak uszy zająca.

- Niech zgadnę. Mam zahaczyć prawą nogę... o tę *rzecz!* Jack uśmiechnął się szeroko.

- Zgadza się.

Chwyliła Reda za grzywę i ostrożnie zmieniła pozycję.

- Coś tu jest nie tak. Czuję się jak owad, uczepony anteny w samochodzie.

Uniósł brwi, nie rozumiejąc jej słów.

- Zawsze mówisz, że dama z Południa nie dba o wygody.

Uśmiechnęła się blado. Musiała się hamować, by na niego nie wrzasnąć.

- Oczywiście. Jesteś gotowy?

W oczach Jacka pojawił się błysk zdziwienia, a potem gniewu.

- Nadal chcesz jechać?

- Jasne.

Klnąc pod nosem, dosiadł konia i skierował go na drogę.

- Chodź, Turek. Ruszamy.

Jechali długo i w milczeniu.

Skręciwszy na końcu Portland Hill Road zobaczyli jedno-izbowy budynek.

Wpatrując się w drewnianą konstrukcję, służącą za salę zebrań, kościół i letnią szkołę, Jack czuł, jak ogarnia go wściekłość na kobietę, która ośmielała się twierdzić, że jego Katie jest leniwa.

Opanuj się, pomyślał. Nie wolno ci odczuwać gniewu, strachu ani bólu.

SZANSA

Tym razem wypróbowana litania nie przyniosła efektu. Stwierdził z coraz większą rozpaczą, że nie potrafi zapanować nad emocjami. Trawiły jego wnętrze jak ogień.

- Jaki śliczny budynek! Czy to szkoła?

- Tak - wycedził przez zęby Jack, zaciskając mocno ręce na wodzach.

- W porządku. Uzgodnijmy teraz, jak załatwimy tę sprawę. Jej słowa zmroziły go do szpiku kości.

- Co powiedziałaś?

- Musimy, że się tak wyrażę, opracować plan ataku. Zapewnić sobie współpracę tej starej wiedźmy. Powinniśmy za wszelką cenę być opanowani i uprzejmi. - Ściągnęła z namysłem brwi. - Może nawet trzeba będzie jej się przypochlebić.

Jacka ogarnęło przerażenie. Nie chciała chyba, by rozmawiali z nauczycielką razem, jako rodzice! Nie potrafił milczeć, słysząc słowa krytyki pod adresem swojego dziecka.

- Nie mów my, do cholery! Pokazałem ci, gdzie jest szkoła. Zrobiłem, co do mnie należało.

- Przykro mi, Jack. Do tanga trzeba dwojga.

- Co to ma niby znaczyć?

- Razem spółdziliśmy Katie i teraz oboje pomożemy jej wybrnąć z kłopotów.

Razem... spółdziliśmy... pomożemy... Słowa te godziły w niego jak pociski. Próbował wzbudzić w sobie gniew, ale na próżno. Czuł się tylko przerażony i bardziej samotny niż kiedykolwiek.

- Zaczekam na ciebie - powiedział stłumionym głosem. - Ale nie wejdę do środka.

- Owszem, wejdiesz - odparła w momencie, gdy dojeżdżali właśnie do szkoły.



Katie siedziała po turecku na wytartym dywanie, wpatrując się smętnie w swoje stopy.

- Jak myślisz, co się tam teraz dzieje?

Sawannah wyciągnęła dłoń do Kaleba, który leżał między nimi na podłodze. Niemowle zacisnęło mocno drobną czerwona rączkę na jej wskazującym palcu.

- Nie wiem. Pewnie jeszcze nie dojechali do szkoły.

Znowu obie zamilkły.

- Mama była wściekła, kiedy zobaczyła tę kartkę - stwierdziła cicho Katie, wyskubując z dywanu niebieską nitkę.

- Mniej niż ostatnio.

- Tak... - Katie wzdrygnęła się na wspomnienie „poprzedniego razu”. Mama uderzyła ją i krzyczała, że jest głupią, leniwą dziewczuchą, nie lepszą od swojego szalonego tatusia.

- Nie myśl o tym. - Sawannah dotknęła kolana Katie. - To się już nie powtórzy.

Katie spojrzała na nią, nie mogąc powstrzymać łez.

- Skąd wiesz? - wyszeptała. - Może ona znowu nas oszukuje.

Sawannah przełknęła z trudem ślinę.

- Nie sądzę... Jest teraz... inna.

Łza spłynęła Katie po policzku i spadła jej na rękę, zaciśniętą na brzuchu. Była tak przerażona, że czuła mdłości. Savannah próbowała ją pocieszać, ale obie wiedziały, co się stanie, gdy mama wróci do domu. Będzie tak, jak poprzednim razem.

Nie mogły nic na to poradzić. Musiały po prostu czekać.

Mary Katherine nie powinna chodzić do szkoły.

Tessa sądziła, że się przesłyszała.

- Mogłaby pani to powtórzyć?

Panna Ames przyglądała im się zza biurka. Oparłszy dłonie o blat, odsunęła krzesło i wstała, uśmiechając się cierpko.

- Powiedziałaam, że Mary Katherine nie ma prawa być w tej szkole. Jest leniwa, roztargniona i najwyraźniej brak jej chęci do nauki. — Przerwała, unosząc brwi. Druciane okulary zsunęły jej się z krogulczego nosa. - Może jest niezupełnie normalna. Być może...

- Niech się pani nie waży tak mówić! - syknęła Tessa.

Panna Ames zacisnęła usta z wyrazem dezaprobaty.

- Zdaje się, że córka państwa wynosi złe manierey do domu.

- Jak pani może mówić takie rzeczy o siedmioletniej dziewczynce? Nie przyszło pani do głowy, że uczy się wolniej niż inne dzieci z określonego powodu?

Panna Ames pociągnęła głośno nosem i poprawiła okulary.

- Chyba nie bardzo rozumiem.

Tessa odetchnęła głęboko, by zachować spokój. Pamiętaj, że zależy ci na współpracy z tą kobietą. Splotła dłonie i oznajmiła z wymuszonym uśmiechem:

- Moim zdaniem, Katie wymaga trochę więcej opieki niż inni uczniowie. Jest pani taka uczynna i inteligentna. Z pewnością znajdzie pani sposób, by jej... pomóc. Na czym właściwie polega problem?

Panna Ames zastanawiała się przez chwilę, marszcząc czoło. Okulary znów zsunęły się jej z nosa.

- No cóż, Mary Katherine ma szczególne trudności z czytaniem na głos.

Tessa pochyliła się lekko do przodu, opierając dłonie o szorstki blat biurka.

- Może podczas przerwy obiadowej...

- Chyba mogłabym poświęcić jej wtedy kilka chwil.

Tessa pokiwała głową z aprobatą.

- A ja popracuję z nią w domu. Co wieczór.

Panna Ames pozwoliła sobie na zdawkowy uśmiech.

- Naprawdę? A więc dobrze. Zobaczymy, czy to coś da. Dziękuję, że pani przysłała, pani Rafferty. - Skinęła głową do Jacka, który siedział nadal z tyłu klasy, sztywny jak słup. — Panie Rafferty...

Tessa uściśnęła jej kościstą dłoń.

- To ja dziękuję, panno Ames.

Nauczycielka związała paskiem stertę książek i wyszła pospiesznie ze szkoły. Gdy zamknęły się za nią drzwi, Tessa wyrzuciła ręce w powietrze i zaśmiała się triumfalnie.

- Udało nam się, Jack! Ona pomoże Katie!

Kiedy się odwróciła, jego już nie było.

Uniósłszy rąbek spódnicy, wybiegła z klasy. Jack siedział zgarbiony na najwyższym schodku i podpierając rękami podbródek, wpatrywał się w ziemię.

Usiadła obok niego. Zbutwiała deska ugięła się pod jej ciężarem.

- Nie powinnaś była tego robić - powiedział stłumionym głosem. - Pogarszasz tylko sytuację.

- Co masz na myśli?

- Udajesz, że troszczysz się o Katie. Będzie cierpiąca jeszcze bardziej, kiedy staniesz się taka jak dawniej. Nie rób jej nadziei. Błagam...

Tessa zobaczyła w oczach Jacka przejmujący ból. Musnęła dłonią jego policzek, pytając niemal bezwiednie:

- Dlaczego?

Drgnął, czując jej dotyk.

- Co dlaczego?

- Dlaczego tak się jej boisz?

Poczuła na twarzy jego ciężki oddech. Ból, który miał w oczach, ranił jej serce.

- Lizo, proszę cię... - powiedział drżącym głosem.

Przysunęła się do niego. Pociągał ją tak samo jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Dotknęła pieszczotliwie jego policzka i spojrzała mu głęboko w oczy, próbując dostrzec, co kryje się pod maską strachu.

- Zmieniłam się, Jack. Już cię więcej nie skrzywdzę. Przyrzekam.

Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że widzi w jego oczach błysk nadziei. Zniknął jednak równie szybko, jak się pojawił.

- Oczywiście, Lizo. Wierzę ci.

- Zaraz naprawdę uwierzysz.

Ujęła jego twarz. Zdawszy sobie sprawę, co żona zamierza zrobić, Jack otworzył szeroko oczy i próbował się odsunąć.

- Lizo, nie...

Pochyliła się ku niemu, wiedząc, że jest na to za wcześnie, że nie jest jeszcze gotowy, lecz nie mogła się oprzeć pokusie.

Chciała go pocałować. Jack był napięty jak struna. Wiedział, że powinien wyrwać się z jej uścisku i odsunąć, ale nie mógł się ruszyć. Zastygł w miejscu, owładnięty pragnieniem miłości.

Chciał poczuć dotyk jej ust. Pragnął tego tak bardzo, że czuł się całkiem bezradny. Marzył o tym od chwili, gdy zobaczył

ją półnagą w kąpieli. Jak więzień, który przebywa zbyt długo w ciemnej celi, śnił o jej słonecznym uśmiechu. Pożądał jej. Była mu potrzebna, szczególnie teraz, gdy pałał gniewem z powodu panny Ames.

Poczuł na wargach jej delikatny pocałunek. Przeszedł go dreszcz.

- O Boże! - Wyrwał mu się z ust jęk rozkoszy i bólu. Ujął w drżące dłonie twarz żony i wplótł palce jej w włosy. Płonął z namiętności. Obudziły się w nim nagle tłumione od dawna żądze. Boże, jakże jej pragnął...

Przyłgnął do niej wargami, całując ją zachłannie i wsuwając język w jej ciepłe wilgotne usta. Był to pocałunek, o jakim marzył, a jednak coś go w nim zaskoczyło. Jej wargi były miękkie jak zawsze i pachniała nieodmiennie lawendą, ale całowała go niezwykle delikatnie. Jakby nie miała w tym doświadczenia i trochę się lękała. Przypomniawszy sobie ich pierwszy pocałunek sprzed wielu lat, gdy oboje wierzyli jeszcze w miłość.

Odsunął się od niej powoli, nie otwierając oczu. Nie chciał teraz na nią patrzeć, obawiając się, że znów zobaczy jej lodowate spojrzenie. Całując ją namiętnie, naraził się na to, że go zniszczy. Wystarczyło, by zaczęła się śmiać.

- Jack... - Wymówiła jego imię czule i niepewnie, jakby była nie mniej przestraszona i wzruszona niż on.

Spojrząwszy na nią, oniemiał ze zdumienia. W jej dużych piwnych oczach lśniły łzy. Próbowwała się uśmiechnąć, ale nie mogła opanować drżenia ust.

Jack czuł się tak, jakby dostał cios w brzuch. Wpatrywał się w nią tępo. Była olśniewająco piękna i sprawiała wrażenie zupełnie bezbronnej. Jej piersi falowały gorączkowo. Otarł wierzchem dłoni łzy z jej policzka i przyjrząwszy się swym wilgotnym palcom, poczuł dławienie w gardle.

- Co się dzieje, Lizo?

- Jestem przerażona - odparła drżącym głosem.

Jacka ścisnęło coś w sercu i niemal jej uwierzył. Przyglądał się długo tej kruchej istocie, tak różniącej się od wiecznie zagniewanej kobiety, którą znał od tylu lat. Targały nim sprzeczne uczucia. Poczul się nagle zmęczony i rozpaczliwie samotny.

- Wracajmy lepiej do domu - rzucił, wstając.

Liza stanęła obok, patrząc mu w oczy. Ślady łez na jej zarumienionych policzkach przypomniały mu, że płakała. Naprawdę płakała.

Odgarnęła z twarzy wilgotny kosmyk włosów i zaczesła go nerwowo za ucho.

- Porozmawiamy razem z Katie?

- Oszczędź mi tego, Lizo - wyszeptał zduszonym głosem. - Błagam...

- Ale...

- Nie. - W słowie tym pobrzmiewał wstyd i ból. Jack zacisnął mocno powieki. Nigdy w życiu nie czuł się tak podle.

Zaległa grobowa, pełna napięcia cisza. Każda sekunda była dla niego udawką. Nie kaź mi rozmawiać z Katie. Gdyby zobaczył teraz swoją małą córeczkę, chwyciłby ją w ramiona i wycałował jej zapłakaną buzię. A nie mógł sobie na to pozwolić, nie mógł okazywać jej uczuć, dopóki nie miał pewności, że Liza naprawdę się zmieniła. Bóg świadkiem, że wyrządzili swoim dzieciom już dość krzywdy.

- W porządku, Jack. Sama z nią pomówię. Ale pod jednym warunkiem.

Spojrzał na nią zdziwiony. Uśmiechnęła się niepewnie, ocierając ślady łez.

- Co masz na myśli?

- Chcę, żebyś się postarał...

- O co?

Podeszła bliżej, patrząc mu w oczy. Popołudniowy wietrzyk

rozwiewał jej włosy, nasycając powietrze zapachem świeżej trawy i polnych kwiatów.

- Po prostu spróbuj być ojcem.

Przełknął z trudem ślinę. Żądała rzeczy niemożliwych. Aby spełnić jej życzenie, musiałyby najpierw uwierzyć w nią w siebie.

- Nie mogę - powiedział zduszonym głosem.

- Owszem, Jack, możesz. - Nie spuszczała z niego wzroku. - Zaufaj mi.

Zobaczywszy na podwórku wracających rodziców, Savannah puściła zasłonę i przez okno przestały wpadać ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Odwróciła się na pięcie i podeszła do kuchenki, próbując skoncentrować myśli na potrawce z królika.

- Czy mama jest zła? - spytała cicho Katie, przyciskając do piersi starą szmacianą lalkę.

Sawannah wiedziała, że nie powinna kłamać. Odłożywszy ostrożnie drewnianą łyżkę, wzięła siostrę w ramiona, pogłaskała ją po splecionych włosach i ciężko westchnęła.

- Nie widziałam jej twarzy.

- Może udam, że źle się czuję i nie mogę jeść.

Sawannah opuściła bezradnie ręce.

- To nic nie da.

Katie przytuliła mocniej lalkę. Dolna warga drżała jej ze strachu. Otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie ani słowa. Jej starsza siostra doskonale to rozumiała. Cóż mogła powiedzieć?

- Lepiej nakryj do stołu. Mama będzie tu lada chwila.

Katie wzdrygnęła się na tę myśl i skinęła głową. Podeszła powoli do kredensu i zaczęła wyciągać bezwiednie talerze i kubki. Powłócząc nogami, zanosila je na stół. Martwą ciszę zakłócał tylko brzęk sztućców.

Sawannah napłynęły do oczu łzy. Odwróciła się, by Katie

nie zauważyła jej słabości. Błagam, mamó, nie mów tylko, że ona jest głupia. Błagam...

Kuchenne drzwi otworzyły się na oścież.

- Cześć, dziewczyny!

Sawannah zobaczyła, że matka stoi w progu i się uśmiecha. Zdjąwszy z ramion chustę, rzuciła ją na najbliższe krzesło.

- O, coś wspaniale pachnie! Co gotujecie?

Sawannah patrzyła na nią zdezorientowana. Przecież rozmawiała chyba z panną Ames?

Katie schowała się za spódnicą siostry, a ta uśmiechnęła się niepewnie.

- To potrawka z królika, mamó. Twoja ulubiona.

Tessa zmarszczyła brwi.

- Jadam zajączki?

Sawannah zawahała się.

- Nie zajączki. Króliki.

- Aha. - Tessa przytknęła rękę do brzucha i powiedziała bez przekonania: - Świetnie. Dziękuję.

Sawannah nie mogła czekać ani chwili dłużej. Musiała wiedzieć, co zdarzyło się w szkole.

- J...jak poszło?

Matka przestała się uśmiechać. Spojrzała na nią spod zmrużonych powiek i dziewczynę ogarnął lęk.

- Starasz się być dorosła - szepnęła, po czym uśmiechnęła się tak czule i łagodnie, że Sawannah miała ochotę rozpłakać się z radości. - Chyba wszystko w porządku.

- Naprawdę? - pisnęła za plecami siostry Katie.

- Podejź tutaj. - Tessa wyciągnęła do niej rękę.

Mała wysunęła głowę zza ramienia siostry.

- Czy muszę?

Tessa przytaknęła.

Mała wyszła ostrożnie z ukrycia. Sawannah chwyciła ją za rękę i przytrzymała przez chwilę.

- Nie... ukarzesz jej, prawda?

Tessa zbladła i zacisnęła powieki, a gdy je ponownie podniosła, miała w oczach łzy.

- O Boże... - Podeszła do dziewczynek i uklękła przed nimi, ujmując dłonie Savannah. - Przerzekam, że wszystko będzie dobrze. Rozmawiałam długo z panną Ames i chyba wiemy już, jak pomóc Katie.

Savannah poczuła się tak, jakby zdjęto jej z ramion ogromny ciężar. W jej oczach zalśniły łzy, które tyle czasu powstrzymywała.

- Ja tak bardzo... starałam się jej pomóc.

- Z pewnością. To nie twoja wina, że nie potrafi czytać.

- Jej także nie.

- Wiem.

- Naprawdę?

- Tak. - Tessa uśmiechnęła się i wstała z kolan. - Chodź, Katie, musimy porozmawiać. Savannah, zajmij się Kalebem, dopóki nie wrócimy.

Tessa wzięła Katie za rękę i poprowadziła do drzwi. Przyślanawszy na progu, odwróciła się do Savannah i rzekła:

- Najbardziej pomogła jej twoja miłość.

Dziewczynka poczuła się taka dumna i szczęśliwa, że nie wstydziła się już łez. Spływały jej po policzkach do kącików ust, ale tym razem nie miały cierpkiego smaku.

- Dziękuję, mamó - powiedziała.

W wieczór był chłodny i rześki. Powietrze pachniało lawendą.

Tessa i Katie zeszły po schodkach z ganku na drogę i zapuściły się w wysoką trawę na szczycie wzgórza.

- Dokąd idziemy?

Tessa uścisnęła rączkę Katie i szła dalej.

- Szukam specjalnego miejsca.

Mała wyrwała rękę z jej dłoni.

- Jakiego miejsca?

Tessie zrobiło się przykro, wiedziała jednak, że musi zasłużyć sobie na jej zaufanie.

- Nie wiem - odparła. - Jeszcze go nie znalazłam.

Wędrowały przez łąkę, widząc po drodze granitowe skały, dzikie króliki i owce. W końcu dotarły do zbocza, z którego rozpościerał się widok na dom, pastwisko i cieśninę Haro. Tessa zaprowadziła Katie w to szczególne miejsce i usiadły razem na ziemi.

Zapadał właśnie zmierzch. Wiatr buszował w wysokiej trawie, rozsiewając zapachy polnych kwiatów. Tessa przysunęła się do dziewczynki i dotknęła jej policzka. Katie cofnęła się odruchowo, ale po chwili odwróciła głowę i spojrzała matce w oczy.

Ta dostrzegła w jej spojrzeniu strach i niepewność. Rozumiała ją doskonale. Kiedyś czuła się tak samo. Takich cierpień łatwo się nie zapomina.

Zamknęła oczy, modląc się w duchu: Błagam, Boże, pozwól mi nie zmarnować tej szansy...

- Ja... wiem, jak to boli, kiedy ludzie uważają kogoś za... głupka.

Katie otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Naprawdę?

Tessa skinęła głową.

- Kiedy byłam w twoim wieku, miałam... to znaczy moja przyjaciółka miała zapalenie opon mózgowych. Była bardzo chora. Lekarze myśleli, że nie przeżyje, ale w końcu wyzdrowiała. Tyle że niezupełnie. Przez tę chorobę straciła słuch.

Katie uniosła brwi.

- Nic nie słyszała?

- Zupełnie nic. Ciężko jej było z tym żyć, bo nie umiała porozumiewać się z ludźmi. Tak więc...

W pamięci Tessy odżyły nagle bolesne wspomnienia. Była znowu siedmioletnią dziewczynką, którą prowadzono przez szkolny dziedziniec do sali, przeznaczonej dla dzieci specjalnej troski.

To jest Tessa Gregory - oznajmiła dyrektorka, podpisując na nią wyrok. — *Ma być w tej klasie...*

- Mamo?

Głos Katie wyrwał ją z zamyślenia. Otarła z oczu łzy i odchrząknęła.

- Przepraszam. W każdym razie... moja przyjaciółkę umieszczono w specjalnej klasie, razem z dziećmi, które były... inne niż wszystkie. Ciężko to znosiła. Po pewnym czasie zapomniano, że nie słyszy, i zaczęto ją traktować tak, jakby była... niedorozwinięta. Dawni koledzy naśmiewali się z niej...

- Boże, to okropne!

Tessa uśmiechnęła się blado.

- Tak. Potem mojej przyjaciółce umarła mama i musiała zamieszkać z obcymi ludźmi. To była pierwsza z jej wielu zastępczych rodzin... Przez długi czas wiodła smutne życie, ale potem zdarzyło się coś cudownego.

- Co?

Tessa uśmiechnęła się, wspominając dzień, gdy w klasie pojawiła się Jane Essex.

- Znalazła przyjaciółkę. Dziewczynkę, która miała dysleksję.

- Co to takiego?

- Problem, który ma wielu ludzi. - Tessa ujęła drobne rączki Katie i przytknęła je do swego łona. - Litery skaczą im przed oczami, a słowa w tekście całkiem się rozmywają. Czy z tobą jest tak samo?

Katie przełknęła głośno ślinę i skinęła głową.

- Ehe.

- Jej przyjaciółka była bardzo bystra.

- Czy... nauczyła się czytać?

SZANSA

- Pewnie. Zabrało jej to trochę czasu, ale ciężka praca dała efekty. - Tessa pogładziła Katie po włosach, patrząc jej głęboko w oczy. - Wiem, co czujesz. Ale nie jesteś tępa. Chcesz nauczyć się czytać?

Małej zadrżała dolna warga i po policzkach popłynęły jej łzy. Próbowwała odwrócić głowę, ale Tessa na to nie pozwoliła.

- Katie?

- Boję się! - wyjąkała dziewczynka, szlochając.

- Pozwolisz sobie pomóc? Obserwując moją przyjaciółkę, wiele się nauczyłam.

- Nie wiem... - powiedziała urywanym głosem Katie. - A co będzie, jeśli...

- Stać cię na to, Katie. Wierz mi. Musisz się tylko zgodzić. Katie przełknęła z trudem ślinę i otarła z oczu łzy.

- Chcę nauczyć się czytać - oznajmiła cicho.

Tessę ogarnęło niewiarygodne wprost uczucie triumfu i dumy. Uśmiechnęła się, czochrając włosy dziewczynki.

- Chodź, mała, wracajmy lepiej do domu, zanim twój tata i siostra wezwą policję.

- Co?

Tessa podniosła się ze śmiechem z ziemi, otrzepując spódnicę z rzepów i źdźbeł trawy. Wziąwszy się za ręce, pomaszerowały razem do domu.

ROZDZIAŁ 14

Słońce stało wysoko, wyzierając zza warstwy skłębionych chmur. Pastelowy szafir nieba zlewał się z błękitem wód cieśniny i tylko wyspa Vancouver stanowiła ogromną zieloną plamę na niebieskim tle.

Jack wlał wiadro wody do podłużnego metalowego koryta. Stado zabłoconych owiec ruszyło natychmiast w jego kierunku.

Wcisnąwszy na głowę kapelusz, chwycił puste wiadra i brzękając nimi, pomaszerował polną ścieżką w kierunku domu.

- Cześć, Jack!

Podniósł głowę i spojrzał na drogę. Jechał nią wóz, wznecając chmurę kurzu.

Pomachał ręką w odpowiedzi, uśmiechając się cierpko. Do diabła, całkiem zapomniał, że państwo Hannah mieli mu dzisiaj przywieźć zamówiony prowiant.

Nic dziwnego, że wyleciało mu to z głowy. Był trochę... oszołomiony. Próbował pogрузić się w pracy, ale nie mógł się skoncentrować. Nie zdołał jeszcze ochłonać.

Ten pocałunek...

Jęknął, czując znów falę pożądania, jak w chwili gdy Liza dotknęła wilgotnymi kuszącymi wargami jego ust. Ten poca-

łunek był... wyjątkowy. Nie potrafił określić tego w inny sposób. Całowała go jak Amarylis, a jednak inaczej. Przyszła mu do głowy szalona myśl, że był to pocałunek kobiety, którą ostatnio się stała: czulej i kochającej. Pocałunek Lizy.

Chryste, zaczynał chyba tracić zmysły.

- Cholera! - zaklął pod nosem, mimo woli zaciskając palce na metalowych uchwytach wiader.

Powtarzał sobie przez cały ranek, że nie powinien zapominać, kim ona jest i do czego zmierza. To była tylko kolejna gra, intryga, mająca na celu wyrządzenie krzywdy jemu i dzieciom.

Tym razem jednak, na Boga, nie był pewien, czy się nie myli. Przypominając sobie jej okrucieństwa z przeszłości, miał przed oczami odmienioną Amarylis. Widział, jak się uśmiecha, stawia czoło antypatycznej nauczycielce, bawi się z dziećmi bułeczkami z zakalcem, całuje w brzusek Kaleba.

Może... To słowo dzwoniło mu bez przerwy w uszach. Może naprawdę puściła w niepamięć dawne urazy. Może tym razem rzeczywiście się zmieniła.

- Chryste, nie pozwól mi w to uwierzyć, jeśli jest inaczej - powiedział zduszonym głosem.

Słyszac tupot nóg, Tessa przerwała pracę. Wytarłszy w fartuch spocone dłonie podeszła do kuchennego okna i wyjrzała na zewnątrz.

Jack biegł w kierunku domu. Opuściła z powrotem zasłonę i raz jeszcze wytarła nerwowo ręce.

Nie rozmawiała z nim od poprzedniego dnia. Od chwili, gdy go pocałowała. Przy kolacji siedzieli naprzeciw siebie milcząco i zamyśleni, a potem wymknął się z domu do stodoły. Nie była zaskoczona, że wrócił dopiero, gdy już spała, a rano wyszedł, zanim się obudziła.

Chciała z nim pomówić. Myślała nawet, by wejść o świcie

do stodoły i zmusić go do rozmowy. Tylko o czym? Musiała się nad tym zastanowić.

Co mogła powiedzieć rozsądnego o ich pocałunku? Że żałuje swego zachowania czy wprost przeciwnie?

Przeszedł ją dreszcz, choć w kuchni było duszno i gorąco. Skrzyżowała ręce na piersiach. Owionęła ją cynamonowa woń pieczonego ciasta. Zamknawszy oczy, przypomniała sobie delikatny, nieśmiały dotyk jego warg i falę gorąca, którą poczuła, gdy wsunął jej w usta język. Był to niezwykle pocałunek, namiętny i tkliwy. Miała wrażenie, że już kiedyś całowała tego mężczyznę - w odległej przeszłości.

Drzwi otworzyły się nagle na oścież i do kuchni wpadł Jack. Przystanął zdyszany i spojrzał na nią.

- Lizo? Jada do nas... - Urwał w pół zdania, rozglądając się. Kuchnia zmieniła się nie do poznania. Panował tam niewiarygodny porządek. - Co ty robisz? - zapytał.

Łagodny ton jego głosu przypomniawszy Tessie znowu ich pocałunek. Przeniknął ją dreszcz rozkoszy. Zwilżyła odruchowo językiem dolną wargę. Zaczęło jej nagle zależeć, by Jack docenił to, co robi. Co może zrobić.

- Chcę, żebyś miał prawdziwy dom.

- Ja? - odparł Jack, mrużąc oczy.

Pragnęła, by ją objął. Byli tak blisko siebie, że czuła ciepło jego ciała. Muskał oddechem jej czoło, ale stał nieruchomo, z opuszczonymi rękami.

- Spójrz na mnie, Jack.

Niechętnie popatrzył jej w oczy.

Uniósłszy głowę, napotkała jego spojrzenie. Wzięła głęboki oddech, uznając, że czas zaryzykować i otworzyć przed nim serce.

- Masz rację, Jack. To nasz dom.

Zbladł, ale nie odwrócił głowy. Stali tak, patrząc sobie w oczy, lecz zachowując dystans.

Tessa chciała coś jeszcze powiedzieć, przerwać milczenie, które towarzyszyło im przez długie lata, ale nie potrafiła. Czuła, że ma w zasięgu ręki coś, czego szukała rozpaczliwie całe życie. Wystarczyło, by się pochyliła i pozwoliła mu się pocałować...

Nagle czar prysnął. Przez uchylone drzwi przeniknął do kuchni odgłos toczących się po kamykach kół wozu.

— Jim i Minerwa przywieźli prowiant — oznajmił niepewnie Jack. Widząc jej pytające spojrzenie, dodał: - To nasi sąsiedzi. Bądź dla nich miła, dobrze?

— Oczywiście.

Jack ruszył do wyjścia, ale przystanął jeszcze przy drzwiach i rzucił pośpiesznie:

— Dom... wygląda teraz ładniej.

Zbiegł po schodkach z ganku, jakby gonił go sam diabeł, i podszedł z ulgą do gości.

- Dzień dobry, panie Rafferty - odezwała się z drewnianego kozła Minerwa Hannah. - Przywiozłam parę rzeczy dla pańskiej żony. Przyjechałabym wcześniej, ale dopiero teraz dowiedziałam się od doktora Hayesa o narodzinach dziecka.

- Żona z pewnością będzie pani wdzięczna, pani Hannah. Pomogę pani wysiąść.

- Dziękuję. - Minerwa podała Jackowi dłoń w rękawiczce i zeszła z wozu.

Jim sam zeskoczył z kozła.

- Upalny dzień jak na maj - stwierdził, podsuwając do góry słomkowy kapelusz. - Mam z tyłu wozu wszystko, o co prosiłeś.

Minerwa uśmiechnęła się łagodnie, dotykając ramienia męża.

- Jim, kochanie, podaj mi to pudło. Zaniosę je do środka, a wy sobie porozmawiajcie.

- Proszę bardzo.

Jack patrzył, jak smukłe palce Minerwy muskają delikatnie

rękaw koszuli męża. Stał jak skamieniały, przypomniawszy sobie nagle, że kiedyś, bardzo dawno temu, Amarylis dotykała go w ten sposób.

Nasz dom. Liza powiedziała to tak cicho, iż w pierwszej chwili myślał, że się przesłyszał. Nasz dom.

Gdyby to była prawda...

Ta myśl zaświtała mu tak nieoczekiwanie, że nie był w stanie się przed nią obronić. Ogarnęła go znowu tęsknota, rozpacz i nieuchronny strach. Brakowało mu tchu. Co ona z nim robiła?

Poczuł się nagle tak, jakby stał na śliskim, błotnistym zboczu, a nie na twardej ziemi, i toczył nadal bitwę, którą już dawno powinien wygrać.

Tracił ochotę do walki. Wiedząc, jak łatwo ta kobieta potrafi nim manipulować, nie umiał oprzeć się jej niewiarygodnie łagodnemu spojrzeniu. Po raz pierwszy od lat patrzyła na niego tak czule.

Ale w jego pamięci, w jego szalonym, tchórzliwym, pomyłonym umyśle, gdzie wszystko było poplątane, to spojrzenie istniało zawsze. Tyle że teraz zamazywała się granica między rzeczywistością a wyobraźnią. Nie był pewien, czy to wszystko dzieje się naprawdę...

Oby Bóg miał go w opiece, bo gdy szepnęła w kuchni „nasz dom”, przez chwilę uwierzył w jej szczerość.

- Jesteś głupcem - mruknął pod nosem.

- Słucham, panie Rafferty?

Głos Minerwy przywołał go z powrotem do rzeczywistości. Pokręcił głową, by otrząsnąć się z zamyślenia. Co się z nim działo, do diabła?

Zacisnął mocno powieki, czując przejmujący żal. Dlaczego był taki bezsilny? Dlaczego tak bardzo ją kochał?

Usłyszawszy pukanie do drzwi, Tessa wytarła szybko ręce o bawełnianą sukienkę i rozejrzała się po kuchni, by sprawdzić, czy panuje tam należyty porządek.

Na progu stała wysoka, szczupła, atrakcyjna kobieta. Przybrany kwiatami słomkowy kapelusz zasłaniał jej włosy, ale spod jego runda przebłyskiwały inteligentne i wesołe szaroniebieskie oczy. Kobieta uśmiechnęła się niepewnie.

- Dzień dobry, pani Rafferty. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Chyba pani żartuje! Marzę o tym, żeby porozmawiać z kimś dorosłym. Proszę wejść.

Tessa dostrzegła w oczach kobiety zaskoczenie i przypomniała sobie uwagę Jacka, by traktowała uprzejmie ich gości. Amarylis najwyraźniej nie przepadała za sąsiadami.

- Zapraszam - powiedziała z promiennym uśmiechem, wskazując na kuchenny stół.

- Dziękuję, pani Rafferty - odparła Minerwa, wchodząc za gospodynią do kuchni.

- Mam na imię Liza.

- A ja Minerwa - stwierdziła pani Hannah, przyglądając się jej podejrzliwie.

- Świetnie. Co masz w tym pudełku? Bosko pachnie!

Minerwa postawiła na podłodze drewnianą skrzynkę.

- Nic specjalnego. Paszтет i chleb. Doktor Hayes powiedział, że ciężko przeszłaś poród. Pomyślałam, że zechcesz odpocząć trochę od gotowania.

- Jesteś bardzo troskliwa. - Uśmiechając się znowu, Liza podeszła żwawo do kuchenki i nastawiła wodę na herbatę. Nagle usłyszała odgłos otwieranych drzwi i odwróciwszy się, zobaczyła, że kobieta wychodzi.

- Zaczekaj!

Minerwa obejrzała się ostrożnie.

- Słucham, pani... Lizo?

- Czy... czymś cię uraziłam?

W oczach Minerwy znów pojawiło się zaskoczenie.

- Ależ nie. Po prostu... - Wzruszyła ramionami. - Szczerze mówiąc, dotąd zawsze prosiłaś, żebym od razu wyszła.

KRISTINHANNAH

- O!
- Słucham?

Tessa pospieszyła do drzwi i położyła kobiecie dłoń na ramieniu.

- Wybacz, że tak niestosownie się zachowywałam. Chciałabym ci to wynagrodzić. Od urodzenia dziecka... trochę się zmieniłam.

Minerwa patrzyła jej przez chwilę w oczy, po czym oznajmiła z lekkim uśmiechem:

- To mi się podoba.

Jack nie wierzył własnym uszom. Z kuchni dobiegał śmiech. Płynął przez otwarte okno i unosił się na wietrze.

Jim ściągnął z wozu ostatni worek owsa i zarzucił go sobie na ramię.

- Dziewczyny chyba dobrze się bawią - stwierdził, zwalając ciężki konopny wór na ziemię obok wielkiego dębu.

Jack otarł rękawem koszuli spocone czoło i spojrzął w okno. Szmer rozmowy, przerywany od czasu do czasu wybuchami śmiechu, wzbudził jego zainteresowanie, choć próbował udawać, że nic go to nie obchodzi.

Amarylis zawsze gardziła sąsiadami. Jej zdaniem, wszyscy ludzie nieposiadający majątków na Południu byli nędzarzami. Umyślnie traktowała źle wyspiarzy, jak gdyby bała się, że może tam być szczęśliwa.

- Ta kawa smakowicie pachnie - stwierdził Jim.

Jack podniósł wzrok, zaskoczony jego słowami. Jim natychmiast odwrócił głowę i sięgnął po kolejny worek ziarna.

Uważa, że jestem stuknięty - pomyślał Jack. Nic dziwnego. Po tym, co zdarzyło się czwartego lipca, mieszkańcy wyspy uznali go za wariata. Nie pojmował, dlaczego państwo Hannah nie trzymali się od niego z daleka jak wszyscy inni.

SZANSA

- Może wejdziemy do domu i napijemy się? - zaproponował. Przeszli przez podwórko i wskoczyli na ganek po drewnianych schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Jack zawahał się tylko przez chwilę, zanim otworzył drzwi.

Liza spojrzała na nich zdumiona znad stołu, przytykając właśnie do powabnych ust cienką porcelanową filiżankę. Unosząca się nad kawą smużka pary muskała kosmyki jej złotych włosów.

- Cześć, Jack. - Jej głos był równie miły i łagodny, jak przesycający powietrze aromat.

Jack miał wrażenie, że cofnął się w czasie. To musiał być sen z całą pewnością.

Czuł, jak bezwiednie idzie w jej kierunku. Zanim zdążył się zorientować, stał już przy niej. Uśmiechnęła się i dotknęła delikatnie jego ramienia.

Boże, jaka ty jesteś piękna! Wypowiadając w myślach te słowa, cofnął się odruchowo.

- Jack? - Wszyscy troje wymówili równocześnie jego imię. Poczul się jak idiota.

- Przepraszam - powiedział. - Zakręciło mi się w głowie.

- Nic dziwnego - stwierdziła Minerwa. - Obaj się napracowaliście.

- Usiądźcie - zaproponowała Liza. - Zaparzyłam właśnie kawę. Jest naprawdę dobra. Wiem, co mówię.

Jim rzucił jej pytające spojrzenie.

- Wydaje się pani tym zaskoczona. Dlaczego niby...

- Lepiej nie pytaj, Jim - wtrącił Jack, siadając obok niego. - I dam ci przyjacielską radę: nie pij tej kawy.

Liza napełniła jeszcze dwie filiżanki i postawiwszy je na stole, usiadła naprzeciw niego.

- Mój mąż wątpi w moje umiejętności kulinarne, Jim. - Popatrzyła wymownie na Jacka. - Mam poczęstować naszych gości bułeczkami?

Omam nie rozlał kawy. Podniósłszy wzrok znad filiżanki,

napotkał spojrzenie Lizy. Rozwiane złociste włosy okalały jej twarz. Wpatrywała się w niego i przez ułamek sekundy gotów był przysiąc, że dostrzegł w jej oczach prawdziwe uczucie. Zaczesała odruchowo za ucho niesforny kosmyk włosów, czyniąc to z niezwykłą gracją.

Jim zaczął mówić coś o strzyżeniu owiec, ale Jack go nie słuchał. Patrzył na żonę, która siedziała na skraju krzesła, jakby naprawdę zainteresowana tym, o czym rozmawiali. Łokcie trzymała na stole - czego dama z Południa nigdy nie powinna robić - lewą ręką wspierając podbródek. Obrączka, którą dostała od niego przed laty, lśniła na jej białym palcu.

- Jack?

Przyglądając się intensywnie żonie, zorientował się dopiero po chwili, że Jim coś do niego mówi.

- Co? Och, przepraszam. Rozmyślałem o zachodnim pastwisku. Co mówiłeś, Jim?

- Wspominałem o ewakuacji Brytyjczyków z wyspy. Podobno...

Jack nie potrafił się skoncentrować na jego słowach. Myślał tylko o Lizie, o jej dotyku. Czuł jeszcze na skórze ciepło jej delikatnych palców. Stojący na stole bukiet kwiatów przesłoniła nagle mgła...

- Jack?

Szept, który usłyszał nad sobą, był jak pieszczota. Przeszył go dreszcz rozkoszy. Liza stała nad nim, obejmując go ramieniem. Czuł przez koszulę ciepło jej ciała. Jej aksamitna skóra emanowała zapachem lawendy.

Kiedy zdążyła wstać od stołu? Nachyliła się ku niemu. Cienutki kosmyk włosów wysunął jej się zza ucha i musnął jego policzek.

- Napijesz się jeszcze kawy?

Odchrząknął. Jim i Minerwa spojrzeli na niego, najwyraźniej nie dostrzegając w zachowaniu Lizy niczego dziwnego. Rozma-

wiali dalej, jakby to, że żona podchodzi nagle do męża i dotyka jego ramienia, było zupełnie normalne.

- Ni...nie, dziękuję - wyjąkał. - Mam jeszcze dużo pracy. Jim natychmiast podniósł się z miejsca.

- Ja też, Jack. Chętnie bym sobie pogwarzył, ale muszę naprawić drzwi w stajni, a Minerwa lubi być w domu, kiedy dzieciaki wracają ze szkoły. Dziękuję za kawę, pani Rafferty. Była znakomita.

- Tak, Lizo, bardzo mi smakowała - dodała Minerwa. Gospodyni się uśmiechnęła.

- Tak się cieszę, że wpadliście. Miło było was... zobaczyć. Podeszli razem do wozu. Jack i Liza stali obok siebie, gdy państwo Hannah odjeżdżali.

- Jacy mili ludzie - stwierdziła Liza, gdy wóz zniknął za zakrętem.

- Owszem - rzekł powoli Jack, spoglądając na nią ze zdziwieniem.

Odwrociwszy się, ruszył z powrotem do stodoły. Przez cały czas starał się myśleć wyłącznie o owcach. Nie potrafił jednak zapomnieć uśmiechu.

Przypomniał sobie, co mówiła o wędrownce dusz i nagle ta idea wydała mu się mniej dziwna niż przemiana, jakiej uległa.

Następnego dnia Jack nadal starał się wymazać z pamięci wspomnienie jej czułego szeptu i dotyku. Ukryty w ciemnym kącie stodoły próbował sobie wyperswadować, że Liza znów chce go oszukać i zranić. Ale tym razem nie potrafił w to uwierzyć. Ani przez chwilę.

Stuk. Stuk.

Jack przerwał rozmyślenia i zaczął nasłuchiwać.

Stuk. Stuk.

Marszcząc czoło, odłożył na bok ciężką uprzęż i puszkę oliwy.

Znowu usłyszał ten odgłos.

Stuk. Stuk. Stuk.

Rzucił na warsztat nasączoną oliwą szmatę i wyszedł ze stodoły. Kierując się tam, skąd dochodził rytmiczny stukot, dotarł przez podwórko za dom i zobaczył na szczycie wzgórza Lizę.

Oniemiał z wrażenia. Miała na sobie jego stare robocze spodnie i jedną z nowych niebieskich koszul, która sięgała jej do połowy uda. Podwinawszy rękawy do łokci unosiła wysoko motykę i uderzała nią w ziemię. Żyzna brunatna gleba bryzgała jej we włosy i w rosnącą obok wysoką trawę.

Odłożywszy motykę, Liza pochyliła się i zaczęła grzebać palcami w ziemi. Spod koszuli wyłoniły się jej krągłe kształty.

Jackowi zaparło dech w piersiach. Jego stare sprane spodnie opinały kusząco jej pośladki, niewiele pozostawiając wyobraźni. Zaschło mu w gardle. Czuł w lędźwiach ogień. Przypomnił sobie nieoczekiwanie to wszystko, o czym od lat starał się nie myśleć. Doskonałość jej ciała, delikatność skóry, rozkosz, jakiej doznawał, mając ją pod sobą...

Nagle się poślizgnęła i zjechawszy ze zbocza, wylądowała z krzykiem u jego stóp.

Wypluwając z ust ziemię, odgarnęła włosy z czoła i uklękła. Odwróciwszy się, zobaczyła go i natychmiast oznajmiła z uśmiechem:

- Uff, już drugi raz mi się to zdarzyło. To wzgórze jest cholernie strome.

Jack przyglądał się ze zdumieniem, jak otrzepuje z ziemi koszulę i włosy. Grudki gleby uderzały o jego tors. Zmierzywszy Lizę wzrokiem od stóp do głów, zauważył, że ściągnęła spodnie w talii grubym pasem.

- Dlaczego, u diabła, masz na sobie moje niedzielne rzeczy?

- To twoja odświętna koszula? - spytała skruszona.

Skinał głową.

- Przepraszam. Ale nie mogłam uprawiać ogródka w tym koszmarnym gorsecie. Mdląłabym co chwilę.

Nagle dotarło do niego, co Liza robiła. Uniósł brwi, patrząc na świeżo spulchnioną ziemię.

- Co ty, do cholery...

- Zakładam ogród warzywny. Zasadziłam już rzodkiewkę, ziemniaki, sałatę i groszek. I zabrałam się właśnie za kukurydzę.

- Pracujesz w ogrodzie?

Spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Niech zgadnę. Tym też się nigdy nie zajmowałam?

- Uważałaś zawsze, że to czarna robota.

Rzuciła okiem na skopaną ziemię.

- Może mówiłam to w sensie dosłownym.

Jack powściągnął uśmiech.

- Tak twierdzi odmieniona Liza?

- Właśnie. - Uśmiechnęła się szeroko. - Zamierzałam wykopać krzaki dzikich róż, żeby posadzić je wzdłuż ganku. Pomożesz mi?

Starał się na nią nie patrzeć, ale nie bardzo mu to wychodziło. Dostrzegał w jej szeroko otwartych oczach czułość i troskę. Jej nieskazitelnie biała skóra była ubrudzona ziemią- miała ją nawet w kąciku ust. Rozpuszczone włosy opadały jej jasną kaskadą, sięgając aż do kształtnych bioder.

- Czy ja śnię? - Wypowiedział te słowa szeptem, jakby głośno myślał.

Podeszła do niego, czarująco uśmiechnięta. Poczł, jak uginają się pod nim kolana. Ogarnął go nagle strach.

- Nic nie mów - wyszeptał ochrypłym głosem. - Proszę, przestań...

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Ja naprawdę się zmieniłam, Jack.

Wzdrygnął się. Czy to możliwe?

Nie wierz w to. Ani przez chwilę.

Ale było już za późno. Już jej uwierzył. I nie miał odwrotu.

- Naprawdę nie pamiętasz, jacy byliśmy... przedtem?

- Nie.

- Niech Bóg nam dopomoże - jęknął.

Dotknęła do delikatnie.

- Przede wszystkim musimy pomóc sobie sami, Jack.

Spojrzał na nią przerażony. Amarylis nigdy nie wymyśliłaby czegoś takiego. Nawet po to, by go zranić. Te słowa dowodziły troskliwości i przywiązania. Uczuć, których nie zaznał od powrotu ze szpitala.

Odwrócił się na pięcie i pobiegł na oślep przed siebie.

- Jack!

Jej krzyk ponaglił go do jeszcze szybszego biegu.

Miał świadomość, że tym razem uwierzył jej bez zastrzeżeń.

I nie potrafił temu zaradzić.

Była to najbardziej niebezpieczna sytuacja, jaką mógł sobie wyobrazić.

Widząc, jak Jack znowu ucieka, Tessa ciężko westchnęła. Była głęboko rozczarowana.

- Co ona ci takiego zrobiła, Jack? - wyszeptała wśród świstu wiatru.

Wbiła motykę w spulchnioną żyzną ziemię i oparłszy się na niej, obserwowała samotną postać, zmierzającą powoli w kierunku stodoły. Każdy krok Jacka wywoływał skurcz w jej żołądku.

Zrezygnuj z walki, Tesso.

Pokręciła lekko głową, zaciskając usta. Przez całe życie zmagająca się z samotnością i przeciwnościami losu. I teraz miałyby się poddać?

Potrzeba tylko czasu.

Uśmiechnęła się w duchu. Tego, na szczęście, jej nie brakowało. Czasu i cierpliwości.



Tessa przykucnęła, oglądając rozłożone na trawie przedmioty. Były tam dwa funtowe worki sproszkowanej farby, dwa duże puste słoje i puszka oleju lnianego. Promienie słońca przenikały przez rozłożystą koronę dębu i nadawały zużyтым konopnym workom złocisty odcień. Kaleb leżał spokojnie obok na wielkim kocu.

Spojrzała kątem oka na budynek, który miała za plecami. Jack nadal ją stamtąd obserwował. Uświadomiwszy to sobie, poczuła miły dreszcz, ale nie było czasu na sentymenty. Musiała zabrać się do pracy. Chwyciła największy słoik i zaczęła wlewać do niego ostrożnie olej lniany.

- Powiesz mi wreszcie, co robisz?
- Nie - odparła, nie odrywając wzroku od słoika.
- Muszę wracać do owiec.

Pomachała mu ręką przez ramię.

- Wielkie dzięki!
- Za co?

Tessa odwróciła się, obdarzając go promiennym uśmiechem.

- Dziękuję, że życzysz mi dobrej zabawy. Miło się z tobą gawędziło.

Jack uśmiechnął się niepewnie. Na ten widok Tessę znów przeniknął dreszcz. Miała ochotę wstać i do niego podejść.

- Lepiej już pójdę - stwierdził, wskazując na stodołę. Skinęła głową.

- Proszę bardzo.

Nie ruszył się jednak z miejsca. Stał z założonymi rękami, przyglądając się jej spod nasuniętego na czoło ciemnego kapelusza. Jego ogniste spojrzenie było jak pieszczota. W końcu się odezwał, tak cicho, że ledwo go usłyszała.

- Naprawdę nie musisz tego robić. Ale wygląda dobrze.

Tessa uniosła brwi.

- Co dobrze wygląda?

Tym razem Jack szeroko się uśmiechnął.

- Jabłecznik, który tam masz.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Niesamowite! Jack Rafferty ma poczucie humoru!

Jego uśmiech zniknął. Tessa poczuła się tak, jakby słońce zaszło za chmurę. Wstała szybko z ziemi i nalała mu z dzbanka jabłecznika.

- Podobał mi się twój uśmiech - powiedziała łagodnie, podając mu napój.

Wziął do ręki nagrzaną od słońca szklanekę, muskając palcami jej dłoń.

- Dziękuję - powiedział i przytknął szkło do ust.

Tessa przyglądała mu się, mając wciąż przed oczami jego beztroski uśmiech sprzed dziesięciu sekund.

Zaczęła pochylać się ku niemu, lecz gdy uzmysłowiła sobie, co robi, znieruchomiła. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe, traciła oddech. Znowu zamierzała go pocałować.

Cofnęła się, z trudem nad sobą panując, i mimo woli zaśmiała się nerwowo.

- O co chodzi? - zapytał Jack ochryłym głosem.

Wiedziała, że jego także ogarnęła nieoczekiwana fala pożądania.

- Miałam zamiar cię pocałować - oznajmiła po prostu.

- Ooo... - Wzdrygnął się, przełykając głośno ślinę.

- Ale zmieniłam zdanie. - Uniosła głowę i spojrzała mu wyzywająco w oczy. - Następnym razem ty zacznij, jeśli będziesz miał na to ochotę.

Patrzył na nią, oddychając gwałtownie. Gdy gorączkowo zwilżył językiem wargi, Tessę ogarnęła dzika żądza. Odsunęła się od niego z wymuszonym uśmiechem.

- Cóż, najlepiej będzie, jak wrócę do pracy - rzekła.

- Tak. Do widzenia. - Przez moment wpatrywał się w nią intensywnie, a potem odwrócił się na pięcie i odszedł.

Tessa spoglądała w ślad za nim z głupkowatym uśmiechem na twarzy. Po raz pierwszy, odkąd poczuła, że go kocha, błysnęła jej nadzieja. Przez chwilę byli sobie naprawdę bliscy.

Wierzyła, że z czasem zblizną się do siebie jeszcze bardziej.

Tessa przestawiała właśnie kołyskę z powrotem pod okno, gdy usłyszała na podwórku Savannah i Katie. Pocałowała szybko w policzek śpiące, dopiero co nakarmione niemowlę i pospieszyła na ganek.

- Dzień dobry, dziewczynki! - zawołała.

- Cześć, mam! ~ odpowiedziały z uśmiechem.

Tessa poczuła dumę i radość na widok ich pogodnych twarzy.

- Zaplanowałam coś dla was - oznajmiła. - Macie tu parę starych prześcieradeł, w każdym razie wyglądały staro. Wyciąłam w nich otwory na głowę i ręce.

Savannah przestała się uśmiechać.

- Co zrobiłaś? Przecież...

- Włóżcie je na siebie - przerwała jej ze śmiechem matka. - Będziemy malowały.

Sawannah znów się uśmiechnęła. Rzuciwszy metalowe pudełko i książki na ziemię obok schodów, podbiegła do matki. Katie podażyła jej śladem.

- No dobrze - powiedziała Tessa. - Włóżcie je przez głowę, w ten sposób. - Pokazała im, jak to zrobić.

Dziewczynki okryły się prześcieradłami i poszły za nią w kierunku dębu, pod którym leżały puszki z farbami, pędzle i rozłożone starannie zasłony z sypialni.

- No to zaczynamy - oznajmiła.

Sawannah spojrzała na nią zaskoczona.

- To nasze zasłony.

- Nie uważasz, że są trochę... nijakie?

Dziewczynki spojrzały bez słowa na zasłony, a potem znów na matkę.

- Ja przynajmniej tak sądzę. W pokoju dziecięcym powinno być kolorowo. Zadbajcie o to.

- Chcesz, żebyśmy pomalowały zasłony? - spytała Savannah. Tessa uśmiechnęła się szeroko.

- Czy to nie wspaniały pomysł? — Pochyliła się i chwyciła dwa pędzle. - Proszę bardzo.

Dziewczynka patrzyła na pędzel jak na dwugłowego węża.

- Chyba nie powinnyśmy...

- Do dzieła - powiedziała stanowczo Tessa.

Sawannah uklękła w bujnej trawie i zamoczyła ostrożnie pędzel w czerwonej farbie.

Potem, starając się nie uronić ani kropli, zaczęła malować grubą czerwoną linię wzdłuż dolnej krawędzi zasłony. Tessa czekała, aż wykaże się jakimś twórczym pomysłem, ale bezskutecznie. Savannah była skoncentrowana na malowaniu kreski, jak neurochirurg dokonujący skomplikowanej operacji.

Tessa przykucnęła obok niej.

- Kochanie, czy lubisz ciągłe linie?

Dziewczynka uniosła pędzel i po chwili milczenia odparła:

- Nie.
 - A co lubisz?
- Sawannah wzruszyła ramionami.
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.
 - Więc pomyśl. Co naprawdę lubisz?
 - Gwiazdy.
 - W porządku.
 - Co w porządku?
 - Namaluj gwiazdy.

Sawannah spojrzała na nią zdziwiona. W kącikach jej ust pojawił się uśmiech.

- Naprawdę?
- Naprawdę. Do roboty.

Dziewczynka zamoczyła ponownie pędzel w czerwonej farbie i pochyliwszy się nad zasłoną zaczęła malować pierwszą gwiazdę.

Tessa popatrzyła za siebie na Katie przypatrującą się z bezpiecznej odległości poczynaniom siostry i zaciskającą dłońie w pięści. Wstała i podeszła do niej. Katie patrzyła w napięciu na zasłonę.

Tessa odgarnęła jej delikatnie z twarzy pukiel włosów.

- Mamy zawsze stracha, próbując czegoś nowego, prawda?
- Katie spojrzała na nią nagle, blada z przerażenia.
- Ja... nie potrafię robić takich rzeczy, pamiętasz? Za bardzo się... denerwuję.

Tessa poczuła skurcz w sercu. Z trudem wydusiła przez zaciśnięte gardło:

- Potrafisz. Musisz tylko...
- Nie potrafię. - Patrząc tęsknie na puszkę z farbą, dziewczynka dodała zdławionym szeptem: - Chociaż bardzo bym chciała.

Tessa ukłęknęła na trawie i wzięwszy ją za ramiona, przyciągnęła delikatnie do siebie.

- Pamiętasz naszą rozmowę?

Katie skinęła głową, przygryzając dolną wargę.

- W porządku. Zastanówmy się spokojnie. Co sprawia ci trudności?

Mała zmagiała się dzielnie ze łzami, które napłynęły jej do oczu.

- Nie potrafię dobrze pisać. Zlewają mi się wszystkie litery.

- To nie przeszkadza w malowaniu.

- N...naprawdę?

Tessa uśmiechnęła się, by dodać jej otuchy.

- Twoja siostra maluje gwiazdy. Może ty na swojej zasłonie namalujesz deszcz?

Katie przytaknęła gorliwie. Tessa sięgnęła po puszkę z żółtą farbą i podała ją dziewczynce.

- Zamocz pędzel.

Katie chwyciła go drżącymi palcami i zanurzyła ostrożnie w farbie, marszcząc poważnie czoło.

- I co teraz? - spytała.

Tessa wskazała głową rozłożoną zasłonę.

- Chlapij farbą.

Dziewczynka otworzyła usta ze zdumienia.

- Tak po prostu?

- Właśnie.

Oczy Katie zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Narobię straszego bałaganu.

- Na pewno - stwierdziła z uśmiechem Tessa.

- Tatusiowi się to nie spodoba.

- Czy jest gdzieś w pobliżu?

Mała rozejrzała się niespokojnie po podwórku.

- N...nie.

- No to już - zachęciła ją z uśmiechem Tessa. - Chlapij farbą.

Katie wzięła głęboki oddech, podeszła do zasłony i zacisnąwszy powieki, machnęła pędzlem. Jasnożółta farba prysnęła na wszystkie strony, ochlapując tkaninę, dąb i trawę.

- Au! - Savannah cofnęła się raptownie, widząc żółtą plamę na swojej gwieździe.

Katie otworzyła oczy. Zobaczywszy, co narobiła, omal się nie rozpłakała.

- Przepraszam, Savannah. Ja tylko...

Siostra przerwała jej z uśmiechem.

- To jest piękne. Przypomina Mleczną Drogę.

- Tak myślisz? - Katie spojrzała na upstrzoną żółtymi cętkami zasłonę. W kącikach jej zaciśniętych ust pojawił się błady uśmiech. - Mamo, to naprawdę wygląda jak deszcz!

Tessa poczuła taki przypływ dumy i czułości, że na chwilę ugięły się pod nią kolana. Była w tym momencie tak dumna z Savannah, jak z nikogo innego w całym swoim życiu. Skinęła głową i powiedziała do Katie:

- Masz rację, kochanie.

Kiedy skończyły, słońce zanurzało się już w srebrzystej tafli morza. Zasłona Katie była usiana żółtymi plamami i czerwonymi odciskami dłoni. Savannah namalowała wspaniałą Mleczną Drogę z setkami żółtych punkcików, półksiężycem i czerwonymi gwiazdami.

- Ostatnie chlapnięcie! - Katie zachichotała, machając pędzlem.

Akurat w tym momencie zza rogu domu wyłonił się Jack. Żółta farba ochlapała mu twarz i koszulę.

Stanął w miejscu jak skamieniały.

Po chwili ciszy Tessa Wybuchnęła śmiechem.

- Uważasz, że to zabawne? - zapytał z niedowierzaniem, ocierając z oka wyjątkowo dużą grudkę farby i rozmazując ją po policzku, jakby zdobił twarz w barwy wojenne. Usta miał gniewnie zaciśnięte.

Tessa przyskoczyła do niego i chwyciła go za ramię, mówiąc ostrzegawczym tonem:

KRISTINHANNAH

- Jacku Rafferty, jeśli zaczniesz teraz krzyżeć na dziewczynki, przysięgam, że...

- Co?

- Walnę cię z całej siły w żołądek.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia i zrobił coś, czego Tessa najmniej by się po nim nie spodziewała: zaczął się śmiać. Był to rubaszny, gromki śmiech, który przyprawił ją o przyjemny dreszcz.

Rozluźniła żelazny uścisk i dotykała już tylko przyjaźnie jego ramienia.

- Chcesz zobaczyć, co zrobiłyśmy?

Jack skinął głową. Podeszli razem do dziewczynek i uklękli na trawie. Tessa cały czas trzymała mu dłoń na ramieniu.

Gdy dotknął mokrej jeszcze czerwonej gwiazdy, starsza córka Savannah spojrzała na niego wyczekująco, splótłszy nerwowo palce na brzuchu.

- Podoba ci się?

- Jest piękna - odparł.

Oczy Savannah zabłyśły radośnie.

- Dz...dzięki, tato.

- Zobacz, co ja namalowałam - szepnęła Katie.

Jack przyjrzał się z powagą jej dziełu, po czym oznajmił z promiennym uśmiechem:

- Masz talent!

Mała była tak uszczęśliwiona, jakby dostała najcenniejszy prezent.

Jack podniósł się z kolan i rzekł:

- A teraz posprzątajcie lepiej ten bałagan.

Tessa stanęła na palcach i odgarnęła mu z czoła ubrudzony farbą kosmyk włosów. Ich spojrzenia się spotkały. Poczwała gwałtowne bicie serca. Pamiętała jeszcze delikatny dotyk jego warg i języka.

Uśmiechnęła się uwodzicielsko. To, co teraz odczuwała, nie miało nic wspólnego z rodziną, dziećmi czy potrzebą stabilizacji.

Ogarnęło ją egoistyczne pragnienie, by przyłgnąć do tego mężczyzny, całować go i słyszeć jego donośny śmiech.

Chwycił ją za nadgarstek, przestając się nagle uśmiechać. W oczach miał bezbrzeżny smutek.

- Wiesz, do czego mnie doprowadzasz?

W tych wypowiedzianych szeptem słowach było tyle rozpacz, że Tessa poczuła się tak, jakby ktoś ją znokautował.

Co ona z tobą zrobiła? - miała ochotę krzyknąć.

Po chwili Jack puścił jej rękę i odszedł.

Jack leżał na kanapie, przykryty po szyję wełnianym kocem. Od lat już dobrze nie sypiał. Tak bardzo obawiał się koszmarów, że starał się jak najdłużej nie zapadać w sen. Tej nocy było inaczej. Marzył o tym, by zasnąć, ale natrętne myśli od wielu godzin nie dawały mu spokoju. Przewracał się ciągle z boku na bok. Jeszcze nigdy ta przekłeta kanapa nie wydawała mu się taka niewygodna. Wiedział jednak, że jego bezsenność ma inne przyczyny.

Chciał być w łóżku z żoną.

Zamierzałam cię pocałować, Jack.

Jęknął i przewrócił się na plecy. Przez okno przenikała do ciemnego pokoju blada poświata księżyca.

- Ona nie mogła aż tak się zmienić - wyszeptał, próbując znaleźć w tych słowach ukojenie.

Może masz nową żonę.

Przypomniał sobie znowu, co powiedział doktor. Tym razem bardziej był skłonny w to uwierzyć. Może naprawdę się zmieniła.

Ale czy jego było na to stać? Nie ufał jej od tak dawna, od tylu lat żył w cieniu jej nienawiści i intryg. Miał pozbyć się swego ochronnego pancerza i znowu jej uwierzyć? Zdjąwszy maskę sarkazmu i gniewu, stałby się bezbronny wobec jej

ataków. A jeśli udawała? Albo zmieniała się tylko chwilowo? Jak on i dzieci przeżyją kolejne rozczarowanie? Staną się rodziną, a potem, za dzień lub tydzień, zobaczą znowu ten jej straszliwy, lodowaty uśmiech i usłyszą, że to była jedynie gra...

Czując dreszcze, owinał się szczelniej kocem. Nigdy dotąd nie przeżywał takich rozterek.

W niedzielny poranek Tessa wstała wczesnie, rześka i radosna. Poklepała Kaleba po plecach, mrużąc do niego czule, gdy położył główkę na jej ramieniu.

- Jak myślisz, stary? Czy owsianka, jajka i boczek wystarczą? Chłopczyk odpowiedział jej cichym gruchaniem.

- Tak myślałam. - Pocałowała go w miękki policzek, poszła do gorącego piecyka i zajrzawszy do dużego żelaznego garnka, zmarszczyła czoło. Owsianka nie wyglądała za dobrze. Na szczęście jajka i boczek prezentowały się bardziej obiecująco.

Rzuciwszy okiem do salonu, stwierdziła, że Jack śpi nadal na kanapie. Na jej ustach pojawił się tęskny, czuły uśmiech.

Musiał być piekielnie zmęczony. Zeszłej nocy, gdy zamknęła drzwi sypialni, słyszała jeszcze długo, jak mrużąc coś do siebie i przechadzał się po pokoju. Uśmiechnęła się w duchu. Miała nadzieję, że rozmyślał o ich pocałunku. Poruszając się bezgłośnie, nakryła do stora. Obrus, sztućce i talerze były już na swoim miejscu i układała właśnie kwiaty w wazonie, gdy do kuchni weszły na palcach dziewczynki.

- Dzień dobry, mamó - szepnęły razem. Savannah wskazała palcem w kierunku salonu. - Tatuś śpi.

Tessa uśmiechnęła się.

- Wiem. Trochę to dziwne, prawda?

Dziewczynki skinęły zgodnie głowami.

Tessa zerknęła na zegar nad kominkiem.

- Niestety, będziemy musiały go obudzić, bo spóźnimy się do kościoła.

Sawannah zrobiła wielkie oczy i otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

Tessa domyślała się, że Rafferty'owie nie chadzali do kościoła. Wyraz twarzy dziewczynki potwierdził tylko jej przypuszczenia.

Uśmiechnęła się szeroko. Zmiana dobrze im wszystkim zrobi.

- Jakiś problem, Savannah?

- Tatuś nie zechce iść do kościoła. Mówi, że Bóg jest mitem.

- Chyba chciał powiedzieć: bytem. Niebiańskim.

- Nie sądzę - odparła sceptycznie Savannah.

- Dobrze, więc najlepiej sama go poinformuję, jakie mamy na dzisiaj plany. Może podacie już śniadanie?

Dziewczynki spojrzały na nią, jakby postradała zmysły, ale nie odezwały się ani słowem. Powstrzymując uśmiech, Tessa poszła do salonu.

Nagle ktoś pociągnął ją za rękaw. Przystanęła i odwróciła się.

- Daj mi lepiej Kaleba — powiedziała Savannah, wyraźnie się rumieniąc. - Może tu zaraz być... głośno.

- Bardzo głośno - przytaknęła poważnie Katie.

Tym razem Tessa nie mogła pohamować uśmiechu. Oddała niemowlę starszej dziewczynce i podeszła bezszelestnie do kanapy. Przysiadłszy na jej krawędzi, spojrzała na twarz Jacka. Nawet we śnie wydawał się zmęczony i przepracowany. Ciemny zarost kontrastował wyraźnie z błądzącością jego skóry. Miał podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Wyglądał jak człowiek, który od lat źle sypia.

Tessa poczuła wyrzuty sumienia, że zamierza go obudzić. Postanowiła zmienić plany. Mogą pójść do kościoła w przyszłym tygodniu. Być może...

Nagle Kaleb zaczął się przeraźliwie drzeć. Tessa odwróciła głowę do dziewczynek, przykładając palec do ust. Jack krzyknął i zerwał się z kanapy, uderzając ją kolaniem w plecy tak mocno, że zleciała na podłogę.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, po czym Tessa

Wybuchnęła śmiechem. Dziewczynki także zaczęły chichotać, Kaleb wciągnął głęboko powietrze, jakby zdziwiony, co się dzieje, i przestał płakać.

W oczach Jacka nie było już dzikiego strachu. Odpreżył się, usiadł wygodniej i spojrzawszy na żonę, powiedział:

- Przepraszam.
- Zaraz będzie ci bardziej przykro - stwierdziła z uśmiechem.
- Dlaczego?
- Zrobiłam śniadanie.

Jack jęknął.

- Dziękuję. Obgryzę lepiej nogę od stołu.
- A może but? Skóra jest smaczniejsza.

Uśmiechnął się pod nosem i odsunawszy cienki wełniany koc, wstał z kanapy, przeciągając się leniwie.

Tessa stanęła obok niego.

- Lepiej szybko się ubierz. Spóźnimy się do kościoła. Znieruchomiał z uniesionymi rękami i spojrzał na nią.
- Nie idę do kościoła.
- Owszem - stwierdziła z uśmiechem.
- Nie.

Dotknawszy ramienia Jacka, poczuła emanujące przez cienki materiał ciepło jego ciała. Przechyliła głowę i spojrzała mu w oczy. Jego rumiane policzki były poprzecinane białymi zmarszczkami.

- Proszę.

Przełknął głośno ślinę. Tessa wyczuła pod palcami, jak tężeją mu mięśnie.

- W porządku - wyszeptał w końcu.
- Nie będziesz tego żałował- oznajmiła z promiennym uśmiechem.
- Mylisz się - prychnął. - Już żałuję.

ROZDZIAŁ 16

Konie człapały powoli po polnej drodze, stukając kopytami o twardą ziemię. Ptaki ćwierkały radośnie, nurkując w locie. Powietrze przenikał wibrujący dźwięk szkolnego dzwonka.

Jack zatrzymał wóz przy płocie. Zsunąwszy na czoło kapełusz, zeskoczył na ziemię i przywiązał konie do sztachety. Jego córki zeszyły szybko z wozu i czekały. Tessa stwierdziła z przykrością, że ich wcześniejszy entuzjazm gdzieś zniknął, ustępując miejsca stoickiemu milczeniu. Chciała wziąć na ręce Kaleba, gdy Jack powiedział nagle:

- Podaj mi ten jabłecznik, Lizo, dobrze?

Spojrzała na niego, unosząc pytająco brwi i czekając cierpliwie na wyjaśnienia.

- Napiję się trochę, zanim wrócicie - oznajmił, rozluźniając kołnierzyk koszuli, jakby zrobił się nagle za ciasny.

- Skąd niby mamy wrócić?

- Z kościoła.

- Aha. - Tessa przytuliła do piersi Kaleba i zesza z wozu, nie czekając na pomoc.

Jack uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz. Nie chcę iść...

- Jasne, że nie chcesz, do cholery! - przerwała mu z jadowitym uśmiechem. Zapadła niezręczna cisza. - Wejdźcie do środka - zwróciła się do dziewczynek. - Muszę pomówić z waszym tatą.

- Ale... - Savannah podeszła do ojca, jakby chciała go obronić.

- Nie martw się. Nie zrobię mu krzywdy - obiecała Tessa. - Pospieszcie się.

- Ale...

- Już was tu nie ma! - powtórzyła zdecydowanie.

Dziewczynki chwyciły się za ręce i nie oglądając się za siebie, wbiegły wesoło po drewnianych schodach do budynku szkoły pełniącego tego dnia rolę kościoła.

Wiedząc, że zanosí się na burzę - pomyślała Tessa. Uśmiechając się, postawiła na ziemi koszyk, w którym leżał Kaleb, i podeszła do Jacka.

Próbował się cofnąć, ale uniemożliwił mu to płót. Zmruższy oczy, spytał bojaźliwie:

- Czego teraz chcesz?

- Chcę, żebyś wszedł ze mną do kościoła i się pomodlił.

- O co? - Roześmiał się pogardliwie.

Tessie zrobiło się niewymownie przykro. W ciągu długich, niemych, pustych nocy po śmierci matki nigdy nie traciła wiary, która stanowiła opokę dla jej duszy i czuła głęboką litość dla tego w nic niewierzącego człowieka.

- Może na początek zaśmiej się, jak Pan Bóg przykazał, zamiast tak żałośnie rechotać?

Przejechał włosy ręką i odwrócił wzrok.

- Chryste, Lizo...

- Zaufasz mi?

Pokręcił niepewnie głową. Tessa poczuła przypływ nadziei.

- Nie zawiodę cię - dodała cicho.

Spojrzał na nią z taką rozpaczą w oczach, że zabolą ją serce.

- Czego ode mnie chcesz?

Stanąła na palcach i przyłożyła dłoń do jego policzka.

- Nie musisz być taki samotny. Bóg...

- Ha!

Położywszy mu rękę na sercu, poczuła, jak szybko bije.

- Przywołujesz ciągle jego imię, Jacku Rafferty. Wiem, że w niego wierzysz. Albo przynajmniej wierzyłeś.

Spojrzał na drobną białą dłoń, dotykającą czule jego wypłowiałej niebieskiej koszuli. Podniósł powoli wzrok i popatrzył jej w oczy. Chciał obrócić wszystko w żart, by dowieść, jak mało obchodzi go jej Bóg, ale zaschło mu w gardle z emocji. Miała rację. Kiedyś, dawno temu, wierzył w Boga. I w siebie.

- Nie musisz tak się zamykać, Jack ~ powiedziała łagodnie. - Bóg ci pomoże. Ja też.

Oby naprawdę mi pomógł - pomyślał tępo. Tak bardzo pragnął jej zaufać! Z całej duszy! A nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa. Patrzył tylko w jej pełne miłości piwne oczy i bezmyślnie kiwał głową.

Obdarzyła go uśmiechem, który był jak cios sztyletu w brzuch. Na moment ugięły się pod nim kolana.

- Idziemy - powiedziała.

- Dobrze - odparł ledwie dosłyszalnie.

Widząc pogodny wyraz jej twarzy, trochę się odprężył.

- No proszę, Jacku Rafferty, chyba się uśmiechasz - rzekła nagle.

Przygryzł wargę, mówiąc:

- Chodź, Lizo. Chcę to już mieć za sobą.

Wziął do ręki koszyk, starając się nie patrzeć na niemowlę, które spało spokojnie w środku. Po chwili wszedł z żoną do budynku szkoły.

Słyszając, jak otwierają się drzwi, Savannah skuliła się w sobie. Ludzie z miasteczka nie ufali jej tacie, odkąd w zeszłym roku dostał ataku szału podczas pikniku z okazji Święta Niepodległości. Gdy rodzice weszli do kościoła, wszystkie głowy zwróciły się w ich kierunku.

Stanęli blisko siebie - jak nigdy. Zebrani zmierzyli ich wzrokiem, patrząc podejrzliwie na jej tatę. Oboje wyglądali pięknie w złocistej słonecznej poświacie. Żadne z nich nawet nie mrugnęło okiem, jakby nie dostrzegali wścibskich spojrzeń. Nagle mama zrobiła coś zdumiewającego: wzięła tatę za rękę. On drgnął, ale nie cofnął dłoni. Spojrzał tylko na nią zaskoczony, a ona się do niego uśmiechnęła.

Pastor uderzył dłonią w prowizoryczną mównicę i powiedział przez nos:

- Witajcie, moi drodzy. Dzisiejsze kazanie jest na temat przebaczenia.

Ludzie z miasteczka odwrócili powoli głowy, koncentrując uwagę na jego wystąpieniu.

Kaznodzieja opowiadał żarliwie o korzyściach płynących z przebaczenia, ale Savannah nie słyszała jego słów. Myślała cały czas o tym, że mama wzięła tatę za rękę. Było jej lekko na sercu. Nie miała już wątpliwości, że mama się zmieniła. Teraz wszystko było możliwe.

Mogli nawet znów stać się prawdziwą kochającą rodziną. Uśmiechnęła się i zamknawszy oczy, pogrążyła w modlitwie.

Jack przyglądał się otwartej Biblii, która leżała na jego kolanach. Małe pozółkłe kartki powinny wyglądać mizernie na tle jego brązowych wełnianych spodni, ale wcale tak nie było. Wręcz przeciwnie: czytając te podniszczone, pozaginane na rogach stronicę, czuł promyk rodzącej się nadziei.

Zacisnął mocno powieki. Od lat modlił się do Boga o pomoc

i radę, ale zawsze brakowało mu wiary. Wypowiadał tylko puste słowa, pozbawione emocji, nadziei i ufności. Wyrażały one jedynie tęsknotę człowieka, który pogodził się z losem. Zastanawiał się teraz, czy Wszechmogący nie wymaga czegoś więcej. Może Bóg, podobnie jak ludzie, oczekuje od człowieka nie tylko rozpaczliwych skarg. Może jedynie prawdziwa, głęboka wiara potrafi coś zdziałać.

Złożył do modlitwy spracowane dłonie i oparłszy je na otwartej Biblii, pochylił głowę. Ale nie wiedział, jak zacząć. Pragnął tylu rzeczy, musiał naprawić tyle błędów i odpokutować tak wiele grzechów. Przerażało go to i pozbawiało nadziei. Oddychał ciężko. Ogarnęła go rozpacz, która tak często zamieniała mu umysł. Człowiek taki jak on, tchórzliwy szaleniec, nie miał prawa prosić o wybaczenie i mówić „chcę”.

Nie od razu zdał sobie sprawę, że jego zziębnięte palce przenika fala ciepła. Po chwili poczuł delikatny, lecz wyraźny dotyk. Otworzywszy oczy, zobaczył, jak żona obejmuje mocno jego dłoń, dając mu bez słowa do zrozumienia, że jest przy nim.

Poczuł błogie ukojenie, jakiego nie zaznał nigdy dotąd. Strach ustąpił miejsca przekonaniu, że żona naprawdę się zmieniła. Zaczynał w to wierzyć i był gotów obdarzyć ją zaufaniem.

Wszystko ma swój początek, pomyślał nagle.

Zamknął znów oczy i tym razem nie miał już w głowie zamętu, nie był przerażony ani zrozpaczony. Czuł głębokie, szczerze pragnienie, by zacząć wszystko od nowa. Był gotów uwierzyć znowu w Boga i zaufać żonie. Nie miał pojęcia, jak długo siedział pogrążony w modlitwie, z pochyloną głową i zamkniętymi oczami, prosząc Boga o pomoc. Stracił zupełnie poczucie czasu.

Może trwało to kilka minut, a może wiele godzin.

- Jack?

Cichy głos Lizy wyrwał go z transu. Uniósł głowę i otworzył

oczy, mrużąc je przed światłem. Gdy cofnęła rękę, poczuli w sercu bolesny skurcz.

- Już wychodzimy - powiedziała, wstając.

Z trudem wywalczony spokój nagle gdzieś zniknął. Jack poczuł się zdradzony i bardziej samotny niż kiedykolwiek. Próbował rozpaczliwie odnaleźć raz jeszcze cień nadziei, ponownie uwierzyć.

Odetchnął z ulgą, gdy mu się to udało. Ukryta głęboko, lecz niewzruszona nadzieja nie była wytworem jego chorej wyobraźni. Tym razem odkrył coś wartościowego w swojej duszy. Musiał tylko zadbać, by tego nie zmarnować. Nie będzie to łatwe. Zapewne mu się nie powiedzie, ale bardzo chciał spróbować.

Liza przysunęła się bliżej i dotknęła jego ramienia. Owionął go kuszący zapach. Odwróciwszy się, spojrzał w jej duże szczere oczy i poczuł się jak człowiek wypuszczony z więzienia.

- Dziękuję - powiedział z uśmiechem.

- To tylko twoja zasługa, Jack - odparła cicho.

Kilka godzin później Jack zacisnął palce na grubym sznurze huśtawki i oparł nogę o skrzypiącą drewnianą ławę. Patrzył na pogrążony w półmroku dom. Z otwartego okna sączyło się blade światło i dolatywał zapach pieczonego mięsa.

Był znowu u siebie. Po tylu latach poszukiwań, pustki i zwątpienia, wrócił wreszcie do domu. Jego twarz rozjaśnił uśmiech. Dziś w kościele uwierzył znowu w Lizę. W jednej chwili wszystkie uczucia, które tak długo ukrywał, ponownie zagościły w jego sercu. Zakochał się w niej od początku.

Był potwornie przerażony, ale i podekscytowany. Miał wrażenie, że stoi u progu nowego życia. Musiał tylko postąpić krok do przodu. Odszedł od huśtawki i ruszył przez podwórko.

Z oddali dosłyszał szum morza i krzyk zgłodniałej mewy. Księżyc lśnił zza purpurowej chmury.

Wbiegł po schodach i otworzył drzwi do kuchni. Przywitał go zapach wołowiny, gotowanej marchwi, cynamonu i słodkiego ciasta. Najwyraźniej nikt nie zauważył jego przybycia. Zamknawszy za sobą cicho drzwi, rozejrzał się.

Katie siedziała do niego plecami, pochylona nad kuchennym stołem, odczytując niepewnie litery, które Savannah rysowała w powietrzu. Kaleb leżał w kołysce, gruchając radośnie.

Liza, krzątając się przy piecyku, poprawiała Katie od czasu do czasu.

- Nie, kochanie, powinno być „kos”, a nie „sok”. Przyłóż palec do każdej litery, to zauważysz różnicę. - Wyprostowała się, zamykając piecyk. - Kolacja prawie gotowa. Brakuje tylko waszego ojca. - Odwróciwszy się, zobaczyła Jacka przy drzwiach. Wytarła z uśmiechem ręce o fartuch i podeszła do niego. - O, już tu jest.

- Tatuś! - krzyknęła radośnie Savannah.

Katie wstała nieporadnie, zahaczając nogą o krzesło i przewracając je. Książka, którą czytała, upadła na podłogę.

Liza stanęła przed Jackiem, jakby nieświadoma całego zamieszania. Zaczesawszy za ucho wilgotny od potu kosmyk włosów, powiedziała z uśmiechem:

- Umyj się przed kolacją.

Jej łagodny głos brzmiał tak kusząco, że poczuł nieodparte pragnienie, by wziąć ją w ramiona i nigdy już nie wypuścić.

- Jack?

- Przepraszam - rzekł przez zaciśnięte gardło. - Zaraz wracam.

Pobiegł do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi. Potrzebował pięciu minut, by zdjąć z siebie brudną i przepoconą roboczą odzież, i pięciu następnych, żeby uspokoić skołatane serce. Chodził niespokojnie po pokoju, a potem przysiadł na skraju

łóżka. Musiał zapanować nad emocjami. Nie wolno było się spieszyć. Nie chciał znów doznać upokorzeń.

- Jack? - Głos Lizy przerwał jego rozmyślenia.

Usiadł wyprostowany i spojrzał w kierunku drzwi. Żona wysunęła głowę zza framugi.

- Kolacja gotowa.

Kolacja. Zasiąść przy stole w rodzinnym gronie i spokojnie rozmawiać. Wyobraziwszy to sobie, poczuł nieopisaną tęsknotę. I strach. Był skłonny jej zaufać, ale dołączyć do rodziny, pełnić rolę ojca — to przekraczało jego możliwości. Za bardzo kochał swoje dzieci, by je zawieść. A wcześniej czy później by do tego doszło.

- Nie jestem głodny - oświadczył.

Liza wślizgnęła się do sypialni w zwiewnej żółtej sukience i uklękła przed nim. Pomyślał z przerażeniem, że go dotknie, ale nie zrobiła tego. Złożyła dłonie i spojrzała na niego, mówiąc:

- Sama przyrządziłam kolację. No, prawie sama. Savannah powiedziała mi, co lubisz.

Jack popatrzył w jej przepastne piwne oczy, zupełnie zbity z tropu.

- Zrobiłaś ją dla mnie?

Skinęła głową, czekając, co zdecyduje.

Nie idź tam. Nie...

- No dobrze.

- Wspaniale! - Wstała, podając mu rękę. Patrzył na jej smukłe palce, przypominając sobie z niezwykłą wyrazistością, jaką ma jedwabistą skórę. Przeniknął go dreszcz. Boże, jak te dłonie kiedyś go rozpałały...

Nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Jack? - Wyciągnęła rękę, by zwrócić jego uwagę.

Powoli, jakby groziło mu wielkie niebezpieczeństwo, dotknął jej dłoni. Ich palce splotły się mocno. Wilgotne ciepło jej skóry nasunęło mu zmysłowe skojarzenia.

- Chodźmy - powiedział oschle.

Liza podkasła z uśmiechem sukienkę i wyszli razem z sypialni na korytarz. Przez cały czas paplała coś radośnie - nie miał pojęcia na jaki temat. Jego skołowany umysł rejestrował tylko cudowne ciepło jej dotyku.

Nagle przestał je odczuwać.

- Siadaj tutaj, Jack - powiedziała, odsuwając krzesło.

Poczuł się jak wyrwany z transu. Patrzył, jak Liza krząta się przy piecyku, a potem spojrzał na starannie nakryty stół. Na środku białego obrusa stał niewielki wazon, pełen żonkili i czerwonych tulipanów. Każde nakrycie składało się z niebieskiego porcelanowego talerza, biało-niebieskiej serwetki i świeżo wypolerowanych sztućców. Wszystko było gotowe do rodzinnego posiłku.

- Sama nakrywałam do stołu, tatusiu. Ładnie, prawda? - spytała nieśmiało Savannah, siadając obok ojca.

Jack spojrzał na swą starszą córkę. Patrzyła na niego ufnym wzrokiem. Kochała go. Mimo wszystko.

Boże - modlił się w duchu. - Pozwól mi jej nie zawieść. Nigdy więcej...

- Wygląda wspaniale - powiedział przez zaciśnięte gardło.

Savannah otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i zarumieniła się.

- Dziękuję, tatusiu.

Liza postawiła na stole wielki półmisek z pieczenia, smażonymi ziemniakami, marchewką i cebulą.

Kiedy wszyscy usiedli, napełniła cztery szklanki mlekiem z dzbanka i położywszy ręce na stole, powiedziała:

- Pomodlimy się?

Dziewczynki skwapliwie podały jej dłonie.

Potem spojrzały niepewnie w kierunku ojca.

- Tatusiu? - odezwała się ostrożnie Savannah.

Jack poczuł skurcz w sercu. Nie patrząc córce w oczy - nie

mógłby znieść jej pełnego niepewności spojrzenia- położył ręce na stole.

Sawannah pierwsza ujęła jego dłoń. Poczuł jej ciepłe, szczupłe palce i twarde, poobgryzane paznokcie. Uścisnęła jego rękę. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że stara się dodać mu otuchy.

Patrzył na kwiaty, czując pieczenie pod powiekami i dławienie w gardle. Chryste, jak ja je kocham...

- Tatusiu? Czy mogę cię wziąć za rękę? - Cichy głosik Katie przerwał jego rozmyślenia.

Uniósł głowę, spoglądając na swą małą córeczkę. Uśmiechała się do niego bojaźliwie. Nagły przypływ czułości zaczął rozsadzać mu piersi.

- Bardzo tego pragnę - powiedział.

- Naprawdę? — Katie otworzyła szeroko usta.

Jack skinął tylko głową, nie mogąc wydusić ani słowa.

Katie wsunęła różową rączkę w leżącą na białym obrusie dłoń ojca. Jack ścisnął czule jej pulchne paluszki.

- Dobry Boże - zaczęła cicho Liza - dziękujemy ci za liczne łaski, którymi obdarzyłeś tę rodzinę. Obyśmy też umieli być wdzięczni za to, co dopiero otrzymamy.

Jack zamierzał już podnieść głowę, ale ona jeszcze nie skończyła, opuścił ją więc ponownie.

- Savannah - powiedziała. - Może powiesz Bogu, za co mu dziękujesz.

- Za to, że Katie uczy się czytać.

- A ty, kochanie?

Katie poruszyła się niespokojnie na krześle. Jack poczuł, że drży i pocałował jej dłoń.

- Dzi...dziękuję, że jemy razem kolację.

- Teraz moja kolej - stwierdziła Liza. - Jestem wdzięczna Bogu, że mam takie bystre, śliczne i kochające córki i malutkiego synka. Jack?

Jack drgnął, ściskając mocniej dłonie dziewczynek. Zaległa niezręczna cisza. Wiedział, że czekają na jego odpowiedź. Odchrząknął i wyrzucił z siebie:

- Dziękuję za moje dzieci.

Spodziewał się, że Liza wybuchnie śmiechem, słysząc to wyznanie. Gdy tego nie zrobiła, podniósł ostrożnie wzrok. Patrzyła na niego. Przez chwilę miał wrażenie, że siedzą przy stole tylko we dwoje.

- Amen - powiedziała cicho, kończąc modlitwę. Tyle że tym razem nadal trzymali się za ręce. Wszyscy podnieśli głowy i śmiało spoglądali sobie w oczy, nie odwracając wzroku.

Liza pierwsza sięgnęła po półmisek.

- Kto ma ochotę na tę pyszną kolację?

- Chwileczkę! - rzekł bez namysłu Jack.

Spojrzały na niego zdziwione. Poczuli się natychmiast jak idiota. Nie miał pojęcia, co go podkusiło, żeby się odezwać.

- Ja... jako głowa rodziny, pokroję mięso.

Wziął od żony nóż, wstał z krzesła i górując nad niewielkim stołem, zaczął ostrożnie kroić pieczeń.

Liza rozmawiała cicho z dziewczynkami. Słysząc było brzęk widelców i noży.

Jack przestał na chwilę kroić mięso i rozejrzał się. Jego żona siedziała przy stole, opowiadając z ożywieniem o swojej pracy w ogrodzie. Katie słuchała jej uważnie, oparłszy łokcie o blat. Savannah śmiała się głośno.

Jacka ogarnęło tak gwałtowne wzruszenie, że zrobiło mu się słabo. Ugięły się pod nim nogi. Chwycił się stołu, by nie stracić równowagi. Rozległ się brzęk szklanek o porcelanowe talerze. Trzy pary oczu spojrzały na niego z zatroskaniem.

Zaległo milczenie.

- Przepraszam - wymamrotał.

Dziewczynki skoncentrowały znów uwagę na jedzeniu, tylko Liza przypatrywała mu się nadal z lekkim uśmiechem.

Miał dziwne wrażenie, że zagląda w głąb jego duszy i stwierdza, iż nie jest taka strasznie mroczna.

- Miło, prawda? - zapytała cicho.

Wiedział dokładnie, co ma na myśli. Spojrzawszy na córki, a potem na nią, odparł z uśmiechem:

- Tak, bardzo.

Po kolacji, gdy naczynia były już pozmywane, Savannah i Katie pospieszyły do łóżek, a Jack i Tessa zostali sami w kuchni. Atmosfera stała się napięta. Oboje chcieli nawiązać ze sobą kontakt, ale nie wiedzieli jak.

- Chyba... położę już Kaleba spać - powiedziała bez przekonania Tessa.

Jack skinął mechanicznie głową.

- Tak. Już pora.

Patrzyli na siebie wyczekująco, z nadzieją w oczach. W końcu Jack powiedział:

- Może...

Tessie zabiło mocniej serce.

- Może co?

Poprawił kołnierzyk koszuli, jakby zrobił się nagle za ciasny.

- Może napijemy się razem kawy, kiedy skończysz.

- Z przyjemnością. - Tessa uśmiechnęła się szeroko, czując falę rozkosznego ciepła.

- Naprawdę?

- Ależ tak.

Jack uśmiechnął się niepewnie.

- W porządku. Więc ja zaparzę kawę - zaofiarował się.

Tessa wzięła na ręce synka i przycisnęła go do piersi, powstrzymując się z trudem, by nie wybiec radośnie z kuchni. Nakarmiwszy niemowlę w rekordowo krótkim czasie, wróciła pospiesznie do Jacka. Był pochylony nad kominkiem, rozpalając

ogień. Pierwsze nieśmiałe płomienie lizały suche drwa. Na chropowatym stole stały dwa kubki kawy, rozsiewającej w półmroku aromatyczny zapach.

Tessa poczuła niepokój i spłótła nerwowo dłonie.

- Cześć, Jack.

- Cześć, Lizo - odpowiedział, nie odwracając się i wrzucając do paleniska kłoc, który trzymał w ręce. Omszały pień ogarnęły natychmiast płomienie.

Tessa sięgnęła po kawę. Objęła oburącz ciepły kubek, upajając się rozkoszną wonią, i usiadła wyczekująco na kanapie.

Jack odszedł od kominka i wziąwszy ze stołu swój kubek, zajął miejsce obok niej. Siedzieli tak, milczący i zakłopotani, wpatrując się w ogień. Powietrze przesycał zapach dymu i płonącego drewna.

Jack odchrząknął.

- A więc... uczysz Katie czytania.

Tessa zaśmiechnęła się. To był już dobry początek.

- Robi pewne postępy. Przekonałam się, że kiedy rysuję jej literę w powietrzu, rozpoznaje ją łatwiej niż na papierze.

- To bystra dziewczyna.

Słyszac cierpienie w jego głosie, poczuła skurcz w sercu.

Dlaczego tak się od nas odsuwasz? - chciała go zapytać. - Czego się boisz?

Była pewna, że nic ich naprawdę nie dzieli. Gdyby potrafiła pokonać jego lęki i zmusić go, by przyznał, jak bardzo kocha dzieci, wszystko by się zmieniło. Mieliby wtedy szansę. On by ją miał.

- Wiesz, że Katie cię kocha - powiedziała.

Jack znieruchomiał, ale milczał.

- Savannah także. Nawet Kaleb.

- Przestań! - Z jego ust wydobył się bolesny szept.

Tessa odstawiła instynktownie kawę i odwróciła się do niego. Ujawszy w dłonie jego twarz, zmusiła go, by na nią spojrział. Rozpacz, którą miał w oczach, pozbawiła ją tchu.

KRISTIN HANNAH

Byli bardzo blisko siebie. Czuła ciepło jego ciała. Szmer ich oddechów stapał się z trzaskiem płonących drewn i sykiem ognia.

- Wszyscy pragniemy ci pomóc, Jack. Musisz tylko otworzyć drzwi.

- Ja... bardzo tego chcę.

Tessa wstrzymała oddech.

- Naprawdę?

Skinał głowę.

- Ale tak długo były zamknięte... - zaczął.

- Może... razem zdołamy je otworzyć.

- Razem. - To wypowiedziane cicho słowo miało magiczną moc.

Tessa się uśmiechnęła. Jack objął ją niepewnie i przyciągnął do siebie. Oparli się o kanapę i zamknęli oczy, myśląc o sobie nawzajem.

Siedzieli tak, aż wystygła im kawa, a w kominku pozostał tylko żar. Trochę rozmawiali, trochę milczeli. Nie miało to znaczenia. Tej nocy wystarczyło im, że są razem.



Sawannah wpadła do kuchni, trzymając się za bok.

- Już wróciłam, mamó — oznajmiła zdyszana.

Katie podniosła wzrok znad otwartego elementarza.

Tessa leżała na podłodze z Kalebem na brzuchu.

- Cześć, kochanie! - odparła, obejmując niemowlę i wstając nieporadnie. - Co powiedziała Minerwa?

- Chętnie zabierze nas na spacer. Mamy przyjść do niej za dziesięć minut.

Tessa uśmiechnęła się. Dziesięć minut to akurat dość czasu, by wcieliła w życie swój plan. Obiecała Jackowi, że pomoże mu otworzyć drzwi do jego serca. I miała zamiar to właśnie zrobić.

- Wporządku, dziewczynki. Pobiegnijcie do swojego pokoju i ubierzcie się. Wrzucę tylko parę rzeczy do koszyka i ruszamy.

Tessa pospieszyła do sypialni i wydobyła z szafy długą zwiewną spódnicę w biało-granatowe prążki i wyciętą pod szyją piękną perkalową bluzkę. Ubrawszy się szybko, upięła w kok długie włosy i włożyła chroniący od słońca biały kapelusz.

Była gotowa.

- Już czas, Kaleb - mruknęła pod nosem, gładząc delikatnie

pukiel jego jedwabistych czarnych włosów. Włożywszy go ostrożnie do kołyski, ruszyła do wyjścia.

Nie doszła jeszcze do drzwi, gdy zaczął się wydzierać.

Świetnie, pomyślała, uśmiechając się do niego uspokajająco.

- Nie martw się, kochanie. Za chwilę wszystko będzie dobrze. - Rzuciwszy mu ostatnie spojrzenie, wyszła z sypialni i pospieszyła do kuchni. Savannah i Katie już tam na nią czekały. - W porządku - oznajmiła, zabierając ze stołu koszyk z jedzeniem. - Chodźmy.

- Ale Kaleb został w sypialni... - stwierdziła z niepokojem Savannah.

Tessa uśmiechnęła się szeroko.

- Och, zapomniałam wam powiedzieć, że to babska ekspedycja. Mamy do załatwienia ważną sprawę i Kaleb tylko by nam przeszkadzał.

Dziewczynki wymieniły zdziwione spojrzenia, po czym odezwały się jednocześnie:

- Ale kto się nim zajmie?

- Wasz ojciec - odparła Tessa z łobuzerskim uśmiechem.

Oniemiały z wrażenia.

Tessa machnęła niecierpliwie ręką.

- Chodźmy już.

- Ale on płacze, a tatuś nie potrafi...

- Zaufajcie mi. Lepiej się pospieszmy. Pani Hannah czeka. -

Tessa wyszła z domu. Dziewczynki spoglądały za nią z otwartymi ustami, po czym zaczęły coś gorączkowo szeptać.

Minęła właśnie kurnik i była w pół drogi do stodoły, gdy powzięły decyzję.

- Mamo, zaczekaj! - krzyknęła Savannah.

Tessa przystanęła i odwróciła się.

- Pospieszcie się. Nie mamy do dyspozycji całego dnia.

Dziewczynki zbiegły uśmiechnięte po schodach i pomknęły w jej kierunku.

Jack ociosywał sztachety za stodołą, gdy do niego podeszły. Przerwał pracę i zsunął na tył głowy sfatygowany kapelusz, ocierając wierzchem dłoni pot z czoła.

- Cześć, Jack. - Tessa starannie zasłoniła koszyk, by nie było widać, że nie ma w nim Kaleba. - Jak się czujesz?

- Dobrze. - Rzucił okiem na dziewczynki, zauważając, że mają na sobie stare, sprane rzeczy. - Dokąd się wybieracie w takich strojach?

Sawannah wzruszyła ramionami.

- Mama zabiera nas w specjalne miejsce.

Katie przytaknęła uroczyście.

- Mamy swoje babskie sprawy.

Jack uśmiechnął się do niej.

- Naprawdę? No to trzeba je załatwić. Bawcie się dobrze.

- Jack - powiedziała poważnie Tessa. - Zostawiłam coś dla ciebie w domu.

Katie zachichotała, ale natychmiast zakryła usta pulchną dłonią.

Jack rzucił jej pytające spojrzenie, po czym popatrzył znowu na żonę.

- Co takiego?

- Niespodzianka - odparła Tessa z niewinną miną.

- Naprawdę?

Sawannah z trudem powstrzymywała uśmiech.

- Będiesz naprawdę zaskoczony, tato.

Odłożył siekiere.

- No dobrze. Do zobaczenia.

Tessa uśmiechnęła się szeroko.

- Świetnie. Do widzenia.

- Do widzenia, tatusiu - powiedziały równocześnie dziewczynki.

Jack uniósł brwi, jakby nagle zaczął podejrzewać, że dzieje się coś dziwnego.

Nie mylisz się - pomyślała Tessa. - Witaj w roli ojca.

- W drogę, dziewczynki. - Dała im znak ręką i pobiegły razem przez porośniętą trawą *wzgórze*.

Jack patrzył, jak przeciskają się pod płótnem na końcu pastwiska. W powietrzu rozbrzmiewał ich beztrudny śmiech. Wsunąwszy kciuki pod wystrzępione czerwone szelki, ruszyli powoli w kierunku domu. Pod butami chrzęściły mu kamienie, a obcasy zostawiały głębokie ślady na polnej drodze. Minąwszy rozłożysty dąb, wszedł na ganek. Nie zdążył jeszcze otworzyć drzwi, gdy usłyszał płacz dziecka.

Zwolnił kroku. Oblał go zimny pot. Nie - pomyślał z rozpaczą. - Nie zrobiłaby mi tego...

Uchylił ostrożnie drzwi. W całym domu słychać było potworny wrzask.

- O Boże! - Jack obrócił się na pięcie i zbiegł ze schodów na drogę. - Lizo!! - zawołał, ale jego krzyk uleciał z wiatrem i pozostał bez odpowiedzi.

Spojrzał znów z przerażeniem na dom. Nawet z tej odległości słyszał płacz Kaleba. Bezradnie zacisnął dłonie w pięści, dysząc ciężko. Ogarnęła go panika. O Boże, Boże, Boże...

Opanuj się! - skarcił samego siebie. Zacisnął powieki i zaczął oddychać równomiernie. Prosiłeś Boga - i Lizę - byś mógł zacząć od nowa. Właśnie masz okazję. Nie bądź takim cholernym tchórzem.

Podniósł wzrok i popatrzył znów na dom. Kaleb wzywał go żalnym kwileniem. Tylko on mógł przyjść mu z pomocą. Swojemu synowi.

Wrócił do domu ze ściśniętym gardłem. Słyszac, jak za-trzaskują się za nim skrzypiące drzwi, znów poczuł strach.

A jeśli skrzywdzi dziecko? Jeśli znów wpadnie w szal?

Dosyć tego! Uniósł głowę, zacisnął pięści na udach i ruszył powoli w kierunku sypialni żony. Otworzywszy drzwi, stanął w progu. Przez szczeble kołyski, którą sam wystrugał, widział

drobną postać Kaleba. Mały wiercił się na wszystkie strony, machając rączkami w powietrzu. Niebieski kocyk leżał skłębiony z boku.

Jack nie mógł ruszyć się z miejsca. Paraliżował go strach. Bał się wyciągnąć rękę i dotknąć własnego dziecka. Ogarniały go mdłości. Czuł skurcze w żołądku. Był takim przeklętym, nędznym tchórzem.

Kaleb musiał zaczerpnąć powietrza i przez chwilę panowała błogostawiona cisza. Jack wstrzymał oddech. Może obejdzie się bez...

Nagle mały zaczął znowu płakać. Tym razem był to rozpaczliwy wrzask, który przenikał Jacka do szpiku kości.

On też się boi - pomyślał.

Nie wiadomo skąd przyszło mu to do głowy. Próbował przekonywać sam siebie, że dziecko jest głodne, śpiące albo po prostu rozdrażnione i że nie może przecież wiedzieć, co ono czuje. Ale te argumenty jakoś do niego nie docierały.

Twój syn się boi, bo jest sam. Potrzebuje cię.

- Nie mnie - wyszeptał. - Potrzebuje ojca. Nie jakiegoś nędznika...

Ma tylko ciebie.

Postąpił niepewnie naprzód. Z każdym krokiem czuł coraz silniejsze dławienie w gardle. Gdy dotarł do kołyski, drżał na całym ciele i nie mógł złapać tchu. Przyklęknął na miękkich kolanach.

- Hej, mały. Co się dzieje?

Kaleb zaczął płakać jeszcze głośniej. Jack przysunął się bliżej i sięgnawszy ręką w głąb kołyski, dotknął jego mokrego od łez policzka.

- Szsz, szsz... - Czuł się jak idiota. Zaszło mu w gardle z wrażenia i nie miał pojęcia, co powiedzieć. Jak mógł uspokoić niemowlę, mówiąc „szsz, szsz...”?

Wsunął ostrożnie dłoń pod plecy dziecka. Poczując jej

ciepło, malec najwyraźniej się uspokoił. Czknął głośno i westchnąwszy ciężko, rozwarł drobne piąstki.

Jackowi zaświtała nadzieja. Włożył do kołyski drugą rękę i ostrożnie podniósł niemowlę. Kaleb zamrugał zdziwiony. Miał na rzęsach duże drżące łzy.

Ojciec pojrzał na jego małą, czerwonajak burak twarzyczkę i ogarnęła go fala czułości. Przytulił niemowlę do piersi i podszedł powoli do łóżka. Usiadł na nim z ulgą, dziękując Bogu, że nie upuścił malca. Kiedy serce przestało mu walić jak młotem, położył się na miękkiej pościeli. Kaleb leżał spokojnie najego piersi, świdrując go szaroniebieskimi oczami.

On wie - pomyślał ze znużeniem Jack. - Wie, jakim jestem marnym ojcem.

Nagle chłopczyk ziewnął i zamknął powieki. Czknąwszy raz jeszcze, włożył kciuk do ust i położył tacie głowę na piersi. Po chwili już spał.

Jack leżał jak kłoda, bojąc się poruszyć, by go nie obudzić. Patrzył z podziwem na małą główkę z czarnymi włoskami, przytuloną ufnie do jego torsu. Ogarnął go dziwny spokój. Uniósł bezwiednie rękę i pogładził Kaleba po policzku. On tego nie wie - pomyślał nagle. Kaleb nie miał pojęcia, że jego ojciec jest tchórzem i w dodatku szaleńcem, że nie jest godzien miłości. Wiedział jedynie, że bez rodziców dokucza mu samotność.

Postaraj się.

Liza prosiła go tylko o to. Chciała, żeby spróbował być ojcem, okazał miłość własnym dzieciom.

On też tego pragnął. Chryste, jak bardzo! Ale ciągle się bał. Co będzie, jeśli mu się nie uda? Może być jeszcze gorzej niż gdyby w ogóle nie próbował. Lepiej wcale nie zajmować się dziećmi, jak było w przypadku jego własnego ojca, niż wyřządać im krzywdę...

Postaraj się.

Nie rób tego. Nie uda ci się. Skrzywdzisz ich wszystkich.

Oczywiście, że mu się nie uda. To było pewne. Zawsze spotykały go porażki.

Zasługują na lepszy los, Jack. Spojrzał na Kaleba i tym razem jemu zwilgotniały oczy, a serce przeszył ból. Przełknął ciężko ślinę, czując słony smak łez. Zasługiwali na to, by chociaż spróbował. Na razie był takim ojcem, jakiego sam kiedyś miał. Na myśl o tym poczuł mdłości i wstyd. Czy nie przyrzekał, że nie będzie brał przykładu ze swoich samolubnych, okrutnych, mściwych rodziców?

Czyż nie przysięgali tego razem z Johnnym?

Johnny...

Jack westchnął boleśnie. Złożyli obaj przysięgę, że będą dobrymi, kochającymi ojcami. Ale Johnny nigdy nie miał szansy jej spełnić. Jack natomiast odrzucił tę możliwość. Tak bardzo bał się porażki, że nigdy nawet nie próbował.

Przyrzekał w kościele, że zacznie wszystko od nowa.

Nie bój się. Bądź mężczyzną. Choć raz okaż się mężczyzną...

- Błagam, Boże - wymamrotał - wskaż mi drogę. Powiedz mi, co mam robić...

Zamknął oczy i zaczął się modlić. Po raz pierwszy od bardzo wielu lat był przekonany, że ktoś go słucha.

Obudził go śmiech. Zamrugał i uniósł się na łokciu, uważając, by nie zrzucić Kaleba, który nadal spał spokojnie na jego piersi. Objął malca ramieniem, przyglądając się jego prześlicznej niewinnej buzi.

Usłyszał tupot nóg w korytarzu, a po chwili do sypialni wpadła zdyszana Katie.

- Cześć, tatusiu! - powiedziała, ukazując w uśmiechu szczerby między zębami. - Mamy coś dla ciebie!

Sawannah podążyła za siostrą, również szeroko uśmiechnięta.

Jack uniósł brew i spytał drwiąco:

- Kolejna niespodzianka?

Uśmiech Katie zniknął i jej ojciec pożałował natychmiast swego bezmyślnego sarkazmu.

- Jeśli jest choć w połowie tak miła jak poprzednia, będę szczęśliwy.

Katie znowu się uśmiechnęła.

- Jest, naprawdę!

Obie dziewczynki podeszły do łóżka.

- Nie patrz, tatusiu. Zamknij oczy.

Jack spełnił ich polecenie. Usłyszał, jak wyjmują coś z łasem z pustych do połowy pojemników i po chwili Savannah powiedziała:

- W porządku. Możesz już patrzeć.

Jack otworzył oczy i zobaczył ułożone starannie w nogach łóżka cztery płaskie, oklejone drewnem pudełka. Do każdego z nich przymocowany był zasuszony kwiat, pod którym widniało pojedyncze słowo. Razem tworzyły one napis: *Szczęśliwego Dnia Ojca, tatusiu!*

Jack zaniemówił z wrażenia.

- Szczęśliwego Dnia Ojca - powiedziała cicho Liza, stojąc w progu.

Jack spojrział na nią i poczuł się nagle tak, jakby dostał cios w serce. Wyglądała olśniewająco. Złociste włosy, poprzetykane zielonymi gałązkami, opadały jej kaskadą aż do bioder. Jej blada skóra nabrała w promieniach słońca brzoskwińowej barwy, a zmysłowe usta zdobił czarujący uśmiech.

Jack przełknął głośno ślinę.

- Co to jest Dzień Ojca?

Liza zmarszczyła na moment czoło.

- Sama go wymyśliłam. Przypada chyba w czerwcu, ale równie dobrze możemy obchodzić go w maju. - Uśmiechnęła się. - To dzień, w którym mówi się ojcu, jak wiele dla nas znaczy. Jak bardzo go... kochamy.

- Tatusiu? Dobrze się czujesz? - spytała cicho Savannah.

Tatusiu. Serce ścisnęło się Jackowi ze wzruszenia. Nigdy nie był dla niej dobrym ojcem. Ale miał już dość udawania, że dzieci go nie obchodzą. Dość życia w izolacji, w samotności, w ciągłej depresji.

Nie próbuj nawet. Nie uda ci się. Ta myśl przejmowała go strachem. Jakoś łatwiej było wywiązywać się z roli ojca wobec Kaleba. Niemowlę nie zdawałoby sobie sprawy, że zawiódł. Nawet mała Katie mogłaby tego nie zauważyć, ale Savannah, starsza i mądrzejsza, wiedziałyby, że próbował dokonać czegoś, co było ponad jego siły. Zorientowałyby się, że przegrał, i złamałoby to serca im obojgu.

Nie zawiode.

Ale tym razem słowa nie miały znaczenia. Pomyślał ze znużeniem, że może być różnie, lecz jedno wiedział na pewno: musiał przynajmniej spróbować. Dość tego, stwierdził z determinacją. Bóg dał mu szansę, by zaczął życie od nowa. Dał szansę im wszystkim. Tym razem nie zamierzał uciekać. Nie okaże się znowu tchórzem.

Odwróciwszy się, obdarzył starszą córkę promiennym, pełnym miłości uśmiechem.

- Czuję się świetnie. Podejdźcie tutaj i opowiedzcie mi, jak zrobiłyście te wspańnięte pudełka.

Savannah i Katie usiadły przy nim na łóżku i zaczęły relacjonować z ożywieniem, jak zrywały i zasuszały kwiatki.

Jack poczuł się tak, jakby zdjęto mu z pleców ogromny ciężar. Ogarnął go niewysłowny spokój. Ostrożnie objął dziewczynki ramionami. Obie natychmiast się do niego przysunęły.

Zaśmiawszy się z czegoś, co powiedziała Katie, podniósł nagle wzrok. Liza stała nadal w progu, przyglądając mu się ze łzami w oczach. Był pewien, że wie, jak ciężki miał za sobą dzień, i że jest z niego dumna.

KRISTIN HANNAH

- Dziękuję - wyszeptał, przepełniony czułością.

Uśmiechnęła się przez łzy i podciągnąwszy spódnice, podszła do łóżka, ostrożnie biorąc na ręce Kaleba. Savannah przesunęła się, robiąc jej miejsce. Katie przyłgnęła jeszcze mocniej do ojca.

Jack nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy. Po raz pierwszy byli naprawdę rodziną.



Tego wieczoru Tessa siedziała na huśtawce i kołysała się powoli, obejmując luźno dłońmi szorstkie sznury i dotykając bosymi stopami zimnej, czarnej ziemi. Zamknęła powieki, odurzona odgłosami nocy: odległym szumem fal, uderzających o skały i piasek, cichym świstem wiatru, pobekiwaniem owiec, układających się do snu. Wsłuchiwała się uważnie we wszystko, zachwycona każdym dźwiękiem.

- Lizo?

Usiadłszy prosto, zobaczyła na ganku Jacka. Jego ciemna smukła sylwetka rysowała się wyraźnie na szarym tle domu. Serce zabiło jej mocniej. Zaschło jej w gardle. Wyszepiała niemal bezgłośnie jego imię, zaciskając mocno dłonie na sznurach huśtawki.

- Ja... - Jack podszedł bliżej. Drewniana podłoga zaskrzyphiała cicho pod jego nogami. - Idę już do łóżka.

Zabierz mnie ze sobą. Tessa przełknęła głośno ślinę, próbując się opanować.

- Dlaczego mi to mówisz? - spytała.

Jack milczał w nieskończoność. Tessa patrzyła na niego wyczekująco. Poproś mnie, Jack. Wyciągnij do mnie rękę...

- Chciałem ci powiedzieć dobranoc.
- W porządku. - Tessa położyła ręce na kolanach. - Dobranoc.

Stał przed nią jeszcze przez chwilę. Czuła na sobie jego spojrzenie i wiedziała, że próbuje zebrać się na odwagę, aby zostać. Może nawet chciał do niej podejść.

- A więc... dobrej nocy. - Odwrócił się i wszedł do domu. Drzwi zamknęły się za nim z cichym skrzypieniem.

Tessa westchnęła ciężko. Wstawszy z huśtawki, skrzyżowała ręce na piersiach i przeszła powoli obok dębu. Drobne kamyczki przywierały do jej bosych stóp, gdy zmierzała polną drogą w kierunku łąki. Potem zaczęły łaskotać ją w kostki smukłe źdźbła traw.

Patrzyła na widoczną w dole cieśninę Haro. Na lśniącej stalowej tafli wody drżało biało-niebieskie odbicie poświaty księżyca. Gwiazdy błyskały na wieczornym niebie jak okruchy diamentów.

Wiedziała, czego pragnie, ale brakowało jej odwagi. Doprowadzało ją to do szału. Nigdy nie była tchórzem, a właśnie teraz, stojąc wobec życiowej szansy, chowała głowę w piasek. Czekwała na cud.

To nie miało sensu. Trudności zawsze ją mobilizowały. Kiedy wmawiano jej, że głucha dziewczynka nie może zostać lekarką, dowiodła, że to nieprawda. Gdy wszyscy twierdzili, że jeśli nawet zdobędzie wykształcenie, nie znajdzie nigdzie pracy, znów postawiła na swoim. Poświęciła też całe życie, by udowodnić, że rak może być uleczalny.

Ale wyzwania, którym dotąd sprostała, bładły w porównaniu z tym, co czekało ją teraz. Dotychczas ryzykowała jedynie, że ktoś ją wyśmieje albo, w najgorszym razie, nie powie się jej pionierski eksperyment. Tym razem mogła stracić coś wyjątkowo cennego.

Szansę na znalezienie swego miejsca w życiu.

Co będzie, jeśli Jack ją odrzuci? Jeśli te jego uśmiechy i czułe spojrzenia były jedynie wytworem jej spragnionej miłości wyobraźni?

Wtedy przeżyjesz rozczarowanie. Odpowiedź była zaskakująco prosta i, o dziwo, przyniosła jej ulgę.

Przeżywała już rozczarowania i zawsze była w stanie jakoś się pozbierać. Jeśli nawet Jack nią wzgardzi, potrafi to przeboleć. Nie miała wątpliwości, że jedno z nich musi zaryzykować. Obydwoje panicznie bali się porażki i ten strach ich paraliżował.

Tessa uznała, że czas z tym skończyć. Trafiła jej się szansa, na którą czekała przez całe życie. Mogła z niej skorzystać dopiero po śmierci. I nie miała zamiaru się poddawać z powodu zdenerwowania i dawnych urazów. Jeśli Jack ją odrzuci, zaczeka po prostu na kolejną okazję. Będzie próbowała aż do skutku.

Jack był jej przyszłością i przeznaczeniem. Nie miała zamiaru go opuszczać.

Jack siedział na kanapie sztywny jak słup, z nogami przykrytymi kocem i dłońmi splecionymi na brzuchu. W domu było pusto i cicho. Co jakiś czas szyba za jego plecami drżała od podmuchów wiatru, ale oprócz tego odgłosu ciszę zakłócał jedynie jego przyspieszony oddech. Na kuchennym stole stała świeca, oświetlając biały obrus.

Nagle usłyszał, że ktoś chwyta za klamkę. Serce waliło mu jak młotem. Czuł dudnienie w skroniach. Drzwi otworzyły się i zamknęły z głośnym skrzypieniem.

Liza wzięła ze stołu świecę i szła w jego kierunku. W aureoli światła wyglądała jak anioł. Złociste włosy spływały jej falami na ramiona, a oczy - w półmroku jeszcze ciemniejsze - lśniły kusząco na tle jasnej twarzy. Biały kołnierzyk wyglądał delikatnie przy jej smukłej szyi.

- Jack?
- Tak? - odpowiedział, napięty jak struna.
- Powzięłam decyzję.
- Jaka?

Podeszła do niego. Dostrzegłszy jej subtelny, czarujący uśmiech poczuł jeszcze szybsze bicie serca.

- Chyba nie muszę ci mówić.

Postawiła świecę przed nim na stole. Metalowy lichtarz brzęknął głośno. Chropowaty drewniany blat oblała żółta poświata. Wyprostowawszy się, Liza spojrzała na Jacka z góry. Przez chwilę sądził, że się do niego zbliży. Czekał w napięciu. Nie ruszyła się jednak z miejsca. Stała nieruchomo, przyglądając mu się. Miała splecione dłonie, a złocista kaskada włosów okalała jej twarz.

Tak zaschło mu w gardle, że wydusił z trudem:

- Cz...czego chcesz?
- Jak długo jesteśmy małżeństwem?
- J...jakieś trzynaście lat - wyjąkał zbity z tropu. Skinęła głową.
- A od jak dawna śpisz w innym pokoju?

Jack pojął nagle, do czego ona zmierza. Ogarnęła go cała gama uczuć: strach, podniecenie, nadzieja. Zwilżył językiem wyschnięte wargi i odparł cicho:

- Odkąd wyszedłem.

Uniosła brwi, a on zrozumiał natychmiast swój błąd. Nie pamiętała przecież, że był w szpitalu i leczył rany.

- Skąd wyszedłeś?

Nie odpowiedział. Po chwili zapytała ponownie:

- Jak długo śpisz na kanapie?
- Prawie osiem lat.

Rzuciła mu tkliwe, kuszące spojrzenie. Poczł bolesny skurcz w sercu.

- To bardzo długo.

SZANSA

- Tak.

- Wystarczająco długo.

Jack znieruchomiał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Liza westchnęła ciężko. Widział, że jest zdenerwowana, może nawet przestraszona, ale nie rezygnowała.

- Chcę powiedzieć, że mąż i żona powinni spać razem.

Wyprostował się powoli.

- Spać... razem?

~ Właśnie.

Jack nie poruszał się, nawet nie oddychał. Maciło mu się w głowie. Nie był w stanie racjonalnie myśleć. Odczuwał tylko mroczne, dzikie pożądanie.

Liza wyciągnęła do niego rękę, bladą i drżącą w mdłym blasku świecy.

- Chodź do łóżka, Jack.

Pokręcił powoli głową.

- Obawiam się, że...

- To przestań się obawiać.

- Chryste, Lizo! - wyszeptał.

Podeszła do niego szybko - jak zjawa - i uklękła przy nim. Spojrzał jej w oczy i przestał nad sobą panować. Była olśniewająco piękna. Aż do bólu. Uśmiechając się, dotknęła jego policzka. Poczuł kojące ciepło jej dłoni. Przeszedł go dreszcz rozkoszy. Był jak zahipnotyzowany.

- Nie bój się - szepnęła.

Jack westchnął i próbował odwrócić wzrok, ale mu nie pozwoliła. Trzymała rękę na jego twarzy, patrząc mu prosto w oczy.

- Proszę... - mruknęła.

Usiłował dostrzec w jej spojrzeniu drwinę, ale tym razem nie zwodziła go. To nie była już Amarylis, tylko Liza, która wyciągała do niego dłoń.

Na Boga, nie mógł odwrócić się do niej plecami. Nawet gdyby Liza miała pewnego dnia zniknąć równie nagle, jak się pojawiła. Przez niemal pół życia była jego żoną. Kochał ją od dzieciństwa. I teraz także.

Pochyliła się ku niemu, muskając oddechem jego usta. Czuł w kroczu bolesne napięcie. Zaszło mu w gardle.

Zwilżyła powoli językiem dolną wargę, ciągle patrząc mu w oczy.

- Może... - zaczęła niepewnie i Jack odniósł nagle wrażenie, że tym razem ona się boi.

Gdy próbowała odwrócić głowę, dotknął bez namysłu jej podbródka, przytrzymując go delikatnie, lecz stanowczo.

- Może co?

- Może potrafimy... znów się w sobie zakochać.

Jack nie wiedział, co właściwie spodziewał się usłyszeć, ale na pewno nie to. Znał ją od dawna. Już w dzieciństwie biegali razem po plantacji bawełnyjogo ojca, lecz nigdy nie powiedziała mu, że go kocha. Owszem, okazywała mu to. Początkowo, zanim zaczął się ten cały koszmar i wojna między nimi, ciągle dawała mu dowody miłości. Ale nigdy nie wyznała mu swoich uczuć. W młodości czekał na to z utęsknieniem. A teraz nagle zastanawiała się na głos, czy potrafią na nowo się w sobie zakochać.

- Od czego mielibyśmy zacząć? - zapytał, kręcąc głową. Liza uśmiechnęła się.

- Już zaczęliśmy, Jack.

W jej aksamitnym głosie pobrzmiwała kusząca obietnica.

Już zaczęliśmy. Wypowiedziawszy te słowa, Tessa wstrzymała oddech. Serce waliło jej mocno ze strachu. Teraz, czekając na jego reakcję, czuła się obnażona, bezbronna i niemal półprzytomna z pożądania.

Błagam, myślała z rozpaczą. Nie odrzucaj mnie!

- Musimy być ostrożni - powiedział cicho Jack. - Nie jestem... godzien zaufania.

Tessie kamień spadł z serca. Uśmiechnęła się lekko.

- Posłuchaj, Jack...

Pokręcił z namysłem głową. Oczy pociemniały mu z żalu i wstydu.

- Tyle razy zawiodłem ciebie i dziewczynki.

Dusza Tessy przepełniła się radością. Wiedziała, ile kosztowało go to wyznanie.

- Och, Jack. - Pochyliła się ku niemu, odgarniając mu włosy z czoła drżącymi chłodnymi palcami. - Chyba wzajemnie się krzywdziliśmy.

Ich spojrzenia spotkały się w nikłym blasku świecy.

- Potrzebuję czasu, Lizo - oznajmił cicho. - Zadałem sobie wiele trudu, żeby przestać cię kochać, i szczerze mówiąc, cholernie się boję zaczynać od nowa.

- Nie wracajmy do przeszłości, którą przeżyłeś z inną kobietą. Chcę patrzeć w przyszłość, która należy do nas.

- Na Boga, Lizo. - Zacisnął powieki i przeczesał włosy drżącą dłonią.

Patrzyła na jego usta, czując niemal bolesną żądzę. Pocałuj mnie, myślała usilnie. Zrób to, zanim złamię obietnicę...

Ale on się nie ruszył, jakby przestał oddychać.

Boże, jak bardzo pragnęła, by ją pocałował. Marzyła o tym bez przerwy od dnia, gdy siedzieli na schodkach przed szkołą. Nachylała się ku niemu jak dziecko, które sięga po leżący na ladzie zakazany cukierek.

Ale on ani drgnął.

- Jack... - wyszeptała błagalnym tonem. - Kochaj się ze mną.

- O cholera! - W jego głosie brzmiała bezsilna rozpacz.

Otworzył oczy i spojrzał na nią, po czym jej dotknął. Zatopiwszy palce w jej złocistych włosach, przyciągnął ją do siebie.

Ich wargi zetknęły się niepewnie. Był to trwający w nieskończoność pocałunek stęsknionego mężczyzny, który od tak dawna kochał bez wzajemności, że przestał wierzyć już w miłość, i kobiety, która jeszcze dotąd jej nie zaznała.

Tessie kręciło się w głowie i czuła mrowienie na całym ciele. Jack przywarł pożądliwie ustami do jej warg, pozbawiając ją tchu. Potem odsunął się powoli i spojrzał na nią.

- Boże, ależ jesteś piękna!

- Ty też - odparła drżącym głosem.

Musnął delikatnie jej szyję, jakby delectował się gładkością skóry żony. Zadrzała z rozkoszy, gdy wsunął palce pod jej nocną koszulę i dotknął nabrzmiałej piersi.

- Mamo? Jesteś tam?

Katie! Tessa zerwała się na równe nogi, ściskając koszulę przy dekolcie, i zawołała z bijącym sercem:

- Tak, kochanie?!

- Słyszałam jakiś hałas.

Jack zaśmiał się cicho.

- Zapewne twoje dyszenie.

- Ciii! - Tessa stłumiła śmiech.

- Do kogo mówisz, mammo? Czy tatuś jest z tobą?

- Tak, kochanie. Właśnie sobie... rozmawiamy. - Tessa przeszła przez pokój i uklękawszy przed Katie, przytuliła ją do siebie. - Ty cała drzysz!

- Bardzo się boję.

Matka odgarnęła jej z policzka spocony kosmyk włosów.

- Napijesz się ciepłego mleka?

Katie pokręciła głową.

- Więc czego byś chciała? Może byśmy...

- Chcę spać z tobą.

Tessa poczuła skurcz w żołądku. Rzuciła Jackowi zroz-

paczone spojrzenie i zamierzała już odmówić małej, gdy zobaczyła jej otwarte szeroko, przerażone oczy. Uzmysłowała sobie, że to ważna sprawa. Katie prosiła o coś swoją mamę i nie należało dziecku odmawiać. Mogła już nigdy więcej jej nie zaufać.

- Dobrze, kochanie. Wracaj do łóżka. Zaraz tam przyjdę.

- Zaczekam na ciebie - oznajmiła Katie, wtykając do buzi pulchny różowy kciuk.

Tessa próbowała się uśmiechnąć. Podała dziewczynce rękę i poszły razem do sypialni. Odwróciła się przy drzwiach i zobaczyła, że Jack siedzi na kanapie i przygląda się jej z tajemniczym uśmiechem.

- Przepraszam - wyszeptała do niego bezgłośnie, czując niewymowny żal.

- Później - odparł, skinąwszy głową.

Tessę przeniknął dreszcz. Westchnąwszy z rezygnacją, wróciła do swego pokoju.

Pukanie było tak ciche, że Tessa początkowo go nie usłyszała.

- Mamo? - Katie pociągnęła ją za rękaw koszuli. - Ktoś stoi pod drzwiami.

Tessa usiadła na łóżku. Serce waliło jej jak młotem.

- Jack? Czy to ty?

Uchylił drzwi i wsunął głowę do środka.

- Lizo... Boję się.

Tessa Wybuchnęła śmiechem. Jack promieniał radością.

Katie przyglądała się im obojgu ze zdziwieniem.

- Tu jest dużo miejsca - oświadczyła Tessa. - Możesz położyć się obok Katie.

Jack wszedł w ubraniu do łóżka.

- Nie gaś świeczki, dopóki nie zasną, dobrze? - mruknęła Katie, z trudem unosząc już powieki.

- Dobrze, kochanie - powiedziała z uśmiechem Tessa.

Przykryli się wszyscy grubą kołdrą. Dziewczynka przytuliła się do matki i zasnęła. Gdy spała już na dobre, Tessa dźwignęła się na łokciu i spojrzała na Jacka.

- Powiedz mi coś takiego, żebym jutro znała cię lepiej niż dzisiaj.

Oczy Jacka zalśniły figlarnie. Zamierzał się odezwać, ale nagle zmienił zdanie. Jego wzrok spochmurniał. Spojrzawszy na główkę Katie, uniósł rękę, jakby chciał pogładzić ją po włosach. Tessa zauważyła, że drżą mu palce.

Przyglądając się, jak zbliża bojaźliwie dłoń do głowy córki, poczuła w oczach piekące łzy. Gdy zaczął cofać rękę, przytrzymała ją. Ich spojrzenia się zetknęły. Dostrzegła w zielonej głębi jego oczu niezdecydowanie i strach.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła. - Nie bój się.

Zwilżył językiem wyschnięte wargi i powoli, bardzo powoli, dotknął główki córki i zaczął gładzić jej kręcone włosy.

- Katie... - Tessa widziała ból w jego oczach i rozumiała, jak trudno mu mówić. - Moja mała Katie. Nikt nigdy nie ocierał ci łez, nie kołysał cię do snu, ani nie mówił, że cię kocha.

Tessie spłynęły po policzkach gorące łzy.

- Och, Jack...

Podniósł wzrok i ich spojrzenia spotkały się nagle nad ciemną główką dziewczynki. Widząc rozpacz w jego oczach, Tessa poczuła ból w sercu.

- Jeśli potrafisz coś zmienić, Lizo, zmień przede wszystkim to.

Dotknęła jego ręki, spoczywającej na główce Katie. Ich palce splotły się mocno.

- Sama temu nie podołam, Jack.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, po czym rzekł cicho:

- W porządku. Zrobimy to razem.

Uśmiechając się do siebie, zasnęli z dłońmi splecionymi nad śpiącą córką.



Ktoś walił w drzwi z tyłu domu.

- Jack! Jesteś tam?

Jack ocknął się przerażony.

- Co... co się dzieje? - Liza uniosła głowę, mrugając, by otrząsnąć się ze snu.

Jack spojrział na żonę. Z potarganymi włosami i rumianymi od snu policzkami wyglądała niezwykle zmysłowo. Poczłwał falę pożądania.

- Ktoś puka do drzwi - powiedział ochrypłym głosem. - Zaraz wracam.

Dziękując losowi, że nie rozebrał się wieczorem, przeszedł przez zimny, pogrążony w półmroku dom i otworzył tylne drzwi.

Na progu stał Jim Hannah, ubrany w stary roboczy kombinizon i słomkowy kapelusz.

- Wiem, Jack, że spodziewałeś się nas dopiero pojutrze, ale żona Clyde'a Johnsona zachorowała i musieli zabrać ją do Victorii do jakiegoś specjalisty.

Jack dostrzegł w półmroku trzech mężczyzn, stojących na polnej drodze.

- Kto jest z tobą?

- Dwaj Indianie i Jeny Sikes. Pomyśleliśmy, że zajmiemy się twoim stadem dzisiaj i jutro, a potem pojedziemy do mnie.

- Sikes nie protestował, że ma ze mną pracować?

Jim nie potrafił ukryć zmieszania.

- Prawdę mówiąc, był trochę... niezadowolony. Ale powiedziałem mu, że jesteś moim przyjacielem.

Jack skinął głową.

- Dzięki, Jim. Zastanawiałem się, jak we dwóch damy sobie radę ze strzyżeniem tyłu owiec.

Jim uśmiechnął się szeroko, stwierdziwszy z ulgą, że Jack nie przejął się obiekcjami Sikesa.

- Teraz powinniśmy poradzić sobie w ciągu dwóch dni.

- Znakomicie. Włożę roboczą odzież i spotkamy się za kwadrans w stodole.

Gdy Jack wrócił do sypialni, Liza znowu drzemała. Przebrała się cicho, a potem podszedł do łóżka i uklęknął przy niej. Leżała zwrócona do niego twarzą. Jej profil na tle poduszki przypominał portret z pięknej kamei. Patrząc na jej rozchyłone wargi, poczuł dreszcz pożądania. Pieściła go swym delikatnym oddechem. Boże, jakaż była piękna!

- Lizo? - szepnął, gładząc jej jedwabisty policzek. - Obudź się.

Otworzyła oczy. Początkowo nie wiedziała, co się dzieje, ale zobaczywszy Jacka, obdarzyła go powłóczystym, leniwym spojrzeniem, sprawiając, że miał ochotę wskoczyć natychmiast do łóżka.

- Dzień dobry, Jack.

- Dzień dobry, Lizo. Jim Hannah i jego ludzie przyjechali pomóc mi w strzyżeniu owiec.

Odgarnęła mu z czoła kosmyk włosów.

- To chyba ciężka praca.

- Owszem. Mordercza.

Zobaczył w jej oczach rozczarowanie.

SZANSA

- Więc pewnie wieczorem będziesz zmęczony.
 - Nie aż tak - odparł z szerokim uśmiechem.
 - Obiecujesz?
- Nachylił się i pocałował ją namiętnie.
- Obiecuję.

Katie miała przed sobą na ławce otwarty elementarz. Zacisnąwszy w skupieniu usta, wodziła wskazującym palcem po papierze. Litery tańczyły jej przed oczami i mieszały się, ale wzięwszy głęboki oddech, jak uczyła ją mama, spróbowała jeszcze raz.

Potrafiła teraz łatwiej się opanować. Nie odczuwała już w szkole paniki i strachu. Panna Ames obiecała, że nie każe jej czytać na głos, dopóki Katie sama się nie zgłosi. Nie obawiając się, że znów dozna upokorzenia, mogła się skoncentrować na nauce czytania.

0-B-O-R-A. Obora!

Katie poczuła radosne uniesienie. Uśmiechając się, szturchnęła siostrę w bok.

- Tu jest napisane „obora”. Przeczytałam to!

Sawannah otworzyła usta ze zdumienia i uściśnęła ją z całej siły.

- Och, Katie! Udało ci się!

Panna Ames uderzyła laską o blat biurka.

- Co się tam dzieje, Savannah i Mary Katherine? Jesteśmy w trakcie czytania.

Sawannah puściła siostrę, oparła się o krzesło i położywszy ręce na ławce, wymamrotała:

- Przepraszam.

- Przeczytałam słowo „obora”, panno Ames - oznajmiła z dumą Katie. - Zupełnie sama.

Surowa twarz nauczycielki nieco złagodniała.

- To wspaniale. - Jej głos zabrzmiał trochę śmiesznie, odchrząknęła więc, po czym uniosła głowę i pociągnawszy lekko nosem, rozejrzała się po sali. - Zrobimy teraz przerwę. Biegnijcie na podwórko.

Wszyscy chwycili pudełka z jedzeniem i wybiegli z klasy. Tupot nóg rozległ się echem w niewielkim drewnianym budynku.

Katie i Savannah podeszły do swego ulubionego miejsca pod wielkim drzewem i usiadły na trawie. Poszperawszy w pudełkach, wyciągnęły przygotowane przez mamę kanapki z chleba z mąki kukurydzianej i boczku.

- Myślę, że panna Ames była z ciebie dumna - stwierdziła z uśmiechem Savannah.

- Ja też tak sądzę - odparła radośnie Katie.

Starsza dziewczynka zamierzała kontynuować rozmowę, ale urwała w pół słowa, wpatrując się w coś za plecami siostry. Katie odwróciła się, podążając wzrokiem za jej hipnotycznym spojrzeniem. Jeffie Peters stał obok pompy i przyglądał się Savannah z tępym wyrazem twarzy.

Katie uniosła brwi i spojrzała ponownie na siostrę, której policzki zaróżowiły się z emocji.

- Czemu nie pójdziesz z nim porozmawiać?

- Co? Co powiedziałaś? - spytała Savannah.

Katie uśmiechnęła się.

- Zaraz wracam. - Odłożywszy jedzenie, wstała i podeszła do pompy, machając rękami. - Cześć, Jeffie.

- O, cześć, Katie - odparł chłopiec, wyrwany z zamyślenia.

- Czemu nie pomówisz z moją siostrą? Może poszłaby z tobą w przyszłym tygodniu na tańce po strzyżeniu owiec.

- Ale wasza mama...

- Nie jest już taka surowa. Chyba pozwoliłaby nam wszystkim pójść, gdybyśmy chcieli. Tata nie lubi Święta Niepodległości, ale na tańce pewnie dałby się namówić.

Jeffie uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę? Dzięki, Katie. Pomówię z nią. - Nie oglądając się za siebie, pobiegł do Savannah. Podniosła wzrok, osłaniając oczy od słońca. Katie podkasała spódnicę i ruszyła za Jeffiem. Dogoniła go, gdy pytał właśnie: - Myślisz, że cię puści?

Savannah zarumieniła się, spoglądając na trzymaną w rękach kanapkę.

- Chyba tak.

- Wspaniale! A więc... - Wyglądało na to, że Jeffie zastanawia się, co by tu jeszcze powiedzieć.

- Nie macie ochoty sobie porozmawiać? - wtrąciła się Katie, znużona ich milczeniem.

- Hej, Jeffie! - krzyknął Harvey Hannah. - Grasz w piłkę czy nie?

- Muszę już iść - oznajmił Jeffie z wyraźną ulgą. - To na razie!

- Cześć - powiedziała Savannah, nie podnosząc wzroku.

Jeffie posłał Katie promienny uśmiech, mówiąc bezgłośnie „dziękuję”, po czym odwrócił się i pobiegł do grupy chłopców.

Katie przeżuwała z namysłem kęs chleba z mąki kukurydzianej, przyglądając się nadal różowym policzkom siostry.

- Wiesz, Savannah, zachowujesz się przy Jeffiem... trochę głupio.

Jej siostra westchnęła.

- Wiem. Ale, zdaniem mamy, to wcale nie znaczy, że coś jest ze mną nie tak. Podobno to normalne.

Katie zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Tak, Jeffie też zachowuje się głupio.

Savannah uśmiechnęła się do niej nieoczekiwanie.

- Dzięki, że mi powiedziałaś, żeby zaprosił mnie na tańce.

Katie ugryzła kolejny kęs chleba i wymamrotała z pełnymi ustami:

- Nie ma za co. Teraz tylko musisz nauczyć się tańczyć.

AKKTINHANNAH

Sawannah upuściła z wrażenia kanapkę.

- O Boże, zupełnie o tym nie pomyślałam! Zrobię z siebie idiotkę.

- Tak. Lepiej poproś mamę o pomoc.

Jack trzymał w żelaznym uścisku szarpiącą się, przerażoną owcę. Pochyliwszy się nisko, strzygł jej brzuch ostrymi jak brzytwa nożycami. Gęsta żółtawa wełna odchodziła od różowego ciała, opadając na pokrytą słomą podłogę. Co jakiś czas, gdy ostrze drasnęło delikatną skórę zwierzęcia, twarz i szyję Jacka opryskiwały drobne kropelki krwi.

Gdy ostrzygł jedno zwierzę, puścił je wolno i wetknął nożyce za pas. Owca, becząc głośno, pobiegła na chwiejnych nogach w kierunku muru. Zawrócił ją cierpliwie na pastwisko, by dołączyła do swoich ostrzyżonych już towarzyszek.

Wyprostowawszy się, przytknął pięść do obolałego krzyża, otarł pot z czoła i ciężko westchnął. Chryste, ależ był zmęczony! Dawno już tak nie harował. Od ciągłego posługiwania się nożycami bolała go cała ręka, a zgięty przez dwanaście godzin kręgosłup odmawiał posłuszeństwa.

Uniółszy ociężałą głowę, rozejrzał się. Jim był obok przybudówki, pochylony nad owcą. Dalej siedzieli w rzędzie Sikes i dwaj Indianie. Jack zajmował miejsce na końcu. Za nimi, w zagrodzie, czekało jeszcze na strzyżenie około stu owiec. Ostatnie promienie zachodzącego słońca ślizgały się po grzbietach stłoczonych ciasno zwierząt, nadając im różowo-złoty połysk.

Jack odsunął kapelusz ze spoconego czoła.

- Co, chłopcy, może na dzisiaj wystarczy?

- Uch! - krzyknął Jerry Sikes, puszczając ostrzyżoną już owcę. - Myślałem, że nigdy nie skończymy.

Zrobiwszy swoje, mężczyźni zamknęli furtkę prowadzącą na

pastwisko, a Jack wrzucił trochę siana owcom zamkniętym w zagrodzie. Dzień pracy mieli wreszcie za sobą. Zbyt zmęczeni, by rozmawiać, wrócili do stodoły, gdzie mieli już przygotowane posłania.

- Chryste, ależ jestem zmordowany - stwierdził Jerry, rzucając się na siano. - Co roku zapominam, jaka to cholerna robota.

Jim roześmiał się.

- To prawda. Powinienem zabrać rodzinę do Teksasu i hodować bydło.

Jack podszedł do warsztatu i zapalił latarnię. Knot zapłonął żółtym światłem, które rozproszyło mrok.

- Jasny gwint! - zawołał Jerry. - Co się stało z twoim warsztatem?

Jack skrzywił się, spoglądając z zażenowaniem na dzieło Lizy. Wielki żółty tulipan zdawał się tańczyć w ciemnościach.

- Moja żona uważa, że trochę zbyt poważnie podchodzę do życia - stwierdził, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. - Najwyraźniej postanowiła to zmienić.

Mężczyźni się roześmiali. Wszyscy, z wyjątkiem Jima, który był dziwnie milczący.

- Nad czym tak rozmyślasz, Jim? - zapytał Jerry, rozciągając się na swoim posłaniu.

Jim patrzył na warsztat. Sięgnąwszy po źdźbło słomy, wsunął je między zęby.

- Bo ja wiem... Może pani Rafferty ma rację. - Spojrzał na Jacka. - To cholerne szczęście mieć kobietę, która stara się, żeby było lepiej.

Jack dostrzegł jego wymowny uśmiech i pomyślał nagle, że mogliby zostać przyjaciółmi. Nie tylko sąsiadami, którzy czasem sobie pomagają, ale prawdziwymi przyjaciółmi. Od dawna nie miał przyjaciela. Wiedział, że przyjaźń wymaga wzajemności, a na to nie było go stać. Ale teraz, widząc szczere spojrzenie Jima, pomyślał, że może jest jeszcze szansa.

- Wiesz, Jack - stwierdził od niechcienia Jeny - nie jesteś taki zły, jak wszyscy mówią. I potrafisz ciężko pracować.

Zanim Jack zdążył odpowiedzieć, zaskrzyphiały drzwi stodoły, przyciągając uwagę wszystkich. Liza stała na progu, trzymając ręce za plecami. Włosy miała związane w kok, który zwisał luźno nad uchem. Na czoło opadały jej mokre poskręcane loki. Wyglądała tak, jakby stała przez wiele godzin przy gorącym piecyku.

- Skończyliście już? - zapytała z uśmiechem.

Mężczyźni dźwignęli się na nogi i i zdjęli kapelusze.

- Dobry wieczór, pani Rafferty - odezwał się Jerry. - Ta kolacja była znakomita. Bardzo dziękujemy.

Liza uśmiechnęła się promiennie.

- Dzięki, panie Sikes. Ogromnie się cieszę. Przyniosłam coś na przekąskę, żebyście wytrwali do śniadania. - Weszła do stodoły, stawiając między Jerrym i Jimem wypełniony po brzegi koszyk. - Jest tu jabłecznik, chleb i resztki kurczaka. Mam nadzieję, że wam posmakuje. —Rzuciła Jackowi przelotny uśmiech. - Nie martw się. Upiekła go Savannah.

- Dziękujemy, pani Rafferty - powiedział Jim.

Skinęła głową, po czym zwróciła się do męża.

- Wracasz na noc do domu?

Mężczyźni zaczęli pokrzykiwać i odchrząkiwać znacząco. Jack uśmiechnął się powoli.

- Jasne, że wracam.

- To dobrze. - Liza wzięła go pod rękę i poprowadziła w kierunku drzwi stodoły. Gdy wyszli, mężczyźni jeszcze się śmiali.

Na zewnątrz była piękna noc. Migotały gwiazdy, wiał lekki wiatr i panowała atmosfera niecierpliwego wyczekiwania. Trzymając się pod rękę, szli drogą w kierunku domu. Od dawna nie było w ich krokach tyle sprężystości. Jakby oboje myśleli - i marzyli - o upragnionych pocałunkach. Nie rozmawiali ze

sobą. Ale ich milczenie było inne niż zwykle. Nie odczuwali gniewu, który towarzyszył ich związkowi przez lata, lecz błogi, niewysłowiony spokój. Nic nie mówili, bo nie było takiej potrzeby. Wystarczyło, że się dotykali, szli obok siebie, byli razem.

Gdy dotarli na ganek, Jack przytrzymał jej drzwi. Tessa uśmiechnęła się i weszła do środka. Kuchnia była ciepła i przytulna, przesycona słonymi oparami wrzątku i cynamonowym zapachem szarlotki. Na środku stała wypełniona do połowy wodą wielka miedziana wanna. Tessa podbiegła do kuchenki i zdjęła z tylnego palnika ciężki garnek z wodą.

Jack pospieszył do niej.

- Ja go wezmę.

Roześmiała się.

- Jack, napełniam tę wannę już od pół godziny.

Chwycił garnek, dotykając jej dłoni. Przeszedł ją rozkoszny dreszcz. Stali obok siebie z palcami splecionymi na garnku z wrzątkiem. Para buchała im w twarz.

- Ja to zrobię - powiedział cicho Jack.

Tessa spojrzała mu w oczy. Zobaczyła, jak przełyka gwałtownie ślinę, i wiedziała, że jest tak samo podniecony jak ona. Oboje nie odwracali wzroku. Gorąca para nadal się unosiła, spowijając ich złączone dłonie. Jack zwilżył powoli językiem dolną wargę.

Tessa poczuła skurcz w żołądku. Oddychała ciężko. Uświadomiła sobie nagle, na co się zanosi. Czekwała na to z utęsknieniem przez cały dzień, lecz teraz ogarnął ją strach. Sypiała już z mężczyznami, ale tylko kilka razy i były to na ogół nieudane nocne epizody, po których czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Nie spotkała dotąd nikogo, kto trzymałby jej serce na dłoni. Przy Jacku czuła się taka bezbronna i niewinna.

- Lizo?

Drgnęła, słysząc jego głos. Dotknął jej podbródka, chcąc, by podniosła głowę. Zrobiła to z wahaniem.

- Lizo, o co chodzi?

Próbowała się zaśmiać, ale bez powodzenia.

- Ja... po prostu się boję.

- Niepotrzebnie. - Ująwszy twarz żony, wyszeptał jej imię i pocałował ją.

Początkowo był to delikatny pocałunek. Czuła go na wargach jak jego oddech. Zamknęła oczy i odchyliła do tyłu głowę. Puściła garnek i przytknęła dłonie do piersi męża, delektując się jego muskularnym torsem i tym, że ma prawo go dotykać.

Gdy zaczęli całować się bardziej zachłannie, w duszy Tessy coś nagle pękło. Bolesne poczucie samotności i odrzucenia rozwiało się jak dym.

ROZDZIAŁ 20

Tessa odsunęła się powoli od Jacka i uśmiechając się do niego szepnęła:

- Ta kąpiel przestanie zaraz być gorąca.

Na jego twarzy pojawił się leniwy uśmiech.

- Więc lepiej mnie rozbierz. - Uniósł dwie zadrapane, pokrwawione ręce. - Mam zbyt obolałe palce, by rozpiąć guziki.

Tessa przełknęła głośno ślinę. Przeszedł ją dreszcz. Nigdy w życiu nie robiła czegoś tak... intymnego. Podniósłszy wzrok, napotkała spojrzenie Jacka. Było w nim tyle uczucia, że wszelkie jej wątpliwości rozwiały się jak dym. Sprawiał, że czuła się piękna, atrakcyjna i godna pożądania.

Po raz pierwszy w życiu seks nabrał dla niej nowego znaczenia. Określenie „kochać się” zyskało nagle blask, niosło obietnicę namiętnych uniesień. Chciała iść do łóżka z tym człowiekiem. Pragnęła go kochać. Okazywać mu swoją miłość na wszelkie możliwe sposoby.

Rozpięła drżącymi palcami guziki. Sztynny kombinezon osunął się na podłogę u jego stóp. Kopnął go na bok. Tessa zmierzyła powoli wzrokiem odziane w kalesony umięśnione nogi Jacka. Widząc, jak jest pobudzony, poczuła dreszcz

rozkoszy. Jego gorący oddech muskał jej czoło. Przełknęła z trudem ślinę i zaczęła rozpinać mu po kolei guziki w podniszczonej roboczej koszuli, odsłaniając porośniętą czarnym zarostem pierś. Jack oddychał coraz szybciej. Skończywszy, spojrzała na niego z obietnicą w oczach i zsunęła mu delikatnie koszulę z ramion. Jack poruszył lekko rękami, zrzucając ją na podłogę. Gdy Tessa musnęła palcami jego skórę, zadrżał z rozkoszy.

I ona także. Na widok jego nagiego torsu ścisnęło ją coś w żołądku i zaschło jej gardło. Przytknęła dłonie do jego piersi, rozkoszując się tym, co czuje. Sunęła palcami po jego skórze, zapamiętując wszystko: kędzierzawy zarost, gładkie muskuły, niewielką bliznę na obojczyku.

- Chryste, Lizo... - jęknął, gdy musnęła palcami jego nabrzmiące sutki.

Podniosła wzrok, zaniepokojona ochrypłym brzmieniem jego głosu.

- Czy... zrobiłam coś nie tak?

Jack uśmiechnął się lubieżnie, przyprawiając ją o szybsze bicie serca.

- Nie - szepnął. Patrzył jej głęboko w oczy, obiecując rozkosze, o jakich nawet nie śniła.

Uniosła się instynktownie na palcach, by go pocałować. Jack pochylił się, wychodząc jej na spotkanie. Jego gorący, zachłanny pocałunek oszołomił ją. Przyłgnęła do jego nagiego torsu.

- Boże, jaka jesteś słodka - wyszeptał, muskając delikatnie językiem jej dolną wargę.

Zadrżała, czując na rozchyłonych ustach ciepło jego oddechu. Jęknęła cicho, gdy zaczął całować ją coraz natarczywiej i zachłanniej. Rozsunął językiem jej wargi, penetrując każdy zakątek ust. Objęła go i przywarła do niego. Płonęła z pożądania. Czowała w łędźwiach ogień. Zaczynała tracić kontrolę nad sobą.

Drżała na całym ciele. Potrzebowała trochę czasu. To działa się za szybko...

- Ka...kapiel - wyjąkała.

Cofnąwszy się o krok, Jack przyklęknął obok wanny i obmył z krwi ręce i twarz. Potem wstał i uśmiechnął się do żony. Z włosów kapała mu woda.

- Zapomnij o kąpieli - powiedział, biorąc ją na ręce i niosąc do sypialni. Otworzył drzwi łokciem, a potem zatrzaskał je za sobą.

Położył ją na łóżku i uklęknął przy niej. Deski zatrzęszczały pod ich ciężarem. Tessa patrzyła z zapartym tchem, jak przygląda się jej twarzy, a potem osłoniętym cienką tkaniną piersiom. Drżała z niecierpliwości. Czuła palący żar jego spojrzenia. Cała płonęła. Pragnęła rozpaczliwie sprostać jego oczekiwaniom, ale nie wiedziała, co robić. Niepewność tłumiła narastające pożądanie. Ogarniał ją znowu wstyd i lęk.

- Jack... - Wyciągnęła do niego rękę, ale odepchnął ją delikatnie z powrotem na stertę poduszek.

- Jeszcze nie teraz — powiedział z uśmiechem. — Miała być moja kolej.

- Ale...

- Odpręż się, Lizo.

Tessa przełknęła głośno ślinę. Nie chciał, żeby go dotykała. Kazał jej się odprężyć. Wzięła głęboki oddech i próbowała spełnić jego polecenie. Było to niemożliwe. Leżała wyciągnięta na łóżku, jak motyl przyszpilony do delikatnego atłasu. Czekwała w zupełnym bezruchu...

Jack pochylił się i przylgnął gorącymi, wilgotnymi wargami do jej szyi. Tessa zadrzała i zamknęła oczy. Muskał powoli ustami jej skórę.

Guziki jej bluzki ustępowały w magiczny sposób pod jego palcami. Czuła, jak delikatna tkanina opada na ziemię. Jęknęła cicho, napięta jak struna. Była zupełnie bezbronna.

- Lizo?

Uniosła powieki i popatrzyła na niego. Ich spojrzenia się spotkały. Zobaczyła w jego oczach odbicie własnych pragnień. Rozwiązał bardzo powoli gorset i zdjął go. Poczła na ciele powiew chłodnego powietrza, od kórego nabrzmiały jej sutki. W blasku świecy jej delikatne piersi i brzuch nabrały kremowej barwy. Włosy, rozrzucone na poszarzałych poduszkach, lśniły jak złocisty pył.

Jack musnął dłońmi jędrne piersi i pochylił się, by je pocałować.

- Boże, jaka jesteś piękna - wyszeptał.

Te zwyczajne słowa sprawiły, że poczuła się wyzwolona. Pod wpływem jego gorącego oddechu dostała znowu gęziej skórki. Przeszył ją dreszcz pożądania. Zapraęnęła nagle być jak najbliżej męża, czuć ciepło jego ciała. Podźwignęła się na łokciach. Jack pochylił się i ich usta złączyły się w namiętym pocałunku. Tessa zarzuciła mu ręce na szyję i przylgnęła piersiami do jego gorącego, wilgotnego torsu. Czula w łądźwiach niemal bolesne pulsowanie.

Gdy się całowali, zaczął błądzić ręką po jej drżącym brzuchu i udach. Wyprężyła się, spragniona jego dotyku. Ale Jack tylko się z nią drażnił. Jego ręka powędrowała niżej, do kostki. Jednym zręcznym ruchem podciągnął spódnice do pasa. Poczula znowu na rozgrzanym ciele chłód nocnego powietrza.

Spódnica i majtki jakby same się z niej zsunęły. Jack pieścił palącym spojrzeniem jej nagie ciało. Leżała drżąca i nieruchoma, z rozpuszczonymi włosami, dysząc z pożądania. Zaciśnął dłoń na jej szyi, przesuwając ją powoli w dół, jakby napawał się jedwabistą gładkością jej skóry. Czula pod palcami pulsującą tętnicę.

Tessa przełknęła nerwowo ślinę, starając się opanować lęk. Nigdy nie odczuwała takiego pożądania jak w tym momencie.

- Jack... - szepnęła tęsknie.

- Dotknij mnie - powiedział ochryplym, stłumionym głosem.

Zrozumiała, że on także przestaje nad sobą panować. Dodało jej to odwagi. Odetchnęła głęboko i przestała się bać. Pozbywszy się zahamowań, pragnęła już tylko przylgnąć do niego całym ciałem.

Ściągnęła mu drżącymi rękami majtki, rzucając je na podłogę. Przywarli do siebie zachłannie. Ich nagie ciała zespoliły się w gorącym uścisku.

Całował ją znowu. Tym razem trwało to w nieskończoność. Czuła pod palcami drżenie jego mięśni. Plecy lśniły mu od potu. Wbijała paznokcie w jego skórę, szepcząc ochryple: „O Boże!”. Nawet jej się nie śniło, że może przeżyć coś takiego.

Gdy położył ją na sobie, zacisnęła dłonie na poduszce i spojrzała na niego z góry. Kaskada jej jasnych włosów otaczała ich jedwabistą zasłoną.

Oczy Jacka lśniły w półmroku jak szmaragdy. Rozchylił powoli wargi, zwilżając je językiem. Na ten widok Tessę ścisnęło coś w środku. Gorący oddech pieścił jej piersi. Zacisnąwszy dłonie na jej pośladkach, przyciągnął ją do siebie. Poczuała go wyraźnie między nogami. Przeniknął ją dreszcz rozkoszy. Płonęła z pożądania. Pozbywszy się zahamowań, rozchyliła szeroko uda. Drżała na całym ciele, rozpalona i gotowa.

Wyszeptwała czule jego imię. Objął ją za szyję i przygarnął do siebie, całując zachłannie. Poczuał, jak przywiera do niego, poruszając powoli biodrami. Jęknął i odsunął ją delikatnie od siebie. Drząc i dysząc ciężko, spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy zrobiłam coś nie tak?

- Nie, na Boga - wykrztusił. - Po prostu jest... zupełnie inaczej.

Ogarnął ją strach. Powinna była przewidzieć, że mąż zauważy z pewnością tego rodzaju zmianę.

- Och, ja...

Gdy na nią spojrział, dostrzegła w jego oczach całą miłość, jakiej zawsze pragnęła.

- Jest lepiej niż kiedyś - powiedział cicho.

Ujął jej piersi, ściskając je mocno. Poczowała znowu falę pożądania. Krew uderzyła jej do głowy. Słyszała już tylko bicie swego serca.

- Tak... - mruknęła. - Och, tak...

Jack musnął językiem sutek, zwilżając go.

Jęknęła z rozkoszy, wyginając plecy. Pieścił teraz delikatnie językiem jej nabrzmiące sutki. Nie panowała już nad sobą. Brakowało jej tchu. Przyłgnęła udami do jego bioder, ocierając się o niego, nieprzytomna z pożądania.

- Jack... — wyszeptała ochryple. — Proszę...

Zacisnął dłonie na jej pośladkach i wyprężając się, przyciągnął ją do siebie. Rozchyliła jeszcze bardziej nogi, otwierając się przed nim.

Poczowała, jak napełnia ją sobą. Jęknęła z niewysłowionej rozkoszy.

Jack znieruchomiał.

- Czy to boli?

Pokręciła głową. Kosmyki mokrych od potu włosów opadły jej na twarz.

- Boże, nie... Nie przerywaj...

Obejmując ją mocno, zaczął poruszać biodrami. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Z każdym jego ruchem Tessa zaciskała mocniej palce na miękkich poduszkach. Czuła między nogami gorące pulsowanie. Do oczu napływały jej łzy.

Skomlała, jęczała, potrząsała głową, ale nic nie pomagało.

- O Boże, Jack... - Prężyła się nad nim, spragniona za spokojenia.

Przyciągnął ją do siebie, przywierając twarzą do jej piersi. Gdy objął wargami jej nabrzmiąły sutek, poczuła zawrót

głowy. Chwyliła mocno drżącymi rękami jego głowę, dysząc z pożądania.

Pieścił natarczywie, niemal brutalnie, jej piersi i rozpalone ciało. Tessa zacisnęła powieki, napierając na niego.

- O Boże... Boże... Boże!

Nagle krzyknęła z rozkoszy, czując ekstatyczne wibracje. Oczy zaszyły jej mgłą.

Jack wniknął w nią głęboko i dysząc ciężko, wymawiał szeptem jej imię.

Opadła na niego jak szmaciana lalka. Była zupełnie bez sił i nie potrafiła opanować drżenia nóg. Leżeli tak przez dłuższy czas, starając się ochłonać. Jack obejmował ją mocno i gładził po włosach. Ona tuliła się do niego, nie mogąc się nadziwić, jak szczęśliwa jest w jego ramionach.

Jack odwrócił się powoli w jej kierunku i podźwignął na łokciu.

- Lizo?

Spojrzała mu w oczy i poczuła przyływ miłosnego uniesienia. Odgarnawszy niedbale z jego czoła wilgotny od potu kosmyk włosów, uśmiechnęła się.

- Hm?

Pochylił głowę i pocałował ją. Był to subtelny pocałunek, niewyrażający zaspokojonych żądz, lecz obietnicę. Mówiący o nadziei na przyszłość i wiecznej miłości.

- Kocham cię, Lizo, od czasu, gdy byłem małym chłopcem. Ale nigdy nie kochałem cię tak bardzo jak teraz.

Tessa poczuła w oczach gorące, piekące łzy. Oddychała z trudem przez zacisnięte gardło. Wiedziała, że może milczeć, ale musiała coś powiedzieć. Ona, Tessa Gregory, nie Amarylis Rafferty. Jeśli spowoduje jakieś komplikacje, będzie zmuszona coś wyjaśniać albo zakłóci jedność czasu i przestrzeni, zajmie się tym później. Czekala całe życie, by wypowiedzieć te słowa.

Dotknęła twarzy Jacka, wcale niezaskoczona tym, że drżą jej dłonie.

- Będąc dziewczynką, marzyłam o kimś, kto należałby tylko do mnie, trzymał mnie za rękę, sprawdzał, czy nie ma nikogo pod łóżkiem, i zapewniał mi poczucie bezpieczeństwa. Co wieczór wzdychałam do księżycy i czekałam. - Pocałowała go, czując na jego wargach słony smak własnych łez. - Kocham cię, Jack. Od najmłodszych lat mego życia.

Wypowiedziawszy te słowa, zdała sobie nagle sprawę, że to prawda. Rzeczywiście kochała go od dzieciństwa. Nie wiedziała, jak będzie wyglądał i gdzie będzie mieszkał, ale to były nieistotne szczegóły. Całe życie czekała na tę chwilę, na tego człowieka. O niego się zawsze modliła i nigdy naprawdę nie wierzyła, że się zjawi.

- Dzięki, Carol - wyszeptała.

- Co powiedziałaś? - zapytał Jack.

Tessa pohamowała uśmiech.

- Nic takiego. Zrób teraz dobry użytek z tych swoich silnych ramion i obejmij mnie.

- Z przyjemnością.

Jack uśmiechnął się szeroko i spełnił jej prośbę.

Następny tydzień był pełen tęsknoty. Jack pracował ciężko całymi dniami, strzygąc owce i nocując w stodołach u sąsiadów. Tessa sprzątała dom, zajmowała się Kalebem i dziewczynkami. W ciągu dnia nie brakowało jej Jacka. Była zbyt zajęta codziennymi obowiązkami, by za nim tęsknić. Ale noce okropnie jej się dłużyły.

Gdy pozmywała już naczynia i odrobiła lekcje z Katie, leżała samotnie w łóżku, nasłuchując w ciemnościach odgłosów nocy, myśląc tylko o Jacku, marząc o nim i usychając z tęsknoty.

Jack słyszał słowa Jima, ale docierały do niego jakby z innego świata.

Oparłszy łokcie na grubej krawędzi burty, odchylił się nieco do tyłu, uważając, by nie huścić łodzią. Gorące promienie wiosennego słońca świeciły mu w twarz i rozgrzewały ciało. Czoło miał spocone, a wzdłuż policzków zwiślały mu strąki długich włosów.

Zamknął oczy, delektując się ciepłem. Następną noc miał spędzić już z żoną. Nareszcie, po ponad tygodniu sypania w stodołach i jedzenia posiłków z obcymi ludźmi, wróci do domu.

Dom. To słowo budziło tyle przyjemnych skojarzeń. Widział oczami wyobraźni Lizę, modlącą się przed posiłkiem, Katie, czytającą powoli tekst z elementarza, Savannah, która uśmiecha się do niego niepewnie, Lizę, karmiącą kury, Lizę w kąpieli, Lizę w łóżku...

Liza...

Westchnął, nasłuchując uderzeń wody o burzę. Nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu czuł się tak dobrze i był równie pełen nadziei. Po raz pierwszy od lat znów uwierzył w siebie. Było to cholernie przyjemne uczucie.

- Jack?

Głos Jima wyrwał go z błęgiego rozmarzenia.

- Och, przepraszam. Co mówisz?

Jim wyjął z wody ociekające wiosło i położył je przed sobą w poprzek łodzi. Westchnawszy ciężko, podsunął do góry kapelusze i uśmiechnął się.

- Powiedziałem, że teraz twoja kolej.

Jack wyciągnął rękę nad stertą żółtego runa, które stanowiło lwią część jego rocznego dochodu i sięgnął po wiosło. Wyprostowawszy się, zanurzył je w wodzie i skierował łódź ku widocznej w oddali dużej zielonej wyspie Vancouver. Zamierzali sprzedać tam swój towar i kupić zapasy na zimę.

- Wiesz, Jack, nie lubię dużo gadać, ale muszę przyznać, że bardzo się ostatnio zmieniłeś.

Jack skrzywił się od słońca i zsunął kapelusz na czoło.

- Chyba tak - odparł.

Zdawał sobie sprawę, że Jim oczekuje wyjaśnień. Ale wiedział też, że sam o nic go wprost nie zapyta.

Normalnie przemilczałby jego uwagę. Przez całe lata unikał kontaktu z ludźmi. Od czasu tamtego koszmaru z każdym rokiem zasklepiał się coraz bardziej w swojej skorupie, mając nadzieję, że jeśli wejdzie w nią dość głęboko, nikogo nie zrani ani nie zawiedzie. Ale starając się chronić swe dzieci, jeszcze bardziej je krzywdził. Dziewczynki, które kochał nad życie, nie słyszały nigdy od własnego ojca słów miłości.

Przypomniał sobie reakcję Savannah, gdy pochwalił ją za pomalowanie zastony. Jej uśmiech był tak promienny, że niemal go oślepił. Niewielkim wysiłkiem sprawił jej tyle radości. Myślał z zalem, jak mało jego dzieci potrzebowały do szczęścia. I jakim był głupcem, że nie dawał im nawet tego.

Przyrzekł sobie, że to się już nie powtórzy. Nie będzie kłamał, ukrywał się i udawał, że nic go nie obchodzi. Nie chciał dłużej tak żyć. Tamtego dnia w kościele postanowił, że zacznie wszystko od nowa i to nie tylko w małżeństwie. Zmieni swój stosunek do dzieci, sąsiadów, do samego siebie. Stanie się takim człowiekiem, jakim powinien być już od lat.

Zaczerpnął głęboko powietrza i zanurkował w lodowate głębiny międzyludzkiej komunikacji.

- Liza i ja przeżywalismy wprzeszłości pewne problemy... - Na widok zdumionej twarzy Jima wybuchnął śmiechem, pozbywając się oporów przed mówieniem. - Nie spodziewałeś się, że cokolwiek powiem, prawda, Jim?

- Znamy się od dawna, Jack, i szczerze mówiąc, zaskakujesz mnie.

Jack pokiwał głową.

- Wcale się nie dziwię. W każdym razie między mną i Liza wszystko dobrze się teraz układa.

Jim wyjął z kieszeni wykałaczkę i z namysłem wsunął ją między zęby.

- Nic nie raduje mężczyzny tak jak miłość.

- Tak. Brakowało mi jej w tym tygodniu.

- Szkoda, że wracamy akurat na tańce. Wolałbym spędzić tę noc z żoną w łóżku.

Jacka ogarnął nagle lęk. Spojrzał na lśniące w słońcu błękitne fale.

- Zapomniałem o tańcach.

- Pójdiesz tym razem? - spytał Jim

- Chyba nie będę tam mile widziany po tym, co zdarzyło się, jak byłem tam ostatnim razem.

- Do diabła, Jack. To było prawie rok temu. Zresztą za bardzo się tym przejmujesz. Trochę ci odbiło. I co z tego? Hector Jones zachowywał się o wiele gorzej, kiedy za dużo wypił. Daj sobie szansę.

Daj sobie szansę.

Jack zacisnął dłonie na wiosle. Drewno było śliskie i ciepłe. Plusk wody o burty łodzi wydawał mu się głośny jak huk wodospadu.

- Liza i dziewczynki na pewno chciałyby tam pójść - powiedział z namysłem.

Jim pochylił się do tyłu, wystawiając ręce za burtę.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Minerwa i Liza pewnie już kombinują, w co się ubrać.

Jack wyobraził sobie wyraz twarzy żony, gdy jej powie, że idą na tańce. Uśmiechnął się na samą myśl.

Cóż, zaczynał wszystko od nowa.

Katie siedziała Tessie na kolanach, a przed nimi leżała na kuchennym stole otwarty elementarz. Jego pożółkłe stronicie oświetlało blade, migotliwe światło świecy.

- Co to za litera, Katie? - mruknęła Tessa znużonym głosem, wskazując słowo na początku zdania.

Katie trzymała łokcie na stole, opierając podbródek na dłoni.

- Chyba B. Albo D.

Tessa przygładziła włosy.

- Spójrz - powiedziała, kreśląc starannie w powietrzu duże B.

Katie zmarszczyła z namysłem czoło.

- Czy to jest B?

- Bardzo dobrze. A co dalej?

Tessa podniosła zmęczony wzrok znad elementarza i spojrzała w głąb salonu. Savannah siedziała na kanapie, skulona nad swoją starą wełnianą sukienką.

- Jak idzie, Savannah? - spytała ją cicho.

Dziewczynka podniosła głowę. Nawet z tej odległości Tessa widziała, że ma przekrwione oczy.

- Nie za dobrze. Ta cukienka...

- Sukienka - poprawiła ją odruchowo Tessa.

Savannah westchnęła.

- Ta sukienka nigdy nie będzie wyglądała ładnie.

Tessa szczerze jej współczuła. Wiedziała, jak każdej dziewczynie zależy na tym, żeby dobrze wypaść na pierwszym balu, ale była bezradna. Nie potrafiła szyć, nie miała poza tym czasu ani odpowiedniego materiału. Nie mogły nawet być pewne, czy Jack pozwoli im pójść na tańce.

- Żałuję, że nie mogę ci pomóc...

Savannah opuściła bezwładnie rękę na kolana i spojrzała na matkę.

- Naprawdę myślisz, że tatuś... nie zabroni nam iść?

Tessa zwilżyła nerwowo wargi.

- Mam nadzieję. Ale on ma do tego... inne nastawienie. Myślę, że się boi i nie chce za bardzo go naciskać.

Dziewczynka zacisnęła usta.

- Tak, wiem.

Tessa próbowała promiennie się uśmiechnąć.

- Ale nigdy nie wiadomo, córeczko. Dzieją się tu ostatnio dziwne rzeczy.

Sawannah westchnęła ciężko i zaczęła dalej szyc.

- I tak nie umiem tańczyć. Pewnie zrobię z siebie idiotkę.

Tessa przyglądała jej się uważnie. Pracowała ciężko, starając się przygotować na czas sukienkę, a nie miała nawet nadziei, że pójda na tańce.

Błagam, Jack - modliła się w duchu. - Nie zawieźdź jej...

Następnego wieczoru Jack wrócił na wyspę z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi, a stodoła Jima napełniła się zapasami, które otrzymali w zamian za runo.

Spojrzał z drogi na swój dom. Wyglądał o zmierzchu jak biała perła.

Przycisnąwszy do piersi pakunki, zaczął biec przed siebie. Pod nogami zgrzytał mu piasek i kamienie. Oddychał coraz szybciej. Wiedział, że głupio się uśmiecha, ale nie mógł temu zaradzić. Wcale zresztą nie chciał.

Dotarł zdyszany do domu i wbiegłszy po zbutwiałych schodach, wpadł do ciepłej, jasnej kuchni.

- Jack! - Liza obróciła się na pięcie, najpierw zdumiona, a potem równie uradowana jak on. Podciągnąwszy spódnicę, podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona.

Czekał na takie powitanie całe życie. Upuścił pakunki i chwycił ją mocno, kręcąc nią w powietrzu w ciepłej kuchni, przesyconej zapachem baraniny i ziemniaków.

- Och, Jack - szepnęła, patrząc mu w oczy. - Bardzo mi ciebie brakowało.

Całując jej zmysłowe, różowe usta, poczuł, że wstępuje w niego nowe życie.

- Ja też za tobą tęskniłem.

- Tatusi! - Katie przybiegła do kuchni z podciągniętą do kolan spódnicą. Rzuciła się Jackowi na szyję i wszyscy troje wirowali w kółko, śmiejąc się radośnie.

Jack odgarnął Katie włosy z twarzy i pocałował ją w rumiany policzek.

- Cześć, malutka. Tęskniłem za tobą.

Uśmiechnęła się promiennie, pokazując szczyrby między zębami.

- Ja też tęskniłam, tatusiu. Wiesz co?

- Co takiego?

- Mama przypaliła dzisiaj kolację. - Zachichotała cicho. - I to bardzo.

Jack starał się z całych sił zachować powagę, ale kąciki ust drgały mu wymownie.

- Doprawdy? Będziemy musieli coś z tym zrobić.

Liza popatrzyła na niego. Widząc jej ogniste spojrzenie, poczuł gorączkowe pulsowanie krwi. Przycisnęła mu rękę do ramienia i spytała:

- Co miałeś na myśli?

Zwilżył językiem wargi. Czytała w jego oczach obietnicę.

- Nie wiem. Wymyślimy coś... stosownego. Musisz nauczyć się obchodzić z ogniem.

Uśmiechnęła się, przesuwając rękę niebezpiecznie blisko jego krocza.

- Najpierw trzeba go rozniecić.

- Z tym nie powinno być problemów - odparł ze śmiechem.

Liza wzięła go za rękę. Jack opuścił Katie na podłogę i jej obcasy stuknęły o posadzkę.

Sawannah stanęła w progu, przyciskając do piersi książki.
 - Mamo, ja... - Zobaczywszy Jacka, znieruchomiała. Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Tatuś... - Ruszyła w jego kierunku, ale nagle się zatrzymała, zaciskając ręce na podręcznikach.

Jack odebrał jej nieufność jak policzek. Sawannah najbardziej mu nie dowierzała. Była świadkiem tylu jego porażek, tylu słabości. Bała się go niemal przez całe życie. Świadomość tego paliła go jak rozżarzone żelazo. Jak miał, do cholery, przeproszać niewinne dziecko? Zresztą czy przeprosiny wystarczą? Czy można wybaczyć długie lata zaniedbań?

Przełknął głośno ślinę, żałując, że nie potrafi się gładko wysławiać. Z całej duszy pragnął powiedzieć: Cześć, Sawannah, tęskniłem za tobą. Ale słowa więzły mu w gardle. Wiedział, że to nie wystarczy. Ta dziewczynka zbyt dużo widziała. Złamał jej młode serce. Musi okazywać jej teraz każdego dnia, jak tego żałuje. A nade wszystko, jak bardzo ją kocha.

- Cześć, Sawo - powiedział cicho, używając jej zdrobniałego imienia po raz pierwszy od wielu lat.

Zamrugała ze zdziwienia, nie zaciskając już tak mocno palców na książkach.

- Cz...cześć, tato.

- Przywiozłem wam prezenty - oznajmił niezdarnie.

- Naprawdę? - odezwały się równocześnie trzy kobiece głosy.

Jack pochylił się i podniósł z podłogi trzy pakunki, owinięte w szary papier. Dwa mniejsze wręczył Katie i Lizie, a większy Sawannah.

Wszystkie pospieszyły do kuchni i zaczęły rozwijać je na stole. Słychać było szelest papieru i radosne chichotanie. Jack poczuł skurcz w sercu, widząc, jak Katie trzyma się blisko Lizy. Rozsupływała gorączkowo pulchnymi różowymi paluszkami podwójną kokardę, a potem rozsunała papier. Obok trzech splełanych jaskrawoczerwonych wstążek leżała piękna lalka.

Katie pisnęła z zachwytu i przytuliła bezcenny prezent do piersi. Przez chwilę podskakiwała radośnie, po czym rzuciła się ojcu na szyję.

- Dziękuję, tatusiu, och, dziękuję!

Jack przygarnął ją do siebie czule.

- Nie ma za co, kochanie - powiedział zduszonym głosem.

- Jack!

Słyszac zdumiony szept Lizy, podniósł głowę i spojrzał na nią. Jego żona oglądała właśnie w blasku świecy piękny srebrny naszyjnik z perłami.

- Och, Jack! Jest śliczny!

Uśmiechnął się do niej i popatrzył niepewnie na Savannah. Jego starsza córka rozpakowywała ostrożnie swój prezent, przygryzając dolną wargę. Robiła to powoli, jakby bojąc się, co tam znajdzie.

Rozsunęła szary papier i natychmiast podniosła wzrok.

Jack uśmiechnął się do niej i skinął głową.

Savannah odwzajemniła powoli jego uśmiech. Przygryzła jeszcze mocniej wargę, jakby bała się okazać, ile znaczy dla niej ten prezent. Ale jej oczy wyrażały wszystko.

- Och, tatusiu - wyszeptała, rozkładając zwiewną sukienkę w różowe kwiatki. - Jest piękna.

- Pomyślałem, że będziecie potrzebowały czegoś specjalnego na jutrzejsze tańce.

Savannah zaparło dech w piersiach.

- Naprawdę? Możemy iść?

Jack przekonał się w tym momencie, że podjął właściwą decyzję.

- Tak - odparł cicho. - Możemy.

ROZDZIAŁ 21

Gdy tego wieczoru Tessa wytarła po zmywaniu ostatni talerz i odłożywszy go ostrożnie na półkę, zamierzała wyjść z kuchni, zwrócił nagle jej uwagę jakiś cień na zewnątrz.

Podeszła zaintrygowana do okna i zobaczyła, że Savannah siedzi na huśtawce zawieszanej na drzewie. Była sama. Miała opuszczoną głowę i trzymała ręce na kolanach.

Tessa rzuciła mokrą ścierkę na stolnicę i wyszła z domu.

- Savannah? - powiedziała cicho, schodząc ostrożnie po zaciemionych schodach.

Dziewczynka westchnęła ciężko.

- Cześć, mamó.

Tessa przeszła przez podwórko i uklękła przed nią w zimnej, wilgotnej trawie.

- Co się stało?

- Och, mamó. Ta cukienka... sukienka nic mi nie pomoże. Zrobię z siebie jutro idiotkę.

- Nie potrafisz tańczyć?

Savannah pokręciła głową.

Tessa podniosła się z ziemi.

- Nie ma się czym martwić. Nauczę cię tego szybko.

Pobiegij do stodoły . Wezmę tylko... parę rzeczy i spotkamy się tam.

- Naprawdę? - szepnęła dziewczynka. - Nauczysz mnie?
Tessa zmusiła się do uśmiechu.

- Jasne. No, biegnij już. Zaraz tam będę.

Sawannah zerwała się na nogi.

- Dzięki, mamó! - krzyknęła, pędząc już pełną drogą w kierunku stodoły.

Tessa skrzyżowała ramiona i przestała się uśmiechać. Nie miała, oczywiście, pojęcia, jak się tańczy. Rzadko to robiła, bo chociaż zawsze czuła rytm, była zbyt nieśmiała, by wychodzić na parkiet. Ale w średniej szkole, w latach siedemdziesiątych, uczyła się kroków rock and rolla. Uśmiechnęła się na myśl, że miałyby ćwiczyć go z Savannah.

Nie zapominając podciągnąć spódnicy, jak przystało na żonę pioniera, wróciła do domu. Pozostało jej tylko jedno wyjście. Obmyśliła cholernie sprytny plan.

Jack przyglądał się jej z przerażeniem.

- Nie nauczę Savannah tańczyć!

Tessa uniosła brwi.

- Nie potrafisz?

Przeczesał ręką włosy.

- Oczywiście, że potrafię. Wychowaliśmy się na Południu, na litość boską. Taniec ma się tam we krwi.

- Więc Co za problem? Ty potrafisz tańczyć, a ona nie. Znakomicie się uzupełniacie.

Jack odwrócił wzrok. Tessa podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jack? O co chodzi?

Spojrzał na nią niepewnie.

- A jeśli ona nie zechce? - spytał cicho.

Tesse ścisnęło coś w sercu. Odgarnęła mu z twarzy niesforny kosmyk włosów i rzekła:

- Jack, ona czeka na ciebie całe życie. Nie odrzuci cię.
- W porządku - mruknął. - Spróbuję.
- Nie, Jack. Nie próbuj. Zrób to.
- Wiesz, że jesteś despotyczną babą? - spytał prawie

z uśmiechem.

Wspięła się na palce i pocałowała go.

- Już mi to mówiono. Pospiesz się!

Objął ją mocno w talii i przyciągnąwszy do siebie, namiętnie pocałował. Potem otworzył drzwi i wyszedł w mrok.

Stanął na ganku, patrząc na pogrążoną w ciemnościach cieśninę. Obok półksiężycy sunęła właśnie po niebie wielka szara chmura. Blade, białoniebieskie światło zamigotało natychmiast na powierzchni wody. Z aksamitnego firmamentu spozierały w dół gwiazdy.

Poczuł na pośladku małą stopę.

- Idź już, Jack.
- Tak, tak...

Opuściwszy głowę, zszedł ciężko po schodach i ruszył w kierunku stodoły. Krzywił się, zgrzytając obcasami o kamieniste podłoże. Kłębiły mu się w głowie rozmaite wizje. Przypominał sobie chwile, gdy Savannah spoglądała na niego nieufnie lub odwracała wzrok, gdy próbowała do niego podejść i nagle cofała się ze strachem w oczach, gdy chciał wyciągnąć do niej rękę, lecz za bardzo się bał mroku własnej duszy.

Savannah chodziła tam i z powrotem po stodole, stukając obcasami o klepisko. Była ogromnie podniecona. Odetchnęła głęboko. Uspokój się Savannah. To przecież nie takie trudne. Mama nauczy cię tańczyć i wszystko będzie dobrze.

Jej zaciśnięte usta zdawały się przeczyć tym słowom. Może nie był to jednak dobry pomysł. Z pewnością wyjdzie na idiotkę.

- Savannah?

Zmartwiła, słysząc głos ojca. Odwróciwszy się, ujrzała go w drzwiach. Jego potężna sylwetka rysowała się na tle gwiaździstego granatowego nieba. Nawet w mdłym blasku księżyca wyglądał tak przystojnie, że dziewczynce zaparło dech w piersiach.

- Podobno moja córeczka nie potrafi tańczyć - powiedziała.

Savannah ścisnęło coś w sercu. Do oczu napłynęły jej łzy, a usta ułożyły się w podkówkę. Z trudem hamowała płacz.

Chciała odpowiedzieć mu jak dorosła osoba, ale poczuła się nagle przestraszona, samotną małą dziewczynką. Od tak dawna pragnęła, by ją dostrzegł. Żarliwie się o to modliła. A teraz, gdy to się stało, gdy on był przy niej, nie wiedziała, co robić. Miała nogi jak z waty.

Nie ruszyła się z miejsca. Stała jak słup soli, wpatrując się w ojca. Serce waliło jej jak młotem. Miała sucho w gardle. Śmiertelnie się bała, że wybuchnie płaczem i on znowu ucieknie. Nawet nie drgnęła, starając się rozpaczliwie zachowywać jak młoda dama, aby mógł być z niej dumny.

- Podejź tu, Sawo.

To zdrobienie doprowadziło ją niemal do łez. Zacisnęła mocno powieki. Nie bądź beksa. Nie zrób niczego głupiego, bo on znowu odejdzie.

Próbowała otrząsnąć się ze wspomnień, ale bezskutecznie. Miała przed oczami sceny z bardzo wczesnego dzieciństwa, gdy budziła się z płaczem w środku nocy. Kiedyś zdarzało się to tak często... Widziała go wtedy przez szczelbelki w łóżeczku. Stał obok, wyciągając do niej rękę, i powtarzał szeptem: „Sawa, Sawa...”. Nawet jako dziecko wyczuwała, że nie powinna się do niego odzywać. Ale któregoś dnia nie potrafiła się powstrzymać i wyrwało jej się z ust słowo „tatuś”.

Cofnął wtedy rękę, odszedł od łóżeczka i już nigdy nie wrócił.

Na to wspomnienie Sawannah poczuła znowu pod powiekami piekące łzy. Postąpiła tamtej nocy niewłaściwie. Spłoszyła go. Próbowała potem być grzeczna i układowa, ale nic to nie dawało.

Teraz stanęła przed kolejną szansą i nie chciała jej zmarnować.

Wyciągnął do niej rękę.

- Chodź tu, Sawo.

Patrzyła na jego dłoń, widząc jajak przez mgłę. Zamrugała, by stłumić dziecinne łzy.

- Jestem gotów czekać tu całą noc, Sawo - szepnął. - Tym razem nigdzie nie odejdę.

- Nie rozumiem... - powiedziała, bo nie przychodziło jej do głowy nic lepszego, ale zdawała sobie sprawę, że to nieprawda. Bała się tylko, że się myli.

- To proste, Sawo. Chcę nauczyć cię tańczyć.

Dziewczynka zaczęła cicho szlochać. Tym razem nic już nie mogło jej powstrzymać. Chlipiąc rzewnie, podkasała spódnicę i podbiegła do niego. Objął ją i unióśł, ściskając tak mocno, że z trudem chwytiała powietrze.

Było to bez znaczenia. Ukryła twarz na jego ramieniu. Przytulił ją do piersi i w tym momencie nie próbowała już powstrzymywać łez. Płynęły z mrocznego zakątka jej serca, gdzie ukryła je dawno temu, nasycając życiodajną wilgocią jej uschniętą duszę.

Tatusz odgarnął jej z policzka kosmyk włosów i pocałował w czoło.

- Przepraszam cię, Sawo - mruknął, dotykając niemal ustami jej wilgotnej skroni. - Wybaczysz mi?

Uniosła głowę, by na niego spojrzeć. Światło księżycy oświetlało połowę jego twarzy, rzucając cień na wydatne kości policzkowe. Patrzył na nią oczami, które lśniły tak, jakby i jemu zbierało się na płacz.

- Och, tatusiu - wyjąkała przez łzy. Chciała powiedzieć coś

jeszcze, ale wzruszenie ścisnęło jej gardło, skinęła więc tylko głową.

Uśmiechnął się tak promiennie, że rozgrzał natychmiast jej pogrążone od dawna w mroku i chłodzie serce.

- Kocham cię, Sawo.

Sawannah zaparło dech w piersiach. Łzy szczęścia płynęły jej po policzkach, kapiąc na jego flanelową koszulę.

- Ja... ja też cię kocham, tatusiu.

Była to magiczna noc. Dziewczynka wiedziała, że zapamięta ją na całe życie. Ściskali się przez długi czas, a potem Jack postawił ją ostrożnie na ziemi.

- Chodź - powiedział, wskazując głową środek stodoły. - Musimy potańczyć.

Sawannah poszła za nim. Stanęli, patrząc na siebie i nie wiedząc, co powiedzieć ani jak zacząć. Migocząca na warsztacie lampa rzucała magiczny krąg światła. Ze stajni dochodził głuchy stukot końskich kopyt, uderzających o twarde podłoże. Powietrze przesycił zapach świeżego siana, starego drewna i kurzu.

- Weź mnie za rękę - powiedział Jack.

Sawannah stanęła w kręgu światła i podała mu dłoń. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Czowała się w jego ramionach bezbronna i całkowicie bezpieczna, jak nigdy dotąd. Uśmiechnęła się, przepełniona szczęściem.

Jack odwzajemnił jej uśmiech.

- Zaczniemy od walca. - Mrużąc cicho melodię, zaczął sunąć tanecznym krokiem. Robił to powoli, dostosowując się do jej niezdarnych ruchów. Sawannah miała wrażenie, że porusza się jak słoń. Potknąwszy się, wpadła mu w ramiona.

- Tatusiu, nie potrafię... - powiedziała, rumieniąc się ze wstydu.

- Ciii... - mruknął. - Odpręż, się. Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy.

Przymknęła oczy, wczuwając się w rytm. Ciche mruczenie ojca brzmiało w jej uszach jak symfonia, harmonizując ze skrzypieniem podłogi i trzeszczeniem knota lampy. Savannah zaczęła podśpiewywać razem z nim i razem wypełnili starą zakurzoną stodołę muzyką.

Było już dobrze po północy, gdy Jack i Savannah przestali tańczyć, śmiać się i rozmawiać, zacieśniając więź, która na nowo ich połączyła. Wreszcie jednak dziewczynce zaczęły ciężać powieki i Jack zrozumiał, że ta magiczna noc musi się skończyć. Rozmawiając więc nadal i trzymając się za ręce, wrócili do domu. Wchodząc po skrzypiących schodach, słyszeli, jak wiatr porusza leniwie liśćmi nad ich głowami i świszczę w trawie.

W domu było zimno i ciemno. Na kuchennym stole leżał zastygnięty wosk po wypalonej świecy.

- Uhu. - Savannah zachichotała cicho. - Chyba wróciliśmy trochę za późno.

Jack uściśnął jej dłoń.

- Mógłbym tańczyć z tobą całą noc, dziecinko. Poruszasz się lekko jak nimfa.

Zamrugła zdziwiona.

- Naprawdę? Czy Jeffie uzna, że dobrze tańczę?

Jacka ścisnęło coś w sercu na myśl, że Savannah, jego ukochana córeczka, będzie tańczyła z chłopakiem. Zdobył się tylko na gorzki uśmiech.

~ Tak - wykrztusił. - Stwierdzi, że robisz to wspaniale.

Uśmiechnęła się szeroko.

~ Dzięki, tatusiu. - Stanęła na palcach i pocałowała go w policzek. - Dobranoc.

Odwzajemnił jej pocałunek.

- Dobranoc, kochanie.

Zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć, pobiegła korytarzem i zniknęła w swoim pokoju, zamykając z piskiem drzwi.

Jack długo się w nie wpatrywał. Ogarniały go mieszane uczucia: radość, że pocałował wreszcie córkę, smutek, że zwlekał z tym tak długo, i żal, że zmarnował tyle cennych chwil. Myślał o tym wszystkim i o wielu innych sprawach. Po raz pierwszy od lat był zadowolony z siebie, z decyzji, którą podjął.

O dziwo, poszło mu łatwiej, niż przypuszczał. Savannah nie odtrąciła jego wyciągniętej ręki, lecz mocno ją uściśnęła. I nie sprawił jej zawodu. Przypomniawszy sobie, jak czuł się w stodole, wirując z córką w objęciach po zarzuconej słomą podłodze. Jak wyglądała, promieniejąc szczęściem i mając w oczach łzy radości.

Ja też cię kocham, tatusiu.

Te słowa zapamięta na całe życie. Uśmiechając się, ruszył do sypialni żony. Nie, poprawił się w myślach, do ich sypialni. Spała już skulona pod ciężką kołdrą, oddychając głęboko i równomiernie.

Jack rozebrał się szybko do bielizny i wślizgnął do łóżka. Stare deski zaskrzypiały pod jego ciężarem. Miał ochotę obudzić Lizę i kochać się z nią, ale uznał, że jest już za późno. Jutro miał być wielki dzień i musieli wcześniej wstać. Następnej nocy będą mieli dla siebie dość czasu.

Uśmiechnął się, objął ją mocno i usnął, czując emanujący od niej niepowtarzalny zapach polnych kwiatów i lawendy.

Promienie słońca wpadały przez otwarte okno do kuchni, przynosząc zapach róż i świergot zakłádających gniazda ptaków. Tessa pochyliła się i zajrzała do piecyka. Buchnęło jej w twarz suche, gorące powietrze, przesycone cytrynową wonią szarlotki. Upewniwszy się, że ciasto rośnie jak należy, zamknęła ciężkie metalowe drzwiczki i wyprostowała się powoli.

Odgarnawszy z oczu spocony kosmyk włosów, rozejrzała się. Kuchenny stół był zastawiony torbami mąki i cukru. Obok wielkiej porcelanowej misy ciasta leżało kilkanaście obranych jabłek i sterta bezcennych włoskich orzechów. Na krawędzi stołu studziło się pięć gotowych wypieków, a na tylnym palniku kuchenki smażyły się na dużej patelni kawałki kurczaka. Minerwa Hannah stała przy kuchennym stole z rękami po łokcie w cieście.

- Dziękuję, Minerwo, że przyszedłaś - powiedziała Tessa, czując wielką sympatię do tej kobiety, która zjawiła się u niej o dziesiątej rano z podwinienymi rękawami i stertą produktów niezbędnych do pieczenia. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Minerwa machnęła lekceważąco białą od mąki ręką.

- Nie ma sprawy. Z pomocą przyjaciół wszystko jest proste.

Tessa nalała z uśmiechem kawę do dwóch kubków i podeszła do stołu.

- Postaw mój z boku - poprosiła Minerwa. - Zaraz skończę. — Nim to powiedziała, rzuciła do osmalonej żelaznej brytfanny duży kawałek słoniny i zaczęła smarować nim jej dno.

Tessa odwróciła wzrok. Słonina należała do tych produktów żywnościowych, za którymi dwudziestowieczne kobiety nie przepadały. Usiadłszy naprzeciw Minerwy, objęła dłońmi ciepły kubek.

- Więc ile tych ciast musimy upiec?

Minerwa wlała fachowo masę do ostatniej natłuszczonej brytfanny i rozprowadziła ją starannie drewnianą łyżką.

- Zwykle robi się trzy na rodzinę. Gdy przychodzimy na tańce, przekładamy ciasta musem jabłkowym i bitą śmietaną. Starcza ich dla wszystkich. I każde smakuje inaczej.

Tessie spodobał się ten oryginalny zwyczaj.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy tam pójdziemy.

Minerwa odsunęła na bok brytfannę i usiadła. Westchnawszy ciężko, wypila łyk kawy.

KRISTINHANNAH

- Smakuje lepiej niż poprzednio. Dobrze ją zmełłaś.

- Dzięki Bogu. Chciałam już przeżuwać te ziarenka.

Minerwa zaśmiała się beztrąsko.

- Nie zapomnij: zabierz dziś wieczorem tyle żywności, ile potrzeba dla waszej rodziny. W sali będzie wielki stół z jedzeniem. Kładzie się tam wszystko i każdy je to, na co ma ochotę. To prawdziwa uczta.

- Nie dla biedaka, który trafi na moje potrawy.

Minerwa cmoknęła z dezaprobatą.

- Lizo, przepis, który ci dałam, jest tak prosty, że nawet dziecko by sobie poradziło.

- To dobrze - Tessa roześmiała się - bo zamierzam przekazać go Savannah.

Minerwa zaśmiała się razem z nią. Odsunawszy zręcznym ruchem stojącą przed nią torbę mąki, oparła się łokciami o stół i spojrzała na Tessę.

- Wiesz, że naprawdę się zmieniłaś?

Tessa uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie masz pojęcia jak bardzo, Minerwo.

Siedziały tak przez dłuższy czas, gawędząc i popijając kawę. Rozmawiały o wielu rzeczach: o dzieciach, pieluchach, mężach. O sprawach dużych i małych, o codziennych kłopotach, z którymi borykały się żyjące na pustkowiu żony pionierów. Z ranka zrobiło się południe, a potem wczesny wieczór.

Kiedy Minerwa w końcu wyszła, Tessa poczuła, że ma prawdziwą przyjaciółkę.



Tessa była spocona jak mysz, zanim obszyła koronkami, guzikami i haftkami swoją sukienkę. Chwyając z trudem powietrze i czując zawroty głowy, cofnęła się o krok, by obejrzeć się w szerokim lustrze nad umywalką.

Nagle zupełnie zbrakło jej tchu. Otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

Wyglądała bosko. Nie pięknie, lecz wprost olśniewająco. Savannah upięła jej złociste włosy w kok, który wyglądał jak królewska korona. Kosmyki kręconych loków opadały jej luźno na skronie, nadając twarzy niemal eteryczny wygląd. Wspaniały srebrny naszyjnik, który dostała od Jacka, ozdobił jej smukłą szyję.

Również suknia z błękitnego jedwabiu, którą miała na sobie, była przepiękna. Zaczynająca się na ramieniu dziesięciocentymetrowej szerokości naszywka podkreślała kragłość jej piersi. Zdobiał ją, podobnie jak mankiety, zygzakowaty wzorek z eleganckich szafirowych nici, tworzących także dwie pionowe linie z przodu.

Suknia układała jej się idealnie na biuście, była mocno zwężona w talii, a niżej opadała na podłogę jak wodospad po krynolinie z końskiego włosia.

Tessa okręciła się w kółko i stanęła bez tchu. Jedwabna suknia wydeła się jak żagiel i dopiero po chwili wróciła do normalnego kształtu.

Drzwi sypialni zaskrzypiały nagle.

- Jesteś gotowa, mamó?

Katie stała na progu w marszczonj biało-czerwonej sukience w groszki, spod której wystawały bufiaste koronkowe majtki. Na końcach jej długich warkoczy zwiślały jaskrawoczerwone wstążki, które dostała od ojca.

Tessa pochyliła się i pocałowała ją w pulchny policzek.

- Jesteś jak z obrazka.

- Lepiej już chodźmy - stwierdziła rzeczowo Katie. - Savannah jest jakaś...

- Rozdrażniona?

Katie skinęła poważnie głową.

- Krzyczy na mnie od samego rana, że musimy się pośpieszyć.

Tessa stłumiła uśmiech, zarzucając na ramiona szafirowy szal.

- Jest tylko trochę zdenerwowana. - Podeszła do kołyski i wzięła na ręce Kaleba. Sprawdziwszy mu szybko pieluchy, zawinęła go w ciepły kocyk, chwyciła za rękę Katie i wyszła na ganek.

Jack czekał już przed domem. Stał obok Reda, sprawdzając uprząż. Wyglądał niezwykle przystojnie w czarnych spodniach, białej koszuli ze złotymi guzikami i czarnej kamizelce.

- Cześć, Jack! - zawołała Tessa.

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Cześć, Li... - Przerwał w pół słowa, przestając się uśmiechać.

Przyglądała nerwowo sukienkę.

- Czyżbym założyła ją na lewą stronę?

Twarz Jacka znowu się rozpromieniła. Puścił uzdę i podbiegł do niej na ganek.

Spojrzeni sobie w oczy. Otaczała ich jakaś magiczna aura. Dotknął jej policzka i szepnął:

- Zapierasz mi dech w piersiach.

Tessę przeszedł dreszcz, gdy poczuła na szyi ciepło jego oddechu.

- Ja też z trudem oddycham - mruknęła.

Odwrócił się z uśmiechem do Katie i przyklęknął na jedno kolano.

- Malutka, wyglądasz ślicznie.

Jej drobną twarzyczkę rozjaśnił uśmiech.

- Dziękuję, tatusiu.

Jack pomógł im wsiąść na wóz. Tessa usiadła z przodu z Kalebem na kolanach, a Katie z tyłu z koszykami jedzenia.

Czekali jeszcze na Savannah. Początkowo cierpliwie, potem coraz mniej.

- Tatusiu, spóźnimy się i zjedzą nam wszystko co najlepsze. Pani Hannah piecze pyszne kurczaki. Chcę ich spróbować.

Jack zmarszczył czoło, spoglądając w kierunku domu.

- Dlaczego, u diabła, tak się grzebie?!

Tessa przypomniała sobie z goryczą swoją pierwszą randkę. Siedziała godzinami przed lustrem, starając się wyglądać jak najlepiej. Kupiła nową sukienkę, zrobiła nawet manicure. Niestety, Harry Spitz się nie pojawił.

Była zaskoczona, że to wspomnienie nie sprawia jej już przykrości. Przez całe lata leżało jej kamieniem na sercu. Aż do czasów licealnych nie umawiała się na randki. A i później robiła to bez przekonania. Teraz jednak wspominała epizod z Harrym Spitzem tak, jakby przydarzył się komuś innemu.

Poklepała Jacka po ramieniu.

- To dla niej ważny wieczór. Bądź cierpliwy.

- Ale...

W tym momencie zaskrzypiały drzwi. Savannah wyszła sztywno na ganek z rękami splecionymi w talii. Jej dziewczęce

kształty podkreślała zwiewna, biała, ozdobiona różami sukienka z krótkimi rękawami. Zaczesała włosy do tyłu, związując je luźno na czubku głowy. W bladym świetle wieczoru jej skóra lśniła kremowym blaskiem.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

Jack spojrział na nią z udanym zdumieniem.

- Savannah?

Ich spojrzenia się spotkały. W jej dużych niebieskich oczach pojawił się lęk, który tylko Jack mógł rozproszyć.

Zeskoczył z wozu, podbiegł do niej i wziął ją za rękę.

- Pozwól mi na siebie popatrzeć, Sawo.

Cofnęła nieśmiało dłoń i zrobiła krok do tyłu.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem. - Zerknąwszy w kierunku wozu, uśmiechnął się szeroko. - Nie mów tylko o tym mamie.

Rozpromieniła się powoli i oblała rumieńcem.

Podał jej ramię.

- Pójdziemy, moja pani?

Z uśmiechem wsunęła mu rękę pod ramię i pozwoliła się poprowadzić do wozu. Podciągnąwszy sukienkę, wspięła się powoli - jak przystało damie - na kozioł i usiadła ostrożnie obok Katie.

- Jezu, Sawo, czemu tak się grzebałaś?

Savannah uśmiechnęła się lekko.

- Kobieta potrzebuje więcej czasu, żeby się przygotować. Prawda, mamó?

- Zgadza się - przytaknęła Tessa, tłumiąc śmiech.

Jack starał się skoncentrować na lejcach, które trzymał między palcami, ale jakoś mu to nie wychodziło. Siedział sztywno na koźle, żałując, że nie ma kapelusza, by zsunąć go sobie na czoło i nie widzieć wścibskich spojrzeń mieszkańców wyspy.

Wózjechał powoli, podskakując na kamienistej drodze. Zapadał zmierzch, spowijając cieśninę fioletową poświatą. Sylwetki drzew rysowały się na tle granatowego nieba, a w górze sunęły ciemne chmury.

Skręcili po raz ostatni i zaczęli jechać drogą w kierunku sali tanecznej. Jack, napięty jak struna, zaciskał niespokojnie dłonie na skórzanych lejcach. Słyszał za plecami podniecone głosy i chichot dziewczynek. Nie był pewien, czy czegoś do niego nie mówiły, bo za bardzo szumiało mu w głowie.

Dopiero po chwili zorientował się, że Liza wzięła go za rękę, w milczeniu dodając mu otuchy.

Westchnął ciężko i próbował się do niej uśmiechnąć, ale wyszło to nieszczercze.

- Wszystko w porządku - mruknęła, opierając się o jego ramię. — Jesteśmy razem.

Razem. To słowo trochę go uspokoiło, dodało nadziei. Przekonywał siebie w duchu, że tego wieczoru będzie lepiej. Był silniejszy niż w poprzednich latach i bardziej opanowany. Skoro miał przy sobie Lizę, nie przydarzy mu się nic strasznego ani upokarzającego.

Jak w ubiegłym roku...

Próbował zapamiętać o zeszłorocznym balu z okazji Święta Niepodległości i skupić uwagę na żonie, która czule się do niego tuliła. Tańce organizowane po strzyżeniu owiec nie powinny go... sprowokować tak jak te z czwartego lipca.

Poza tym należało wreszcie zapamiętać o przeszłości. Był teraz zdrowszy i nie mogło przydarzyć mu się nic złego.

Rozpaczliwie pragnął w to wierzyć.

Mdłe światło, emanujące z okien i drzwi sali, roztaczało złocistą poświatę wokół dużego drewnianego budynku. Dym ulatujący z komina rozpościerał się mgiełką wzdłuż dachu. Księżyc w pełni wisiał jak prawdziwa perła na stalowym niebie.

Tessa usłyszała pierwsze dźwięki muzyki. Początkowo myślała, że to tylko wytwór jej wyobraźni.

Z zapartym tchem chwyciła mocno Jacka za rękę.

- Muzyka! - powiedziała z namaszczeniem. Wzruszenie ścisnęło jej gardło. Przez całe życie próbowała sobie wyobrazić brzmienie muzyki. Usiłowała je sobie przypomnieć, ale straciła słuch, gdy była jeszcze bardzo mała. Zbyt mała, by pamiętać.

Przez długie lata wyczuwała rytm muzyki pod stopami i obserwowała jej wpływ na ludzi. Marzyła, by choć przez chwilę usłyszeć te magiczne dźwięki. Teraz docierały do jej uszu, sącząc się przez otwarte okna i falując w powietrzu. Rozbrzmiewały w jej duszy jak symfonia.

- Och, Jack - westchnęła. - Jak pięknie grają...

Uśmiechnął się cierpko, zatrzymując wóz.

Tessę ogarnęło podniecenie. Zeskoczyła z wozu i zajęła się szybko rozładunkiem. Podała Jackowi pudło z ciastami, Sawannah koszyk z kurczakami, a Katie zapiekankę z ziemniaków. Sama wzięła na ręce Kaleba i ruszyli do balowej sali.

Jack szedł powoli, jakby każdy krok groził niebezpieczeństwem. Tessa szturchnęła go delikatnie w bok.

- Rozchmurz się - powiedziała z uśmiechem. - Będziemy się dobrze bawić.

Uśmiechnął się blado.

Weszli po skrzypiących drewnianych schodach i zatrzymali się tuż za otwartymi drzwiami. Jasno oświetloną salę wypełniał roześmiany, gwarny i roztańczony tłum.

Tessa przyglądała się temu z zachwytem. Wiedziała, że to tylko stary drewniany budynek z kilkoma świecami na stołach i słomą na podłodze, ale słuchając radosnych dźwięków skrzypiec, miała wrażenie, że to najwspanialsza, najbardziej magiczna sala balowa, jaką widziała w życiu.

Świece i lampy były wszędzie, roztaczając kręgi żółtego migotliwego światła, które zlewały się ze sobą. Ludzie wirowali

po prowizorycznym parkiecie przy akompaniamencie szeleszczących sukien i stukających obcasów. Zatłoczoną salę wypełniał zapach płonącego drewna, świeżo upieczonych ciast, cynamonu i potu.

Skrzypka oddzielał od tłumu rząd beczek whisky. Jego wysokie czoło i rumiane policzki były mokre z wysiłku.

Podniósłszy nagle wzrok ujrzał Jacka. Skrzypce zgrzytnęły fałszywie i umilkły. Tancerze przystanęli zdziwieni, spoglądając w kierunku drzwi. Zamarły rozmowy i śmiechy. Zaległa niezręczna cisza. W pełnej ludzi sali słyszać było jedynie trzaskanie świec.

Nagle z tłumu wyłoniła się Minerwa Hannah i podeszła szybko do Lizy.

- Nareszcie jesteście - powiedziała głośno, by wszyscy ją słyszeli. - Czekaliśmy na was.

Jej słowa przerwały nieznośną ciszę. Jim poszedł w ślady żony i wyciągnął rękę do Jacka.

- Cześć, Jack. Dobrze, że się zjawiłeś.

Jack uniósł drwiąco brew.

- Widzę, że wszyscy się z tego cieszą.

- Daj im trochę czasu - powiedział Jim. - Zapomną o wszystkim.

Jeśli znowu się tak nie zachowasz. Jack odniósł wrażenie, że słyszy te słowa. Skinał sztywno głową.

- Tak, oczywiście.

- O czym zapomną? - spytała Tessa, patrząc na nich z konsternacją.

Jack odwrócił wzrok.

- Nieważne. Chodźmy - powiedział, ruszając w kierunku ustawionych pod ścianą stołów z żywnością.

Tessa podażyła za nim, marszcząc czoło.

Sawannah nie ruszyła się z miejsca. Stała w bezruchu, sparaliżowana nieśmiałością. W głębi sali zobaczyła Jeffiego.

Ich spojrzenia napotkały się. Serce zamarło jej w piersi. Splotła dłonie, by opanować ich drżenie.

Jeffie przecisnął się przez tłum i stanął przed nią.

- Cześć, Sawo. - Jego głos zabrzmiał jak przenikliwy pisk. - Och, przepraszam. - Odchrząknął i zapytał: - J...jak leci?

Dziewczyna przełknęła głośno ślinę.

- W porządku.

Jeffie znowu odchrząknął.

- Ślicznie wyglądasz.

- Naprawdę?

Zniżył głos do szeptu.

- Nigdy nie widziałem tak pięknej dziewczyny. Chcesz zatańczyć?

Skinęła głową.

- Tak... chętnie.

Wyciągnął do niej rękę. Wahała się przez ułamek sekundy, po czym podała mu dłoń. Jego dotyk był ciepły i przyjemny. Chłopiec poprowadził ją na środek parkietu. Wokół szalał roztańczony, rozbawiony tłum, ale onijakby tego nie dostrzegali. Stali w miejscu, patrząc na siebie.

Jeffie ponownie odchrząknął i oznajmił:

- Po... położę ci rękę tutaj... na plecach.

- Dobrze.

Gdy przyciągnął ją do siebie, Savannah przesunęła ostrożnie dłoń na środek jego pleców, jak nauczył ją tata. Czuła pod spoconą ręką jego miękką i nieco szorstką flanelową koszulę.

Początkowo poruszali się niezdarnie, licząc w myślach, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Stopniowo zgrali się ze sobą i złapawszy rytm, zaczęli wirować po drewnianym parkiecie.

Savannah kręciło się w głowie. Widziała jak przez mgłę

jasno oświetloną salę i tańczące postacie. Czuła się jak księżniczka z bajki.

Nagle muzyka ucichła. Savannah i Jeffie przestali tańczyć. Popatrzyli na siebie. Chłopiec zacisnął palce na jej dłoni i mrużąc oczy spojrzął na jej usta.

Pocałuje mnie. Tutaj, przy wszystkich!

Miała przyspieszony oddech. Serce waliło jej tak głośno, że musiał to słyszeć. Spoglądała na niego wyczekująco.

Jeffie pochylił głowę, a ona uniosła się lekko.

Musnął ustami jej wargi.

Zaczerpnąwszy powietrza, odwzajemniła jego pocałunek. Gdy spojrzeli na siebie ponownie, obydwójce szeroko się uśmiechali.

Tessa przyglądała się, jak Savannah i Jeffie wirują niezdarnie po parkiecie. Jej serce przepełniała matczyzna duma. Uśmiechnęła się, z trudem powstrzymując łzy.

Jack przysunął się do niej. Czuła ciepło jego ciała. Delikatnie odebrał z jej rąk Kaleba i podał go Minerwie.

- Zatańczymy? - szepnął jej do ucha.

Poczuła skurcz w sercu. Wzruszenie zapierało jej dech w piersiach. Była podniecona, szczęśliwa i przerażona. O tej chwili marzyła przez całe życie. Od szkolnych lat, gdy stała pod ścianą z innymi dziećmi z klasy specjalnej, przyglądając się tańczącym. Rytm muzyki wibrował wtedy w jej głowie jak odległe wspomnienie. Teraz wreszcie słyszała muzykę i została poproszona do tańca. Ale przecież nie potrafiła tańczyć. Co będzie, jeśli zrobi z siebie idiotkę, jeśli...

Jack wziął ją w ramiona. Przyłgnęła do niego, delektując się znajomym, męskim zapachem.

Dotknął jej podbródka i uniósł go.

- Hej, ty cała drżysz.

Widząc jego kochające, zatroskane spojrzenie, omal nie Wybuchnęła łzami. Wzruszenie ścisnęło jej gardło. Nagle przestało się liczyć, czy będzie potykać się o jego nogi i zrobi z siebie widowisko. Tej nocy zamierzała tańczyć.

Skinęła głową, szepcząc:

- Chodźmy.

Wziął ją za rękę i poprowadził na parkiet. Wokół nich tańczył kolorowy tłum ludzi. Czuła się oszołomiona. Zamknęła oczy, słuchając cudownych dźwięków i kołysząc się w rytm muzyki.

- Chodź, Lizo - mruknął, kładąc jej rękę na plecach i przyciągając ją zachłannie do siebie. Ciepły, głęboki tembr jego głosu przyprawił ją o dreszcz.

Zaczęli tańczyć. Tessa ścisnęła mu rękę, poruszając się niezdarnie.

- Próbujesz prowadzić - szepnął.

Rzuciła mu przeprasające spojrzenie.

- To wrodzona wada.

Roześmiał się, przyciskając ją mocniej.

- Chyba zapomniałaś, jak się tańczy.

Skinęła głową.

- Może moglibyśmy...

- Przysuń się bliżej. Połóż mi policzek na piersi.

Gdy to zrobiła, objął ją czule i powiedział cicho, muskając niemal wargami jej czoło:

- A teraz wczuj się w muzykę.

Spojrzała na niego.

- Nie. Robiłam to przez całe życie. Chcę ją słyszeć.

- Zamknij oczy.

- Jack... - westchnęła ciężko.

- Zapomniałaś, jak się tańczy. Ja jeszcze pamiętam. Więc zamknij oczy.

Zrobiła to niechętnie.

SZANSA

- A teraz wczuj się w muzykę - mruknął. - Niech przemówi do twojej duszy.

Przyłgnęła do niego mocniej. Słyszała bicie jego serca. Dźwięk skrzypiec stał się głośniejszy, dominował nad szuraniem nóg o podłogę i szelestem sukien. Mając zamknięte powieki i czując ciepło opiekuńczych ramion Jacka, Tessa wpadła w przyjemny trans. Otoczona zapachem siana, dymu drzewnego i perfum, znalazła się w swoim własnym magicznym świecie muzyki.

Budziła w jej duszy wibracje, a co więcej — wzruszenia. Spojrzała zachwycona na Jacka.

- Mój Boże - wyszeptała. - Czuję ją!

Roześmiał się, wirując z nią w roztańczonym tłumie. Gdy mijali skrzypka, beczki whisky mignęły jej przed oczami jak czarno-brązowa plama. Po raz kolejny ogarnęło ją zdumienie. Naprawdę tańczyła!

Obracali się na parkiecie w kolorowym uniesieniu. Inni tancerze kręcili się wokół nich, stukając obcasami o podłogę i klaszcząc w dłonie. Ale Tessa i Jack nadal tańczyli walca.

Spojrzała na niego. W jej oczach jaśniała miłość, którą miała w sercu.

- Mogłabym tańczyć z tobą całą wieczność - wyznała.

- Tak będzie, Lizo.

- Obiecujesz? - szepnęła.

- Obiecuję - odparł z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 23

Sawannah chwyciła Jeffiego za rękę i pobiegła z nim przez zagajnik. Światło księżyca przenikało przez gęste korony drzew, oświetlając wydeptaną ścieżkę tajemniczym białoniebieskim światłem.

- Pospiesz się, Peters! - krzyknął gdzieś z przodu Joey Schmidt. - Nie mamy za wiele czasu. Już pora na kolację.

Jeffie ścisnął mocniej dłoń i zaczął biec szybciej. Gdy dotarli do niewielkiej polany, Savannah puściła jego rękę i chwyciła się za bok, próbując złapać oddech.

- Jezu! - mruknął Jeffie. - Są wspaniałe! Skąd je masz, Joey?

- Dostałem od jednego z żołnierzy z obozu Anglików. Szkoda, że musieli odjechać. Mieli różne fajne rzeczy.

Sawannah oddychała już normalnie. Wyprostowawszy się, spojrzała na grupę chłopców, klęczących na środku polany.

- Co tam macie? - spytała, podchodząc do nich.

Chłopcy podnieśli się z ziemi. Joey pokazał jej z uśmiechem swoje skarby. W jednej ręce miał długą metalową racę, a w drugiej niewielki konopny worek.

- To Lśniaca Gwiazda - oznajmił, wyciągając rękę w jej kierunku. - A w worku mam jeszcze tony innych fajerwerków.

Dziewczynkę oblał zimny pot. Poczowała zawroty głowy i skurcze w żołądku.

Przyłożyła dłoń do ust, aby stłumić krzyk.

- O Boże, nie... - wyszeptwała zduszonym głosem, kręcąc głową. - Nie możecie...

- Daj spokój, Sawo. Nie bądź niemądra. - Śmiejąc się, chłopcy minęli ją i pobiegli z powrotem po ścieżce. W kierunku sali balowej.

Sawannah otrząsnęła się z szoku. Sala balowa!

Chwyciła drżącymi rękami skraj sukienki i krzycząc rozpaczliwie, ruszyła za nimi.

Ostatnie dźwięki walca rozbrzmiewały echem w powietrzu. Jack i Tessa skończyli niechętnie taniec. Spojrzała na niego, uśmiechając się szeroko. Miała właśnie powiedzieć „kocham cię”, gdy rozległ się potężny huk.

Wysunęła się z ramion Jacka i popatrzyła wokół z przerażeniem. Za otwartymi drzwiami szybowały w niebo świetliste smugi. Czerwono-złote iskry migotały w ciemnościach.

Odetchnęła z ulgą.

- Fajerwerki - powiedziała z uśmiechem. - Nie wiedziałam, że są takie głośne.

Jack krzyknął przeraźliwie.

Tessa odwróciła się. Jack stał w rozkroku pół metra od niej, zakrywając rękami uszy. Był trupio blady.

- Neeee! - wrzeszczał jak opętany.

Mieszkańcy wyspy zaczęli cofać się na bezpieczną odległość, mrużąc coś do siebie i kręcąc głowami.

Tessę ogarnął strach.

- Powiedźcie im, żeby przestali strzelać! - krzyknęła roz-

paczliwie. Gdy nikt się nie ruszył, pociągnęła brutalnie za rękaw stojącą najbliżej kobietę, mówiąc: - Błagam!

Przeżrana kobieta zrobiła wielkie oczy i zwróciwszy się do towarzyszącego jej mężczyzny, powiedziała:

- Ucisz ich, Frank.

Jack krzyknął ponownie i zaczął biec. Przeciskał się przez milczący tłum, jakby nikogo nie zauważał.

Tessa przyglądała mu się w osłupieniu. Ugięły się pod nią nogi. Była zaszokowana. Nie miała pojęcia, co się dzieje. Zakryła usta drżącą dłonią. Boże, co za koszmar!

Jack przepchnął się przez drzwi.

Pobiegła za nim, wołając:

- Jack! Zaczekaj!

Potknął się o próg i omal nie spadł ze schodów. Odzyskawszy równowagę, popędził przed siebie po wysokiej do kolan trawie, znikając między klonami.

Tessa zaczęła biec szybciej, wymachując rękami i dysząc ciężko. Nagle usłyszała przed sobą łoskot. Wpadłszy między drzewa, zatrzymała się raptownie. Była sama.

- O, Boże - szepnęła. - Jack?

Do jej uszu dotarł cichy jęk.

Podkasała sukienkę i wyciągnęła rękę do Jacka. Cofnął się, powłócząc nogami.

Chwyliła go obiema rękami za nadgarstek.

- Jack? - Chciała wykrzyknąć głośno jego imię, ale z jej ust dobył się tylko przerażony, nieśmiały szept.

Chyba wcale jej nie słyszał.

Patrzyła na niego z rosnącym przerażeniem. Nie wiedział nawet, że jest przy nim. Dyszał ciężko, sztywny jak słup. Miał szklisty, zamglony wzrok i trupio bladą cerę. Wyglądał jak chory psychicznie. Tessę ogarnął paniczny strach. Widywała już pacjentów oddziałów psychiatrycznych i zawsze ją prze-
rażali.

- Jack? - szepnęła. - Co się z tobą dzieje?

Nawet na nią nie spojrzął. Wpatrując się w jego kredową twarz, poczuła taką trwozę, że Wybuchnęła płaczem.

- O Boże, Jack... co się dzieje?

Znow wrzasnął jak opętany i próbował uciec. Trzymała go z całej siły za rękę, ciągnął ją więc za sobą po wilgotnej trawie.

- Nie, Jack! - krzyczała przez łzy. - Błagam...

Wrzasnął znowu i upadł na kolana, bełkocząc:

- Johnny...

Tessa wciągnęła głęboko powietrze, nie puszczając jego dłoni. Czując jego ciepły dotyk, uspokoiła się. Póki byli razem, obok siebie, istniała nadzieja.

Chwyciła go za ramiona, chcąc, by na nią spojrzął. Patrzył jednak w przestrzeń szklistym, niewidzącym wzrokiem.

- Jack, wiem, że mnie słyszysz. Proszę... - Powtarzała te słowa, aż rozbolało ją gardło. Czuła jednak, jak coraz bardziej się od niej oddala.

Rozpacz pogłębiła tylko jej przerażenie.

- Błagam, Jack. Spójrz na mnie. Zobacz, że tu jestem. Proszę... - Szlochała spazmatycznie, wpijając palce w jego miękką koszulę.

Zacisnęła powieki. W pamięci odżyły jej wspomnienia.

Następnym razem ty zacznij mnie całować, Jack, jeśli będziesz miał na to ochotę...

Moja mała Katie. Nikt nigdy nie ocierał ci łez, nie kołysał cię do snu ani nie mówił, że cię kocha. Jeśli potrafisz coś zmienić, Lizo, zmień przede wszystkim to.

Kocham cię, Lizo.

Kocham cię, kocham cię, kocham cię. Słowa te rozbrzmiewały w jej głowie bolesnym echem. Jack ją opuszczał. Po tym, co między nimi zaszło, po wszystkich obietnicach miłości, odchodził od niej...

- Nie! - krzyknęła, rozwścieczona jak nigdy w życiu. - Nie,

do cholery! - wrzeszczała, potrząsając nim mocno. - Nie pozwolę ci na to! Obiecywałeś! - Załamał jej się głos. Czuła przejmujący ból. Przyłgnąwszy do niego, pochyliła głowę i płakała. Straciła nagle chęć do walki. Miała w środku bolesną pustkę.

- Obiecywałeś, Jack - mówiła, łkając. - Powiedziałeś, że będziemy tańczyli całą wieczność... - Nie miała pojęcia, jak długo tak siedzieli, spleceni w uścisku. Jack patrzył tępo w przestrzeń, a ona cicho szlochała. Księżyc przesłaniały co chwilę chmury, na przemian pogrążając polanę w ciemnościach i spowijając ją białoniebieską poświatą.

- Lizo? - szepnął nagle Jack.

Tessa sądziła początkowo, że się przesłyszała, że zwodzi ją wyobraźnia. Uniosła ciężko głowę.

- Lizo?

Zakryła dłonią usta i odetchnęła z ulgą. Jack patrzył na nią. Rzuciła mu się na szyję i przyłgnęła do niego, krzycząc z radości.

- Jestem przy tobie, Jack! Nic ci nie grozi!

Odsunął się i spojrzał na nią z takim smutkiem w oczach, że poczuła skurcz w sercu i znów zebrało jej się na płacz.

- Już nigdy nie będę bezpieczny, Lizo - powiedział, przy-
mykając oczy. - Nigdy.

- Nie mów tak, proszę. Poradzimy z tym sobie. Na pewno.

Pokręcił powoli głową z bezbrzeżnym smutkiem.

- Myślałem, że... przy tobie... skoro wszystko zaczęło się układać... że już wyzdrowiałem — stwierdził zupełnie bez-
namiętnie.

Tessa przełknęła gwałtownie ślinę.

- Nie waż się mi tego robić, Jacksonie Rafferty.

- Czego? - spytał, wpatrując się tępo w trawę.

- Nie poddawaj się. - Chwyliła go za ramiona i mocno nim potrząsnęła. - Kocham cię. - Jej głos drżał z emocji, wyrażał całą rozpacz kobiety, która odnalazła za późno miłość i widziała,

jak wymyka jej się z rąk. - Nie pozwolę ci się poddać. Jesteśmy rodziną, do cholery! Potrzebujemy cię. Ja cię potrzebuję.

Skrzywił się na te słowa.

- Ty nikogo nie potrzebujesz. Zawsze tak było.

Tessie spłynęły po policzkach piekące łzy. Znowu poczuła, że wszystko przesypuje się jej między palcami. Próbowwała zacisnąć mocno dłoń, ale na próżno.

- Mylisz się - szepnęła rozpaczliwie. - Zanim się pojawiłeś, byłam zawsze samotna i przerażona. Czekałam na ciebie całe życie.

- Lizo... - powiedział cicho.

Brzmiało to jak pełne rezygnacji westchnienie. Tessę ścisnęło coś w gardle. Łzy popłynęły jej do ust. Miały gorzki smak chybionych planów, zmarnowanych szans i niespełnionych marzeń.

- Błagam, Jack - rzekła zdesperowana. - Nieodtrącaj mnie.

- Wcale nie chcę - odparł po dłuższym milczeniu drżącym, słabym głosem.

Tessa poczuła tak wielką ulgę, że ugięły się pod nią kolana. Otarła z twarzy łzy i spojrzała na niego.

- Obiecuj, że zawsze ze mną będziesz - wykrztusiła. - Że się nie poddasz.

Popatrzył na nią i zobaczyła w tym momencie w jego oczach żarliwą miłość. Wzruszenie chwyciło ją za gardło tak, że nie mogła mówić. Błagam, Jack. Wypowiedz to jedno słowo...

- Nie mogę - odparł głucho, jakby z głębi duszy.

Tessa miała wrażenie, że dostała w twarz. Chciała nim potrząsnąć, uderzyć go, zrobić cokolwiek, by rozbić tę skorupę, w której się zasklepił.

Nic jednak nie mogła zdziałać. Siedział obok i dotykał jej, a zdawał się odległy o tysiące kilometrów.

Objął ją i przycisnął do siebie tak mocno, że z trudem

oddychała. Przyłgnęła do niego. Zetknęli się wilgotnymi od płaczu policzkami, a potem spojrzeli sobie w oczy.

Pocałunek, którym ją obdarzył - pełen rozpaczony i przerażenia - miał słony smak łez.

Tej nocy Jack stał w oknie sypialni i patrzył na pograżoną w mroku farmę. Czuł takie napięcie, jakby miała mu zaraz pęknąć skóra. Był potwornie sfrustrowany. Tak niewiele brakowało, by mógł zacząć wszystko od nowa.

Na kilka bezcennych chwil zapomniał o przeszłości.

Westchnął ciężko, zostawiając na szybie mgiełkę pary.

- Chodź do łóżka, Jack.

Znieruchomiał, usłyszawszy za plecami skrzypienie desek, uginających się pod ciężarem Lizy. Błagam, nie podchodź do mnie, modlił się w duchu. Wiedział, że jeśli jej dotknie, choćby tylko raz, będzie zgubiony. Nie będzie już miał siły odejść. Ochronić jej przed mrokami swojej duszy.

- Nie... nie jestem zmęczony. Pomyślałem, że...

- Chodź do łóżka.

Jack nie ruszył się z miejsca, Tessa ruszyła więc w jego kierunku.

Czekał w napięciu, odczuwając każdy jej krok jak uderzenie w brzuch.

Stała za nim. Poczuł na karku jej delikatny oddech. Zmartwiał, bojąc się nawet zaczerpnąć powietrza.

Wyszeptła jego imię, obejmując go w pasie. Jęknął, czując na plecach dotyk jej jędrnych piersi. Serce wypełniła mu bezbrzeżna tęsknota. Chryste, jakże pragnął się odwrócić, wziąć ją w ramiona i zapomnieć o całym świecie...

- Jack... - szepnęła. - Chodź do łóżka.

Pokręcił głową, bojąc się odezwać. Gdyby spróbował, z jego ust wydobyłyby się tylko bełkot i zorientowałyby się natychmiast,

jak bardzo jest przerażony. A wtedy wszystko zaczęłoby się od nowa. Przypomniałaby sobie, dlaczego nienawidziła go przez tyle lat i jak zrujnował ich życie. Przypomniałaby sobie, że jest tchórzem, który nie potrafi zapomnieć, co uczynił. I czego nie uczynił.

Nierealny świat, w którym żyli przez ostatnich kilka tygodni, nagle by zniknął. Jack znów stałby się wyrzutkiem, samotnym i wystraszonego.

Przesuwała powoli dłońmi po jego brzuchu, odciągając kciukami na bok szelki. Po chwili zwiślały mu luźno na przedramionach.

- Co... co ty robisz? - zdołał zapytać.

Jej ręce znowu powędrowały w dół, mijając po drodze kolejne drewniane guziki, aż dotarły do spodni. Tam znieruchomiały na moment, po czym zaczęły je rozpinąć. Jeden guzik, potem drugi...

Jack wciągnął głęboko powietrze, patrząc z przerażeniem na swój rozporek.

- Lizo, nie... - Tak jak się obawiał, jego głos był drżący i niewyraźny.

Rozpięła mu trzeci guzik.

- Lizo, proszę. Nie mogę...

Wsunęła mu rękę pod spodnie. Jej dotyk był gorący i wilgotny. Przeniknął go dreszcz. Jej dłoń powędrowała jeszcze niżej.

Jackowi zaschło w gardle. Próbował przełknąć ślinę, ale miał jej za mało. Zaciśnął tylko usta, starając się nie poruszać.

Musnąwszy szorstkie włosy, sięgnęła głębiej, obejmując ręką jego nabrzmiałe przyrodzenie. Jack jęknął z rozkoszy.

Staneła na palcach, szepcząc mu gorączkowo do ucha:

- Myślę, że możesz, Jack. - Stuknęła głucho obcasami o podłogę, przesuwając powoli ręką w górę i w dół. Jej palce oplatały go jak pierścienie ognia.

- O Boże! - Odwrócił się i chwycił ją za ramiona, przyciągając do siebie. - Nie rób tego, Lizo. Nie wiesz, że jestem niebezpieczny?

- Nie dla mnie.

Jej odpowiedź zbiła go z tropu. Znow poczuł przyptyw pożądania i pokusę, by jej ulec.

- Jak możesz być tego pewna?

- Ufam ci.

Te zwykłe słowa, na które czekał przez połowę życia, zupełnie go rozbroiły. Jęknąwszy, przygarnął ją do siebie i pocałował. Był to gorący, zachłanny pocałunek, przepełniony mroczną, rozpaczliwą żądzą. Przyłgął do niej jak człowiek, który tonie, całując jej policzki, nos i powieki.

- Boże, jak ja cię kocham! - mruzczał, tuląc usta do jej włosów.

Spojrzała na niego wilgotnymi oczami.

- Ja też cię kocham, Jack. Chodź do łóżka. Jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, próbuję cię uwieść. - Obdarzyła go drżącym uśmiechem, który zdradzał jej pożądanie. Wzięła go za rękę i poprowadziła za sobą. W blasku świecy szara sfatygowana pościel przypominała magiczne złote posłanie. Ogromną narzutę w nogach łóżka spowijały kuszące cienie. Stanęli w milczeniu, patrząc na siebie. Tessa zaczęła powoli rozpinać sukienkę.

- Pozwól — odezwał się Jack.

Czuła jego oddech na nagich ramionach jak pieczętę. Drżąc, odwróciła się do niego plecami. Zbliżył się do niej.

Objął ją delikatnie za szyję, dotykając wrażliwej skóry na karku. Dostała gęziej skórki. Przesunął powoli dłońmi po jej plecach i zaczął rozpinać jasnyniebieską jedwabną sukienkę. Gdy ściągnął w dół rękawy, opadła z szelestem na podłogę. Wkrótce uwolnił żonę również z bielizny.

Chciała się odwrócić, ale jej na to nie pozwolił. Przysunąwszy

się bliżej, zaczął masować delikatnie jej jędrne piersi, drażniąc sutki, dopóki nie nabrzmiały. Uniosła ręce i objęła go za kark. Muskał koniuszkami palców jej skórę i brodawki piersi, całując ją w szyję i ramiona.

Tessę przeszedł dreszcz. Płonęła z pożądania. Jęknęła cicho, odwracając się do niego. Zobaczywszy w migotliwym blasku świecy szlachetną, steraną życiem twarz Jacka, poczuła w sercu bolesny skurcz.

Miłość. Po raz pierwszy w życiu pojmowała sens tego prostego słowa. Nie przypuszczała, że znaczy tak wiele. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogła dotychczas żyć bez miłości, a jednak nawet teraz, całkowicie nią owładnięta, dostrzegała jej mroczną głębię. Ból i rozpacz czaiły się tam jak zło pod gładką, spokojną taflą jeziora.

- O co chodzi, Lizo? - zapytał szeptem.

Pokręciła tylko głową, nie potrafiąc wydusić z siebie ani słowa. Co mogła mu powiedzieć? Gdyby nawet zrozumiał, ile znaczyła dla niej ta chwila, ile on dla niej znaczył, nie pojąłby, że przeżywa zupełnie nowe doświadczenie.

Tak bardzo go kochała. Jeszcze wczoraj wydawało się, że mają wszystko, że ich miłość pokona każdą przeszkodę. Teraz okazywała się nagle taka krucha i nietrwała.

Rozchylone wargi zadrżały jej ze strachu i po raz pierwszy żałowała, że zachowała wspomnienia z poprzedniego życia. Pragnęła teraz rozpaczliwie być tylko Lizą. Chciała przeżyć z nim szczęśliwie długie lata. Mieli dla siebie za mało czasu. Potrzebowali go dużo więcej.

- Kochaj mnie, Jack - powiedziała z rozpaczą. - Kochaj mnie!

Porwał ją w ramiona i położył na łożku. Rozebrawszy się szybko, wyciągnął się obok niej. Leżała naga, czując, jak niewielki dystans między nimi przemienia się w ogromną, lodowatą otchłań. Spojrzawszy na niego, zobaczyła, że nawet

teraz, w porywie dzikiej namiętności, ma smutek w oczach. Serce ścisnęło jej się z bólu.

Zaraz stanie się coś złego, pomyślała, tłumiąc w sobie strach.

Objęła go i przytuliła do siebie. Ich gorące ciała zetknęły się, stapiając lodową barierę. Tessę paliła nieokiełznana żądza. Poczwała nagle pierwotną potrzebę złączenia się z nim na zawsze ciałem i duszą. Chciała w ten sposób stłumić jego lęki. Miał myśleć teraz tylko o niej. Nie o żadnych sekretach, koszmarach ani nawet o Amarylis, lecz wyłącznie o niej.

- Lizo? - szepnął jej do ucha przestraszonym głosem.

Odsunęła się nieco i spojrzała na niego.

- Nie masz się już czego bać, Jack - powiedziała z przekonaniem.

- Chodzi o to, że...

Pocałowała go. Cofnął się odruchowo, a po chwili zadrżał i przycisnął ją mocno do siebie. Ich języki splotły się w żarliwych płasach.

Pocałunek trwał całą wieczność. Tessa zamknęła oczy, poddając się ekstatycznemu uniesieniu. Jack muskał dłonią jej nagie plecy. Przeszywały ją dreszcze. Czuła, że płonie.

Oderwał usta od jej warg, obsypując gorącymi pocałunkami podbródek i nagą szyję, dotykając językiem pulsującej tętnicy. Gdy się odsunął, poczuła na nagiej skórze chłodny powiew nocnego powietrza i jęknęła cicho. Słyszając to, podniósł wzrok. Spojrzała mu głęboko w oczy i dostrzegła w ich zielonej głębi bezbrzeżną tęsknotę, mroczne pożądanie. Zdała sobie sprawę, że czuje to samo co ona. Pragnął w tym momencie zapomnieć o całym świecie.

Opuścił głowę i dotknął językiem jej sutka. Miała wrażenie, że pali ją ogień. Jego ręka sięgała coraz głębiej. Gęstwina kędzierzawych jasnokasztanowych włosów rozstąpiła się, gdy zacisnął spoconą dłoń na jej wilgotnym, pulsującym kroczu.

Mruknęła cicho z rozkoszy. Czuła żar w lędźwiach. Burzyła jej się krew. Jack zaciskał rękę coraz mocniej, coraz natarczywiej. Tessie brakowało tchu. Gdy zaczął drażnić znów ustami jej nabrzmiały sutek, poczuła między nogami bolesne skurcze. Wyprężyła się, szepcząc:

- Teraz, Jack. Proszę...

Słyszając jej zduszony głos, z trudem nad sobą panował. Jęknąwszy cicho, wtulił twarz w miękkie piersi Lizy. Przesunął rękę jeszcze niżej, dotykając gorącego, wilgotnego miejsca między jej udami.

- Boże... - szepnął zrozpaczony. - Jesteś całkiem gotowa!

- Wiem! - odparła, przyciągając go mocno do siebie.

Z jego ust wydobył się ni to śmiech, ni to jęk. Mrużąc pod nosem jej imię, wziął ją w ramiona i położył się na niej. Rozsunęła nogi i wskazała mu drogę.

Wniknął w nią powoli.

Zadrżała, wciągając głęboko powietrze. Oplotła go ramionami i uściśnieła, przyglądając mu się zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem.

Jack dostrzegł w jej oczach wszystko, o czym zawsze marzył. A nawet dużo więcej. Ogarnęło go błogie uczucie tkliwości. Kochał tę kobietę przez ponad połowę swojego życia, ale nigdy jeszcze tak bardzo jak w tej chwili.

Wpiła drżące palce w jego pośladki.

- Teraz, Jack... - szeptała gorączkowo. - Teraz!

Słyszając ten zmysłowy szepc, poczuł falę pożądania i jęknąwszy głucho, wdarł się w jej kusząco wilgotne łono.

- Tak, Jack. Taak...

Wniknął w nią głęboko, lecz zaraz się wycofał. Zadrżała, przyglądając mu się. Źrenice jej piwnych oczu rozszerzyły się z podniecenia. Oplotła go nogami. Powoli, bardzo powoli, wszedł w nią ponownie.

Wyprężyła się, wychodząc mu na spotkanie. Rozdrapywała

paznokciami jego spocone plecy, złożony głowę na stercie poduszek.

Pieścił ją długo, doprowadzając ją kilkakrotnie niemal na szczyt rozkoszy i znowu się wycofując. Przyłgnęła do niego, szepcząc jego imię i dziesiątki niezrozumiałych miłosnych wyznań. Obejmowała go nogami, przyciskając stopy do jego pośladków.

Całował jej usta, szyję i piersi, poruszając biodrami aż do utraty tchu.

- O Boże, Jack! -jęknęła, prężąc się pod nim. - Teraz!

Zacisnął powieki i wniknął w nią głęboko. Wciągnęła raptownie powietrze, przywierając do niego mocno. Poczł najpierw gorący oddech na policzku, a potem rytmiczne skurcze jej ciała. Nie mógł się już dłużej opanować. Zacisnął pięści na sfatygowanej pościeli i wygiąwszy plecy naparł na nią z całej siły.

Wstrząsały nim rozkoszne konwulsje. Po chwili odwrócił się na plecy i przygarnął ją do siebie. Rozciągnęła się obok niego na łóżku, przerzuciwszy mu niedbale nogę przez uda.

Tessa wracała powoli na ziemię. I uderzyła w nią z impetem.

Przez kilkanaście sekund trwała w błogim zapomnieniu, lecz potem nagle oprzytomniała i czar prysnął.

Jack obejmował ją ramionami i przyciskał mocno do swego spoconego ciała. A jednak odczuwała smutek. Była tuż obok niego, niemal na nim, ale coś ich dzieliło. Odgradzało ich od siebie jak żywa istota.

Przysunęła się do niego, opierając brodę na jego twardym torsie. Poczł słodki, zmysłowy zapach. Przypomniał jej namiętne chwile, które razem przeżywali.

Jack podniósł się na łokciu i spojrzł na nią. Na czoło opadł mu wilgotny kosmyk czarnych włosów. Uśmiechnął się, ale

wypadło to sztucznie i Tessa poczuła ból w sercu. Oboje znali prawdę. Mroziła ich miłość jak lodowaty wiatr. Byli sobie bliscy, ale niewystarczająco.

Tessa dotknęła jego policzka w gorzkim geście pieśczości. Myślała o tym, jak marzyła o nim, gdy był jeszcze bezkształtnym cieniem, znikającym o świcie. O tych nocach, gdy nie mogła zasnąć, pragnąc, by ktoś ją przytulił, pocałował i szeptał do ucha czułe słowa miłości.

Teraz miała to wszystko i dużo więcej.

A jednak z powodu sekretu, który toczył serce i duszę Jacka, nie była pewna, czy naprawdę cokolwiek ma.

Musnął palcem jej drżącą wargę.

- O co chodzi?

Tessa zacisnęła powieki. Chciała mu zadać tyle ważnych pytań. Miała je na końcu języka. Ale jeśli posunie się za daleko, wystraszy go. Jedno niewłaściwe pytanie i Jack zasklepi się znowu w swojej skorupie, a ona zostanie sama. Beznadziejnie sama.

- Lizo?

Spojrzała na niego przez łzy i z wielkim wysiłkiem pokręciła głową.

Przyglądał się jej dłuższy czas.

- Chcesz mnie o coś zapytać, prawda? - rzekł cicho.

Wstrzymała oddech, czując gwałtowny przypływ nadziei.

- N...nie. Sam mi musisz powiedzieć.

- Co?

Miała wrażenie, że balansuje na skraju przepaści.

- Czegoś się boisz - zaczęła ostrożnie. - Może... gdybyś mi się zwierzył, pozbyłbyś się lęku.

Jack pobladł.

- Ja... nie mogę...

Tessa zrozumiała, że zbyt wiele oczekuje. Przyłożyła palec do jego ust.

- Szsz... Nie trzeba. Mamy mnóstwo czasu. To nie musi być dzisiaj.

Próbował odwrócić wzrok. Ujęła jego twarz i skłoniła go delikatnie, by spojrzeć jej w oczy.

- Mówię serio, Jack. Wysłucham cię, jak tylko będziesz miał ochotę ze mną porozmawiać. Mogę słuchać nawet przez sześćdziesiąt lat, jeśli trzeba, i nie będę cię osądzać. Obiecuję.

- Dlaczego? - spytał zduszonym głosem.

- Ponieważ cię kocham.

Jack skurczył się w sobie. Strach w jego oczach ustąpił miejsca rozpaczy. Tessa poczuła ból w sercu.

- Lekarze powiedzieli... - Zacisnęła powieki ze wstydu. - Nie mogę o tym mówić.

Tessę ogarnął smutek. Próbowała go zrozumieć, powiedzieć sobie, że to normalne. Ale czuła się zdradzona i odtrącona. Odwróciła od niego wzrok i spojrzała przez łyżę na słupek łóżka.

- Lizo?

Zamknęła oczy. Potrafiła przecież radzić sobie z porażkami. Nie da za wygraną. Kochała Jacka i zrobi wszystko, by go odzyskać.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, usiłując zapomnieć o ranie w sercu. Potrzebował jej teraz. Jej siły, cierpliwości i miłości. Nie zawiedzie go. Codziennie będzie mu udowadniała na wszelkie możliwe sposoby, że go kocha. Może gdy naprawdę w to uwierzy, zechce jej zaufać.

- Poradzimy sobie z tym, Jack. Obiecuję.



Burza rozpętała się o północy.

Jack wiercił się niespokojnie. Pot wystąpił mu na czoło, a z jego ust dobył się jęk przerażenia.

- Nie! - szepnął rozpaczliwie, rzucając głową na boki i próbując się obudzić. - Nie...

Koszmar zatopił zęby w jego ciele i wciągał go w przerażającą otchłań mrocznej duszy.

Nad polaną unosił się zapach prochu strzelniczego, ognia i śmierci. Jack stał skamieniały ze strachu.

Wokół wybuchały pociski. Dym wisiał w powietrzu i gryzł go w oczy. Po twarzy spływały mu zimne strugi deszczu. Nieustanny łoskot ulewy harmonizował z dudnieniem jego serca.

- *Jack!* - zawołał z przodu Johnny. - *Chodź tutaj!*

Jack zaczął niezdarniebiec. Zmarzniętą ziemiaranił boleśnie jego bosc stopy. Karabin objął mu się o plecy. Dym szczypał w oczy i przestaniał widoczność.

- *Johnny, gdzie jesteś?* - *Przystanął, rozglądając się rozpaczliwie po zadymionym polu bitwy. Wszędzie leżały trupy żołnierzy. Strach ścisnął go za gardło. — Johnny!*

Nagle coś wyleciało z tumanu mgły i wpadło mu w ramiona. Poczucił na twarzy ciepłą krew. Spojrzał na ręce i krzyknął:

- Nieee!...

Wrzeszczał tak, dopóki nie ochrypnął.

Osunął się na kolana w błocie. Zapach krwi zatykał mu gardło i nos, a spod powiek płynęły piekące łzy. W końcu niczego już nie widział. Nawet martwych, nieruchomych oczu brata.

- Jack... To boli. Puść moją rękę!

Wydawało mu się, że coś słyszy. Otworzył oczy. Były boleśnie suche i zamglone. Czuł pulsowanie w skroniach. Zobaczył jakąś twarz, okoloną złocistymi włosami. Patrzyły na niego z przerażeniem piwne oczy.

- Jack, proszę...

Zamrugał, próbując odzyskać ostrość widzenia. I nagle ujrział oskarżycielskie spojrzenie szklistych, martwych oczu. Johnny.

Strach zmroził go do szpiku kości. Rozejrzał się desperacko, ale wokół panował chłód i mrok.

- Jack, kochanie, jestem przy tobie. Wszystko w porządku. Nic ci nie grozi.

Rozległ się grzmot. Nagle się ocknął. Miał ściśnięty żołądek i czuł, jak oblewa go zimny pot. Podźwignął się z mokrej trawy - a może z łóżka? - i stanął na nogi.

*Tkwił nieruchomo w miejscu. Krew pulsowała mu w uszach. Deszcz zacinał w znajome okno, a wiatr tłukł o szyby. Zdał sobie sprawę, że jest w swojej sypialni. Odetchnawszy z ulgą, sięgnął po wiszące na słupku łóżka *longjohns* i włożył je.*

Błyskawice przecięły dwukrotnie niebo, zmieniając okno w złowrogie lustro. Przez ułamek sekundy Jack widział w nim swą przerażoną twarz, a potem ukazała mu się martwa głowa Johnny'ego.

Znów zaczynał się ten koszmar.

Nadchodziła ciemność. Czuł, jak go osacza, przenika jego mroczny umysł. Chce nim zawładnąć.

Rzucił się do drzwi i pobiegł korytarzem przez pogrążony w mroku dom. Gdy był przy kuchennym stole, znów uderzył piorun. Brzęknęły naczynia w kredensie i zaskrzypiał blat.

Jack zatrzymał się nagle. W świetle błyskawicy zobaczył znowu w szybie twarz Johnny'ego. Błądą, martwą, budzącą wyrzuty sumienia. *Gdzie byłeś, Jack? Potrzebowałam cię. Potrzebowałam cię...*

Jacka paraliżował strach. Czuł w uszach ogłuszające dudnienie.

Musiał stąd uciec. Natychmiast, zanim zapadnie zmierzch. Zanim kogoś skrzywdzi. Dygocąc i dysząc ciężko, ruszył do drzwi.

Ktoś chwycił go za ramię.

- Jack, proszę...

Skrzywił się, słysząc głos żony. Poczuł nagły przypływ pożądania. Przełknął głośno ślinę. Zapragnął się odwrócić, objąć ją i trzymać tak długo, dopóki nie minie zagrożenie, dopóki ona tego nie sprawi.

Może gdybyś mi o tym powiedział... Jej słowa dzwięczały w jego zmańczonym umyśle, budząc tak silną tęsknotę, że niemal osunął się na kolana. Zamknął oczy i zacisnął drżące dłonie w pięści. Boże, gdyby to było takie proste!

Chciał z nią porozmawiać, pragnął tego z całej duszy. Leżało mu to kamieniem na sercu. Gdyby tylko...

Już kiedyś przecież próbował.

Wzdrygnął się na wspomnienie tamtej chwili, jakby ktoś oblał go kubłem zimnej wody. Nie mógł rozmawiać o przeszłości, otwierać ran, które zabił strach. Jeśli powie jej prawdę o sobie, skończy się ten baśniowy romans. Przypomni sobie, dlaczego go nienawidziła albo zacznie go nienawidzić

od tego dnia. Gdy skończy swoją straszną spowiedź, popatrzy na niego zmrużonymi oczami. Dowiedziawszy się, jak nisko upadł, już nigdy nie będzie w stanie go kochać.

Nie mógł znieść myśli, że w jej oczach zgaśnie miłość, że jej ciepły dotyk stanie się znowu lodowato zimny.

Popatrzył na nią. Czuł się stary i zmęczony. Ich spojrzenia zetknęły się. W jej ciemnych oczach było tyle smutku, że poruszyło go to do głębi.

- Zostań - wyszeptwała, ściskając jego ramię. - Proszę...
- Nie mogę - odparł zdławionym głosem.
- Ale, Jack...

Chwycił ją za ramiona, trzymając przed sobą.

- Nie rozumiesz? Mógłbym ci zrobić krzywdę. Chryste, mógłbym... - Odwrócił wzrok. - Wracaj do łóżka - powiedział tak zboliałym głosem, że prawie go nie poznała. - Proszę...

Klnąc siarczyście, otworzył na oścież drzwi, tak że uderzyły z hukiem o mur.

Zbliżyła się do niego.

- Błagam, nie odchodź! Możemy...

Rzucił jej ostatnie, tęskne spojrzenie, po czym chwycił buty i płaszcz i wybiegł z domu.

Tessa wybiegła za nim na mokry od deszczu ganek. Strach dławił boleśnie jej płuca.

Strugi deszczu spływały po jej nagich piersiach i brzuchu. W mroku pulsowały echa grzmotów, a na niebie kłębiły się złowieszczo ciemne burzowe chmury. Daleko w dole rozszalałe fale uderzały o niewidzialne głązy.

- Jack! - krzyknęła, ale jej głos zagłuszył wiatr.

Seria błyskawic oświetliła farmę. W blasku nieziemskiego światła zobaczyła ciemną, przygarbioną postać, zbiegającą ze zbocza za stodołą.

SZANSA

- Nie odchodź... - Tym razem słowa te zabrzmiały jak odmawiana szeptem modlitwa, której nie mógł słyszeć.

Gdy błyskawica rozbłysła ponownie, już nie było go widać.

Tessa stała w miejscu, naga i rozdygotana. Paraliżował ją strach, jakiego nie zaznała jeszcze nigdy w życiu. Drżała na całym ciele. Paliły ją powieki.

Jack nie wracał.

Ugięły się pod nią nogi. Uklęknęła na twardej, mokrej podłodze. Oddychała płytko i pospiesznie. Sprawiało jej to ból.

On jej nie ufał. Nawet teraz, po tym wszystkim, co między nimi zaszło. Może nie zaufa jej już nigdy.

- Proszę... - szepnęła błagalnym tonem. - Proszę...

Zacisnęła dłonie na brzuchu, spoglądając na swoje drżące, zmarznięte palce. Łzy spływały jej z oczu i widziała świat jak przez mgłę. Szczęście wymykało jej się z rąk. W tym domu znalazła wszystko, czego zawsze pragnęła i potrzebowała, za czym tak bardzo tęskniła, a Jack chciał ją tego pozbawić.

Jej wargami wstrząsnął rozpaczliwy szloch.

- Wracaj, Jack- wyszeptwała, czując w ustach smak łez i kropli deszczu. - Błagam, wróć...

Dowlóknęszy się z powrotem do sypialni, Tessa opadła na łóżko. Przez dłuższy czas leżała skulona, drżąc i modląc się.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Przez chwilę myślała, że to Jack, ale zdała sobie sprawę, że on by nie pukał. Westchnąwszy ciężko, włożyła szlafrok.

- Proszę - powiedziała niepewnie.

Drzwi otworzyły się. Savannah i Katie stały w progu, blade z niepewności.

Tessa próbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej to wyszło.

Savannah spłótła nerwowo palce.

- Czy tatuś znowu sobie poszedł?

Tessę ogarnął przejmujący smutek. Myślała, że nie ma już serca, ale poczuła, jak przesywa je ból. Dziewczynki - jej córeczki - starały się być dzielne i nie płakać. Uzmysłowała sobie, że są teraz rodziną. Żadna z nich nie musiała cierpieć w samotności. Miały siebie nawzajem.

- Podejdźcie tu - poprosiła, wskazując im miejsce na łóżku.

W jednej chwili znalazły się przy niej i wgramoliły się na wielkie łoże. Katie przytuliła się do matki i uniosła pytającą twarzyczkę.

- Czy tatuś wróci?

Tessa przełknęła ciężko ślinę. Miała ochotę skłamać. Tak, dziewczynki. Waszemu tacie na pewno nie stanie się nic złego. Potrafi o siebie zadbać. Jako matka powinna niewątpliwie starać się je uspokoić.

Ale zobaczywszy szczere, przerażone spojrzenie Katie, zrozumiała, że nie może tak postąpić. Byli teraz rodziną i musieli znosić razem wszystkie burze.

- Też chciałabym to wiedzieć - odparła.

Zamilkły, pograżając się w swoich myślach i lękach. Tessa próbowała się uspokoić, zachowywać się jak racjonalny naukowiec, którym była przez całe życie, ale jakoś jej to nie wychodziło. Tak bardzo się bała...

Skoncentruj się.

Wciągnęła głęboko powietrze i policzyła w myślach do dziesięciu. Musiała być silna. Dla Jacka i dla dzieci. Miał poważne problemy i potrzebował jej. Należało ocenić spokojnie sytuację i postanowić, co zrobić. Jak mu pomóc.

Poczuła, że opuszcza ją napięcie. Była teraz na pewnym gruncie. Każdy nowy projekt zaczynał się w ten sposób. Musiała zebrać dane i ustalić fakty. Jako naukowiec nauczyła się podchodzić ostrożnie do szczególnie trudnych zadań i najpierw wszechstronnie je analizować. Jeden nierozważny krok czy pochopna diagnoza mogły zniweczyć cały eksperyment.

Spojrzała na swój nadgarstek. W miejscu, gdzie Jack ją ścisnął, widniały siniaki. Była niemal pewna, że zrobił to nieświadomie. Chyba nie wiedział nawet, że jej dotyka. Że jest przy nim.

Kiedy wymówiła jego imię, wydawał się zmieszany i dezorientowany. I potwornie przerażony. Strach stanowił klucz do całej sprawy. Była tego pewna.

- Czego się tak bardzo boisz, Jack? - mruknęła, nie uświadamiając sobie, że zadaje to pytanie na głos, dopóki Savannah nie odparła:

- Chyba hałasów.

- Hm? - Jej głos wyrwał Tessę z zamyślenia.

- On ucieka przed hałasem - powiedziała cicho dziewczynka. - Kiedy słyszy grzmoty, wybuchy petard, bębnienie deszczu o dach albo strzały, dostaje .. obłędu.

Tessa zmarszczyła z namysłem czoło, analizując tę informację. Ucieka przed hałasem. A co potem?

Jak długo mnie me było?

Poczuła przyspieszone bicie serca. Uciekał, a potem nie pamiętał, co się z nim działo. Tracił świadomość.

Była coraz bliższa celu.

Hałasy. Noc. Czasowa amnezja. Jak to wszystko połączyć?

- Kto to jest tchórz? - zapytała Katie.

Tessa spojrzała na nią zaskoczona, nie mając ochoty się rozpraszać.

- Dlaczego pytasz?

- Zawsze mówisz, że tatuś jest tchórzem i dlatego zginął Johnny.

Słyszając te okrutne słowa, Tessa wciągnęła głęboko powietrze. Dopiero po chwili otrząsnęła się z wrażenia, objęła mocniej obie dziewczynki i czując, jak drża, odparła:

- Wasz ojciec nie jest tchórzem.

- Skąd wiesz? - spytała Savannah.

Tessa uśmiechnęła się smętnie.

- Bo wytrzymał ze mną przez te wszystkie lata. A wymagało to nie lada odwagi.

Katie przytuliła się znowu do matki.

Tessa bezwiednie przygładziła jej włosy. Znowu zamilkły. Dopiero po kilku sekundach niewinne pytanie Katie dało jej nagle do myślenia.

Johnny.

Zawszemówisz, że tatusz jest chórzem i dlatego zginął Johnny.

Wyprostowała się.

- Savannah, kim był Johnny?

- Bratem taty. Zginął w czasie wojny. Przecież o tym wiesz. Wojna. To słowo było jak dar od Boga. Poczwała ogromne podniecenie. Nie chciała wyciągać pochopnych wniosków, ale nie mogła się opanować.

- Czy wasz tata też był na wojnie? - zapytała z przejęciem.

- Tak.

Tessa odetchnęła z ulgą. Łamigłówka układała się w logiczną całość. Strzały, petardy, hałasy... To wszystko przywoływało wspomnienia.

Jack przeżył w czasie wojny coś tak strasznego, że nie mógł sobie z tym poradzić. Usiłował zapomnieć o bolesnych doświadczeniach.

Cokolwiek to było, uciekał przed tym wtedy i próbował uciec teraz.

Oparła się się znowu o stertę poduszek, czując przypływ nadziei. Odnalazła przyczynę jego lęków. Nie chodziło o brak zaufania do niej. On nie ufał samemu sobie.

Odetchnęła z ulgą. Temu można było zaradzić.

- Hej... - powiedziała cicho. - Chcecie obie spać ze mną? Dziewczynki skwapliwie przytaknęły.

Tessa pochyliła się i zdmuchnęła lampę. Skuliwszy się pod grubą kołdrą, wkrótce zasnęły.

Za oknami ciągle szalała burza.

Poranek był jasny i piękny, bez śladu nawałnicy, która przeszła nocą. Tessa stała na ganku z Kalebem na rękach, machając na pożegnanie dziewczynkom, gdy wychodziły do szkoły. Obok niej lśniły w bladych promieniach słońca liście dębu.

Kaleb gruchał radośnie w jej ramionach. Kołyszając go delikatnie, wpatrywała się w pagórkowate pastwisko i rozmyślała o minionej nocy.

Posttraumatyczne zaburzenia układu nerwowego.

Uczyła się o tym na uniwersyteckich kursach psychologii. O ile pamiętała, na takie zaburzenia cierpiało wiele osób: ofiary wypadków i gwałtów, maltretowane dzieci, kombatanci wojenni. Gdy jakieś przeżycie stanowiło zbyt silny szok, umysł bronił się, próbując je wyprzeć ze świadomości. Amnezja, zaniki świadomości, bezsenność, gniew i depresja stanowiły całkowicie normalne reakcje.

Na zajęciach nie dyskutowali o wojnie secesyjnej, wiedziała jednak, że musiała ona mieć tragiczne następstwa dla ludzkiej psychiki. Bracia, ojcowie, krewni i przyjaciele walczyli twarzą w twarz, zabijając się nawzajem.

Tessę przeszedł dreszcz na samą myśl. Nic dziwnego, że Jack miewał koszmary i nie mógł spać. Cierpiał na zaburzenia, które wykryto dopiero sto lat później. Pewnie myślał, że jest obłąkany. Zrozumiała nagle, skąd ten wyraz przerażenia w jego oczach, skąd gniew, niepokój, milczenie i ciągła obawa, że kogoś skrzywdzi. W świetle dnia usiłował stawić czoło piekielnym nocnym koszmarom.

Dlatego się tu znalazłam, uświadomiła sobie nagle. W dziewiętnastym wieku nikt nie potrafiłby mu pomóc. Potrzebował kogoś, kto posiadał wiedzę z następnego stulecia. Potrzebował Tessy.

- Pomogę ci, Jack - mruknęła. - Wróć tylko do domu i daj mi szansę.

Miała w oczach piekące łzy, a głos łamał jej się ze wzruszenia.
- Wróć tylko do domu...

Jack na przemian odzyskiwał i tracił świadomość. W końcu oprzytomniał, ale czuł się zamroczony i zdeorientowany. Strach ścisnął mu żołądek, a serce waliło coraz mocniej, tłukąc się boleśnie w klatce piersiowej. Otworzył oczy i natychmiast tego pożałował. Promienie wieczornego słońca świdrowały mu mózg. Skrzywił się, wiedząc, co go czeka. Zawsze było tak samo.

Migrena zaczęła się od tępego pulsowania z tyłu głowy i stawała się coraz silniejsza. Czuł dudnienie w skroniach, ogarniały go mdłości i miał niesmak w ustach. Gdzie ja jestem, do cholery?

Szukał rozpaczliwie jakichś punktów orientacyjnych, ale niczego nie dostrzegł. Siedział pod wysokim cedrem na środku rozległego pola. Mogło znajdować się gdziekolwiek na wyspie. Wiedział jedynie, że nie należy do niego. Dygocąc i czując mdłości, próbował się podźwignąć, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Straciwszy nagle równowagę, usiłował przytrzymać się drzewa. Szorstka kora poraniła mu palce i wbiła się w dłoń. Cofnął rękę, przykładając ją do piersi. Ciepła krew wsiąkała w zabrudzone *long johns*.

Zachwiał się znowu i uderzył mocno o drzewo. Poczuł w ramieniu przenikliwy ból. Dysząc ciężko, oparł się o gruby pień. Ogarnięty paniką i rozpaczą próbował przypomnieć sobie cokolwiek. Ale w jego umyśle była przeraźliwa pustka.

Stuknął głową o drzewo, zamykając oczy. Próbując zacisnąć dłoń w pięść, poczuł przeszywający ból. Spojrzał w dół. Miał poranioną, zakrwawioną i pełną drzazg rękę.

Ten obraz przywołał odległe wspomnienia. Pokrwawione palce i ramię... Krew i błoto, krew i błoto...

Johnny.

Jęknął cicho, gdy przed jego oczami przesuwały się kolejne obrazy. Deszcz, grzmoty, martwa twarz Johnny'ego odbita w szybie. Koszmar.

Pamiętał to co zawsze: początek i koniec. Zaczynało się od koszmaru, a kończyło ciemnością. Czuł wstręt do samego siebie. Ogarniały go mdłości. Nie zważając na ból, zacisnął w pięść drżącą zakrwawioną dłoń.

Wojna się już skończyła, do cholery! Dlaczego nie potrafił zapomnieć? Dlaczego?

Tak bardzo się starał. Robił wszystko, co zalecali mu lekarze. Przekonywał sam siebie, że postąpił jak mężczyzna, że zachował się normalnie. Zamknął usta na kłódkę i nie opowiadał nigdy o krwawej bitwie pod Antietam, ani o dniu, gdy zginął Johnny. A jednak wspomnienia nadal go prześladowały, czały się w mroku, dręczyły jego umysł.

Kiedyś sądził, że powinien z kimś o tym porozmawiać. Spędziwszy samotnie wiele miesięcy w ciemnej i dusznej szpitalnej sali, gdzie myślał ciągle tylko o koszmarnych doświadczeniach, doszedł do wniosku, że gdyby ktoś go wysłuchał, przestałby dręczyć się przeszłością.

Tyle tylko, że nie miał się komu zwierzyć. Pamiętał dzień, gdy wrócił wreszcie do domu. Długie bolesne miesiące spędzone w drodze poszły natychmiast w zapomnienie, gdy zobaczył wysoką, piękną rezydencję. Przemierzywszy setki kilometrów po skalistych, polnych drogach, podbiegł boso do frontowych drzwi.

Nie miało znaczenia, że nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Nie wiedzieli przecież, że wraca do rodziny. Nie mieli nawet pojęcia, że był w szpitalu. Wojna skończyła się przed wieloma miesiącami, a żaden z synów nie dotarł jeszcze do domu. Początkowo zgotowano mu powitanie, o jakim marzył. Ojciec, matka, Amarylis i Savannah zgromadzili się wokół niego,

ściskając go czule, śmiejąc się i szlochając. Spędził tego dnia z żoną cudowną, magiczną noc, której owocem była jego ukochana Katie.

Rankiem wszystko się jednak zmieniło. Wystarczyło jedno wypowiedziane przypadkiem słowo: szpital.

Myśleliśmy, synu, że dostałeś się do niewoli.

Jack skrzywił się na wspomnienie tych wypowiedzianych cicho przez ojca słów.

Nie, byłem w szpitalu.

Zostałeś ranny? W głosie matki brzmiała troska.

Nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie. Nie miał żadnych blizn, ani nie był kaleką. Jak mogli zrozumieć i zaakceptować to, co się wydarzyło?

Starał się nie mieć im za złe, że tego nie pojmują. Do diabła, nawet jemu nie mieścił się w głowie koszmar, którego doświadczył.

Usiłował wszystko wyjaśnić. *Nie wiem, co się stało, tato... Wydano rozkaz do ataku. Ale ja... nie mogłem ruszyć się z miejsca. Johnny krzyknął do mnie i wtedy za nim pobiegłem, lecz było już... za późno. On zginął. Potem ocknąłem się w szpitalu...*

Struchlałeś jak ostatni tchórz, bo zrobiło się gorąco? Ojciec odwrócił się od niego ze wstrętem. W jego głosie brzmiał ton potępienia. Nie zasługujesz, żeby być moim synem.

Jack nie powiedział już ani słowa więcej. Widząc lodowate, niechętnie spojrzenie ojca, zdał sobie sprawę, że lekarze mieli rację. Powinien był zamknąć usta na kłódkę i znosić swoje cierpienie i poczucie winy jak mężczyzna. W milczeniu.

Zhańbił ich, a dla jego ojca, przedstawiciela trzeciego pokolenia arystokratów z Georgii, nie było większego występku.

Musiał opuścić razem z Amarylis rodzinny dom. Jego żona nie chciała wyjeżdżać - dawała to wyraźnie do zrozumienia -

ale trzeba było zaopiekować się Savannah, a sama nie miała pieniędzy ani rodziny. Dlatego zresztą wyszła za Jacka.

Nagle go znienawidziła. Nie narastało to, jak w niektórych małżeństwach, stopniowo, dzień po dniu, lecz wybuchło znie-nacka. Jednego dnia jeszcze go kochała, a następnego zaczęła nim gardzić. Jack był w stanie to zrozumieć. Wyszła za niego, by zapewnić sobie bezpieczeństwo i szacunek, a on przez jedno wypowiedziane nieopatrznie zdanie wszystkiego ją pozbawił.

Opuścili razem, choć straszliwie skłóceni, farmę Raffertych w stanie Georgia i Południe. Jack nie wiedział wtedy jeszcze, dokąd się udadzą. Pragnął tylko być jak najdalej od domu i od ludzi.

Gdy dotarli do Dakoty Północnej, Amarylis była już w za-awansowanej ciąży. Przybierając na wadze, nienawidziła coraz bardziej Jacka i ich nienarodzone dziecko. Nawet Savannah, będąca kiedyś jej oczkiem w głowie, stała się także owocem z zatrutego drzewa.

Rozumiał jej pogardę i niemal ją szanował. Odzwierciedlała jego opinię o samym sobie.

Pistolet. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Tym razem zdobyłby się na to. Strach by go już nie powstrzymał. Nacisnąłby na spust...

Liza.

Wspomnienie jej twarzy rozjaśniło mroki jego duszy. Zniknęły samobójcze myśli.

Poradźmiesobie z tym, Jack. Obiecuj.

Jęknąwszy z rozpacz, przytknął sobie do ust zakrwawioną dłoń. Boże, jak to cudownie zabrzmiało. Chryste...

Zamknął oczy, przypominając sobie silny uścisk Lizy i słony smak jej łez, kiedy błagała, by nigdy jej nie opuszczał. Tej nocy, gdy uciekł, chwyciła go drżącymi ramionami i próbowała zatrzymać.

KRISTINHANNAH

Musimy być razem, Jack. Razem.

Zapraǳał nagle usłyszeć znowu te kojące słowa, drżał z pożądanía, by dotknąć jej delikatnej skóry i poczuć słodki lawendowy zapach włosów.

Odsunął się od drzewa i ruszył wśród wysokiej, kołysanej wiatrem, złocistej trawy w kierunku domu.

Do Lizy.

ROZDZIAŁ 25

Jack dotarł do domu dopiero po kilku godzinach. Przystanął obok stodoły. Ostatnie niktłe promienie zachodzącego słońca otaczały farmę delikatną poświatą. Dom niemal lśnił, a jego zwykłe bielone ściany nabrały perłowej barwy.

Jacka ogarnęła tak silna i nieoczekiwana tęsknota, że niemal się zachwiał. Przez lata śnił, by mieszkać w takim miejscu. By mieć prawdziwy dom. Wypełniony marzeniami, śmiechem i światłem. Nareszcie go znalazł.

Ruszył w jego kierunku, gdy nagle usłyszał jakiś hałas. Zatrzymał się i odwrócił do drzwi stodoły. Z wnętrza dochodził odgłos uderzeń metalu o metal. Uniósłszy brwi, uchylił drewniane wrota i wślizgnął się cicho do środka.

Liza stała plecami do niego i układała starannie narzędzia. Wyczyściwszy widły, odłożyła je na miejsce. Zniknęła czerwona wstęga opasująca beczkę. Tylko jego stary winchester nie był tam, gdzie powinien. Z jakiegoś powodu odstawiła go do kąta. Stał tam w dziwnej pozycji, jakby porzucony i zapomniany.

- Lizo... - powiedział cicho, mając wrażenie, że zaraz zniknie mu z oczu.

Wciągnęła głęboko powietrze i obróciła się na pięcie. Motyka, którą trzymała w ręce, upadła z brzękiem na podłogę.

- Jack!

Podkasała spódnicę i podbiegła do niego, rzucając mu się w ramiona.

Poczuł niewymowną ulgę. Ciepło jej ciała podziałało na jego duszę jak kojący balsam.

- Boże, jak dobrze... - mruknął, wtulając twarz w jej włosy. Przyłgnęła do niego.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam. Tak się bałam.

- Ja zawsze wracam - szepnął, czując na piersiach jej łzy.

Odsunęła się nagle i spojrzała na niego zamglonym wzrokiem. Zdał sobie w tym momencie sprawę, jak bardzo cierpiała. Jak bardzo się lękała, że nie wróci. Świadomość, że ją zranił, rozdzierała mu serce.

Objął ją i przycisnął mocno do siebie. Chciał wszystko jej opowiedzieć, ale cholernie się bał. Lekarze radzili mu nigdy o tym nie mówić ani nawet nie myśleć. Co będzie, jeśli otworzy usta i zacznie krzyczeć? Obawiał się, że wtedy już nigdy nie potrafi przestać i pewnego dnia obudzi się znowu, bezimienny i samotny, na brudnym szpitalnym łóżku.

Zadrżał na samą myśl o tym, przypomniawszy sobie niezliczone miesiące, które spędził na zapadającej się pryczy, patrząc tępo w zbryzgany krwią sufit.

- Jack? - szepnęła Tessa, dotykając jego policzka.

Spojrzał na nią. Widział, jak bardzo chciała wiedzieć, gdzie był i czemu uciekał. O nic jednak nie pytała.

- Dlaczego? - rzekł nieoczekiwanie.

- Co dlaczego?

- Dlaczego nie pytasz?

Zamrugała ze zdziwieniem.

- Chcę się dowiedzieć, ale... ufam ci, Jack. To najważniejsze. Powiesz mi, kiedy będziesz gotowy.

Zobaczywszy jej ufne, kochające spojrzenie, poczuł, jak coś w nim pęka. Obiecał sobie, że zacznie wszystko od nowa. Przyrzekł to Bogu, a jednak jeszcze tak naprawdę się nie zmienił. Musiał najpierw całym sercem i duszą zaufać żonie. Powierzyć jej swoją tajemnicę. Miał wrażenie, że ktoś wrywa mu serce z piersi. Wiedział, że nadeszła pora. Jeśli teraz jej nie zaufa, nie poda jej swojej duszy na srebrnej tacy, już nigdy tak nie niego nie spojrzy.

Ale jeśli wyjawi swój sekret, w jej oczach pojawi się chłód i niechęć, jak to się już kiedyś zdarzyło.

A może jednak nie.

Wpatrywał się intensywnie w jej twarz. Była wszystkim, czego pragnął i potrzebował. Dzięki mej i dzieciom odnalazł w końcu na tej starej farmie dom, którego szukał przez całe życie. A teraz, chcąc się przekonać, czy to nie złudzenie, musiał postawić wszystko na jedną kartę.

Choć raz w życiu nie bądź tchórzem. Otwórz przed nią serce. Możliwe, że cię opuści - zapewne tak będzie. Ale może zostanie. Może weźmie cię w ramiona, delikatnie pocałuje i powie, że mimo wszystko cię kocha.

Na samą myśl jęknął głośno.

- Jack?

- A więc dobrze - powiedział zduszonym głosem. - Lepiej usiądźmy. To trochę potrwa.

Tessa spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Na pewno tego chcesz?

Skinął głową, nie mogąc mówić. Wziął ją za rękę i chwyciwszy lampę, poprowadził ją po drabinie na stryszek. Usiedli razem na sianie pod ścianą. Czując, jak ściska mu dłoń, Jack modlił się, by nadal chciała go dotykać, kiedy skończy swą opowieść.

- To wszystko z powodu Johnny'ego. - Gdy wymawiał imię brata, zmiękł mu głos. - Był silny, wesoły i niczego się

nie bał. - Uśmiechnął się gorzko do wspomnień. - Ja byłem... drobny, słaby i bojaźliwy. Ale przy nim o tym zapomniałem. Podobnie było z wojną. - Wzdrygnął się na samo wspomnienie. - Johnny wstąpił od razu do wojska. Ja wcale nie chciałem iść. Uważałem, że nie należy walczyć, poza tym byłaś wtedy w ciąży z Savannah, ale... nie mogłem zostawić go samego.

Jack odwrócił wzrok do ściany, pod którą leżały sterty siana. Jego słodka woń przesycała powietrze, ale on tego nie zauważał. Czuł zapach krwi, potu i strachu.

- A więc poszliśmy. - Zmrużył oczy, patrząc na zakurzone deski. Czuł w ustach gorzki smak. - Wkrótce okazało się, jak źle jesteśmy wyszkoleni i zaopatrzeni. Ciągłe maszerowaliśmy. Niebawem zostaliśmy bez butów i żywności. Jedliśmy tylko zgniłe jabłka i kradzioną kukurydzę. Byliśmy zmęczeni, głodni i chorzy. Nasza kompania wzięła udział w kilku niegroźnych potyczkach, ale największymi wrogami były dla nas choroby i nuda. A potem... - Głos mu się załamał. W pamięci ożyły wspomnienia. Skrzywił się i zacisnął powieki.

- Jestem przy tobie, Jack. Nic ci nie grozi. Wszystko w porządku.

Powtarzała te słowa kilka razy. Jack koncentrował uwagę na jej łagodnym głosie, dopóki nie opuściło go napięcie.

- Potem było Antietam. - Przeszły go ciarki. Od lat nie wypowiadał tego słowa, lecz nawet teraz budziło w nim strach i poczucie wstydu.

Próbował zdystansować się do przeżytego koszmaru. Patrzył nieruchomo przed siebie. Miał przed oczami krwawe wizje śmierci. Ciepła, przytulna stodoła zamieniła się w zasnutą mgłą pole kukurydzy.

- O świcie znowu zaczął padać deszcz i okopy wypełniły się wodą. Wszędzie było błoto... Nagle rozpuściło się piekło. Strzelano do nas ze wszystkich stron z karabinów i dział. Padł

rozkaz do ataku. Chciałem biec, ale ugrzązłem w błocie i nie mogłem się ruszyć. Byłem śmiertelnie przerażony.

Ze wstydu nie mogłem prawie mówić.

- Przede mną wybuchł kartacz i koło mojej głowy przeleciała czyjaś ręka... Zobaczyłem, jak Billy Watker trzyma się za zakrwawiony kikut i powtarza: „Moje ramię, moje ramię...”.

Jack był wyczerpany tą falą wspomnień, które tak długo w sobie tłumił.

- Nie mogłem się ruszyć. Usłyszałem przed sobą krzyk Johnny'ego.

Chodź, Jack! Potrzebujemy cię!

To wspomnienie ścisnęło mu gardło. Przeszedł go zimny dreszcz. Zadrżał, zaciskając palce powieki.

- Pobiegłem najszybciej, jak mogłem, wykrzykując na cały głos jego imię. Wiedziałem, że jest w opresji, ale nie sądziłem... - Przerwał w pół zdania.

- Jack?

Pokręcił głową. Czuł tak dławiący wstyd, że nie mógł mówić ani oddychać. Oczy zaszyły mu mgłą. Przyłożył rękę do ust, by nie krzyknąć.

Liza ujęła ją i mocno uścisnęła.

- Już dobrze, Jack. Wszystko w porządku.

Wstrząsnął nim gwałtowny szloch, ale postarał się go stłumić.

- Lekarze radzili mi o wszystkim zapomnieć - rzekł ochryple.

- Nie mieli racji - powiedziała cicho. - Dobrze o tym wiesz. Potrafiłeś wymazać z pamięci to, co się stało?

- Nie. - Pokręcił głową ze wstydem. Po policzku spłynęła mu gorąca łza.

Liza dotknęła jego podbródka i popatrzyła mu w oczy.

- Musisz to z siebie wyrzucić, Jack. Te wspomnienia toczą cię od środka jak rak. Jeśli trzeba, będziemy mówić o tym co wieczór przez dziesięć lat.

Zamrugał, by pohamować łzy, i spojrzał w jej szczerze oczy. Dostrzegł w ich głębi pociechę, nadzieję i oparcie. Bezpieczną przystań, której szukał całe życie. Oczekiwała jedynie, by się postarał.

- Jego... głowa... uderzyła... we mnie. -Całym ciałem Jacka wstrząsał płacz. Zaciśnął powieki i kołysał się w przód i w tył, wypowiadając te zniechęcone słowa. - Biegłem i nagle głowa Johnny'ego trafiła mnie w brzuch... Chwyliłem ją w ręce.

- O Boże, Jack...

- Zobaczyłem mnóstwo krwi. Przeciekła mi między palcami, a ja myślałem cały czas: „To krew Johnny'ego. On jej potrzebuje”. Nie mogłem sobie z tym poradzić...

Gdzie byłeś, Jack?

- Ja... ja go zabiłem.

Liza dotknęła jego ramienia.

- To nieprawda. Zabił go ktoś inny.

Odwrócił się do niej. Miała wrażenie, że jego dusza skręca się z bólu.

- Nie rozumiesz? Stałem beczynnym podczas bitwy. Okazałem się tchórzem i dlatego zginął mój brat.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Wystarczająco dużo, by właściwie się zachować. - Odwrócił wzrok, spoglądając pośpiesznie na płomień świecy.

- W porządku - powiedziała cicho Liza.

Zmarszczył czoło i spojrzał na nią.

- Co w porządku?

- Stałeś w miejscu przez trzydzieści sekund. Może nawet okazałeś się tchórzem. Ale nie zabiłeś swojego brata.

- I nie ocalałem go od śmierci.

Liza usiadła mu na kolanach, poprawiając spódnicę i zaciskając dłonie na jego ramionach.

- Nie widzisz różnicy? - zapytała.

- Dzielisz włos na czworo. Ja...

Potrząsnęła nim i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Nieprawda.

Zaczynał pojmować, o co jej chodzi. Na razie było to tylko mgliste wrażenie, ale przez ułamek sekundy pomyślał, że... być może.

Zobaczywszy w jego oczach błysk nadziei, skinęła głową.

- Właśnie. Zastanów się nad tym.

Westchnął ciężko. Od dawna miał o sobie tak złe mniemanie, że nie potrafił go już chyba zmienić.

- Sam nie wiem...

- W porządku - powiedziała cicho. - Masz dużo czasu do namysłu. - Zsunęła mu się z kolan i przytuliła do jego ramienia ciepły policzek.

Jack uzmysłowił sobie nagle, że nadal przy nim jest, uśmiecha się do niego, dotyka go i darzy miłością. Wyznał jej prawdę, a ona nie odeszła. Jego duszę wypełniła radość, jakiej nie zaznał nigdy dotąd.

Oparł się z ulgą o ścianę i zamknął oczy. Objął Lizę ramieniem i przyciągnął do siebie - tak blisko, że byli prawie zespoleni. Ich spokojne oddechy stapiały się, napełniając życiem starą zatęchłą stodołę.

Jack czuł, że strach, który tak długo krępował jego duszę, zaczyna ustępować. Zabłyśły mu pierwsze iskielki nadziei. Liza miała rację. Ich rozmowa mu pomogła. Po raz pierwszy od chwili, gdy trafił do tego koszmarnego szpitala, zaczął wierzyć, że może wrócić do zdrowia.

Pogładził ją delikatnie po włosach. Zanim się zorientował, zaczął zwierzać jej się znowu z tego, o czym nikomu dotąd nie mówił.

- Obudziłem się potem w jakimś szpitalu dla obłąkanych. Powiedzieli mi, że jestem tam od dłuższego czasu, ale dotąd patrzyłem tylko w sufit i krzyczałem. Gdy pewnego dnia się ocknałem, lekarze radzili, żebym nie myślał o tym, co widziałem

pod Antietam, i faszerowali mnie środkami uspokajającymi, aż przestałem niemal być człowiekiem.

Kiedy skończyła się wojna, wypuszczono nas wszystkich. Przez wiele miesięcy wracałem do domu. Moi rodzice uznali mnie za tchórza. I ty także...

Liza odwróciła się i ujęła jego twarz tak delikatnie, jakby była z kruchej porcelany.

- Myliliśmy się, Jack. A jeśli sam w to wierzysz, też jesteś w błędzie.

Słyszając te słowa, wypowiedziane cicho i niemal przez łzy, Jack poczuł, jak coś się w nim przełamuje. W tym momencie, w pograżonej w półmroku i przesyconej zapachem siana starej stodoły, naprawdę stał przed wielką szansą.

- Kocham cię, Lizo — powiedział.

Następnego ranka Tessa i Jack długo spali. Obudziło ich pukanie do drzwi.

- Mamo? - powiedziała Savannah. - Wstałaś już?

Tessa uśmiechnęła się leniwie i przyłgnęła do męża.

- Wstajemy?

Objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował powoli w usta.

- Chyba tak.

- Wejdźcie, dziewczynki! - zawołała.

Savannah i Katie weszły do sypialni i oniemiały.

- Tatuś!

Jack usiadł na łóżku i uśmiechnął się szeroko, odgarniając z twarzy kosmyk brudnych włosów.

- Cześć, dziewczynki!

Katie podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona.

Jej starsza siostra stała niepewnie, splótłszy dłonie na brzuchu.

- Martwiłyśmy się o ciebie wczoraj. Dobrze się czujesz?

Uśmiechnął się do niej.

- Brakuje mi do szczęścia tylko jednej rzeczy.
- Czego?
- Buziaka na dzień dobry od mojej ukochanej córeczki.

Savannah podbiegła z uśmiechem do łóżka. Jack chwycił ją w objęcia i posadził sobie na kolanach. Siedzieli we czworo na wielkim łożu, śmiejąc się i rozmawiając. Wierzyli, że nie przydarzy im się już nic złego.

Tessa wyszła na ganek, by zawołać wszystkich na kolację.

Ale to, co ujrzała, odebrało jej mowę. Uśmiechając się lekko, oparła się o poręcz. Białe filar obok niej oplatały róże, których drobne, różowe pączki właśnie się rozchylały. Ich woń mieszała się z zapachem pieczonego chleba i morskiego powietrza, przypominając jej, że ma dom.

- Mamie spodobają się te róże, prawda, tatusiu?
- Na pewno, Katie.

Tessa spojrzała z miłością na swą rodzinę. Ogarnęło ją wzruszenie. Jack przykucnął pod dębem, kopiąc grządkę. Kaleb leżał obok na dużym kocu, machając piąstkami w powietrzu.

Dziewczynki przycupnęły po obu stronach ścieżki i sadziły róże.

Tessa potrząsnęła dzwonkiem. W powietrzu rozległ się jego metaliczny dźwięk.

- Wszyscy do domu. Pora na kolację.
- Jack uśmiechnął się i pomachał do niej.
- Dzięki Bogu. Podejdź tutaj.

Katie zerwała się z ziemi.

- Zobacz, co zrobiliśmy!

Tessa zeszła po schodach z radosnym uśmiechem.

- Cudownie. Bardzo m się podoba.
- Chodź tu - poprosił Jack, podnosząc się. Mam coś dla ciebie.

Żona stanęła przed nim.

- Co takiego?
- Zamknij oczy.
- Dobrze.

Poczuła na głowie coś lekkiego i zwiewnego.

- O, psiakrew - zaklął. - Nie ruszaj się.

Tessa stłumiła śmiech.

- Teraz możesz już patrzeć.
- Co to jest?
- Wianek z mleczków. Sam go uplotłem.

Poczuła się tak, jakby dostała królewską koronę Anglii. Uśmiechnęła się do niego.

Jack pochylił się, aby ją pocałować.

- Zobacz, tatusiu! - krzyknęła Katie. - Biegnie tu pani Hannah!

Jack odsunął się od żony. Odwróciwszy głowę, zobaczył Minerwę, która pędziła przez pola w ich kierunku. Poczul dziwny niepokój. Oddychał ciężko, zaciskając dłonie w pięści. Zdarzyło się coś złego.

Gdy Minerwa Hannah do nich dobiegła, była blada i zdyszana.

- Dzięki... Bogu... że... jesteście - wykrztusiła, trzymając się za bok.

- Co się stało? - zapytał Jack.

- Henry i Selina Dwyer zostali zamordowani. Terrellsowie znaleźli ich zwłoki o świcie, ale wygląda na to, że nie żyją od wczoraj.

Wczoraj. Jackowi zaparło dech w piersi. Przeniknął go lodowaty dreszcz.

Wczoraj. Akurat wtedy włączył się zamroczony po wyspie.

Czuł coraz silniejsze mdłości. Przerazenie paliło mu trzewia. Gdzie się podziewał? Gdzie był, do cholery? I co, na Boga, uczynił?

- Muszę już iść - powiedziała Minerwa drżącym głosem. -

W szkole będzie zebranie w tej sprawie. Pomyślałam, że zechcecie przyjść.

Liza objęła ją na pożegnanie.

- Rozumiem. Zobaczymy się tam.

- Dziękuję. - W oczach Minerwy zalśniły łzy. Odwróciwszy się, pospieszyła w kierunku swojej farmy.

Po chwili niezręcznej ciszy Liza wymówiła imię Jacka. Usłyszawszy w jej głosie lęk, poczuł tak przejmujący żal, że omal nie krzyknął z bólu. Nadzieja, która przepełniała go zaledwie przed kilkoma minutami, rozprysnęła się jak szkło na tysiąc kawałków.

Miał niemal pewność, że zabił tych ludzi. Bez wątpienia nie zamierzał ich skrzywdzić, ale to zrobił. Leżeli teraz martwi, a jego dobre intencje i choroba gówno dla nich znaczyły.

Przypomniał sobie z przerażeniem tę noc. Miał na *longjohns* ślady krwi. Czy naprawdę był tak naiwny, żeby wierzyć, że pochodziły ze skaleczonej ręki? A siniaki, które zostawił na delikatnym nadgarstku żony? Zrobiło mu się gorąco na to wspomnienie. Pamiętał też winchestera, stojącego w kącie stodoły. Zupełnie nie na swoim miejscu. Tej nocy koszmar dopadł go nagle i pochwycił w swoje szpony. Nie był w stanie myśleć. Kierował się impulsami. Jego umysłem zawładnął strach, mrok i rozpacz. Może porwał karabin, myśląc, że strzela do zabójcy Johnny'ego? Kto, do diabła, mógł wiedzieć, co mu się uroiło?

Kto to mógł wiedzieć? Miał rację, że przez te wszystkie lata posądzał siebie o najgorsze skłonności.

Zacisnął powieki, tłumiąc paraliżujące go niemal wyrzuty sumienia i żal z powodu tego, co uczynił Dwyerom. Boże, wybac mi. Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

Liza podeszła do niego i dotknęła jego ramienia.

- Jack, dobrze się czujesz?

Nie śmiał na nią spojrzeć. Bał się, że dostrzeże w jego oczach strach, przerażenie i ból. Może nawet resztkę przesyconej żalem nadziei.

- Nie... - odparł słabym, beznamiętnym głosem, przypominającym szelest martwych liści.

Uwolnił rękę z jej uścisku i odwrócił się.

- Jack, zaczekaj...

Nie zwalniając kroku, powiedział:

- Zaprzęgnę wóz. Ruszamy za piętnaście minut.

Wszedł do stodoły, czując w kręgosłupie każdy krok jak uderzenie młotem. Oddychał płytko i pospiesznie, jakby lada chwila miał wybuchnąć.

Chłodny mrok przyniósł mu ulgę. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, uklęknął na klepisku.

- O Boże! —jęknął rozpaczliwie.

Zamknął oczy, aby się pomodlić, ale zabrakło mu sił. Uniósłszy powoli powieki, zobaczył w kącie, obok warsztatu, zwiniętą czerwoną bieliznę. Strach kazał mu się podźwignąć. To były jego *long johns*. Drżąc, podszedł do skrzyni ze szmatami i wyciągnął podarte brudne odzienie.

Zmięta bawełniana bielizna wysuwała mu się z roztrzęsonych dłoni. Ciemna plama zniknęła na chwilę w morzu czerwieni. Zamrugał, ściskając mocniej sfatygowany materiał. W końcu odzyskał ostrość widzenia i zobaczył wyraźnie na czerwonym tle plamę zaschniętej krwi.

Czyja to krew?

Znów powróciło jak bumerang to przerażające pytanie. Czuł taką bezradność i strach, że ugięły się pod nim kolana. Coraz bardziej trzęsły mu się ręce i przenikał go zimny dreszcz.

Czyja to krew?

Kiedy odzyskał przytomność, myślał, że jego. Spojrzał na zadrapaną, posiniaczoną rękę. Była cała w strupach. Musiała

mocno krwawić. Przytknął ją do piersi. Dokładnie w tym miejscu, gdzie widniała plama.

Ale nie wierzył w to. W głębi duszy zawsze wiedział, że jest zdolny do przemocy, a nawet zbrodni. To nie przypadek, że miał urojenia w dniu morderstwa i wrócił do domu z zakrwawioną odzieżą. Wszystko, co mówiła mu Liza, było zupełnie bez znaczenia. Przeżył cudowną, radosną noc, którą zapamięta na całe życie, ale nie zyskał nic więcej.

Zresztą taki szalenciec jak on nie zasługiwał nawet na to. Teraz było najważniejsze, żeby chronić rodzinę, by mroczna strona jego osobowości nie zagrażała żonie i dzieciom. Pomyślał znowu o brunatnych siniakach na delikatnych nadgarstkach Lizy. Nie wiele brakowało, by złamał jej rękę. Albo zrobił coś gorszego.

Przełknął głośno ślinę. Czuł w ustach smak żółci. Mógł ją skrzywdzić. Mógł skrzywdzić ich wszystkich. Nadal było to możliwe. Znowu będzie miał urojenia. W najmniej oczekiwanym momencie pozbawią go miłości rodziny.

Musiał ich opuścić. Jeśli tego nie zrobi, może skrzywdzić tych, których kochał nad życie. Może następnym razem nie będzie miał dość szczęścia, by chwycić Lizę we śnie za nadgarstek, i złapie ją za gardło.

Na samą myśl o tym przeszedł go dreszcz. Gdyby tylko mógł uwierzyć - choć przez chwilę - że jest niewinny. Ale nie potrafił. Wszystkie dowody świadczyły przeciwko niemu, lecz nie to go przekonywało. Dowody były tylko dowodami. Istniało coś o wiele ważniejszego. Znał siebie. Wiedział, jaki chaos panuje w jego umyśle i na jaką brutalność stać go w chwilach zamroczenia.

Jutro zgłosi się do Eda Warbassa, żeby go aresztował. Żeby wsadził go do więzienia. Wiedział, że zasłużył na coś o wiele gorszego. Ale na razie tylko w ten sposób mógł zapewnić bezpieczeństwo swoim bliskim. I odpokutować za zbrodnie, popełnioną na tych biednych, niewinnych ludziach.

Osunął się znowu na kolana, prawie nie czując zimna i wilgoci. Miał ochotę płakać, ale jego oczy były boleśnie suche.

Przepraszam cię, Lizo. Słowa te kłębiły mu się w głowie w poczuciu przejmującego żalu. Powtarzając je, uświadamiał sobie coraz wyraźniej, jak pusto i bezsensownie brzmią. W ciągu ostatnich tygodni Liza ofiarowała mu to, co -jak sądził - dawno już utracił. Zaczął nawet wierzyć, że nie jest całkiem przegrany.

Wspomnienia krystalizowały się w jego duszy jak okruchy szkła. Widział, jak żona odgarnia mu z czoła spocone włosy i dotyka jego policzka, gdy owładnęło nim bolesne zamroczenie; jak w chłodny wieczór siedzi na ganku na bujanym fotelu, trzymając Katie na kolanach i kreśląc w powietrzu litery; jak pochyła się nad nim naga, by namiętnie go pocałować.

Żal i wstyd ścisnęły mu gardło. Miał w ustach cierpki smak.

Chryste, jak dobrze było poczuć się w końcu ojcem i mężem. Przerastało to jego najśmielsze wyobrażenia, a przecież marzył o tym całe życie. Ileż nocy leżał samotnie na kanapie, wpatrując się w ciemny sufit, oddychając ciężko i pragnąc, by mógł stać się członkiem kochającej rodziny, która istniała tylko w jego umyśle.

Liza spełniła wreszcie te marzenia. Zaopiekowała się dziećmi i obdarzyła je miłością. A potem, co zakrawało już na cud, wyciągnęła rękę do niego.

Okazał się takim głupcem, że jej nie odrzucił, przytknął ją do serca i pozwolił sobie uwierzyć...

Tym samolubnym postępkim wyrządził krzywdę im wszystkim. Dziewczynki i Liza zaufały mu, a on zdeptał ich serca. Czuł, jak z każdym oddechem jego marzenie - ich marzenie - wymyka mu się z rąk, przesypuje się jak piasek między jego zdrętwiałymi, bezużytecznymi palcami.

Niepotrzebnie próbował być ojcem i mężem. Poniósł porażkę, a jej skutki - tak jak przewidywał - okazały się przerażające. Teraz było nawet gorzej niż przedtem. Zawiodł wszystkich, pozostawiając im bolesne wspomnienie szczęścia.

ROZDZIAŁ 26

Szkolny dzwonek brzmiał smętnie i melancholijnie. Tessa owinęła ciaśniej ramiona grubym szalem i rozejrzała się niespokojnie.

Wiszące nisko chmury sunęły po szaroniebieskim niebie, rzucając na ziemię złowrogie cienie. Po obu stronach polnej drogi rosły ogromne, strzeliste cedry, których ciemnozielone korony szeleściły na wietrze.

Konie człapały powoli do przodu. Stukot ich kopyt harmonizował z posępnym brzmieniem dzwonka. Z każdym obrotem skrzypiących metalowych kół wozu Tessa odczuwała coraz większy niepokój. Nie potrafiła określić, co ją dręczy. Próbowwała sobie wmówić, że jest przygnębiona z powodu potwornej zbrodni, ale nie bardzo w to wierzyła. Nad jej rodziną zawisł jakiś upiorny cień. Śmiertelnie ją to przerażało.

Gdy dotarli w końcu na miejsce, zastali na szkolnym podwórku milczący tłum. Jack, manewrując zręcznie między ludźmi i końmi, zatrzymał wóz przy płocie. Wiele twarzy zwróciło się ku nim, ale nikt ich nie pozdrowił.

Tessa zerknęła z ukosa na męża. Siedział napięty jak struna, patrząc przed siebie. Nasunął na oczy sfatygowany kapelusz,

jakby chciał osłonić twarz przed ludźmi. Trzymał kurczowo lecce i miał zaciśnięte usta.

Wyglądał jak człowiek, który zaraz eksploduje.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Jack, czy ty...

Gdy się odwrócił, zaparło jej dech w piersiach na widok przejmującego bólu, który dostrzegła w jego oczach. Wyrażały coś więcej niż zagubienie czy smutek. Coś mroczniejszego, głębszego, bliższego przerażeniu niż żalowi.

Chciał jej odpowiedzieć, ale się rozmyślił i zeskoczył z wozu. Dziewczynki poszły za jego przykładem.

Tessa również wysiadła i stanęła obok męża. Trzymając w objęciach niemowlę, patrzyła na niego z dziwnym uczuciem, że zdarzyło się coś bardzo złego. Coś o wiele groźniejszego niż morderstwo.

- Jack, ja...

Przecisnął się obok niej i ruszył w kierunku szkoły z wysoko uniesioną głową i wyprostowanymi ramionami.

Katie spojrzała na nią i pospieszyła za Savannah i Jackiem. Tessie nie pozostało nic innego, jak podążyć za nimi. Cała rodzina dotarła do schodów w wojskowym szyku. Zwarli szeregi, wzajemnie dodając sobie sił. Dziewczynki wymieniły bez słowa spojrzenia, które mówiły „głowa do góry”.

Jack na nikogo nie patrzył. Wlepił wzrok w zamknięte drzwi, a na jego twarzy nie było ani śladu emocji.

Weszli po schodach do budynku szkoły. Salę wypełniał po brzegi gestykułujący, rozdyskutowany tłum. Strzępy rozmów, które dało się usłyszeć, nie pozostawiały wątpliwości, o czym mówiono.

- A jak sądzisz...

- To okropne, słyszałem, że...

- Indianie...

Nagle gwar umilkł. Przez chwilę rozlegały się jeszcze jakieś

szmery, a potem zapadła cisza. Wszyscy odwrócili się w ich kierunku. Mieli blade twarze i zaciśnięte usta. Mrużąc oczy, przyglądali się podejrzliwie Jackowi.

Tessę przeniknął zimny dreszcz. Oni myślą, że Jack zabił tych ludzi. Spojrzawszy na jego surową, obojętną twarz, zrozumiała, że zdaje sobie z tego sprawę. W oczach miał jednak coś, co sprawiło, że zaniemówiła z przerażenia. Poczucie winy.

Wczoraj. Wspomniawszy słowa Minerwy stanęła jak rażona piorunem. Morderstwa dokonano podobno w ciągu ostatnich dwóch dni. Wczoraj Jack włóczył się po wyspie i nie pamiętał, co robił.

Tessa poczuła dławiący strach. Niech szlag trafi tych ludzi! On myśli, że jest zabójcą! Zasłoniła ręką usta, by stłumić szloch. Chciała coś powiedzieć, ulżyć jakoś jego cierpieniu, ale brakowało jej słów. Była bezradna. I tak by jej nie wysłuchał.

Poczuła przyptyw bezsilnej rozpacz. Nigdy sobie z tym nie poradzi. Może w niego wierzyć i kochać go całą wieczność, a i to nie wystarczy, jeśli Jack nie uwierzy w siebie.

- W porządku. Zaczynajmy! — rozległ się głos z przodu sali.
- Co wiesz, Ed? - zawołał ktoś z obecnych.

Mężczyzna stojący na przedzie dał znak, by wszyscy się uciszyli.

- Na razie niewiele, Charlie. Jak słyszeliście, Henry i Selina Dwyer zostali zamordowani. Na podstawie dowodów można przypuszczać, że stało się to wczoraj rano. Albo przedwczoraj.

- Kto to zrobił?! - krzyknął ktoś gniewnie.

Ed wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiemy, Will. Wiadomo tylko na pewno, że zabójca nosił buty numer siedem z siedmioma rzędami ćwieków na podeszwie. Znalazłem też ciekawy dowód rzecz/owy w piwnicy Dwyerów. Wysłałem list do Victorii, żeby przysłali do nas oficera śledczego.

- A w czym my możemy pomóc?

- Jeśli ktokolwiek widział albo słyszał coś niezwykłego, będę wdzięczny za informacje. Spróbujcie sobie przypomnieć, co działo się po burzy. Nie ruszajcie się z domów i dokładnie zamykajcie drzwi. Morderca jest nadal na wolności - i może być wśród nas.

Jazda do domu wlokła się w nieskończoność. Wszyscy milczeli, mając poczucie zbliżającej się nieuchronnie katastrofy.

Tessa siedziała sztywna jak słup, zaciskając ręce na brzuchu. Co jakiś czas zerkała z ukosa na Jacka, ale za każdym razem miała wrażenie, jakby ktoś wbijał jej nóż w serce. Siedziała wyprostowana, patrząc przed siebie. Spowodowane cierpieniem zmarszczki wokół ust i oczu postarzały go o kilkanaście lat.

Kiedy dotarli do domu, położyła Kaleba do łóżka i zagoniła dziewczynki do sypialni. Spojrzawszy w ich przerażone oczy, poczuła taki gniew, że miała ochotę krzyknąć na cały głos. Nic jednak nie powiedziała. Musiała najpierw porozmawiać z Jackiem.

- Dobranoc, mamó - powiedziała beznamiętnie Savannah.

- Dobranoc - mruknęła Katie.

Tessa przytuliła je obie, pocałowała i patrzyła, jak kładą się spać.

- Zmówimy modlitwę? - spytała cicho Katie.

Tessa zmusiła się do uśmiechu.

- Dziś nie, kochanie. Muszę... porozmawiać z waszym tatusiem.

- Powiedz mu, że go kochamy - szepnęła Savannah.

Te słowa, wypowiedziane przez dziecko, owładnięte strachem jak dorosła osoba, ścisnęły Tessę za gardło. Zdołała tylko skinać głową w odpowiedzi.

- Dobranoc, dziewczynki. - Odwróciwszy się, zamknęła za sobą drzwi, szybko wzięła się w garść i dumnie wyprostowana ruszyła polną drogą w kierunku stodoły.

Nie pozwoli Jackowi się wycofać. Zaszli już zbyt daleko. Ale zbliżając się do stodoły, miała coraz więcej wątpliwości. Zwolniła niepewnie kroku i zatrzymała się przy drzwiach. Były częściowo uchylone i przez szczelinę sączyło się ze środka światło, rzucając zygzakowatą żółtą smugę na jej spódnicę. Usłyszała ciężki oddech Jacka.

Przestała się wahać. Był tam i cierpiał. Uniósłszy głowę, wślizgnęła się do stodoły.

- Pomóż mi, Boże - modlił się zbolałym głosem. - Błagam...

Tessę ogarnął bezbrzeżny smutek. Jack stał przy warsztacie, samotny i przerażony. Był odwrócony do niej plecami, ale nie musiała widzieć jego twarzy, by zdawać sobie sprawę, co czuje. Wyrażały to jego napięte mięśnie, postawa, chrapliwy głos. Już z daleka dostrzegła leżące przed nim pomięte czerwone *longjohns* z zaschniętą plamą krwi. Obok zobaczyła zabłocone buty. Wiedziała, że nosi numer siedem.

Jack zgromadził obciążające go dowody.

- Błagam - wyszeptał ponownie. - Błagam...

Tessa poczuła bolesny skurcz w sercu. Do oczu napłynęły jej łzy.

Rozumiała tak dobrze tę rozpaczliwą modlitwę, pamiętała ten ton głosu, pełen żarliwości i tęsknoty. Powtarzała te słowa setki razy, tyle że nikt ich nie słyszał. Dla świata jej modlitwa była jedynie nic nieznaczącymi ruchami ust głuchej dziewczynki. Docierała tylko do Boga.

Wiedziała, co czuje Jack, i nie była już tym zaskoczona. Mieli ze sobą wiele wspólnego. Znała go i rozumiała. Był przerażony, zrozpaczony i samotny.

Zdawała sobie sprawę, że najgorsza jest samotność. Przytłacza człowieka i napełnia lękiem. Podeszła do niego bezgłośnie i dotknęła jego ramienia.

- Jack?

Wyprostował się raptownie i odsunął od niej.

- Co tu robisz, do cholery?!

Spojrzała mu w oczy i znalazła w nich potwierdzenie swych najgorszych przeczuć. Był gotowy znowu wszystko rzucić i uciec.

- Przestań, Jack. Nie wycofuj się. Zaszliśmy już tak daleko.

- Odejdź - powiedział, błędąc.

- Jack, nie zamkniesz mi już ust. Nie pozwolę...

Chwyił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Uderzyła tak mocno o jego tors, że powietrze uleciało jej z płuc z bolesnym świstem, a głowa odskoczyła do tyłu. Patrzyła na niego, z trudem oddychając.

- Wszystko skończone, Lizo. - Oczy zaszyły mu mgłą, a jego głos brzmiał ochryple i szorstko. - Musisz się z tym pogodzić.

Wpatrywała się w niego z przerażeniem. Czuła, jak nieuchronnie zaciska się na jej szyi pętla.

- Nie! - powiedziała drżącym, zrozpaczonym głosem, który z trudem rozpoznawała. - Nie pozwolę ci na to.

- Nie masz wyboru.

Słyszając te spokojne, ciche słowa, zacisnęła powieki, by się nie rozpłakać.

- Kocham cię, Jack.

- Ja też cię kocham. - Powiedział to z takim smutkiem, że miała wrażenie, jakby dostała cios w żołądek.

Zrozumiała, że jej miłość mu nie wystarczy.

Następnego ranka Tessa stała przy kuchennym stole, rozdrabniając sól. Wpatrywała się w biały kopczyk tak intensywnie, że obraz rozmazywał jej się przed oczami. Widziała swoje dłonie, zaciśnięte na drewnianym wałku, ale równie dobrze mogły to być ręce innej kobiety. Czuła się tak, jakby dusza opuściła jej ciało. Była potwornie przerażona i musiała hamować

się całą siłą woli, by nie wybuchnąć płaczem lub nie wrzeszczeć na całe gardło.

Minionej nocy, gdy wyszli ze stodoły, Jack był taki obcy i oziębły. Jego milczenie sprawiało jej straszliwy ból. Leżeli obok siebie w łóżku, dotykając się, lecz zachowując dystans. W napiętej ciszy słychać było ich niespokojne oddechy. Czekwała, by ją pocałował, ale gdy to w końcu uczynił, sprawił jej tylko przykrość. Potem wziął ją w ramiona i przygarnął do siebie, ale nawet wtedy czuła się samotna i wystraszona.

- Dobranoc - wyszeptał i zamknął oczy, udając, że śpi. Tessie wydawało się, że mówi „żegnaj”.

Ale nie zamierzała się poddać. Dzięki Bogu, mieli jeszcze czas, by odzyskać swoją miłość i wyzwolić Jacka od strachu. Zabłysnął jej promyk nadziei. Może był to dobry dzień na cuda.

Wyrwał ją z zamyślenia dolatujący przez otwarte okno w kuchni odgłos skrzypiących kół wozu. Odłożywszy wałek, wytarła o fartuch obsypane solą ręce i wyszła na zewnątrz.

Sawannah bujała Katie na huśtawce pod drzewem. Ich radosny śmiech rozbrzmiewał w rześkim powietrzu. Tessa rozejrzała się, wypatrując męża. Stał po drugiej stronie drogi, trzymając niedbale nogę na dolnej poprzeczce ogrodzenia. Miał kapelusz zsunięty na oczy, jakby dla ochrony przed słońcem, ale dzień był pochmurny i zimny.

Tessę ogarnął niepokój. Coś było nie w porządku. Jack w ciągu dnia nigdy nie włóczył się bez celu. Poprawiła machinalnie kosmyk włosów, który wysunął jej się z koka i podeszła do balustrady na ganku, wyciągając szyję, by sprawdzić, kto nadjeżdża.

Wóz zmierzał z łoskotem po polnej drodze w ich kierunku, wzniesając chmurę kurzu, która przesłaniała woźnicę,

- Ktoś jedzie! - zawołała Katie, zeskakując z huśtawki
Popędziła z siostrą przez podwórko i podbiegła do matki

- Kto to może być? - spytała Savannah.

Tessa nie potrafiła odpowiedzieć. Pokręciła niepewnie głową i wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od chmury pyłu i odczuwając coraz większy niepokój. Spojrzała na Jacka. Był blady jak ściana. Nie dostrzegła w jego oczach niepewności ani zaskoczenia. Dobrze wiedział, kogo się spodziewać.

Tessa poczuła dławiący strach. Przytknęła dłoń do ust.
O Boże, Jack, coś ty zrobił?

Wóz wyłonił się zza zakrętu. Na koźle siedział sędzia pokoju Ed Warbass.

Pod Tessą ugięły się kolana. Zaciskając rękę jeszcze mocniej na ustach, popatrzyła z przerażeniem na męża.

Ich spojrzenia się spotkały. Dostrzegła w jego oczach smutek i żal.

- Przepraszam - powiedział, poruszając bezgłośnie wargami.

Tessie brakowało powietrza. Myślała, że zemdleje, ale opanowała się siłą woli.

Jack przyznał się do popełnienia zbrodni.

- Nie! - krzyknęła. Podkasawszy starą spódnicę, zbiegła po schodach na drogę i rzuciła się mężowi w ramiona.

- Powiedz, że nie przyznałeś się do winy! - szeptała gorączkowo.

Kiedy nie odpowiadał, cofnęła się i spojrzała na niego, wrzeszcząc:

- Odezwij się!

Jack wzdrygnął się. Smutek wykrzywił jego twarz, sprawiając, że wydawał się stary i zmęczony.

- Wczoraj po zebraniu poprosiłem Eda Warbassa, żeby mnie aresztował.

- Niech cię diabli porwą, Jacku Rafferty! - syknęła.

- Z pewnością tak będzie, Lizo. - Próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

Ku zaskoczeniu ich obojga, uderzyła go z całej siły w twarz.

- Nie doprowadzaj mnie do wściekłości. - Głos jej się załamał. Dławiły ją łzy. - Nie waż się...

Zamknęła oczy, próbując się uspokoić. Musiała być chłodna i opanowana, by spokojnie i racjonalnie przekonać Jacka - i Eda - że zaszła tragiczna pomyłka.

Usiłowała zachować naukowy obiektywizm, co zawsze przychodziło jej bez trudu, ale tym razem pogrzebała go lawina strachu. Przytknęła drżąca, lodowatą dłoń do gardła. Nie mogła zdobyć się na racjonalizm. Miała wrażenie, że się rozsypuje. Wszystko, czego pragnęła i o czym śniła, było przed nią, w zasięgu ręki, a jednak wymykało się jej jak nieuchwytna mgła.

Wóz zatrzymał się przed nimi.

- Prr...! - zawołał na konia Ed Warbass, ściągając lejce.

Jack podniósł wzrok.

- Cześć, Ed.

Ed zdjął z głowy kapelusz i przytknął go do brzucha.

- Cześć, Jack. Dzień dobry, pani Rafferty - dodał, zwracając się do Tessy.

Podbiegła do wozu i zacisnęła dłoń na jego drewnianej krawędzi.

- On tego nie zrobił, Ed. Przysięgam.

Mężczyzna spojrział niepewnie na Jacka i odparł cicho:

- Przyznał się.

Tessa obróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do męża.

- Powiedz, że to nieprawda! Proszę! - Nawet na nią nie spojrzął. Zabolało ją to bardziej, niż gdyby wymierzył jej policzek. Wściekłość przywróciła jej energię. - Nie, do cholery! - powiedziała do Warbassa. - On tego nie zrobił. Nie słuchaj go, on jest...

- Szalony - stwierdził beznamiętnie Jack.

Tessa odwróciła się raptownie.

- Do diabła, Jack, nie jesteś szalony, tylko... przerażony.

- Zegnaj, Lizo.

Ziemia zachwiała jej się pod nogami. Drżała na całym ciele, jakby ogarnięta gorączką.

- Och, Jack...

Odwrócił się do niej powoli. Jego twarz była pozbawiona emocji. Z pozoru wyglądał rzeczywiście jak bezlitosny zabójca.

Ale w zielonej głębi jego oczu Tessa dostrzegła tak przejmujący ból, że z pewnością tylko nadludzkim wysiłkiem nad sobą panował. Usta zadrżały mu lekko, lecz po chwili znów mocno je zacisnął.

- Dlaczego? - zapytała szeptem.

- Muszę chronić moją rodzinę.

Tessa przełknęła głośno ślinę.

- Jesteśmy bezpieczni z tobą, Jack, nie bez ciebie. - Zrobiła krok w jego kierunku i położyła mu dłoń na piersi. - Nigdy bez ciebie.

Pochylił się i pocałował ją. Był to gorzki pocałunek, który trwał zbyt krótko.

- Kocham cię — wyszeptał, dotykając niemal wargami jej czoła.

Tessa rzuciła mu się na szyję i mocno do niego przyłgnęła, rozpaczliwie szlochając. Czuła pustkę w sercu i ściskanie w gardle.

- Błagam, nie rób tego! Błagam...

Odsunął ją delikatnie od siebie.

- Muszę, Lizo - odparł stłumionym głosem. - Muszę.

Zachwiała się i omal nie upadła. Miała wrażenie, że ktoś miażdży jej powoli wszystkie kości. Widziała wszystko jak przez mgłę i sylwetka Jacka rysowała się jej smukłą, ciemną plamą na tle szarego nieba.

- Do widzenia, Lizo.

- Tatusiu, nie odchodź! - Savannah zbiegła ze schodów i rzuciła się Jackowi w ramiona. - Nie odchodź!

Katie była tuż za nią. Jack tulił je do siebie przez dłuższy czas, odgarniając im z twarzy mokre od łez włosy, ale w końcu oznajmił:

- Muszę już iść.

Katie spojrzała na Warbassa. Jej drobnym ciałem wstrząsał cichy szloch.

- N...nie z...zabieraj mi... tatusia.

Mężczyzna poprawił kołnierzyk i odwrócił wzrok.

- Przykro mi, panienko.

Jack sięgnął po stojącą za ogrodzeniem torbę. Zobaczywszy ją, Tessa poczuła taki przyptyw wściekłości, że na chwilę zapomniała o smutku.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi nic wczorajszej nocy?

Odwrócił się i spojrzał na nią, muskając delikatnie palcem jej policzek.

- Nie mogłem. Jeszcze byś mnie namówiła do zmiany decyzji.

- Mąż będzie w więzieniu w Victorii, pani Rafferty. Przed procesem może go pani odwiedzać w każdej chwili.

Nie oglądając się już, Jack wspiął się na wóz.

Tessa przyłożyła rękę do ust, aby nie krzyknąć. Oczy zaszyły jej mgłą, a łzy dławiły tak, że nie mogła oddychać. Ugięły się pod nią nogi i osunęła się zrozpaczona na polną drogę. Kurz, wzniecony przez metalowe koła wozu, osiadł na jej twarzy i zmieszał się ze łzami.

- Wracaj - wyszeptała zbolalym głosem, czując na języku drobiny pyłu.

Wóz odjechał w dal.

Tessa nie miała pojęcia, jak długo siedziała skulona na polnej drodze z zapłakaną, brudną od kurzu twarzą. Czekwała z desperacką nadzieją, że wóz pojawi się ponownie i Ed podejdzie do niej i powie: „Przepraszam, pani Rafferty, zaszła straszliwa pomyłka...”.

Z ust wyrwał jej się zduszony szloch. Widziała jak pr/cz mgłą kamienistą polną drogę.

- Mamo? - Katie przydreptała do niej i uklękła obok. - Co teraz zrobimy?

- Nic nie możemy poradzić - odparła zmęczonym głosem Savannah. - Tatuś pójdzie do więzienia.

Tessa wyprostowała się powoli. Dzieci. Nie mogła się teraz załamać. Musi być silna dla nich. Pociągnawszy nosem, otarła łzy wierzchem dłoni i spojrzała na starszą dziewczynkę, która stała sztywna jak słupek, zapłakana i blada.

- Podejdz tu, Sawo - powiedziała cicho.

Savannah zbliżyła się do matki i uklękła obok niej na ziemi. Tessa objęła obie dziewczynki i przygarnęła je do siebie.

- On tego nie zrobił - wyszeptała, czując, że do oczu znów napływają jej łzy.

- Wiem - stwierdziła Savannah.

- Więc dlaczego się przyznał? - spytała Katie cichutkim głosikiem, sprawiając, że Tessę ścisnęło coś w gardle.

- Trudno to wyjaśnić, kochanie. Twój tatuś uważa, że nie jest dobrym człowiekiem. A jeśli ktoś nie wierzy w siebie, oskarża się o złe skłonności.

- Och - westchnęła Katie.

- Teraz tatuś potrzebuje naszej pomocy. Jesteśmy rodziną, a rodzina zawsze trzyma się razem.

- Może Bóg go poratuje - stwierdziła Katie.

- Na pewno, kochanie, ale Bóg pomaga tym, którzy sami potrafią sobie radzić.

- Co to znaczy, mamo?

Tessa przytuliła mocno dziewczynki.

- Czekałam całe życie, żeby móc kogoś kochać i żeby ktoś pokochał mnie. - Pogładziła je po włosach. - Marzyłam o tym, by mieć rodzinę. I teraz nie poddam się bez walki.

- Kocham cię, mamo - szepnęła Savannah.

- Ja też was kocham - mruknęła Tessa zduszonym głosem. -

Aż do bólu. Zastanówmy się teraz razem, jak pomóc waszemu ojcu.

Po śniadaniu Tessa kazała Savannah i Katie nazrywać polnych kwiatów. Potrzebowała czasu do namysłu. Wyszła na ganek, nasłuchując bezwiednie skrzypienia desek pod stopami. Zszedłszy po schodach, usiadła na huśtawce. Odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Łagodne kołysanie koiło jej zbolałą duszę. Nagle zaczęło padać. Chłodne krople deszczu przenikały przez liście drzew i kapały jej na twarz. Ich monotonne bębnienie o trawę harmonizowało z rytmem uderzeń jej serca.

Jakaś szczególnie duża kropla trafiła ją w oko. Otarła ją rękawem i zamrugała. I wtedy zobaczyła w trawie coś żółtego. Zsunęła się z huśtawki na moką ziemię.

Leżał tam zwiędnięty rozerwany wianek z mleczów.

Podniosła go drżącymi, zziębniętymi rękami. Widziała jak przez mgłę jasnożółte kwiaty. Przytknęła je do piersi, czując mocny, znajomy zapach mleczów, trawy i deszczu. Starła się być dzielna i silna dla dziewczynek, Kaleba i Jacka, pohamować łzy i opanować ból. Ale tym razem nie potrafiła się powstrzymać.

Uklękawszy w mokrej trawie z przytkniętymi do piersi zwiędniętymi kwiatami, Wybuchnęła płaczem. Wkrótce bolało ją gardło, oczy i płuca, a nogi miała lodowato zimne.

Płakała, aż zbrakło jej łez. Wtedy, pociągając głośno nosem i ocierając przekrwione oczy, podniosła się z ziemi i wróciła powoli do domu.

Czuła się teraz silniejsza. Gotowa znaleźć sposób, by wyostać Jacka z więzienia.



Tessa dotarła zdyszana do farmy państwa Hannah. Podchodząc do niewielkiego domu, starała się równomiernie oddychać. Strugi deszczu spływały z dachu na stary drewniany ganek.

Spokojnie, Tesso. Tylko spokojnie.

Podkasawszy wełnianą spódnicę, wspięła się po drewnianych schodach i zastukała mocno do frontowych drzwi. W środku rozległo się pospieszne szuranie stóp i drzwi otworzyły się na oścież. Na progu stała Minerwa.

Uśmiechnęła się od razu.

- Lizo, co za miła niespodzianka!

Tessa starała się opanować drżenie głosu.

- Nie taka miła, Minerwo.

- Wejdz - odparła gospodyni, marszcząc czoło.

- Dzięki. - Tessa wślizgnęła się do małej, przytulnej kuchni i zajęła miejsce przy stole.

Minerwa podeszła od razu do piecyka, nalała kawy do dwóch kubków i postawiwszy jeden przed gościem, także usiadła.

- A więc co się stało?

Przez chwilę Tessa nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

Zacisnęła palce na metalowym kubku i wciągnęła głęboko powietrze.

- Jack... - Odwróciła wzrok, nie mogąc mówić.

Minerwa położyła rękę na jej dłoni.

- Co Jack?

Tessa przełknęła głośno ślinę, czując gorzki smak łez.

- On myśli, że zabił Dwyerów.

Minerwa sapnęła cicho, ale nie cofnęła ręki.

- Oczywiście, nie zrobił tego, ale tak bardzo się boi...

Minerwa odstawiała z brzękiem kubek.

- Czego?

Tessa podniosła niechętnie wzrok.

- Miał... ciężkie przeżycia w czasie wojny i nie może o nich zapomnieć. Dlatego tak wystraszyły go fajerwerki. Hałasy przywołują wspomnienia, które wolałyby wymazać z pamięci, i wtedy zachowuje się trochę... dziwnie. Ale nigdy nikogo nie skrzywdził.

Minerwa przyglądała się jej z namysłem. Tessa poruszyła się niespokojnie. Przypomniała sobie nagle słowa Jacka: *Bądź dla nich miła*. Skrzywiła się na myśl o tym, ile razy Amarylis musiała zachowywać się niegrzecznie wobec tej kobiety. Błagam, nie odpłacaj mi teraz za to. Tak bardzo potrzebuję przyjaznej duszy...

- Ja też nie sądzę, żeby był winien - stwierdziła cicho Minerwa, zmuszając się do uśmiechu. - Ale to niewiele ci da.

Tessa westchnęła.

- Sama nie wiem, po co tu przyszłam. Chyba miałam nadzieję, że pomożesz mi coś wymyślić. Cokolwiek. Nie mogę siedzieć beczynnie w domu, gdy on gnije w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił.

Minerwa spuściła oczy. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się z namysłem w kubek z kawą, po czym powoli podniosła wzrok.

- Przykro mi, Lizo.

Tessa przygryzła dolną wargę, by opanować jej drżenie, i podniosła się ociężale z krzesła.

- No cóż... - Głos uwiązał jej w gardle, więc musiała odchrząknąć. - Gdybyś coś wymyśliła, będę w domu.

Minerwa wstała od stołu.

- Jack na pewno zda sobie sprawę, że tego nie zrobił, i powie Edowi prawdę.

Tessa skinęła sztywno głową.

- Pewnie masz rację.

Ale spojrzawszy w zatroskane szaroniebieskie oczy Minerwy, zważyła w prawdziwość tych słów. Jack nigdy nie zmieni swojej decyzji.

Minerwa otworzyła przed nią ramiona. Tessa zacisnęła powieki i podeszła do niej, znajdując pocieszenie w jej serdecznym uścisku.

Następnego ranka obudziło ją walenie do frontowych drzwi.

- Lizo, otwórz! Lizo!

Wygramoliła się z łóżka i narzuciła na siebie szlafrok. Idąc chwiejnym krokiem przez pokój, czuła pod bosymi stopami lodowato zimną podłogę.

Grzmocenie w drzwi było coraz głośniejsze.

- Lizo!

- Już idę! - wybełkotała, nie całkiem jeszcze przytomna. Przetarła zmęczone, zbolące oczy, wiedząc, że są podkrążone i czerwone po źle przespanej nocy. Zmusiłszy się do uśmiechu, otworzyła drzwi.

Na ganku stali Minerwa, Jim i Ed Warbass.

Tessie zaparło dech w piersiach. To była pomyłka. Odzyskała na chwilę nadzieję, ale zobaczywszy poważne spojrzenie Eda, pozbyła się złudzeń.

Minerwa pokazała jej strzelbę.

- Znalazłam ją wczorajszej nocy w stodole.

Tessa odgarnęła z oczu kosmyk włosów.

- Ładna - stwierdziła, przyglądając się długiej groźnej broni.

- Należy do Benjamina i Harveya...

- To nasi synowie - wtrącił Jim.

Tessa przyglądała się na przemian Minerwie i Jimowi. Wiedziała, że dzieje się coś ważnego, ale była cholernie zmęczona, przepłakała pół nocy i nie miała ochoty wysłuchiwać opowieści o strzelbie ich synów.

- Minerwo, ja...

Minerwa zbyła jej protesty niecierpliwym machnięciem ręki.

- Kiedy wczoraj wyszłaś, rozmyślałam nad tym, jak bardzo się ostatnio zmieniłaś, jak zmienił się Jack, a nawet dziewczynki, i chciałam ci jakoś pomóc. Gdy wszyscy położyli się już spać, długo nie mogłam zasnąć. Wydawało mi się, że wiem coś istotnego, ale nie potrafiłam tego sprecyzować. I nagle mnie olśniło. Uprzytomniłam sobie, że Joe i Kie Nuanna pożyczili strzelbę od naszych chłopców. Z jakiegoś powodu utkwiło mi to w pamięci. Powtarzałam w myślach: strzelba, strzelba. Wstałam, włożyłam szlafrok i wyszłam z domu. Zanim się zorientowałam, byłam już w stodole, szukając tej cholernej broni. Kiedy ją znalazłam i zobaczyłam plamy na kolbie, wszystko ułożyło się w logiczną całość. I przypomniałam sobie o zaginionej ładownicy.

Minerwa przecisnęła się obok Tessy i usiadła przy stole w kuchni. Ed i Jim poszli za jej przykładem. Wszyscy troje wpatrywali się w Tessę, jakby czekając, jak zareaguje na szokującą informację o ładownicy.

Minerwa położyła broń na stole i oznajmiła:

- Pewnie się zastanawiasz, po co ci to opowiadam. Ja też nie od razu pojęłam, co się stało. Jeszcze trochę cierpliwości, dobrze? Chcę, żebyś dokładnie wszystko zrozumiała.

Tessa skinęła głową.

- W porządku.

- Joe i Kie pożyczali już od nas broń. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Dlatego umknęło to wcześniej mojej uwagi. Parę razy przynosili nam nawet jakąś upolowaną zwierzynę. Wiedzieli, że nasi chłopcy dostali ode mnie tę łądownicę w prezencie na Boże Narodzenie. Tym bardziej dziwiłam się, że nawet nie przeprosili, gdy im zginęła. Potem zrozumiałam dlaczego. - Rzuciła Tessie wymowne spojrzenie. - Nie chcieli się do tego przyznać, bo dobrze wiedzieli, gdzie ją zgubili. Gdy tylko to sobie uświadomiłam, posłałam po Eda i przyznał mi rację. Zwłaszcza kiedy zobaczył broń.

Tessa spoglądała ponownie na strzelbę, tym razem o wiele uważniej. Drewnianą kolbę pokrywały brzydkie brunatne plamy. Poczwała mrowienie na skórze.

- To krew - powiedział cicho Jim. - Ktoś musiał posługiwać się tą bronią jak... maczugą.

Nagle wszystko stało się jasne. Tessie mocniej zabiło serce. Opadła powoli na krzesło. Ręce zaczęły jej drżeć z podniecenia.

- Kiedy chłopcy pożyczili tę strzelbę?

Minerwa patrzyła jej spokojnie w oczy.

- W środę. Tego dnia, gdy zabito Dwyerów.

- O Boże!

Ed pochylił się nad stołem, kładąc łokcie na blacie.

- Nie mam pewności, czy na strzelbie jest ludzka krew, ale tak przypuszczam. Muszę posłać próbkę do analizy do Victorii.

Tessa zrozumiała natychmiast, dlaczego fakt zaginięcia łądownicy ma tak duże znaczenie. Spojrzała Edowi w oczy i zapytała:

- Znaleźliście łądownicę?

- Nie mogę ujawniać dowodów w toczącym się śledztwie. - Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. - Ale w piwnicy Dwyerów odkryłem bardzo interesujące ślady.

Tessa odetchnęła z ulgą.

- Wypuście teraz Jacka?

Ed uśmiechnął się przepraszająco.

- To nie takie proste, pani Rafferty. On nie chce opuścić więzienia. Uważa, że popełnił zbrodnię, i śmiertelnie się boi, że znowu kogoś skrzywdzi.

- On tego nie zrobił.

Ed położył jej rękę na ramieniu i lekko je uściśnął.

- Pani mąż jest upartym człowiekiem. Nie wyjdzie z celi, dopóki nie będzie miał pewności, że nie dopuścił się morderstwa.

- Więc co zrobimy? - zapytała Tessa.

Ed zmarszczył czoło.

- No cóż, udam się do obozu Kanaka i sprawdzę, czy są tam Joe i Kie. Jeśli tak, aresztuję ich. Może wtedy oczyścimy Jacka z podejrzeń.

- Po co oni zabili tych ludzi? - spytał Jim. - Czyżby dla pieniędzy?

- To jest właśnie najsmutniejsze - stwierdził poważnie Ed. - Nie ukradziono niczego cennego. Ktoś zamordował tych poczciwych ludzi dla kieszonkowego zegarka, który Henry oddałby bez namysłu.

- Jak możemy pomóc w dochodzeniu? - zapytała Tessa.

- Przydałoby się zrobić jeszcze jedno zebranie. Możemy teraz przekazać ludziom bardziej konkretne informacje. Może ktoś widział Joego i Kie w środę i nie sądził, że to ma jakieś znaczenie.

- Mogę porozmawiać z okolicznymi mieszkańcami - zaproponowała Tessa. - Poprosić sąsiadów o pomoc.

Na twarzy Eda pojawił się bolesny grymas.

- To niekoniecznie dobry pomysł. Wyspiarze nie ufają Jackowi... ani pani. - Skrzywił się, jakby to wyznanie przeszło mu z trudem przez gardło. - Może wcale nie zechcą pani pomagać w wydostaniu Jacka z więzienia.

Oczywiście, Ed miał rację. Joe i Kie cieszyli się na wyspie większym zaufaniem niż Jack Rafferty. Ale nie zamierzała pozwolić, by lokalne uprzedzenia powstrzymały ją od działania. Spojrzała Edowi prosto w oczy.

- Przekonam ich, żeby nam pomogli.

Ed uśmiechnął się zdawkowo.

- Odnoszę wrażenie, że wyspiarze są bez szans.

Tessa uśmiechnęła się szeroko po raz pierwszy, odkąd Jack ją opuścił. Boże, jak dobrze było móc coś zrobić, zamiast siedzieć beczynn timer i czekać.

- Chyba tak.

Jack oddychał ciężko w mrocznej celi. Ściany zamykały się wokół niego. Czuł się jak samotne, uwięzione w klatce zwierzę.

Myśl, do cholery! Przypomnij sobie!

Chodził tam i z powrotem z założonymi na plecach rękami, licząc kroki. Stukanie obcasów o brudną drewnianą podłogę brzmiało nieprzyzwoicie głośno w martwej ciszy.

Miał w umyśle totalną pustkę. Nie wiedział, gdzie był, gdy stracił świadomość, i co robił. Kłębiły mu się w głowie różne myśli i obrazy. Krew na ubraniu, rozmiar butów, liczba ćwieków w podszewie, oskarżycielskie spojrzenie martwych oczu Johny'ego... Według swego rozeznania, musiał być zamroczony co najmniej przez dziesięć godzin. Wystarczająco długo.

Podszedł do niewielkiego okna i zacisnął dłonie na żelaznych prętach. Drżał z wysiłku, próbując coś sobie przypomnieć. Pochyliwszy się naprzód, zamknął oczy i przytknął czoło do chłodnego metalu.

Liza. Myśl o niej działała kojąco jak łyk zimnej wody w upalny letni dzień. Westchnął ciężko. Chryste, jak bardzo za nią tęsknił!

Zasłużyłeś na to. Odwróciwszy się od okna, zaczął znów chodzić po celi.

- Hej, kolego. Coś nie tak?

Jack spojrział na strażnika, zaskoczony, jak wielką poczuł ulgę, słysząc ludzki głos. Próbował się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

- Dzięki. Wszystko gra.

Strażnik odsunął z czoła wojskową czapkę.

- Potrzebujesz czegoś?

To zdawkowe pytanie wywołało u Jacka falę rozpaczy. Tak, potrzebował jak powietrza żony, rodziny, normalnego życia.

- Nie - mruknął.

- W porządku.

Jack patrzył, jak strażnik odchodzi, i walczył z głupią pokusą, żeby zawołać go z powrotem - choćby tylko po to, by z nim porozmawiać. Nie chciał czuć się taki cholernie samotny. Pusty korytarz naigrawał się z jego cierpienia.

Chwycił drżącym rękami zardzewiałe pręty i uderzył czołem o zimny metal. Pomóż mi, Boże. Pozwól mi sobie przypomnieć. Przynajmniej będę pewny. Błagam...

Znów usłyszał kroki na korytarzu.

Otworzył z wysiłkiem oczy. Strażnik stał obok celi z założonymi rękami.

- Nie powinieneś walić tak głową o kraty. Nie mamy tu lekarza.

Jack uniósł niechętnie czoło.

- Przepraszam.

Strażnik zamierzał odejść, ale przystanął jeszcze na moment.

- Może dam ci papier i pióro, kolego? Miałybys się czym zająć.

Lekarze się mylili, Jack. Nieporadzisz sobie z przeszłością, usiłując o wszystkim zapomnieć. Musisz pamiętać...

Przeniknął go lodowaty dreszcz.

- To jak? - dopytywał się strażnik. - Chcesz spróbować?
Spróbuj, Jack. Tylko o to cię proszę. Spróbuj.

Zacisnął ręce na prętach. Drobiny rdzy przylgnęły do jego spoconych palców.

- Tak - powiedział cicho. - Spróbuję.

- W porządku. - Strażnik pospieszył do swego biura i przyniósł świecę, papier, pióro i atrament. - Proszę - powiedział, podając mu to wszystko przez kraty.

- Dzięki.

Kiedy mężczyzna odszedł, Jack postawił świecę na nierównej podłodze. Poczł zapach wilgotnej ziemi. Usiadł po turecku obok świecy i położył na kolanach Biblię, a na niej kartkę papieru. Wygładziwszy ją, zamoczył ostrożnie pióro w atramencie.

Trzymając je nieruchomo nad kartką, westchnął ciężko. Nie był w stanie nic napisać.

Postaraj się, Jack. Słyszał głos Lizy tak wyraźnie, jakby była z nim w celi. Zamknął oczy i przez ułamek sekundy miał wrażenie, że czuje ciepło ciała i jej oddech.

Przytknął pióro do papieru i zaczął powoli pisać. *Wiedziałem, że niepowinienem tam się znaleźć. Byłem przeciwny tej wojnie...*

Niektóre słowa przychodziły mu łatwo, z innych musiał rezygnować. Ale jakoś sobie radził. Pisał i pisał. Przelewał na papier wszystkie wspomnienia, myśli i emocje, które przez tyle lat ukrywał w mrocznych zakamarkach duszy.

Świeca zaczynała się już dopalać, po jego twarzy płynęły łzy i słowa rozmywały mu się przed oczami w ciemnościach. Nie przestawał jednak pisać.

Następny dzień był równie ponury jak poprzedni. Na stalowym niebie wisały ciężkie chmury, a strugi deszczu tworzyły kałuże na polnej drodze. W wilgotnym powietrzu

rozbrzmiewał z daleka melancholijny dźwięk szkolnego dzwonka. Tessa siedziała sztywno na koźle wozu, zaciskając nerwowo dłonie na brzuchu.

Jim przejechał przez zatłoczone podwórko obok budynku szkoły i zatrzymał wóz przy rozklekotanym płocie.

Tessa przełknęła głośno ślinę. Czekają ją trudne zadanie. Wszystko było teraz w jej rękach. Życie Jacka, przyszłość ich i dzieci. Dosłownie wszystko. Musiała zrobić coś, czego nigdy dotąd nie robiła. Wejść z uśmiechem i podniesioną głową na to przekłete podium, być swobodna, uprzejma i przekonująca.

Jej pewność siebie gdzieś zniknęła. Nie wiedziała, czy sprostą temu zadaniu. Przez całe życie była nieśmiała, zamknięta w sobie i samotna. Jak mniszka.

Nie myśl o tym. To już przeszłość. Nie była teraz Tessą Gregory, która niknęła w tle, lecz Lizą Rafferty, żoną Jacka. Musiała odnieść sukces, bo od tego zależało jego życie.

- Lizo? - wyrwał ją z zamyślenia głos Jima. - Czekają na ciebie.

Uniosła głowę i próbowała się uśmiechnąć.

- Dziękuję, Jim.

Pomógł jej zsiąść z drewnianego kozła. Gdy stanęła na twardej ziemi, omal nie ugięły się pod nią nogi. Na szczęście Jim chwycił ją za łokieć i przytrzymał.

- Dobrze się czujesz?

Skinęła sztywno głową.

- Tak. Chodźmy.

Przeciskali się razem między wozami i końmi na trawiastym dziedzińcu. Z każdym krokiem czuła większe napięcie.

Weszli powoli na schody. Skrzywienie desek sprawiło, że umilkły prowadzone półgłosem rozmowy. W niewielkiej sali zaległa cisza. Wszyscy patrzyli na Tesse.

Stała w drzwiach, czując się jak chwast w różanym ogrodzie.

- Dz...dzień dobry. - Skrzywiła się, słysząc niepewne brzmienie swego głosu. Odchrząknęła i podziękowała skinnieniem głowy Jimowi i Minerwie, przeszła przez salę, stukając dumnie obcasami o drewnianą podłogę.

Znalazłszy się z przodu sali, odwróciła się i spojrzała na tłum nieprzyjaznych twarzy.

- Dzień dobry - powiedziała ponownie. - Jestem Liza Rafferty. Wiem, że większość z was mnie nie zna i nie ma powodu mi ufać, ale przyszedłam prosić o pomoc.

W tłumie rozległy się wrogie szept.

Ed Warbass podszedł do niej i powiedział:

- Ta pani zjawiła się tutaj na moją prośbę. Oczekuję, że potraktujecie ją z należyтым szacunkiem.

Tłum uciszył się. Tessa czuła, że wszyscy się w nią wpatrują. Serce waliło jej tak mocno, że miała prawie zawroty głowy. Powstrzymywała się z trudem, by nie uciec.

- Jak wielu z was wie, mój mąż, Jack, oddał się w ręce Eda i siedzi w więzieniu w Victorii.

- Tam jest jego miejsce! - krzyknął ktoś z sali.

Tessa skrzywiła się.

- Powinien tam trafić zabójca - powiedziała cicho, tak cicho, że wszyscy musieli nadstawić uszu, by ją słyszeć. - Ale jeśli Jack nim nie jest? - Czekała, aż tłum zamilknie, po czym dodała spokojnie: - Jeśli on jest niewinny, nadal grozi nam niebezpieczeństwo. - Spojrzała na tęgiego mężczyznę, stojącego w pierwszym rzędzie. - Jeśli Jack nie popełnił tej zbrodni, pańskie dzieci i żona są zagrożone.

Mężczyzna zaczerwienił się i zmieształ.

- Ale... dlaczego się przyznał, skoro tego nie zrobił?

Tessa zmierzyła spojrzeniem wszystkich obecnych.

- Czy ktokolwiek z was albo waszych krewnych walczył na wojnie?

Po chwili wahania podniosło się niechętnie kilka rąk.

Tessa spojrzała na chudego mężczyznę w drelichowym kombinezonie i spytała:

- Dręczą pana koszmary?

Mężczyzna zbladł i odwróciwszy wzrok do ściany, skinął pospiesznie głową.

Znowu rozejrzała się po sali.

- Podczas tej wojny żołnierze byli świadkami strasznych rzeczy. Niektórzy nie potrafią o tym zapomnieć. Na przykład mój mąż. Głośny hałas przypomina mu kanonadę. Czasem przeraża go tak bardzo, że wpada w panikę.

Obrzuciła obecnych łagodniejszym już spojrzeniem.

- Wiem, że wielu z was nie potrafi tego zrozumieć. Sama mam z tym trudności. Ale Jack nie jest zabójcą. To przestraszony, samotny człowiek, który zawsze bał się z wami rozmawiać. Jest trochę... dziwny. Ale nie szalony. I nie popełnił zbrodni.

- Ale sam się przyznał! - zawołał ktoś ze środka sali.

Ed Warbass wystąpił naprzód.

- To niezupełnie prawda. Podejrzewa tylko, że to zrobił. Niczego nie pamięta.

- Jack ma czasem zaniki świadomości. Nie przypomina sobie, gdzie był. - Tessa podeszła w kierunku tłumu, splatając dłonie, i spojrzała na wyglądającą przyjaźnie starszą kobietę w pierwszym rzędzie. - Jest podobny do pani męża - powiedziała cicho. - Albo syna. Nie jest szaleńcem ani mordercą, tylko zwyczajnym człowiekiem, który miał w życiu szczególne doświadczenia. I potrzebuje pomocy ze strony sąsiadów.

Kobieta zerknęła nerwowo na męża.

- Jak możemy pomóc?

- Daj spokój, Miriam... - rzucił siedzący obok mężczyzna. Tessa spojrzała na niego z wyrzutem.

- Czy morderca sam by się przyznał? Czy ktoś, kto zabił

z zimną krwią kobietę w ciąży, oddałby się w ręce sprawiedliwości?

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Pewnie nie - wycedził z namysłem. - Ale jeśli Jack tego nie zrobił, to kto?

Ed znów wystąpił naprzód.

- Mam pewne informacje, które mogą nam pomóc. Na moją prośbę przed kilkoma godzinami zostali aresztowani w Victorii Joe i Kie Nuanna. Ładownicę, którą pożyczyci od państwa Hannah, znaleziono w piwnicy ofiar.

- Joe i Kie? Coś podobnego! To przecież jeszcze dzieciaki! - zawołał ktoś z sali.

- Niestety chłopcy — dodał ktoś inny wymownym szeptem.

- Nie chcą składać zeznań - wyjaśnił Ed. - Więc nie mamy pewności, czy to zrobili, ale dowody mocno ich obciążają.

Jeny Sikes przecisnął się przez tłum i stanął obok Tessy.

- Rozmawiałem trochę z Jackiem, kiedy strzygliśmy owce. Nie jest wcale złym człowiekiem. Moim zdaniem, nikogo nie zabił.

Tessa uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Jakiś człowiek w głębi sali zdjął z głowy sfatygowany kapelusz i przycisnąwszy go do piersi, wyszedł nieporadnie do przodu.

- Jestem Charlie MacKay. Znam dobrze tych chłopców i chętnie z nimi porozmawiam. Może trochę mijają się z prawdą, ale...

- To cudownie...

- Niech mi pani da skończyć. Każdy mężczyzna byłby dumny z żony, która walczy tak dzielnie, by dowieść jego niewinności. Ale jeśli popełnił tę zbrodnię? Nie chcę się angażować, dopóki nie będę pewien, że on tego nie zrobił.

Tessa próbowała ukryć rozczarowanie.

- Rozumiem, panie MacKay, ale Jack jest uparty. Nic nie powie.

- Nie umiałbym zasnąć, gdybym wyciągnął go z więzienia i przyczynił się do... kolejnego zabójstwa.

Tessa skrzywiła się na te słowa, starając się zachować spokój. Nie mogła stracić panowania nad sobą, gdy była już tak cholernie blisko celu.

Rusz głową, do diabła! Jesteś w tym przecież dobra. Wymyśl coś.

Musiała przekonać Charliego, tylko jego jednego, że Jack jest niewinny. Ale jak? W jaki sposób?

Zaświtał jej pewien pomysł - kiepski i nierokujący wielkich nadziei, ale lepsze było to niż nic. Zwilżyła językiem wyschnięte wargi i powiedziała:

- A gdybym pomówiła z Jackiem i nakłoniła go, żeby przyznał, że być może jest niewinny? Czy to by wystarczyło, panie MacKay?

Charlie wyciągnął z kieszeni koszuli drewnianą fajkę i wsunął ją między zęby.

- Myślę, że tak.

- Bylibyśmy bardzo zobowiązani, Charlie - stwierdził Ed.

Tessa zacisnęła powieki. Starła się z całych sił nie tracić nadziei, ale po raz pierwszy w życiu czuła w duszy bolesną pustkę.

Wszystko było teraz w rękach Jacka. Musiał powiedzieć: być może.

A nigdy nie wierzył w siebie.

Po kolacji Tessa usiadła z dziewczynkami na podłodze w salonie. Ogień płonął na kominku, oblewając mroczny pokój czerwono-żółtą poświatą. Powietrze przesycił zapach potrawy z baraniny i palonego drewna. Światło księżyca padało ukośnie przez niewielkie okno, rzucając błękitny blask na kanapę

Tessa rozłożyła na twardej podłodze duży koc, uklękła na nim powoli i wskazała dziewczynkom miejsce obok siebie.

Gdy Katie i Savannah do niej dołączyły, położyła przed każdą z nich kartkę cennego papieru, pióro i kałamarz.

Savannah spojrzała na nią pytająco.

- Co mamy z tym robić?

Tessa popatrzyła na córkę, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że ma ona dopiero dwanaście lat. W bladym świetle dziewczynka wyglądała niewiarygodnie dziecinnie, jak dziecko, które stara się usilnie być kobietą.

Tessa przeniosła wzrok na Katie. Mała siedziała po turecku, opierając łokcie o zgięte kolana. Jej oczy wydawały się ogromne na tle zacienionej pulchnej twarzy. Lekkie drżenie dolnej wargi stanowiło jedyną oznakę, że boi się o swego tatę.

Tessa poczuła pokrzepiającą falę wzruszenia. Te dzieci dały jej tak wiele - więcej, niż mogła kiedykolwiek oczekiwać. Stanowiły spełnienie najskrytszych marzeń. Kiedyś byli sobie obcy, a teraz stanowili rodzinę.

Nie musiała już być silna dla nich, lecz z nimi. Od tej chwili będą przeżywać razem dobre i złe chwile. Radości i dramaty. Poradzą sobie ze wszystkim, wzajemnie się wspierając.

Wyciągnęła ręce do dziewczynek. Katie, szlochając cicho, przytuliła twarz do jej ramienia. Savannah odłożyła na bok kartkę papieru i także przylgnęła do matki. Ich miłość i przywiązanie dawały Tessie siły do walki. Gładziła je delikatnie po włosach.

- Czy tatuś wróci? - zapytała cicho Savannah.

Tessa uśmiechnęła się.

- To mi się podoba, Sawo. Mów zawsze szczerze, co ci leży na sercu.

- Wróci?

Natura naukowca nakazywała Tessie udzielić wymijającej odpowiedzi, wdać się w rozważania na temat zawiłości systemu

prawnego i charakteru lęków Jacka. Ale *tyra*. razem przeważył punkt widzenia matki, odparła więc po prostu:

- Tak, kochanie. Tatuś wróci, ale potrzebuję waszej pomocy.

Obie dziewczynki przyglądały się jej z uwagą.

- Co możemy zrobić? - spytała Savannah.

- Widzicie te kartki papieru? Chcę, żeby każda z was napisała do tatusia list. Jutro mu je zawiozę.

Katiejęknęła.

- Och, nie, ja...

Tessa dotknęła jej policzka.

- Pomogę ci.

Mała westchnęła cicho.

- Czy to... na coś się przyda?

- Myślę, że tak.

Katie przygryzła nerwowo dolną wargę, po czym skinęła powoli głową.

- W porządku.

Tessa pomogła dziewczynkom rozłożyć się na kocu. Savannah leżała częściowo na gołej podłodze, trzymając skrzyżowane w kostkach nogi w powietrzu. Przez dłuższą chwilę przygryzała z namysłem pióro, po czym zaczęła pisać.

Drogi Tatusiu,

Kiedy byłam małą dziewczynką, stawałeś w środku nocy koło mojego łóżeczka, patrzyłeś namnie i płakałeś. Zawsze chciałam, żebyś wziął mnie na ręce. Widziałam Cię przez drewniane szczebelki łóżeczka, jakbym była w więzieniu.

Kiedy dorosłam, zrozumiałam, że nie potrzeba krat, żeby czuć się uwięzionym. Zawsze czułam się zamknięta, samotna i przestraszona. Ale potem wszystko się zmieniło. Mama zaczęła się śmiać, a Ty nauczyłeś mnie tańczyć.

To było wspaniałe. Czasem płaczę, wspominając te chwile.

KRISTINHANNAH

Tamtej nocy powiedziałaś pierwszy raz, że mnie kochasz. Potem już nigdy nie czułam się jak w więzieniu.

Kocham cię, Tatusiu. Proszę, wróć do domu.

S.

Wzruszenie ścisnęło Tessie gardło, gdy przeczytała list Savannah. Odruchowo odgarnęła jej z czoła kosmyk włosów.

- To piękne, kochanie.

Katie przygryzała nerwowo paznokieć.

- Może podpiszę się tylko pod listem Savannah?

Tessa przysiadła obok niej, obejmując jej drżące ramiona.

- Chodź, spróbujemy. Co chciałabyś napisać?

Katie przełknęła ciężko ślinę.

- Po prostu... - Zniżyła głos do szeptu. - Po prostu, że go kocham.

- Wspaniale. - Tessa uśmiechnęła się z aprobatą. - No to zaczynajmy.

Pół godziny później, gdy na kominku pozostała już tylko sterta żarzących się popiołów, Katie skończyła gryzmolić swoje zdanie. Litery były koślawe i powykręcane, ale treść nie budziła wątpliwości. *Kocham cię, Tatusiu.*

Tessa złożyła starannie kartki papieru i położyła je na drewnianym gzymsie kominka, po czym usiadła z dziewczynkami na kocu.



Tessa patrzyła na niewielki ceglany budynek. Zakratowane okna lśniły w południowym słońcu. Stłumiwszy dreszcz zgrozy, uniosła głowę i uśmiechnęła się wymuszenie.

Charlie i Ed czekali przy niej cierpliwie.

Odchrząknęła i powiedziała: „Chodźmy”. Podkasawszy spódnice, ruszyła powoli po schodach prowadzących do więzienia. Mężczyźni podążali w stosownej odległości za nią. Z każdym krokiem czuła rozpaczliwy ucisk w piersiach.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, starając się nie zapomnieć, co postanowiła. Zeszłej nocy leżała samotnie w łóżku, rozmyślając o szczęśliwych chwilach, które spędziła z Jackiem. Każde z tych wspomnień raniło jej serce jak odłamek szkła. Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że jest obok niej. Czuła ciepło jego dotyku, oddech i zapach włosów. Zachowywała to wszystko w pamięci.

Snując wspomnienia, w końcu zasnęła.

To, co jej się przyśniło, było niewiarygodnie realistyczne. Siedzieli z Jackiem w eleganckim, wyłożonym boazerią pokoju. Przez duże ośmiokątne okno wpadały promienie słońca, oświetlając stół, zastawiony srebrem, porcelaną i kryształami. Wokół

siedziały ich dzieci, ale były już dorosłe. Savannah - ślicznej młodej damie - towarzyszył ciemnowłosy mężczyzna. Obok siedziało na wysokim stołku różowitkie niemowlę. Katie zartowała wesoło z niezwykle przystojnym młodym człowiekiem, w którym Tessa rozpoznała instynktownie Kaleba. Naprzeciwko niego siedzieli zajęci rozmową dwaj młodszy chłopcy.

Ten sen przyniósł jej ukojenie. Wierzyła, że to nie wytwór jej zrozpaczonego umysłu, lecz wizja. Obraz przeznaczenia. Przyszłości, którą miała odnaleźć, cofając się w czasie o sto lat.

A Jack wszystko psuł.

Do diabła, nie mogła mu na to pozwolić! Podkasała spódnice i pospieszyła po schodach. Musiała umrzeć, aby zdobyć miłość, i teraz nie da jej sobie odebrać. Za nic w świecie!

Ten uparty głupiec musi powiedzieć: „Być może”.

Nacisnęła na klamkę i otworzyła duże dębowe drzwi. Zaskrzypiały głośno, uderzając o ceglana ścianę.

Jakiś mężczyzna podniósł głowę znad zawalonego papierami biurka w głębi małego ciemnego pokoju.

- Dzień dobry - odezwała się Tessa. - Jestem Liza Rafferty. Przyszłam zobaczyć się z mężem, Jacksonem.

Mężczyzna podźwignął się z krzesła i wyciągnął z kieszeni pęk kluczy.

- Tędy, proszę pani. - Spojrzał na Eda i Charliego. - Może wejść tylko jedna osoba.

Ed dotknął jej ramienia.

- Powodzenia, pani Rafferty.

- Dzięki, Ed. - Odwróciwszy się, Tessa podążyła wąskim korytarzem za strażnikiem.

- Rafferty! Ktoś do ciebie!

Jack podniósł się na prycy. Przeczesał ręką zmierzwione włosy i wyrztał przez kraty.

- Liza?

Odsunęła się od strażnika, by lepiej ją zobaczyć.

- Cześć, Jack.

Strażnik otworzył celę i wpuścił ją do środka.

- Zazwyczaj nie wolno mi tego robić, rozumie pani, ale Ed Warbass mówi, że można pani zaufać. Tylko bez żadnych numerów, dobrze?

Skinęła głową i wślizgnęła się do ciasnej wilgotnej celi. Okratowane drzwi zatrzęsnęły się za nią z hałasem. Klucz zazgrzytał w zamku, w korytarzu rozbrzmiał echem odgłos kroków i zostali sami.

Tessa usiadła obok Jacka na wąskiej, zapadającej się pryczy i spojrzała mu w oczy, dotykając jego dłoni. Chciała mu tak wiele powiedzieć, przygotowała się do wysunięcia tylu argumentów, ale teraz, siedząc z nim w mrocznej celi, miała ochotę się rozpłakać.

- Nie powinnaś tu przychodzić - powiedział cicho.

Podniosła raptownie głowę, by napotkać jego spojrzenie, i natychmiast odeszła jej chęć do płaczu.

- Niestety, musiałam.

- Lizo...

- Daj spokój, Jacksonie Rafferty. Mam dość twoich melodramatów, rozumiesz? Przestań wreszcie chować głowę w piasek.

- O co ci chodzi? - Usiłował cofnąć rękę, ale mu nie pozwoliła. Ścisnęła go mocno.

- Dobrze wiesz. Chcę, żebyś wszystko sobie przypomniał.

- Myślisz, że nie próbowałem?

Zbolały ton jego głosu zbił Tessę z tropu. Zapragnęła nagle wziąć go w ramiona, pogłodzić po włosach i pocieszyć. Ale nie zrobiła tego. Bez wysiłku z jego strony niczego, do diabła, nie mogli osiągnąć.

Spojrzała mu głęboko w oczy, starając się go nakłonić, by dostrzegł w sobie dobro.

- Wszystko jest ukryte w twojej głowie, Jack. Każde wspomnienie, każda chwila. Musisz tylko uwierzyć.

- Nie potrafię...

Przytknęła mu palec do ust.

- Nie proszę, żebyś powiedział, że nie zabiłeś tych ludzi. Przyznaj tylko, że być może tego nie zrobiłeś.

Jack miał w oczach strach i szybko oddychał. Pokręcił powoli głową.

- A jeśli...

Puściła jego dłonie i chwyciła go za ramiona.

- Co przyjdzie z tych wątpliwości twoim dzieciom, Jack? Siedzą teraz w domu, zapłakane i przerażone, że już nigdy nie zobaczą ojca. - Otworzyła skórzaną torbę i wyciągnawszy listy od dziewczynek, machnęła nimi Jackowi przed nosem. - Przeczytaj je i powiedz, że nic dla ciebie nie znaczą.

Rozłożył drżącymi rękami list Savannah. Gdy skończył go czytać, miał w oczach łzy. Spojrzał na Tessę z twarzą wykrzywioną bólem.

- Czego ode mnie oczekujesz?

- Czy zastanawiałeś się, Jack, na co nas narażasz, jeśli nie popełniłeś tej zbrodni? Jeśli jesteś niewinny, grozi nam nadal niebezpieczeństwo. Zostałam z dziećmi sama na farmie. Zupełnie sama. A nie trafiłabym z karabinu nawet w stodołę.

Jack przetarł oczy i westchnął ciężko.

- Chryste, Lizo! Kto inny mógł to zrobić? Jestem jedynym szaleńcem na wyspie.

- Joe i Kie Nuanna pożyczili broń od państwa Hannah akurat wtedy, gdy byłeś zamroczony. Kiedy ją oddali, była zaplamiona krwią. - Przerwała, aby pojąć znaczenie tych informacji, po czym dodała: - Ludzką krwią. - W oczach Jacka zabłysła iskierka nadziei, więc skwapliwie to wykorzystała. - Czy kiedykolwiek kogoś skrzywdziłeś, Jack? Zapomnijmy o tym, że nie pospieszyłeś z pomocą Johnny'emu. To był tylko pechowy zbieg okoliczności. Czy zraniłeś kogoś własnymi rękami?

Jack zmarszczył czoło.

- Nie. Ale to jeszcze nie dowodzi...

- A Dwyerowie, Jack? Znałeś ich, na litość boską! Selina została zamordowana we własnym domu. Zginęła, robiąc na drutach sukienkę dla dziecka. Była zalana krwią i miała posiniaczoną twarz. Czy zrobiłeś to, Jack? Strzeliłeś Henry'emu w tył głowy, a potem pobiłeś do nieprzytomności Selinę i ją także zabiłeś?

Otworzył szeroko oczy z przerażenia. Był błydy jak trup.

- Boże wszechmogący...

Tessa potrząsnęła nim mocno.

- Zrobiłeś to, Jack? Mógłbyś tak postąpić?

Jack spojrział w jej pobladłą, pełną determinacji twarz i nabrał wątpliwości. Błysnęła mu nadzieja.

- Sam nie wiem...

- Wiesz, Jack.

Zacisnął powieki i przypomniał sobie minioną noc. Siedząc w środku celi i przelewając na papier najskrytsze myśli, czuł się jak... nowo narodzony. A jednak teraz przeżywał ponownie dawne lęki i koszmary.

A jeśli Liza ma rację? - pomyślał. Jeśli nie popełnił tej zbrodni, zrobił to ktoś inny. Morderca nie chciałby zapewne, by Liza wtrącała się do śledztwa.

Wciągnął głęboko powietrze i westchnął ciężko. Gdy otworzył oczy, żona nadal przyglądała mu się z ufnością. Zaczęły mu drżeć ręce, najpierw lekko, potem coraz bardziej. Czuł mrozący krew w żyłach strach.

Miał wrażenie, że stoi na skraju czarnego bezdennego jeziora i skoczy zaraz w głębinę, kryjące tysiąc straszliwych zagrożeń.

Napotkawszy wzrok żony poczuł tak gwałtowny przypływ miłości, że do oczu napłynęły mu łzy.

- Zawsze we mnie wierzyłaś, prawda?

- I zawsze będę - odparła ze wzruszeniem.

Jack przełknął z trudem ślinę.

- Boję się.

- Ja też. - Uśmiechnęła się gorzko.

Jackowi omal nie pękło serce. Słyszając te ciche słowa, pełne miłości, ufności i nadziei, nie mógł jej odmówić. Ona także się bała, a jednak nie traciła wiary.

Chryste, jakże pragnął być do niej podobny. Dla dobra ich wszystkich: jego, jej, dzieci, które mieli i które dopiero przyjdą na świat.

Wstrzymał oddech i zanurkował w lodowatą otchłań - mając nadzieję, że Liza go ocali.

- Możliwe... - Słowa więzły mu w gardle. Wydusił je z trudem. - Możliwe, że tego nie zrobiłem.

Rzuciła mu się na szyję, obsypując go pocałunkami.

- Wiedziałam, że to powiesz.

Obejmował ją mocno, czując w oczach gorące łzy. Lata strachu i wątpienia odeszły w niepamięć. Zrzuciwszy swój pancerz, poczuł się bezbronny i zagubiony.

- Kocham cię, Lizo — wyszeptał rozpaczliwie.

Odsunęła się od niego powoli i spojrzała mu w oczy. Miała na twarzy łobuzerski uśmiech.

- Ja też cię kocham, Jack. Wynośmy się stąd, do diabła!

Trzy dni później Tessa stała na smagany wiatrem zboczu wzgórza nad zatoką Kanaka. Skrzyżowawszy ramiona, wpatrywała się w gładką jak szkło taflę wody. Zapadał właśnie zmierzch, pogrążając świat w półmroku. Obok niej stał Ed Warbass, a dzieci siedziały na dużym kocu. Wszyscy spoglądali na cieśninę.

Tessa przygryzała nerwowo kciuk. Mrużąc oczy, zmierzyła ponownie wzrokiem ciemną powierzchnię zatoki.

- Dlaczego to trwa tak długo? - mruknęła.

Ed położył jej dłoń na ramieniu.

- Napisali w telegramie, że będą tu dziś wieczorem. Może Jack i Charlie musieli wypełnić jeszcze jakieś papiery po przesłuchaniu.

Rozejrzawszy się, zobaczyła dopiero teraz, że nad brzegiem zebrał się tłum ludzi. Popatrzyła na Eda, unosząc brwi.

- Co oni tu robią?

- Kto to wie? - odparł, wzruszywszy ramionami.

Nie zastanawiała się nad tym dłużej. Miała na głowie ważniejsze sprawy. Jej mąż wracał wreszcie do domu.

Patrzyła wyczekująco na nieruchome wody zatoki.

Jack siedział w niewielkiej łodzi, w kapeluszu zsuniętym na czoło, i wiosłował w kierunku zatoki Kanaka. W wodzie skrzyły się promienie zachodzącego słońca. W oddali widać było na tle szarego nieba czarne zarysy łądu. Myślał o kilku ostatnich dniach. Pracował wspólnie z Charliem, zbierając dowody, odszukując świadków, porządkując fakty, ale okazało się to zbędne. Joe Nuanna przyznał się do winy i sprawa została zamknięta.

- Zdaje się, że oczekuje nas tłum ludzi - stwierdził cicho Charlie.

Jackowi drgnęła ręka. Przestał rytmicznie wiosłować. Woda uderzała z pluskiem o burty łodzi.

- Denerwujesz się? - zapytał Charlie, odchylając się do tyłu.

Jack skinął głową.

- Nie ma powodu. Jesteś jednym z nas, synu. Twoja żona przekonała o tym nie tylko mnie.

Jack podniósł wzrok.

- Dzięki, Charlie. Jestem ci naprawdę wdzięczny. Bez ciebie...

Charlie roześmiał się.

- To nie moja zasługa. Wszystko zawdzięczasz żonie. Szczęściarz z ciebie, że masz kobietę, która tak cię kocha.

- Owszem. - Jack uśmiechnął się powoli, myśląc o Lizie.

Znowu zamilkli, gdy skierował zręcznie łódź do portu i przybił do starej drewnianej przystani. Stojący w mroku wyspiarze cofnęli się o krok, nic nie mówiąc.

Jack i Charlie wyszli z łodzi, brodząc w zimnej wodzie. Jack wyciągnął łódź na brzeg. Drewniany kadłub zazgrzytał głośno o kamienie i piasek.

Potem odwrócił się powoli w kierunku milczącego tłumu.

Charlie odezwał się pierwszy.

- Wiem, że słyszeliście już nowiny. Joe Nuanna przyznał się do popełnienia zbrodni. Proces odbędzie się za tydzień w Port Townsend.

W tłumie nastąpiło poruszenie. Szeptano chwilę między sobą, po czym Jeny Sikes wystąpił naprzód, wyciągając rękę.

- Witaj w domu, Jack.

Jack, oszołomiony sytuacją, uściśnął jego dłoń. Kolejni wyspiarze podchodzili, by się z nim przywitać.

- Dobrze, że pan wrócił, panie Rafferty.

- Pewnie cieszy się pan z powrotu do domu.

- Mam nadzieję, że przyjdziecie państwo do nas wkrótce na kolację.

Jack starał się odpowiadać na te wszystkie miłe słowa. W końcu, bezgranicznie zmęczony, podniósł wzrok.

Na zboczach wzgórza stała jego rodzina. Na ich widok poczuł ból w sercu.

- Lizo... - szepnął tęsknie.

- Niech pan szybko do niej biegnie - powiedziała stojąca obok kobieta. - Czekwała na pana cały dzień.

Jack cofnął rękę. Tłum rozstał się, robiąc mu miejsce. Pobiegł po ciemnej trawie na zacienione wzgórze.

- Tatusiu! - zawołała Katie, rzucając mu się w ramiona. Uściskał ją mocno i okręcił w powietrzu, nie mogąc się nacieszyć jej szczerym, radosnym śmiechem.

Kiedy się przywitani, pocałował ją delikatnie w czoło i szepnął:

- Tęskniłem za tobą, malutka.

Podniósłszy wzrok, zobaczył dwa metry dalej Savannah. Przyklękła i wyciągnął do niej drugą rękę. Uśmiechając się, zbiegła po zboczu i wpadła na niego z impetem. Wszyscy troje przewrócili się na ziemię i stoczyli ze skarp.

Gdy zaczęli ze śmiechem wstawać, Jack poczuł na sobie spojrzenie żony. Leżąc w trawie i obejmując ramionami córki, podniósł oczy. Serce zabiło mu mocno i podskoczyło do gardła.

Liza była na tyle blisko, że widział jej łagodne piwne oczy, czuł lawendowy zapach jej włosów. Przełknął głośno ślinę. Boże, jak pięknie wyglądała!

Ręce opadły mu na ziemię. Wstał i podszedł do niej. Wiatr szeleścił w trawie, a na wieczornym niebie migotały gwiazdy. Ze stojącego u stóp Lizy wiklinowego koszyka dobiegło ciche kwilenie.

- Witaj, Jack — powiedziała z uśmiechem.

Wziął ją w ramiona. Przyłgnęła do niego, wtulając mu twarz w szyję i opasując rękami biodra. Stali tak przez dłuższy czas, aż pomarańczowe słońce nie zniknęło za horyzontem. Nic nie mówili. Obywali się bez słów. Potrzebowali tylko być razem. Stojąc w półmroku na środku pola, w otoczeniu swoich dzieci, zaczęli leczyć bolesne rany.

W końcu Jack odsunął się od Lizy, ujął twarz żony i spojrzawszy w jej jaśniejące, przepełnione miłością piwne oczy, poczuł taki przypływ wzruszenia, że omal się nie zachwiał.

- Nie zrobiłem tego - wyszeptał. - Wszystko sobie przypomniałem.

Zapadła napięta cisza. Lizie zalśniły w oczach łzy.

- Nigdy w to nie wątpiłam.
- Tak bardzo cię kocham - powiedział przez zaciśnięte gardło.

- Ja ciebie też.

Pochylił się i pocałował ją z uśmiechem i namiętnie, po czym szepnął:

- Wracajmy do domu.

Jej zapłakane oczy jaśniały szczęściem.

- Do domu.

Nie powiedziała nic więcej, ale Jack nigdy w życiu nie słyszał niczego piękniejszego. Poczłł falę przyjemnego ciepła. Otoczył ją ramieniem i popatrzylil razem na pogrążoną w półmroku drogę, która prowadziła do ich farmy. Nie widzieli żadnych budynków, ale dostrzegali je oczami duszy. Wracali do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło.

Do domu.

Jack sięgnął po koszyk. Kaleb łypnął na niego okiem i zagruchał na powitanie.

- Hej, uśmiechnął się do mnie! - stwierdził z radością Jack.

Liza wsunęła mu rękę w dłoń i wsparła się na jego ramieniu.

- Oczywiście. Jesteś jego tatusiem. Chodźmy już do domu.

Epilog

Wigilia Bożego Narodzenia, rok 1873

X essa stała obok Jacka, obejmując go w pasie. Za oknem szalała burza. Ulewa bębniła o spadzisty dach. Strugi wody zalewały szybę, nadając szkłu srebrzysty połysk.

Liza i Jack wypatrywali w ciemnościach niewielkiego białego krzyża na zboczu wzgórza nad stodołą. Księżyc wychynał właśnie zza szarej chmury, oblewając białoniebieską poświatą martwy pejzaż.

Tessa poczuła, że męża przeszedł dreszcz. Wiedziała, o czym myśli. Choć nie miewał już ataków, ulewa przywoływała nadal bolesne wspomnienia z przeszłości. Przynęła się bliżej i przyłgnęła do niego, opierając policzek na jego twardym ramieniu.

- Ciągłe tak bardzo mi go brakuje - wyszeptał Jack zduszonym głosem.

- Wiem. - Żona pocałowała go w ramię.

Stali obok siebie, wpatrzeni w deszcz za oknem. W blasku księżycy Tessa dostrzegła w oddali biały punkt. Uśmiechnęła się lekko, przypominając sobie, jak niedawno Jack wbijał w ziemię zwykły biały krzyż. Był wtedy słoneczny dzień i powietrze przesycał zapach morza i tysięcy kwitnących kwiatów.

Usiedli całą rodziną wokół krzyża, trzymając się za ręce. Jack, płacząc i śmiejąc się na przemian, opowiadał swoim dzieciom o wujku, którego nie znali.

Symboliczny grób był niby bez znaczenia, a jednak Jack miał wreszcie miejsce, gdzie czuł bliskość Johnny'ego. Gdzie mógł się z nim pożegnać.

Nagle wyrwał Tessę z zamyślenia dźwięk dzwonka.

- Co to było? - zapytała.

W ciemnościach rozległ się grzmot. Jack zadrżał i skrzyżował ręce, przyglądając się w napięciu błyskawicom. W takich chwilach, gdy powracała przeszłość, koncentrował uwagę na krzyżu i przypominał sobie dobre czasy.

- Co? Co powiedziałaś?

Tessa odsunęła się od niego, mówiąc:

- Zaraz wracam.

Sięgnawszy po flanelowy szlafrok, pocałowała go i wyszła z sypialni. Przystanęła w mrocznym korytarzu.

Dzwonek znowu zadzwonił. Tym razem głośniej.

Uniószszy brwi, Tessa przeszła do salonu. Drzwi od sypialni zatrzasnęły się za nią nieoczekiwanie. Podskoczyła z wrażenia, mówiąc:

- Ej, co za...

Poczuła zapach dymu. I róż. Uniosła brwi jeszcze bardziej.

Nie wiadomo skąd dochodził delikatny szelest jedwabiu. Nagle z mroku wyłonił się jasnoróżowy obłok i otoczył jej bosc stopy. Zapach róż stał się tak intensywny, że aż mdlił.

Tessa sięgnęła po omacku do drzwi sypialni i stwierdziła, że są zamknięte.

- Jack... - wyszeptała przez wyschnięte wargi.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, aby się uspokoić. Musiała przypadkiem zamknąć drzwi. Tyle że... nie miały one zamka.

- Tesso - odezwał się z salonu szorstki kobiecy głos. - Ja czekam.

Postanowiła nie ruszać się z miejsca. Nie chciała wiedzieć, co się dzieje. Jack otworzył jej w końcu drzwi.

Ale nim zdążyła pomyśleć, szła już w różowej poświacie w kierunku salonu. Stojąca w kącie choinka, otoczona opakowanymi kolorowo prezentami, zdawała się unosić w blasku światła. Dziesiątki świeczek, które Tessa zdmuchnęła godzinę temu, płonęły jasno, wysyłając w powietrze smużki dymu.

Dom pachniał nadal świątecznie skórą pomarańczową i igliwem, ale poczuła także inny zapach, którego nie mogła zidentyfikować. Intensywną woń płonących róż.

- Czy jest tu ktoś? - zapytała niepewnie.

Poczuła na twarzy delikatny powiew. Papierowe ozdoby na choince zaszeleściły cicho. Rozległ się radosny dźwięk dzwonka.

Tessa przytknęła do szyi drżącą dłoń i podeszła do choinki. Sama ją przyozdabiała i wiedziała, że nie ma tam dzwonka.

- Cześć, Tesso.

Obróciła się na pięcie. W pokoju nikogo nie było.

- K...kto tu jest?

Niewielką przestrzeń wypełnił rubaszny śmiech.

- Nie mów, że zapomniałaś starą przyjaciółkę.

- Carol! - powiedziała z ulgą Tessa. - Powinam była się domyślić.

- Oczywiście. Seks zaćmiewa ci chyba umysł.

Tessa uśmiechnęła się szeroko.

- Ale jakie to przyjemne!

- Przejdźmy do rzeczy. Czas już dokonać wyboru.

- Jakiego?

- Czy decydujesz się na takie życie, czy wolisz coś **innego**.

- Żartujesz? Zostaję tutaj.

- Twoja decyzja jest nieodwołalna. Nie będziesz już więcej

Tessą. Zachowasz, oczywiście, swoją duszę, ale stracisz wspomnienia z dwudziestego wieku. Będziesz pamiętała tylko to, co zdarzyło się od chwili, gdy obudziłaś się w tym domu.

Tessa zaśmiała się z przekąsem.

- Boisz się, że wymyślę za wcześnie tampony i jednorazowe pieluchy?

Carol zaśmiała się donośnie.

- Coś w tym rodzaju. Więc co postanawiasz?

Tessa spojrzała w mroczny korytarz, gdzie spały jej dzieci i czekał mąż. Na myśl o nich poczuła przejmujące wzruszenie.

- Wszystkie wspomnienia, jakich potrzebuję, są tutaj, Carol. Wypełnię nimi całe życie.

Poczuła na policzku ciepły powiew, przypominający oddech. Różowa poświata zniknęła, przemieniając się w złotą mgiełkę. Świece zgasły, pozostawiając intensywny zapach dymu.

- Powzięłaś słuszną decyzję - szepnęła Carol. - Do widzenia.

- Wesołych świąt, Carol - powiedziała cicho Tessa.

- Z kim rozmawiasz?

Liza obejrzała się zaskoczona. Jack stał w rogu pokoju, przyglądając się jej. Zamrugała, by odzyskać ostrość widzenia.

- Mówiłam coś? - spytała rozkojarzona.

- Życzyłaś komuś wesołych świąt.

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, dlaczego ma odrętwiałe nogi i wyschnięte wargi.

- Dziwne...

Podszedł do niej, poruszając się z gracją, którą była zawsze oczarowana, i objął ją namiętnie. Otoczyła go ramionami, wtulając twarz w jego szyję. Ciepły, odurzający zmysły zapach uświadomił jej ponownie, jak bardzo kocha tego człowieka.

SZANSA

- Zatańcz ze mną- szepnął jej do ucha.

Uśmiechnęła się do niego, ujęła jego dłoń i zamknęła oczy.
Na zewnątrz szalała burza i wiatr uderzał rytmicznie o szyby.

Zaczęli poruszać się powoli, w idealnej harmonii ze sobą i odgłosami natury. Tańczyli, odurzeni zapachem dymu, Bożego Narodzenia i magii tego miejsca.

To był dobry dzień na cuda.

Posłowie

Powieść *Szansa* oparta jest na autentycznych wypadkach, które miały miejsce na wyspie San Juan w 1873 roku. Ze względu na fabułę zmieniałam nazwiska niektórych postaci oraz czas i kolejność wydarzeń. Moja relacja opiera się w znacznym stopniu na pamiętnikach Delajly „Liii” Hannah, stryjecznej babki mego męża.

Wiosną 1873 roku Henry i Selina Dwyer zostali zamordowani z zimną krwią na swojej farmie. Przez wiele tygodni zaniepokojeni osadnicy spoglądali na siebie nieufnie, podejrzewając, że zabójca jest wśród nich.

Gdy wyspiarze próbowali zorganizować straż obywatelską, Minerwa Hannah zaczęła się domyślać, że sprawcami zbrodni mogli być Joe i Kie Nuanna, którzy kilka dni wcześniej pożyczili od nich strzelbę. Zwrócili ją, co prawda - ze śladami krwi na kolbie - ale bez ładownicy. Sędzia pokoju Ed Warbass znalazł tę ładownicę, o czym Minerwa nie wiedziała, w piwnicy Dwyerów.

Gdy Ed Warbass zatelegrafował do oficera śledczego w Victorii, Joe i Kie Nuanna, a także trzeci młody mężczyzna, zwany Indianinem Charliem, zostali aresztowani przez tamtejszą policję.

SZANSA

Zorganizowano szybko proces, ale sędzia uznał, że brak jest wystarczających dowodów winy oskarżonych. Sąd zezwolił, by oficer śledczy MacMillian zatrzymał Joego jeszcze przez tydzień w areszcie w celu uzupełnienia materiałów dowodowych. Wtedy właśnie Charlie MacKay (albo MacCoy) odbył z Joem ojcowską rozmowę.

Joe skwapliwie obarczył winą swego przyjaciela, Indianina Charliego, którego wypuszczono już z aresztu. Opisał szczegółowo przebieg wydarzeń. Później, gdy Charlie został ponownie zatrzymany i przedstawił niezbite alibi, Joe przyznał się do potwornej zbrodni.

Pod koniec października przekazano go władzom Terytorium Waszyngtonu, gdzie był sądzony za zabójstwo Dwyerów. Mieszkańcy wyspy San Juan stawili się tłumnie na procesie, a zeznania Minerwy i Liii Hannah potwierdziły jego winę.

Joe Nuanna został powieszony w mroźny marcowy dzień. Prawie wszyscy wyspiarze byli świadkami egzekucji, a Joe powiedział podobno przed śmiercią: „Ludzie, bardzo żałuję tego, co zrobiłem. Teraz muszę odejść. Żegnajcie!”